

Miarą naszego życia  
jest to, kogo kochamy...

Jennifer Weiner

KOGO  
KOCHASZ?



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

Jennifer Weiner

KOGO  
KOCHASZ?

Z języka angielskiego przełożyła  
Joanna Piątek



*Dla Billa*

*Poślubiłem Isis wiosną, to był maj  
Lecz długo nie wytrwałem przy niej  
Obciąłem włosy i odjechałem w dal  
W świat nieznany, gdzie jednak zbłądzić trudniej.*

Bob Dylan *Isis*

## Prolog

Rachel  
2014

– Rachel?

Nie odpowiadam. Zamykam oczy i wstrzymuję oddech. Może uznają, że mnie nie ma, i pójdą sobie. Oby.

Stuk, stuk, stuk. I ponowne wołanie.

– Rachel, jesteś tam?

Okrywam się szczelniej kołdrą. Pościel jest elegancka, lniana – prezent ślubny – a z każdym praniem robi się bardziej delikatna i jedwabista. Chowam głowę pod poduszkę, zauważając przy tym, że poszewka nie jest już zbyt świeża. Zapewne ma to związek z faktem, że od trzech dni się nie myję, a łóżko opuszczam tylko na krótkie wizyty w toalecie, przy okazji których od razu uzupełniam braki płynów w organizmie, częstując się kranówką. Na szafce nocnej mam otwartą paczkę wyciągniętych z zamrażarki ciasteczek czekoladowo-miętowych, a obok drugą w zapasie. Jest wiosna, ciepła i słoneczna, ale ja pozamykałam szczelnie okna i opuściłam żaluzje. Nie chcę patrzeć na te wszystkie mamuśki ostentacyjnie prowadzące ogromne wózki ani na czterdziestoletnich facetów w drogich zamszowych butach, z zarostem przyciętym na wzór drzewek bonsai, którzy non stop tweetują, ani na turystów robiących sobie selfie przed restauracjami, w których „nic się nie marnuje” i gdzie wszystko jest zdecydowanie organiczne i bio, pozyskiwane wyłącznie od lokalnych producentów. W sypialni jest ciemno, drzwi zamknięte na klucz, córek nie ma. Leżąc w tej cudownej pościeli, która pachnie jeszcze naszymi zmieszanyimi zapachami włosów, skóry i seksu zaledwie sprzed dwóch tygodni, czuję się prawie, jakbym już nie żyła.

Ponowne stukanie... i nagle – a niech to – dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Zaciskam powieki, marszcząc twarz niczym mała dziewczynka, która wyobraża sobie, że jeśli ona kogoś nie widzi, to i ten ktoś nie zobaczy jej.

– Idź stąd – mówię.

Gość jednak, zamiast mnie posłuchać, wchodzi i siada na brzegu łóżka, po czym dotyka mojego ramienia, które jest w tej chwili tylko niekształtnym wybrzuszeniem pod kołdrą.

– Rachel – słyszę głos Brendy, najbardziej pokręconej i kłopotliwej z moich podopiecznych, z którą miałam się spotkać w miniony piątek. Przez moment się zastanawiam, skąd wzięła klucze, ale zaraz sobie przypominam, że przecież w zeszłym roku dałam je jej wnukowi Marcusowi, by podczas ferii wiosennych podlewał u mnie kwiatki i wyciągał pocztę ze skrzynki, za co zapłaciłam mu imponującą kwotę dziesięciu dolarów. Spytał wtedy nieśmiało, czy moglibyśmy pójść do sklepu z komiksami, więc wzięłam go za rękę i tam się udaliśmy.

– Przepraszam, że nie przyszłam – mamroczę.

Mój głos brzmi, jakby wydobywał się z zatkanej rury odpływowej. Odchrząkuję. Boli. Wszystko mnie boli.

– Nie ma sprawy – odpowiada Brenda.

Ściska moje ramię i wstaje. Słyszę, że zaczyna się krzątać. Podnosi żaluzje i otwiera okno, natychmiast czuję na ręce gęsią skórkę. Unoszę jedną powiekę. Brenda trzyma biały plastikowy kosz na bieliznę, który szybko wypełnia, zbierając z podłogi moje ubrania. W kącie stoi miotła, mop oraz wiadro ze środkami czystości: płyn do szyb, do podłogi, mleczko do drewna i cudowny środek na wszelkie zabrudzenia – kto wie, może poradzi sobie z tą plamą na ścianie, pozostałą po moim rzucie wazonem. Wazonem z tulipanami i zielonkawą wodą.

Zamykam oczy, po czym je otwieram, czując ostry sosnowy zapach. Patrząc oniemiała, jak Brenda najpierw zamiata, a potem zanurza w wiadrze mop, wyciska go i zaczyna myć moje podłogi.

– No coś ty? – chrypię. – Naprawdę nie musisz...

– Nie robię tego dla ciebie, tylko dla siebie – wyjaśnia Brenda.

Stoi ze spuszczoną głową, brązowe włosy związała w kucyk. Okazuje się, że jednak posiada bluzkę bez ogromnego dekoltu, spodnie, które nie są nieprzyzwoicie obcisłe, i buty bez burdelowej szpili i bez, dzięki Bogu, złotej rybki unieruchomionej w dziesięciu centymetrach pleksi.

Brenda wyciera. Odkurza. Szoruje ścianę, aż jest tak gładka i lśniąca, jak w dniu przeprowadzki. Przez okno wpadają odgłosy mojej dzielnicy.

– Na stronie pisali Power Vinyasa, ale nawet się nie spociłam – dochodzi mnie pierwszy głos.

– Masz zasięg? – pyta drugi.

I wreszcie trzeci, najgłośniejszy:

– Sebastian! Brzydki pies!

Chłonę zapach wiosny w mieście: gorący tłuszcz z niedawno otwartej cukierni z domowymi pączkami, świeża trawa, błotniste kałuże i niuch psiego gówna, bez wątpienia niegrzecznego Sebastiana. Słyszę też płacz dziecka, uspokajające słowa matki oraz hałaśliwą grupkę młodzieży, zapewne w drodze na siłownię czy rundkę parkuru albo z nich powracającą. Ta dzielnica to obciach, myślę sobie. Mieszkam przy ulicy Banalnej, przy alei Przewidywalnej. A co gorsza sama jestem jednym wielkim banałem – czterdziestka na karku, brzuszek, którego nadal nie udało mi się zrzucić po ciąży, w formie trzęsącej się, sflaczałej oponki, zmarszczki, siwe odrosty i biust, który wygląda dobrze tylko odpowiednio podtrzymany. Mogliby zamieścić moje zdjęcie w Wikipedii. Podpis: „Porzucona Żona, Brooklyn 2014”.

Brenda bardzo delikatnie mnie podnosi i prowadzi do fotela w rogu sypialni – kupionego na pchlim targu, obicie w jasnożółty wzorek – w którym siadywałam, karmiąc moje dziewczynki, czytając książki i pisząc sprawozdania.

Spoglądam, jak zręcznie ściąga poszewki, jednym szybkim uderzeniem przez kolano strzepuje poduszki i odkłada je na miejsce. Pomieszczenie wypełnia się kurzem, miliony pyłków tańczą w smugach światła wpadającego przez zabrudzone szyby, które planowałam umyć.

Podkurczam nogi na fotelu i obejmuję je rękami, zwijając się w kulkę.

– Dlaczego to robisz?

Brenda patrzy na mnie życzliwie.

– Staram się być przydatna.

Wynosi z pokoju brudną pościel, wraca ze świeżą. Walczy z prześcieradłem z gumką, więc wstaję i jej pomagam. Potem ona idzie do łazienki i odkręca prysznic.

– Chodź – mówi.

Ściągam koszulkę i staję pod strumieniem wody, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Odchylam głowę, by poczuć ciepłe strugi na policzkach, brodzie, na powiekach. Łzy łączą się z wodą i spływają w dal. Jako mała dziewczynka wracałam ze szpitala ze sterylnymi plastrami na szwach, mama obmywała mnie gąbką, żeby ich nie zamoczyć, a potem sadzała mnie na brzegu wanny i myła mi włosy: zwilżała, wcierała szampon, spłukiwała, nakładała odżywkę i znów spłukiwała. Dotykała grubej przeplatanej różowej blizny biegnącej wzdłuż mostka, a potem delikatnie ją osuszała. „Moja piękna dziewczynka” – mówiła. „Piękna, najpiękniejsza dziewczynka na świecie”.

Pościel jest gładka i chłodna jak powierzchnia stawu, ale nie kładę się. Siadam oparta o wezglowie i zadaję pytanie, które tyle razy słyszałam od swoich podopiecznych.

– I co ja mam teraz zrobić?

Brenda uśmiecha się ze smutkiem.

– Zacząć od nowa – odpowiada. – Jak my wszyscy.

===a1prWWtdaFt0RXFicUI9Tn9Nf1AHbgt4RyZRMBBbOlc+AXIZeA===



Część I  
Serca pół

Rachel  
1985

Urodziłam się z zepsutym sercem. Z tego powodu wciąż okazywano mi współczucie, od przedszkola do szóstej klasy, kiedy ostatecznie doszłam do wniosku, że nie chcę być znana jako ta z wrodzoną wadą serca. I skończyłam o tym opowiadać. Miałam atreżję zastawki trójdzielnej, inaczej mówiąc, zastawka między prawą komorą i przedsionkiem była wadliwie zbudowana. Krew, która powinna przepływać swobodnie z serca do płuc, u mnie kapiała opornie po kropelce – jak leniwy uczeń, który zasnął i nie chce mu się pójść na przystanek. Nieciekawa sytuacja, jeśli ktoś chce, jak to się mówi, przeżyć.

Zdiagnozowano mnie trzydzieści sześć godzin po narodzinach, kiedy to wyświadczyłam medykom przysługę i zsiniałam do koloru śliwki. W miejscowym szpitalu nie bardzo umieli się w tym połapać, wiedzieli jedynie, że sami nie dadzą rady, więc przetransportowano mnie helikopterem do szpitala dziecięcego w Miami, gdzie przeprowadzono operację Blalocka-Taussig, by krew mogła płynąć bez przeszkód.

Przerażeni rodzice zabrali mnie do domu wraz z butlą tlenową i instrukcjami, co robić, gdybym znów zaczęła sinieć lub tracić oddech. Przez pierwszy rok spałam w przenośnym łóżeczku tuż przy łóżku rodziców, od strony mamy, z jej ręką na moim sercu. Na zdjęciach widać pływającą w zbyt obszernych śpioszkach pomarszczoną rodzynkę bez kawałka pulchnego ciała, za które można by złapać, jak u normalnych dzieci. „Niski przyrost wagi” – pisali lekarze w kartotece, a mama traktowała to jak piątkowa uczennica po raz pierwszy dostająca jedynkę, jakby to ona nie potrafiła mnie wykarmić, kiedy tak naprawdę to ja nie umiałam rosnać. Zanim się urodziłam, pracowała w bibliotece, tylko na pół etatu, bo na świecie był już mój brat, ale kochała tę pracę. Ze względu na moją chorobę zrezygnowała i postanowiła poświęcić się opiece nade mną.

– Dodawaliśmy ci do jedzenia oliwę – opowiadała, kiedy byłam nastolatką i zaczynałam kolejną dietę z cyklu „zrzucić trzy kilogramy w weekend”, czyli wyłącznie grejpfruty i ogórki.

Podawała mi ryż na mleku z masłem, smarowała nim chleb i krakersy, piłam mleczne shaki, podczas gdy moi rówieśnicy dostawali po prostu mleko. Mimo to minęły całe lata, zanim w końcu osiągnęłam wagę i wzrost mieszczące się na siatce centylowej właściwej dla mojego wieku, i również całe lata, zanim pozwolono mi spać we własnym pokoju, gdzie i tak co najmniej raz w tygodniu budziłam się, czując na sercu dłoń mamy i widząc nad sobą jej wykrzywioną strachem twarz, na której po chwili malowała się ulga, kiedy okazywało się, że wciąż jednak oddycham, a serce pracuje, czyli jednym słowem – żyję.

– Myśleliśmy, że cię stracimy – powtarzała bez końca.

I trudno ją winić. Oprócz przejścia tych wszystkich operacji, bardzo zresztą ryzykownych, w wieku sześciu lat zachorowałam na zapalenie opłucnej, co spowodowało, że mocno spadła mi saturacja. Pojechaliśmy do mojego kardiologa, ten natychmiast skierował nas do szpitala, gdzie od razu wykonano zabieg zwężający żyły, które stały się zbyt duże, bo chciały zwyczajnie pomóc organizmowi jakoś poradzić sobie z wadliwą zastawką. Następnego dnia zostałam wypisana, choć mama mówiła, że błagała lekarzy, bym mogła zostać dłużej, że ona nie przeżyje, jak znów zacznę sinieć. Do siódmego roku życia byłam hospitalizowana sześć razy – raz po zapaleniu opłucnej, raz z powodu zapalenia płuc, cztery razy na cewnikowanie serca, by lekarze mogli ocenić stan wszczepionego graftu.

Gdy miałam osiem lat, pojechałam znów do szpitala w Miami, tym razem na operację na otwartym sercu, która nosiła nazwę procedury hemi-Fontana i miała zastąpić mój graft. Trzymali mnie w szpitalu cały miesiąc. Mama strasznie się bała tej operacji, i tego, że znów otworzą mi klatkę piersiową i wystawią moje biedne serce na widok publiczny. Już trzy miesiące przed operacją co piątek wlokła mnie do synagogi i kiedy rabin pytał, czy ktoś potrzebuje Mi Szeberach, specjalnej modlitwy o uzdrowienie, szła ze mną pod bimeń, ołtarz przed Torą, żeby rabin mógł położyć dłonie na moich ramionach i się modlić. Nie powiedziałam mamie, że tak naprawdę nie mogłam się już doczekać tego szpitala. Kiedy będzie po wszystkim, może przestanie się wreszcie martwić, a ja będę mogła w piątek pooglądać telewizję.

Jedyna rzecz, jaką pamiętam z tej operacji, to pan doktor Bob, anestezjolog, który kazał mi liczyć od dziesięciu w dół.

– Dziesięć... dziewięć... osiem... – powiedziałam, a potem obudziłam się w sali pooperacyjnej. Mama siedziała przy łóżku i płakała.

Przez pierwszych kilka dni leżałam pod respiratorem. Mama trzymała mnie za rękę i nie chciała puścić, drugą ręką jedząc lunch składający się z kanapek i jabłka i wciąż do mnie mówiła. Tata przychodził po pracy, za każdym razem przynosił pluszaka – żółtą puszystą kacuzkę, misia albo różowego króliczka o jedwabnych, obciągniętych futerkiem uszkach. Zawsze wkładał mi go pod pachę i całował mnie w czoło.

– Nasza córka to wojowniczką – mówił do mamy, podając jej chusteczki i klepiąc po plecach. Potem siadał w rogu i czytał czasopisma, a mama mnie czesała, poprawiała szpitalną koszulę i płakała, kiedy myślała, że śpię.

– Moja mama numer jeden – mawiałam, a ona posyłała mi dzielny, drżący uśmiech. Całe dni, a nawet kilka nocy spędziłam na wymyślaniu właściwych słów, które by ją ukoiliły, a jednocześnie były prawdą. „Obiecuję, że nie umrę” wydawało się oczywiste... Ale nie byłam przekonana, czy mogę to obiecać, poza tym chyba nie chciałyby wiedzieć, że brałam pod uwagę śmierć. Została więc

„mama numer jeden”, co uwieczniłam też na kubku, który dałam jej na urodziny.

Koło ósmej wieczorem w końcu wychodzili. Mama pochylała nade mną bladą, piegowaną twarz, by mnie pocałować. Włosy, zazwyczaj wyprostowane i starannie ułożone, związywała wtedy w byle jaki kucyk. Tata wyprowadzał ją z sali, kładąc swoją silną dłoń między jej łopatki i delikatnie masując. Czasami opierała głowę na jego ramieniu. Czasami słyszałam, jak szeptał jej do ucha „kocham cię”.

Drugi tydzień po operacji nadal leżałam w łóżku, żywili mnie dojelitowo przez rurkę, a z serca wystawały mi różne sączki i dreny.

– Świetnie wyglądasz! – stwierdziła Alice, moja szpitalna przyjaciółka, zaglądając do mnie, mimo że nie powinna chyba opuszczać swojej sali. Kiedy przyjechałam do szpitala, na jej drzwiach był wielki napis: obowiązek zakładania maski i mycia rąk. Słyszałam też, jak pielęgniarki krzyczały na nią za wychodzenie.

Alice miała dwanaście lat, czyli chodziła do szóstej klasy, ale była tak niska, że niewiele różniłyśmy się wzrostem. Jako dziecko przeszła białaczkę i to wpłynęło na jej rozwój – już nigdy miała nie urosnąć, nawet jako dorosła.

– Oczywiście, o ile w ogóle dożyję do tego czasu – mawiała.

Przez jakiś czas lekarze sądzili, że jest wyleczona – przeżyła graniczne pięć lat bez nawrotu. Niestety, w wieku dziesięciu lat znów zachorowała. Zdążyła jednak zaznać sporo normalnego świata, więc opowiedziała mi o boisku, gdzie jeździła na rolkach, a gdzie rodzice nie pozwalali mi chodzić, i o filmach, na które wpuszczają tylko z dorosłymi, i co zadają do domu w szóstej klasie. Całowała się z dwoma chłopakami, gdy grali w butelkę na urodzinach koleżanki, i widziała *Flashdance*, na który moi rodzice powiedzieli „nie ma mowy”. Nie chcieli mi nawet kupić ścieżki dźwiękowej. Dopiero uprosiłam babcię, żeby podarowała mi kasetę jako prezent urodzinowy.

W trzecim tygodniu lekarze orzekli, że wszystko idzie dobrze i mogę jeść normalne jedzenie. Łzy mamy nie ciekły już potokami, tylko delikatnie kapały. Przestała związywać włosy gumką i ułożyła je w loki, a potem uczesała także mnie. Zrzuciła T-shirty i dżinsy, wracając do swojego zwykłego stroju – odprasowanych bawełnianych koszulowych bluzek i lnianych spodni z cieniutkim paskiem, mnie natomiast pozwolono zamienić szpitalną koszulę związaną z tyłu jedynie sznurkiem na normalną piżamę. Grałyśmy w boggle i warcaby, a kiedy wychodziła na korytarz, by przyciszonym głosem konferować z pielęgniarkami i lekarzami, pozwalała mi się malować swoimi kosmetykami.

Tata nadal przychodził wieczorem. Teraz przynosił rzeczy, które dałyby mi jakieś zajęcie – puzzle, walkmana z nowymi nagraniami, na przykład Wham!, Madonny czy Whitney Houston. Gdy rodziców nie było, zabierałam prezenty do Alice. Myłam ręce, zakładałam maseczkę i siedziałyśmy na jej łóżku, słuchając

muzyki, jedna słuchawka w jej uchu, druga w moim.

– Zdejmij to – mówiła, wskazując maseczkę. – Przecież i tak mi nie pomoże.  
Alice była w stanie terminalnym.

– To znaczy, że umrę – powiedziała mi pierwszego dnia, gdy wstałam z łóżka. Siedziałyśmy wtedy na kanapie w pokoju zabaw. Był wrzesień, piękny, słoneczny i ciepły dzień na Florydzie, patrzyłyśmy z okna na palmy, dochodził nas dźwięk koszenia trawnika. Obok przebiegł pięciolatek, którego przyjęto na przeszczep nerki – udawał strażaka. Dziewczynka z łysą głową czytała z mamą *Kota Prota*. – Nie mówią tego przy mnie. Ale ja wiem.

Byłam ciekawa, czy się boi, ale nie chciałam jej urazić.

– Czy to boli? – zapytałam więc tylko.

Wskazała na kroplówkę.

– Dają mi leki.

Skinęłam głową. Po ostatniej operacji miałam taki przycisk, którego mogłam użyć w razie bólu.

Alice spuściła wzrok i poprawiła chustę, żebym nie widziała jej twarzy.

– Myślę, że może potem, na końcu, będzie mocno bolało.

Po czym podniosła głowę, zarzucając na plecy jeden ze zwisających końców chusty.

– Elegancko?

– Bardzo.

Alice nosiła bandany lub chusty z frędzlami, wzorzyste, w pięknych kolorach turkus, różu i złota. Raz, gdy przechodziłam obok jej sali, siedziała na łóżku po turecku, a bandana leżała obok. Widziałam jej gołą głowę, pokrywał ją tylko delikatny jasny meszek, pod którym widoczne były liczne różowe blizny. Po tamtej rozmowie miałam straszny koszmar. Alice zmieniła się w kota i usiadła na mojej piersi, potem zatkała mi łapami nos, a kiedy otworzyłam usta, wdmuchnęła w nie swoją chorobę, tak żeby ona znów była zdrowa, a ja chora na raka. „Będzie strasznie bolało” – syknął kot-Alice. Obudziłam się cała mokra. Serce tak mi biło, że aż się przestraszyłam.

– Czy Alice wyzdrowieje? – zapytałam Sandrę, moją ulubioną pielęgniarkę. Jej ruchy były pewne i jednocześnie delikatne, kiedy wbijała igłę czy zakładała wenflon. „Podano lunch, jaśnie pani!” – wołała zawsze, stawiając tacę z jedzeniem, i podnosiła pokrywki, jakby pod spodem kryły się superfrykasy, nawet gdy przyjmowałam jedynie płyny i galaretki. Na sąsiednim łóżku, kiedy stało puste, urządziła zabawną wystawkę z moich licznych pluszaków, z króliczkiem i jego wielkimi uszami panoszącymi się na poduszce oraz małpką zwisającą na ogonie ze stojaka z kroplówką.

Sandra pokręciła głową, jakby wytrząsała wodę z uszu.

– Nie wolno nam udzielać informacji o innych pacjentach.

Potem się uśmiechnęła, dając do zrozumienia, że nie chce sprawić mi przykrości. Mówiła z uroczym akcentem, bo jej rodzice pochodzili z Kuby, więc najpierw uczyła się hiszpańskiego. Miała ciemne, lśniące włosy, wesołe brązowe oczy i używała słodkich, kwiatowych perfum. Zawsze gdy znajdowała się w pobliżu, mocno wdychałam powietrze, starając się zatrzymać ten zapach w nosie i zagłuszyć smrodek szpitala, tych wszystkich płynów do mycia podłóg, rosołków i moczu.

– Mam nadzieję, że wyzdrowieje. Jest moją przyjaciółką.

Sandra nie odpowiedziała, ale zacisnęła usta i gwałtownie odwróciła głowę, aż podskoczył jej kucyk. Tak oto, uczyłam się z obserwacji, dorośli mówili prawdę: nie słowami, ale całym swoim zachowaniem. Następnego wieczoru, po kolacji, kiedy przemierzałam korytarz tam i z powrotem, czyli wykonując jedyne dozwolone mi ćwiczenie fizyczne, widziałam, jak pani w spódnicy i butach na obcasach, nie w fartuchu lekarskim i chodakach, rozmawia cicho przed drzwiami sali Alice z jej rodzicami. Nie zauważyłam nazwiska na plakietce, ale przeczytałam: hospicjum. Nie znałam takiego słowa, może coś źle zapisali. Mama Alice była blada, nic nie mówiła, ale tata płakał, strasznie szlochał, aż drżały mu ramiona. Chował twarz w dłoniach. Szybko stamtąd odeszłam, ciągnąc za sobą stelaż z kroplówką. Przyzwyczaiałam się już do płaczących mam – a przynajmniej do mojej – ale widok płaczącego taty mnie przestraszył. Mój tata był duży i silny. Nie potrafiłam wyobrazić sobie, że płacze, i nie wiem, co bym zrobiła, gdyby tak się stało.

W czwartym tygodniu czułam się już dość dobrze, ale Alice prawie cały czas spała. Szpital zaczynał mnie nużyć, coraz bardziej powszedniał. Mama przychodziła co rano, z ożywieniem poprawiając koce i książki, jak również pluszaki i przyklepione do ściany kartki z życzeniami powrotu do zdrowia. Siadała na łóżku i oglądałyśmy teleturniej *Dobra cena*. Same obstawiałyśmy i śledziłyśmy, kto zwycięża. Kiedy o wpół do szóstej podawano kolację, mama obserwowała uważnie każdą łyżkę zupy i każdy kęs krakersa, które brałam do ust, a jeśli coś mi nie smakowało, natychmiast wyciągała z torby kanapki z dżemem, pozasezonowe czereśnie i chipsy („Tylko ani słowa tacie” – szeptała, podając mi paczkę). W piątki zaciągała do szpitala mojego brata, a potem razem szli do synagogi na nabożeństwo szabatowe, tym razem by modlić się o mój powrót do zdrowia. W swoich wyjściowych spodniach i koszuli, z jarmułką w kieszeni i czystymi paznokciami, które mama skrupulatnie sprawdzała, Jonah stawał w drzwiach i kiedy tylko nie patrzyła, mamrotał do mnie „zepsuta smarkula”. Nie przeszkadzało mi to, przynajmniej on traktował mnie jak normalną młodszą siostrę.

Po kolacji znów oglądałyśmy telewizję i mama mi czytała. Dostałam wielką księgę bajek braci Grimm – ale nie wersje disnejowskie, tylko te oryginalne, w których okrutne siostry przyrodnie Kopciuszka odcinały sobie pięty, żeby

zmieścić stopy w szklanym pantofelku, a na obrazkach była krew.

– Jesteś pewna, że nie będziesz miała po tym koszmarów? – dopytywała mama, a ja kręciłam głową, nie wspominając jej o śnie z Alice i nie zadając żadnych z pytań, które mnie nurtowały. Zmartwiłabym ją, zagadując o śmierć dziecka, nawet jeśli to dziecko nie było jej.

W końcu z głośnika rozlegał się głos informujący, że nadszedł koniec odwiedzin. Mama wstawiała i rozciągała się, kładąc dłonie za głową i przekręcając tułów w prawo i w lewo, jej kręgosłup wydawał wtedy specyficzne, strzelające dźwięki. Poprawiała bluzkę, wyciągała puderniczkę z lusterkiem, by podmalować szminką usta i sprawdzić, czy ma czyste zęby.

– Bądź grzeczna – dodawała na odchodnym. Rozlegał się stukot jej obcasów i już po chwili w pokoju pozostawał jedynie słodki zapach Giorgio.

Wtedy szłam do Alice. Czowała się nie najgorzej.

– Sarah upiekła ciasteczka – informowała, wskazując na pozostawioną przez mamę puszkę. – Mike przyniósł książki z biblioteki – mówiła o tacie.

Zwracała się do rodziców po imieniu, co uważałam za bardzo dorosłe. Alice uczyła mnie wykonywania różnych figur ze sznurka na dwie i cztery ręce. Albo wywoływałyśmy duchy, bo jakimś cudem namówiła rodziców, żeby przynieśli jej planszę Ouija.

– Czy wyjdę kiedyś za męża? – zadawała pytanie Alice, a ja poruszałam planszą w taki sposób, by odpowiedź brzmiała „tak”. Alice kręciła głową i mówiła, że tak nie wolno.

O ósmej przychodziła nocna zmiana. Gdyby Alice była w stanie, razem siedziałybyśmy cichutko na kanapie przy recepcji, obserwując, jak pielęgniarki kończą wypełniać papiery, zabierają swoje torebki i pojemniki na lunch. Czasami biegly do łazienki, by się przebrać, zrzucić skórę pielęgniarki i przeobrazić w normalne panie. Raz widziałyśmy Sandrę w obcisłej czarnej sukience i szpilkach. Miała czerwone usta i oczy jak głębokie jeziora.

– Randka, co? – zagadnęła ją inna pielęgniarka, a Sandra uśmiechnęła się lekko i zadowolona, z małą złotą torebką pod pachą, poszła w stronę windy.

Podczas tego zamieszania – dzienna zmiana wychodzi, nocna zaczyna pracę, pojawiają się nowi lekarze na obchodzie – najłatwiej było się wymknąć do windy i stanąć na tyle blisko pielęgniarki, żeby ludzie pomyśleli, że jadę z nią na inne piętro, i na tyle blisko innej dorosłej osoby, by pielęgniarka uznała, że jestem pod opieką rodzica. Alice nie dałaby rady iść, więc ja byłam jej emisariuszem, szpiegiem wysłanym w świat.

– Wróć i opowiedz mi jakąś historię – prosiła Alice, a ja przeważnie tak właśnie robiłam.

Jechałam na parter, znajdowałam wózek dla dziecka, przekładałam kroplówkę na haczyk i jeździłam po korytarzach, powoli, tak jak uczyli lekarze.

Czasami zaglądałam przez otwarte drzwi, żeby zobaczyć, co dzieje się w środku: starszy człowiek śpi z podoczepianymi rurkami i wygląda, jakby zaatakowała go ośmiornica, albo dwie kobiety szepczą do siebie, stojąc przy łóżku, czy też dwoje stażystów całuje się, wykorzystując wolną chwilowo salę.

Pewnego razu, to była środa, stanęłam przed drzwiami Alice, ale okazały się zamknięte. Słyszałam głosy. Zastanawiałam się, czy jej rodzice są jeszcze w środku, mimo że godziny odwiedzin minęły. W miejsce tabliczki z napisem o maseczce i myciu rąk pojawiła się nowa – skrót DNR i jakieś długie słowo, którego nie potrafiłam odczytać, a pod nim mnóstwo drobnego druku. Nie widziałam nigdzie Sandry, więc zatrzymałam pierwszą pielęgniarkę, która nadeszła – szczupłą kobietę o krótkich siwych włosach i pomarszczonej twarzy.

– Przepraszam, co tutaj jest napisane? – zapytałam, wskazując to długie słowo. Jej zmarszczki się pogłębiły.

– Dlaczego chodzisz po korytarzu? Czas już do łóżka.

W ostrym szpitalnym świetle zauważyłam trzy siwe włosy sterczące z jej brody. Oto szczegół, który spodobałby się Alice.

Pielęgniarka wskazała ręką w głąb korytarza.

– Proszę natychmiast do łóżka. Chyba nie chcesz przeszkadzać lekarzom w pracy, prawda?

– Nie, ale ja tylko...

Pochyliła się. Dostrzegłam kolejny włos, w samym środku policzka. Ciekawe, czy ona nie ma w domu lusterka? Ani nikogo, kto by jej o tym powiedział?

– Kochanie, tutaj leżą chore dzieci i jeśli lekarz lub pielęgniarka będą musieli szybko do nich wejść, to nie chciałabyś chyba plątać się im pod nogami?

Wtedy potrafiłam już rozróżnić, kiedy da się coś załatwić, a kiedy sprawa jest beznadziejna.

– Dobranoc – powiedziałam ze słodkim uśmiechem.

Już u siebie postanowiłam zjechać na parter i poobserwować, może zdarzy się coś, co zainteresuje Alice, gdy jej rodzice pójdą w końcu do domu. Wybrałam pudełko herbatników w czekoladzie, które mama przysłała w ostatnim prezentowym koszu dla pielęgniarek, opakowałam je w serwetki, wzięłam też różowo-fioletowy szal, który zrobiła dla mnie babcia. Uzbrojona w ciepłe okrycie, zapasy jedzenia i nowego misia wystawiłam głowę za drzwi i sprawdziłam korytarz, a ponieważ nikogo tam nie było, zjechałam windą do izby przyjąć.

Pusty wózek inwalidzki znalazłam tuż przy drzwiach, poczekałam, aż recepcjonistka zajmie się telefonem, i pojechałam do poczekalni. W telewizji puszczali *Dallas*, na izbie było raczej spokojnie. Nastoletni chłopiec wpatrywał się w swoją prawą rękę, owiniętą gazą, a pani, która wyglądała na jego mamę, siedziała obok i czytała „Good Housekeeping”. W kolejnym rzędzie krzesel starszy



pan ciężko oddychał, był w koszuli i zniszczonym brązowym kapeluszu. Od czasu do czasu robił szybki wdech i łapał się za brzuch.

– Boże, jak to boli! – szeptał.

– Monty, to na pewno tylko zgaga – powtarzała jego żona, która mimo włożonego swetra dygotała z powodu klimatyzacji.

Naprzeciwko nich młodzi rodzice siedzieli z małą dziewczynką.

– Skąd przyszło ci do głowy wkładać do nosa bucik Barbie? – pytał ojciec.

Skubnęłam herbatnik, mając nadzieję na coś ciekawego. Poprzedniej nocy zdarzył się wypadek samochodowy i widziałam pędzących sanitariuszy pchających na izbę składane łóżka szpitalne. Wykrzykiwali swoje kody i domagali się jednostek krwi, jak w telewizji, z tą różnicą, że jeden z nich był stary i gruby, a cała akcja trwała dziesięć sekund.

W końcu otworzyły się drzwi automatyczne i wszedł chłopiec mniej więcej w moim wieku, a za nim kobieta w spódnicy i niebieskim żakiecie. Był wysoki, miał ciemniejszą ode mnie skórę i gęste kręcone włosy spadające aż na kołnierzyk. Przydałoby się strzyżenie. Twarz miał ściągniętą bólem, prawą rękę, złożoną na klatce piersiowej, przytrzymywał lewą. Razem z kobietą podeszli do kontuaru.

– Osiem lat – podśluchałam, jak kobieta zwraca się do rejestratorki.– Trzymaj się – powiedziała potem do chłopca i wyszła. Rejestratorka wskazała puste krzesła.

– Usiądź, proszę, i poczekaj.

Przyjrzałam mu się. Chude nogi i dołek w podbródku, pełne usta, kąciaki oczu lekko uniesione.

Podjechałam bliżej.

– Cześć – zagadnęłam.

Przez chwilę milczał. Miał wielkie, rozszerzone strachem oczy, a dolną wargę zagryzał tak mocno, że widziałam kropelki krwi. Jedna noga mu drżała, jakby ze zdenerwowania, albo chciało mu się siku. W końcu spojrzał na mnie z ukosa.

– No co?

– Co ci się stało?

– Zrobiłem sobie coś z ręką – wymamrotał, spoglądając w dół, jakby sprawdzał, czy wciąż tam jest. Miał najdłuższe rzęsy, jakie widziałam u chłopaka, gęste i podkręcone na końcach.

– A jak?

Milczał ze spuszczoną głową.

– Upadłem – rzekł w końcu.

– Gdzie?

– Spadłem z balkonu.

– Z balkonu? – Skrzywiłam się, wyobrażając sobie ten upadek. – Z którego

piętra?

– Tylko z parteru. – Mówił tak cicho, że ledwie go słyszałam. – Chodziłem po balustradzie.

– A po co?

– Ćwiczyłem cyrkowe sztuczki.

Wstał, zasyczał z bólu, gdy poruszył ręką, i podszedł do rejestratorki. Zapytał o coś, ona pokręciła głową. Wycofał się, rozejrzał wkoło i wybrał miejsce jak najdalej ode mnie. Usiadł na nim zgarbiony i spuścił głowę. Noga zaczęła mu nerwowo podskakiwać.

Wzruszyłam w duchu ramionami i powróciłam do rodziny Ewing, mając nadzieję na lepszą historię niż chłopiec ze złamaną ręką, który nie chce ze mną gadać.

– Andrew? – zawołała po chwili rejestratorka.

Chłopiec podniósł głowę.

– Przychodzi ci na myśl jakieś inne miejsce, gdzie mogłaby być twoja mama? Nie możemy jej znaleźć w hotelu.

Andrew pokręcił głową i dalej wpatrywał się w podłogę, a ja nie przestałam wpatrywać się w niego. Trudno uwierzyć, że dziecko w moim wieku może być w szpitalu całkiem samo.

Podjechałam do niego. Rzucił mi zmęczone spojrzenie, ale nie kazał spadać.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytał niespodziewanie.

– Mam wrodzoną wadę serca i musieli mi włożyć specjalną rurkę, żeby krew płynęła jak należy.

– A dlaczego jeździsz na wózku? Nie potrafisz chodzić?

– Potrafię – przyznałam, zniżając głos. – Ale nudzi mi się tam u góry, a jak jeżdżę na wózku, nikt się nie czepia, że jestem tutaj. Przyjechałeś karetką?

Liczyłam, że tak i że wszystko mi opowie. Mnie tylko raz wieźli w ten sposób, ale miałam sześć lat i niewiele pamiętałam. Andrew jednak pokręcił głową i zamilkł. Zastanawiałam się nad kolejnym pytaniem, takim, na które nie da się odpowiedzieć skinieniem ani zwykłym „nie”.

– Gdzie są twoi rodzice?

– Mam tylko mamę i nie wiem, gdzie teraz jest. – Głos mu się załamał, ale po chwili słowa zaczęły płynąć całym potokiem. – Wylosowali ją w radiu i dlatego tu jesteśmy, mamy zaproszenie na premierę filmu i spotkamy gwiazdy. Powiedziała, że idzie na imprezę przy basenie, na jednego drinka, i wróci przed dziewiątą, a potem była dziewiąta i nie wróciła, więc wspiałem się na ten balkon, żeby ją zobaczyć, i poślizgnąłem się...

Głos uwiązał mu w gardle, odwrócił głowę, wyraźnie wściekły, zdrową ręką ocierając oczy, najpierw jedno, później drugie, tak mocno, że musiało go zapiec.

– Idź sobie – powiedział takim tonem, jakby nadal płakał. – Zostaw mnie.

Ja jednak nie odeszłam. Wyjrzałam za okno, ale zobaczyłam tylko ciemność, żadnych błyskających karetek na sygnale ani zakrwawionych ludzi, jak ten człowiek sprzed dwóch dni, który przeciął sobie rękę przy krojeniu bajgla. Alice długo się śmiała, gdy jej o tym opowiadałam, i uznałyśmy, że „bajgiel” to takie śmieszne słowo.

– Jestem Rachel Blum – przedstawiłam się. – Pisze się przez „u”, nie przez dwa „o”, bo ludzie często się mylą. – Kiedy milczał, dodałam: – Ja też mam osiem lat.

– Ja niedługo kończę dziewięć, za dwa tygodnie.

– A skąd jesteś?

– Z Filadelfii – odparł, po czym umilkł na chwilę. – Pielęgniarka powiedziała, że muszą mi prześwietlić rękę.

– To nie boli – uspokoila go.

– Wiem – odrzekł i znów odwrócił wzrok. Dostrzegłam na jego ręce gęsią skórę, był w koszulce z krótkim rękawem.

– Mogę ci pożyczyć mój szal, babcia mi go zrobiła, na drutach. – I zanim odpowiedział, rozejrzałam się szybko wkoło, zeszałam z wózka i okryłam mu nogi.

– Dzięki.

– Jesteś głodny? – Podałam mu małego pączka, a on ugryzł trochę, chyba z grzeczności. Zaczynało mi brakować tematów, więc wyciągnęłam misia.

– Cześć, Andrew – odezwałam się głupim głosikiem, którym udawałam moje pluszaki, gdy byłam mała. Czasem robiłam to też, kiedy w pokoju zabaw były małe dzieci, żeby je rozweselić. Udawałam misie, sowy i króliczki, które się spotykały, szły razem do szkoły albo wszczynały bójki.

Nie uśmiechnął się, lecz zapytał:

– Jak ma na imię?

Uznałam, że to dziewczynka, i nazwałam ją Penelopa, ale nie powiedziałam mu tego.

– Jeszcze nie ma imienia.

Andrew przyjrzał się misiówi i przyczepionej etykietce.

– Napisali, że Darwin.

– No tak, ale wcale nie musimy się tego trzymać. Jak chcesz, możesz go sobie wziąć.

– Naprawdę?

– Mam mnóstwo pluszaków. Tata codziennie przynosi nowego. Chyba sprzedają je w tutejszym sklepiku, bo wszyscy tatusiowie je przynoszą. Mama mówi, że to bardzo wygodne.

Andrew znów spuścił głowę.

– Mój tata nie żyje.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Przez kilka minut siedzieliśmy

w milczeniu. Akurat skończyło się *Dallas* i zaczęły wiadomości o dwudziestej trzeciej – reporter w czapce mówił o nierozwiązanej sprawie morderstwa w Little Havana, od czasu do czasu wydając pomruki.

Chłopiec spojrzał na moją bliznę pooperacyjną widoczną w dekolcie piżamy.

– Czy to boli?

– Bolało na początku, i to bardzo.

Za każdym razem, gdy chciałam kaszlnąć albo się poruszyć, przeszywał mnie ból, jakby coś wielkiego z ostrymi zębami próbowało się wgryźć w moje ciało. Wolałam sobie tego nie przypominać ani nie myśleć, co będzie, jeśli okaże się konieczna kolejna operacja.

– Ale teraz jest już okej – dodałam. – Najgorsze, że rodzice się martwią. Mama wciąż płacze, kiedy myśli, że śpię. Boi się, że umrę. Tata za to przynosi prezenty i prawie w ogóle ze mną nie rozmawia.

Dotknęłam blizny, czując pod palcami plaster, a pod nim nierówności szwów.

– W szkole uważają mnie za dziwaczkę, bo ciągle muszę zostawać w domu albo idę do szpitala, a kiedy wracam, nauczyciele robią z tego wielką aferę i wszyscy się na mnie gapią jak na...

Nie byłam pewna, czy w ogóle mnie słucha.

– Jak na co?

– Jak na zepsutą zabawkę czy rower z dętkami bez powietrza. Nikt nie chce się ze mną bawić na przerwie. Lunch jemy przy swoich stolikach, więc nie jestem sama, ale jak grają w piłkę, w ratowanie księżniczki i w ogóle, to nikt mnie nie chce.

Nie powiedziałam mu najgorszego, że czasami ja sama też czuję się, jakbym była zepsuta, i być może nigdy się nie naprawię. Będę tylko przychodziła do szpitala raz po raz, aż w końcu powiedzą, że nic już nie mogą zrobić, i wtedy umrę.

– Gry tylko dla wybranych, co? – skomentował Andrew, przyglądając się misiowi. – Możemy go nazwać Rudolf – zaproponował, podnosząc wzrok. – Wiesz, ja właściwie też nie mam przyjaciół. – Wyprostował się i skrzywił, gdy znów poruszył niechcący ręką. – Mój tata był czarny, a mama biała, więc czarne dzieciaki uważają, że zadzieram nosa, a białe bawią się tylko ze sobą.

Znów nie wiedziałam, co odpowiedzieć. U nas w szkole było dwoje czarnych dzieci, ale nie w mojej klasie. Chciałam go zapewnić, że nie wygląda jak czarny, ale pomyślałam, że to może niegrzeczne.

– Moja mama mówi, że żeby mieć przyjaciela, trzeba samemu być przyjacielem.

Kiedy ona to mówiła, brzmiało bardzo mądrze, ale w moich ustach wydawało się jakieś głupie. Zresztą niewiele mi pomogło. Próbowałam być przyjacielem i niestety jakoś mi nie wychodziło.

– A moja mama mówi, że musimy się trzymać razem. Że jesteśmy sami przeciwko światu.

Podciągnął wyżej mój szal, usiłując zrobić to jedną ręką.

– A co to za premiera, na którą przyjechaliście?

Wymienił tytuł ze słowem „krew” i od razu rozpoznałam film dla dorosłych. Noga znów zaczęła mu podskakiwać, coraz szybciej.

– Najfajniej było, jak poszliśmy z mamą na plażę, nigdy wcześniej nie pływałem w oceanie.

Sama miałam plażę tuż obok domu, byłam tam niezliczoną ilość razy, ale nigdy nie pływałam. Wolno mi było tylko spacerować i zanurzyć stopy, mama chodziła za mną w kapeluszu z szerokim rondem i śledziła każdy mój ruch. Wodziła wzrokiem ode mnie do wody, jakby fala mogła mnie nagle zaatakować i porwać. Opowiadała o zdradliwych prądach, które porywają nawet doświadczonych pływaków... ale jeszcze zanim dowiedziałam się o tym zjawisku, i tak bałam się oceanu, tego, jaki jest nieskończony, jak rozciąga się dalej, niż sięga wzrok, i tej głębi, którą trudno sobie nawet wyobrazić. Wołałam baseny – wszystkie domy w okolicy je miały – prostokąty lub owale pełne czystej, chlorowanej wody. Żadnych wodorostów, fal ani prądów, które mogą zanieść człowieka aż na Kubę, żadnych dziwnych rzeczy czających się w głębinach.

– Podobało ci się?

Andy przytaknął. Miał śliczne usta, pełne i różowe, jakby jakiś artysta poświęcił bardzo dużo czasu, by je namalować. Pomyślałam, że jest fajniejszy niż Bryan Adams, którego Alice uważała za najfajniejszego faceta na świecie.

– Było super. Najpierw woda wydawała się zimna, no i te wodorosty, to mi się nie podobało.

Ze zrozumieniem pokiwałam głową.

– Ale w końcu rzuciłem się na fale, a potem odwróciłem na plecy i ocean mnie unosił.

Niemal się uśmiechał, a ja wyobraziłam sobie jego szczupłe ciało unoszone przez wodę, włosy falujące na jej powierzchni i twarz zwróconą do słońca.

– Czuję się jak na rollercoasterze, chciałbym tam zostać na zawsze, ale mama się spaliła na słońcu i trzeba było wracać.

Westchnął, cały drżąc, i wyżej podciągnął szal.

– Na pewno niedługo przyjdzie – zapewniłam go. I dodałam, zmieniając temat: – Opowiedzieć ci coś?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli chcesz.

– Coś bardziej dla dzieci czy żeby się bać?

Spojrzałam na swoją różową piżamkę z Kubusiem Puchatkiem i pożałowałam, że nie włożyłam szlafroka.

– Nie dla dzieci.

Zastanawiałam się chwilę, przeglądając w głowie dostępne opowiadki, a potem zaczęłam grubym, strasznym głosem.

– Dawno, dawno temu był sobie drwal, który mieszkał z żoną i dwojgiem dzieci. Żyli w małej chatce w najgłębszej, najciemniejszej części lasu, gdzie słońce świeciło tylko przez godzinę w ciągu dnia. I chociaż drwal pracował ciężko od rana do nocy, nie potrafił zarobić tyle pieniędzy, by wyżywić swoją rodzinę, tak więc wszyscy głodowali.

– Jaś i Małgosia – odgadł Andy, ale nie powiedział, bym przestała opowiadać. Kiedy mówiłam, że żona drwała schudła tak bardzo, że spadła jej obrączka, przysunął się do mnie, a gdy doszłam do części, w której zostały im tylko jeden ziemniak i jedna marchewka na cały dzień, przerwał mi. – Poczekaj.

– Co?

– Nie mogli upolować jakiegoś ptaka albo królika?

Zastanowiłam się.

– Ptaki i króliki też głodowały, więc przeniosły się w rejony, gdzie jest więcej jedzenia – wyjaśniłam normalnym głosem, po czym znów go pogrubiałam. – W całym kraju panował wielki głód z powodu szarańczy – dodałam, przypominając sobie jedną z przypowieści przerabianych w szkółce hebrajskiej.

– Co to jest szarańcza?

– To takie cykady, tylko zjadają wszystko, co napotkają na drodze.

Andy pokiwał głową usatysfakcjonowany, więc opowiadałam dalej, jak to drwal i jego żona, zrozpaczeni, zdecydowali się zostawić dzieci w lesie. I w tym momencie zreflektowałam się, że może mój wybór nie był jednak właściwy – dzieci pozostawione w lesie bardzo przypominały opuszczone dziecko w izbie przyjęć. Ale na zmiany było już za późno.

– No więc dzieci zostały w lesie same, ale na szczęście Małgosia miała w kieszeni okruszki.

– Wiesz, nad czym się zawsze zastanawiałem? – powiedział Andy. – Skoro byli głodni, dlaczego właściwie nie zjedli okruszków?

Nigdy o tym nie pomyślałam. Przyszło mi do głowy, że może Andy wie, jak to jest głodować, naprawdę głodować, a nie po prostu być głodnym, bo od lunchu minęły trzy godziny i po przyjściu do domu człowiek miał ochotę na kolejną przekąskę.

– Okruszki były tak twarde, że złamałoby sobie na nich zęby. Poza tym były spleśniałe. Całe w zielonej pleśni!

Kiedy się uśmiechnął, w kącikach oczu pojawiły się małe zmarszczki.

– Gdyby były zielone, nie dostrzegliby ich na ziemi w lesie.

Jęknęłam zrezygnowana.

– No wiesz co! – zawołałam, tak jak tata, gdy Jonah kazał mu stawać na siku

dziesięć minut po wjeździe na autostradę.

– Może las pokryty był suchymi sosnowymi igłami, które są brązowe, więc zielone okruszki były na nich bardzo dobrze widoczne.

– O!

Kiedy rozsunęły się drzwi automatyczne, oboje spojrzeliśmy w tamtym kierunku, ale weszła jedynie siwowłosa kobieta, która natychmiast podeszła do młodej pary z dzieckiem i zaczęła szybko mówić po hiszpańsku. Kilka razy wyłapałam słowo „Barbie”.

– I co dalej?

Opisałam, jak Jaś i Małgosia szli przez las. Jak zasnęli pod drzewem, wokół rozlegały się przerażające pomruki i skrzeczenia, odbijające się echem pośród nocy. Suche igliwie służyło im za posłanie, a liście za okrycie. I o tym, jak złapali jedną małą rybkę i upiekli ją nad ogniem, który rozpalili, pocierając kamieniem o znaleziony w rzece krzemień.

– Scott Lindsey? – zawołała pielęgniarka.

Wstał nastolatek i wolnym krokiem przeszedł przez drzwi. Adidasy miał tak wielkie, że wydawały się za duże. Matka szła za nim, wciąż trzymając w ręce czasopismo.

– Cholera jasna – odezwał się utyskujący starszy mężczyzna.

– Przepraszam was, dzieci – zwróciła się do nas jego żona.

Spojrzeliśmy na siebie i zachichotaliśmy.

– Cholera. – Andy szeptem naśladował mężczyznę.

– Przepraszam was, dzieci – dodałam ja.

Znów się roześmialiśmy.

– Opowiadaj dalej – ponaglił mnie Andy.

– Jaś i Małgosia szli coraz głębiej w las, próbując odnaleźć swój dom... Jednak zamiast niego spotkali na swojej drodze okropną wiedźmę. Czarne kręcone włosy zwisały jej w strąkach, a na brodzie czerwieniła się wielka brodawka.

W mojej wersji wiedźma wyglądała jak pani Bonitatibus, nauczycielka muzyki, która za każdym razem, gdy wracałam ze szpitala, witała mnie słowami: „Jesteśmy zaszczytzeni, że możesz tu z nami być”.

– Wiedźma powiedziała do Jasia i Małgosi: „Chodźcie! Pokażę wam coś, czego nigdy jeszcze nie widzieliście!”. I poprowadziła ich przez las do chatki zrobionej w całości ze słodyczy.

Opisałam ściany z piernika, kominek wypełniony miętówkami i dach z kolorowych dropsów w roli dachówek: blad różowych, zielonkawych i pomarańczowych.

– Były tam jakieś pączki? – zapytał Andy, unosząc resztkę tego, którym go wcześniej poczęstowałam.

– Klamki były z pączków, natomiast podłogi z mlecznej czekolady, a...

W tym momencie szybkim krokiem weszła do sali kobieta. Zatrzymała się i zlustrowała wzrokiem wszystkich obecnych, aż zauważyła Andy'ego. Jej skóra, spalona słońcem na niepokojąco różowy odcień, była rzeczywiście jaśniejsza niż skóra syna. Płatanina blond włosów, czarne botki na obcasach, dżinsy i czarny top z głębokim dekoltem. Na jednej ręce od nadgarstka do łokcia miała gumowe czarne bransoletki. („Wyglądają tanio” – zawyrokowała mama, gdy ją o takie prosiłam). Podeszła do nas, a ja poczułam słodkavo-ostry zapach alkoholu. W ogóle nie przypominała mojej mamy ani żadnej mamy, którą znałam. Mamy z mojego świata nie nosiły na głowie mopów, nie miały też długich paznokci z błyszczącym lakierem, ani czterech kolczyków w uchu. Próbowałam wyobrazić sobie mamę bez jej odprasowanej bawełnianej bluzki, lnianych spodni i bliźniaka, za to na wysokich obcasach i w koszulce wyciętej tak, że byłoby widać prawie całe piersi.

– Co się stało? – zapytała, pochylając się, by spojrzeć wprost w oczy Andy'ego.

Andy wymamrotał to, co wcześniej opowiedział mnie: że czekał, ale ona nie wracała, więc wszedł na balustradę, żeby zobaczyć ją przy basenie, i spadł. Dotknęła raz jego ręki. Potem opuściła kolorowe powieki i stała tak przez chwilę.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Kto cię znalazł?

– Pani z hotelu.

Matka westchnęła, wyprostowała się – na obcasach wydawała się rzeczywiście wysoka – i zawołała tak głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli.

– Halo? Czy ktoś tutaj zamierza nam pomóc?

– Przepraszam – powiedział Andy. Ja usłyszałam, jego mama nie.

Otworzyły się drzwi windy i do poczekalni weszła Sandra. Jej kucyk był przesunięty, kilka kosmyków wymknęło się spod gumki, wyglądała na bardzo zmęczoną. Gdy mnie zobaczyła, natychmiast podeszła.

– Założę się, że znów ubezpieczenie nie pokrywa kosztów – mówiła tymczasem mama Andy'ego, nie zwracając się do nikogo konkretnego, ale szukając wzrokiem ofiary, na którą mogłaby napaść. Śmiesznie wymawiała niektóre słowa, przeciągając głoski.

– Rachel, natychmiast wracaj na górę – powiedziała Sandra.

Mama Andy'ego obrzuciła mnie wzrokiem – moją dziecinną piżamę, wózek inwalidzki, kroplówkę i identyfikator szpitalny. Spojrzała też na jęczącego staruszka i jego żonę oraz rodzinę z małą dziewczynką. Wszyscy się jej przyglądali, ale ona zdawała się tego nie zauważać.

– Jak długo mój syn już tu czeka? – zwróciła się do Sandry. – I dlaczego nikt się nim nie zajmuje? Gdzie właściwie jest lekarz? – Cały czas dziwnie zaciągała, wykrzykując coraz głośniejsze. Wydawało się, że z każdym pytaniem staje się większa, wyższa, napompowana gniewem. – Jak można było zostawić tu małego chłopca zupełnie bez opieki?



Żona staruszka się odwróciła.

– A gdzie ty byłaś? – zapytała, niezbyt głośno, i mama Andy’ego albo nie usłyszała, albo udała, że nie słyszy. Rejestratorka wyszła zza biurka.

– Proszę pani, nie możemy zająć się pani synem ani żadnym innym niepełnoletnim pacjentem bez zgody rodziców. A nikt nie był w stanie pani znaleźć. Nikt w hotelu nie wiedział, gdzie pani przebywa...

– Aha, więc to wszystko moja wina? – Podeszła tak blisko rejestratorce, że ich stopy niemal się stykały. – Mój syn doznał urazu, wy każecie mu siedzieć tu godzinami, ale to moja wina, co?

Kiedy tak krzyczała, z rękami na biodrach i trzęsącym się biustem, Andy kulił się na swoim krześle. Wzięłam go za rękę, a on mocno ścisnął moją dłoń. Puścił dopiero wtedy, gdy do poczekalni wszedł lekarz. Miał przekrzywiony krawat, a na policzkach wyraźny, świeży zarost.

– O co chodzi? – zapytał.

– Chodzi o to – oznajmiła mama Andy’ego – że mój syn siedzi tutaj całymi godzinami i nikt z tak zwanych profesjonalistów się nim dotąd nie zajął.

– Matka roku, pomyślałby kto – odezwała się znów żona pojękującego staruszka. Tym razem mama Andy’ego nie mogła udać, że nie słyszy. Gwałtownie odwróciła głowę, a jej twarz jeszcze bardziej poróżowiała.

– Przepraszam, ale czy ktoś pytał panią o zdanie?

– A gdzie ty się dotąd podziewałaś, kochana? – ponowiła pytanie kobieta. – Biedne dziecko siedzi tu już ponad godzinę. – I z niesmakiem potrząsnęła głową.

– Bardzo panie proszę – wtrąciła Sandra, a lekarz wyciągnął do mamy Andy’ego rękę i ukłonił się głęboko, gdy ją ujęła.

– Nazywam się Diallou – przedstawił się. Był okrąg-ły, przypominał trochę pingwina, miał ciemną skórę i kępkę włosów nad każdym okiem. Oraz melodyjny głos, jakby śpiewał, a nie mówił. – Mogę zapytać, z kim mam przyjemność?

– Lori Landis. – Powiedziała „łofrej”, a ja się zastanawiałam, czy w Filadelfii wszyscy tak zawsze mówią, czy tylko jak są zdenerwowani.

Doktor Diallou jedną rękę położył na jej przedramieniu, a drugą, bardzo delikatnie, na ramieniu Andy’ego.

– Przyjrzyjmy się w takim razie temu przystojnemu młodemu człowiekowi.

– Nareszcie! – westchnęła mama Andy’ego, rzucając spojrzenie starszej kobiecie. – W końcu nas ktoś zauważył!

Z wysokości swoich obcasów popchnęła syna za lekarzem i przeszli przez drzwi wahadłowe. Andy wciąż trzymał pod pachą mojego misia.

Przez chwilę w uszach dźwięczał mi głos Lori Landis. Szal leżał na pustym krześle, więc go zabrałam. Sandra spojrzała na mnie, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o moim istnieniu. Jej twarz złagodniała, a zwyczajowy ostry ton jakby gdzieś się zapodział.

– Czas do łóżka – powiedziała spokojnie.  
– Chcę tu zostać – zaprotestowałam. – I mieć pewność, że wszystko z nim dobrze.

– Jest teraz ze swoją mamą.

Co nie stanowiło żadnego pocieszenia, a mina Sandry wskazywała, że dobrze o tym wie.

– Chcę zostać – powtórzyłam. – Nie dokończyłam mu bajki o Jasiu i Małgosi.

– Ja mu opowiem, jak zabili wiedźmę, wprowadzili się do chatki ze słodczy i żyli długo i szczęśliwie.

To nie był koniec, jaki pamiętałam.

– A nie wrócili do rodziców?

Sandra pokręciła głową.

– Wydaje mi się, że Andy wolałby moje zakończenie.

Drzwi do pokoju Alice wciąż były zamknięte. Przeszliśmy z Sandrą obok nich. Już u siebie poprawiłam sobie rurkę w nosie i położyłam się w pościeli w misie, otoczona swoimi zabawkami i książkami. Miałam też różową lampkę z mojego pokoju w domu. Kartki z życzeniami powrotu do zdrowia stały na stoliku razem z walkmanem, grą Simon, kasetami i książkami.

Zamknęłam oczy, wsłuchując się w sygnał urządzenia monitorującego pracę serca, syk kompresora tlenu i cichy szum rozmów ludzi na korytarzu. Chyba słyszałam, jak wzywali przez głośnik doktora Blaira. Zazwyczaj te dźwięki mnie uspokajały, tej nocy jednak sen długo nie przychodził. Myślałam o Andym, pięć pięter niżej, pewnie złożyli mu już złamaną rękę. Ciekawe, czy jego mama zna sztuczkę mojej mamy – że kiedy ścisnę jej rękę z całych sił, gdy dostaje zastrzyk, ból od razu przechodzi na nią.

W środku nocy wyrwało mnie ze snu okropne wycie. W ciemności pomyślałam przez moment, że jestem Małgosią, zagubioną w lesie, otoczoną przez zwierzęta, bez mamy i taty, którzy by mnie obronili. Wycie trwało i trwało, słyszałam kroki i głosy, a potem nagle ucichło, jakby ktoś wyciągnął kasetę z odtwarzacza.

Następnego ranka obudziłam się z zamiarem zdania Alice raportu z poprzedniego wieczoru. To będzie, uznałam, moja najlepsza historia. Opiszę jej wszystko: pielęgniarkę z włosami na brodzie, dziewczynkę z butem Barbie w nosie i przeklinającego staruszka, no i oczywiście opowiem jej o Andym i o tym, że był tam całkiem sam. Nasi rodzice prawie nigdy nas nie zostawiali. Ten fragment się Alice spodoba.

Kiedy stanęłam przed jej drzwiami, zauważyłam, że nowa tabliczka była już zdjęta i niczym jej nie zastąpiono. Weszłam do środka. Pokój był pusty. Łóżko też, nawet bez prześcieradła. Na ścianie nie było plakatu z Duran Duran, a ze stolika

znikło różowe wiaderko, w którym trzymała szczoteczkę i myjki. Podobnie z książkami i gramami. Znikło wszystko oprócz planszy do wywoływania duchów.

Podeszłam do niej. Do pudełka przyklepiona była żółta karteczka. Ktoś napisał na niej „Dla Rachel”. Nie rozpoznałam charakteru pisma. Rano umyto podłogę, więc w powietrzu unosił się ostry zapach, przez który piekły mnie oczy, ale nie wyszłam z pokoju. Usiadłam na krześle z planszą na kolanach. Nie pożegnała się ze mną. I nie opowiedziała, jak to jest, gdy się wie, że się nie wyzdrowieje. Nie powiedziała, czy to boli.

– Alice? – szepnęłam.

Może jej duch wciąż tu był. Może na mnie patrzyła. Ale nie nadeszła żadna odpowiedź, a kiedy zamknęłam oczy i znów je otworzyłam, w pokoju nic się nie zmieniło.

W dniu, gdy w końcu wypisali mnie do domu, mama przyszła wcześniej rano, żeby spakować rzeczy, porozdawać prezenty i pożegnać się z pielęgniarkami do następnego razu. Krzątała się, sprawdzając, czy zabrała szampon i odżywkę, gdy do pokoju weszła Sandra z listem w ręku. Na prostokątnej różowej kopercie napisano moje imię i nazwisko, „Panna Rachel Blum”, takimi maleńkimi literkami, że ledwie dało się je odczytać. Blum przez „u”, przypomniałam sobie. W środku była pojedyncza kartka papieru zapisana tym samym ciasnym pismem, jakby autorowi odmierzano każdą kropelkę atramentu.

*Droga Rachel. Dziękuję, że dotrzymałaś mi towarzystwa tego wieczoru, gdy złamałem rękę. Oraz za Rudolfa. Nigdy Cię nie zapomnę. Twój przyjaciel, Andrew Landis.*

Pod podpisem widniał rysunek: chłopiec o brązowych włosach trzymał pod pachą coś czarnego – odgadłam, że to mój miś. Drugą rękę spowijała natomiast biała substancja. Gips, zrozumiałam. Obok chłopca stała dziewczynka z kręconymi włosami z wielkim różowym uśmiechem oraz, gdy przyjrzałam się uważniej, delikatną blizną na piersi. Oboje znajdowali się w ramce w kształcie czerwonego serca.

Andy  
1987

– Andrew! – Głos siostry Henry odbijał się echem w długim korytarzu, ale Andy nie zwolnił. Wzrok utkwił w drzwiach, za którymi znajdowała się ulica, szare chodniki i szare zimowe niebo.

Przyspieszył kroku i pchnął szklane drzwi, słysząc za sobą stukot obcasów na parkiecie.

– Andrew, poczekaj! – dobiegł go głos zakonnicy.

A niby po co? Lekcje i tak kończyły się o dwunastej, był piątek, a w poniedziałek święta Bożego Narodzenia, więc ferie zaczynają się właściwie dziś.

Jeszcze jedno „Andrew” i już był na chodniku, chłodne powietrze zaś szczypało go w policzki. Ze spuszczoną głową przebiegł najszybciej, jak potrafił, pomagając sobie rękami, obok szkolnych autobusów zaparkowanych przy krawężniku, aż za róg, potem wzdłuż Castor i prosto w Kensington Avenue, gdzie uliczne lampy ustrojono bożonarodzeniowymi wieńcami. W górze przejechał pociąg, gdy on dalej biegł, wysoko unosząc kolana, omijając przechodniów, dzieci, bezdomnych, dilerów narkotyków. Kurtkę, od której wszystko się zaczęło, miał wciąż na sobie. Zdjął ją i wrzucił do śmietnika, prawie nie zwalniając.

Wiedział, że narobił sobie kłopotów. Siostra powie mamie o bójce i Andy dostanie szlaban, albo jeszcze gorzej. Może mama nie da mu nawet prezentów pod choinkę... ale na razie nikt nie mógł go zatrzymać, nikt nie mógł go dotknąć. Na razie był wolny.

Jedną z pierwszych rzeczy, które Andrew Landis pamięta, jest jego mama rozmawiająca przez telefon, jego piękna mama z ustami pomalowanymi na czerwono i pofalowanymi włosami opadającymi na plecy oraz złotym łańcuszkiem, cieniutkim jak nitka, który nosiła wokół kostki.

– Wiesz, jak to chłopcy – mówiła. – Trzeba ich trzymać krótko, jak psy.

Kiedy był mały, chodzili na plac zabaw, czyli wielki prostokąt trawy w pobliżu domu, z huśtawkami i zjeżdżalnią z jednej strony. Na obrzeżach leżało sporo potłuczonego szkła, pustych butelek, a czasami igieł, ale środek stanowił długi nienaruszony pas zieleni. Andrew ganiał z jednego końca na drugi, coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie przybiegał do mamy i wpadał w jej ramiona, wdychając zapach perfum, dymu papierosów, mydła Camay i lotionu Jergens. Ona klepała go po plecach i puszczała. Słońce odbijało się w jej złotym łańcuszku na kostce i we włosach, a on myślał, że ma najpiękniejszą mamę na świecie.

Ale to działo się dawno temu, gdy był jeszcze malutki, zanim poszedł do przedszkola. Teraz urósł, był wysoki jak na swój wiek i nosił już buty w męskich rozmiarach.

– Nie wiem, co robić – skarżyła się mama, rozmawiając przez telefon z Sharon lub Beth, koleżankami z pracy. – Co pół roku wyrasta ze spodni i butów.

Czasami, patrząc na niego, wzdychała w taki sam sposób jak wtedy, gdy przychodził kolejny rachunek, ale niekiedy się uśmiechała, przyciągając syna do siebie, aż opierał głowę na jej ramieniu. „Mój mały mężczyzna” – mawiała.

Andy nadal od czasu do czasu biegał na placu zabaw, ale wolał ulice. Po szkole, po odrobieniu zadania i nakryciu do stołu, zakładał sportowe buty i koszulkę Sixersów, tę, która należała do ojca. W zimie dbał o większą liczbę warstw: kalesony, bluzę i czapkę. W lecie biegał w krótkich spodenkach. Stałym punktem była koszulka. Sixersi – Philadelphia 76ers – to drużyna jego taty, a teraz Andy’ego. Zaczynał od spokojnego truchtu, rozgrzewając mięśnie, i biegł od Kensington do Somerset, gdzie skręcał na wschód, przecinał Frankford, Aramingo i Allegheny, mijał winiarnie i sklepy z artykułami metalowymi, apteki, gabinety lekarskie, stacje benzynowe i punkty usługowe zamienione w kościoły, a także pusty plac, na którym sprzedawali choinki, i docierał do miejsca, gdzie ulica zamieniała się we wjazd na autostradę I-95. Tu kończył pięciokilometrowy odcinek i zawracał do domu.

Wuefista nie uwierzył, gdy Andy powiedział mu, jak daleko potrafi dobiec. Wziął go na boisko i kazał robić okrążenia, aż chłopak przebiegł dwa kilometry, potem trzy.

– Dobra, wystarczy – powiedział.

– Mogę biec dalej – odparł na to Andrew.

I biegł. Od tamtego czasu pan Setzer zwalniał go z treningu siłowego, żeby mógł w tym czasie biegać.

Wykonując rękami zamaszyste łuki, swobodnie przemierzając kolejne metry, w końcu mógł nie myśleć o zakonnicach syczących, żeby się przestał wiercić, mógł się nie martwić, że przewróci jakąś cenną porcelanową figurkę mamy, wpadnie na stół albo zarobi kolejne gniewne spojrzenie i komentarz: „Matko kochana, czy ty nie potrafisz spokojnie usiedzieć?”.

Początkowo nogi miał tak lekkie, że czuł się, jakby płynął z nurtem, a powietrze sływało do gardła gładko jak śmietana. Potem zaczynał się pocić, nogi paliły, a oddech stawał się ciężki, jakby połykał gorące monety. Lubił ból, wpuszczał go do środka, po czym się przez niego przebijał, pokonywał go, smakując skurcze i ogień w udach, aż przestawały boleć, wzrok zawężał się do kwadratowych płytek chodnika, a wszystkie inne myśli znikaly mu z głowy. Szybciej i szybciej, podnosząc nogi do piersi, zaciskając pięści, wybiegał poza wspomnienie szkolnych lunchów, kiedy to dzieci z dofinansowanymi posiłkami, jak Andy, muszą stawać w kolejce przed tymi, które płacą pełną cenę, i poza Zimowy Koncert i kiermasz naukowy oraz Święto Nauki, kiedy niemal każde dziecko ma ze sobą rodzica oprócz Andy’ego, bo jego tata nie żyje, a mama jest

w pracy, bo przecież „pieniądze nie rosną na drzewach i ktoś musi za to wszystko zapłacić”. Nawet jeśli „to wszystko” to jednopokojowa nora z obłazącym sufitem, który spada człowiekowi na głowę, a okna się nie otwierają, ponieważ zbyt wiele razy malowano parapet, i dodatkowo trzeba potrząsnąć rączką od spłuczki, bo inaczej woda nie spłynie.

Tego popołudnia, wciąż w mundurku szkolnym – spodniach i granatowej koszuli – Andy przebiegł pięć kilometrów, po czym zwolnił od sprintu do zwykłego biegu i do truchtu, a potem do chodu. Odgłos butów uderzających o chodnik stopniowo cichł. Zazwyczaj był w stanie przez jakiś czas utrzymać to uczucie spokoju, ten stan zupełnej ciszy w głowie. Przez godzinę, a czasem nawet aż do wieczora, czuł się dobrze w swoim ciele, na miejscu w swojej własnej skórze.

Mieszkali z matką na parterze w szeregowcu w Kens-ington podzielonym na trzy oddzielne mieszkania, każde na jednym piętrze. Andy otarł pot z czoła i wyciągnął klucz, który nosił na szyi. Wszedł do środka z westchnieniem, jakim witał fakt, że jest w budynku sam. Pierwsze piętro zajmowała samotna wdowa, ale Andy rzadko ją widywał, a ostatnie piętro właściciel trzymał puste, zatrzymywała się tam jego rodzina, kiedy przyjeżdżała w odwiedziny. Andy nie spędzał zbyt wiele czasu w domach swoich kolegów, gdy byli tam ich rodzice, ale zaczynał rozumieć, że nie wszystkie dzieci muszą ciągle uważać, by nie sprowadzić na siebie napadów złości rodzica, i że nie wszystkie mamy są takie jak jego. Nie chodzi o to, że Lori go uderzyła czy też ignorowała przez te kilka popołudniowych godzin, zanim szli spać, ale czasami myślał, że jego mama zwyczajnie go nie lubi, że gdyby jakaś wróżka albo dżin obiecały jej zabrać Andy’ego i oddać go innym rodzicom, zgodziłaby się bez wahania. Potem jednak tłumaczył sobie, że mama ciężko pracuje, czasami sześć dni w tygodniu, jest na nogach przez dziewięć albo i dziesięć godzin, a on zawsze ma co zjeść, ma ubrania, nawet jeśli pochodzą z darów kościelnych albo sklepu z używaną odzieżą, chociaż to on musi w domu gotować i zmywać.

Trzy tygodnie temu odrabiał w kuchni zadanie z matematyki, gdy mama wręczyła mu szaro-białą kurtkę narciarską, którą wybrała dla niego w kościele.

– Jest naprawdę w dobrym stanie – powiedziała z dumą.

Andy od razu zauważył nazwisko Ryana Petermana naszyte przy kołnierzyku, ale powiedział to bardzo cicho, by nie zranić jej uczuć i nie chcąc wywołać ataku złości.

Lori westchnęła, spojrzała mu prosto w oczy, tak że nie mógł jej uciec.

– Nie stać mnie na nową, a zeszłoroczna jest za mała. Ta jest prawie jak nowa.

Właśnie, że cię stać, myślał Andy, stać cię, ale i tak mi nie kupisz. Wiedział o jej „szalonej szkatule”, jak ją nazywała, choć był to tylko wyszczerbiony kubek schowany głęboko w kuchennej szafce. Zbierała w nim monety i banknoty, od

ćwierćdolarówek do dwudziestek. Co kilka miesięcy prosiła Strattonów, by go przenocowali, a sama wsiadała z koleżankami w autobus do Atlantic City. Czasem wracała roześmiana z portfelem pełnym nowych, szeleszczących banknotów, lecz zazwyczaj przechodziła bez słowa do swojej sypialni i zamykała za sobą drzwi.

Andy upchnął kurtkę w najciemniejszym kącie szafy, ale tego dnia na dobre zaczął padać śnieg, więc Lori uparła się, żeby ją włożył, i odprowadziła go do szkoły, upewniając się, że jej po drodze nie zdejmie.

Ryan Peterman zareagował natychmiast.

– Hej, dupku, to moja stara kurtka! – zawołał tak, żeby cała piąta klasa usłyszała.

– Odwal się – powiedział Andy.

To jedyna właściwa odpowiedź w takiej sytuacji. Ryan odwrócił kołnierz, żeby pokazać innym swoje nazwisko. Andy czuł, że świat się zwęża, podobnie jak wtedy, gdy biegnie, ale tym razem nie widział ulicy czy trawy, tylko wielką, głupią, bladą twarz Ryana Petermana, więc zaczął ją okładać. Walił w policzek, w głowę, ramiona, klatkę i w boki, uderzał i uderzał, aż z nosa Ryana zaczęła cieknąć krew, a on przykucnął, zakrywając rękami głowę.

– Zabierzcie go! Zabierzcie go ode mnie! – wrzeszczał.

I wtedy nadbiegły siostry w swoich habitach, z linijkami w dłoniach.

Andy poszedł do kuchni, wziął trochę lodu ze starej metalowej foremki, owinał go w kuchenny ręcznik i przyłożył do kostek dłoni. Kiedy lód się roztopił, przygotował sobie miskę płatków, do której wkroił banana, i zasiadł przed kreskówkami. Nie mieli kablówki jak Strattonowie, mieszkający nieopodal w podobnym szeregowcu, ale niepodzielonym na trzy osobne mieszkania – wynajmowali całość. Miles Stratton był w tej samej klasie, nie przyjaciel, ale ogólnie przyjazny. Czasami Andy odwiedzał go po południu i oglądali *Diuków Hazzardu*. U siebie mógł wybierać między durnymi serialami i *Zwariowanymi melodiami*. Patrzył więc, jak Struś Pędziwiatr ściga Wilusia E. Kojota po klifach i pod ciężarówkami wypełnionymi dynamitem, po czym wysiorbał resztkę mleka, opłukał miskę i łyżkę i włożył je do zmywarki. Odstawił płatki do szafki, a mleko do lodówki, upewnił się, czy małeńki stoliczek jest wytarty, a chybotliwe krzesło dosunięte. Dopiero wtedy wyszedł.

– Jak miło z twojej strony, że o nas pomyślałeś – witała go za każdym razem mama Milesa, kiedy do nich przychodził.

– Moja mama zawsze mówi, że dziś pokojówka ma wychodne – odpowiadał Andy. To jedna z odzywek Lori, którą powtarza, ilekroć zobaczy jego brudne ubranie na podłodze albo nieopuszczoną deskę w łazience.

Pani Stratton zawsze była dla niego miła, zapraszała na obiad i częstowała upieczonym wcześniej ciastem, którego kawałek dostawał też do domu.

– Pozdrów mamę – mówiła, ale Andy nigdy tego nie robił, wrzucając deser

do kosza na przystanku autobusowym.

Strattonowie byli czarni, jak ojciec Andy'ego i jak pan Sills, złota rączka, który przychodził dwa do czterech razy w miesiącu podokręcać ciekące krany i naoliwić skrzypiące drzwi, czarny jak większość ludzi w okolicy. Byli czarni, a Lori biała i święcie przekonana, że pani Stratton jej nie lubi. Razu pewnego, gdy szedł do toalety, usłyszał, jak pan Stratton, który pracuje w gazowni, rozmawia z żoną przyciszonym głosem.

– Czemu ona się tu właściwie sprowadziła? Czemu nie trzyma się swoich?

Pani Stratton odpowiedziała, ale zbyt cicho, Andy rozpoznał tylko swoje imię, a pan Stratton dodał:

– Ale czy możemy być tego pewni? Nie ona pierwsza próbuje podrzucić jajo do gniazda innego faceta.

– Przestań – powiedziała jego żona tak chłodnym głosem, jakiego Andy nigdy u niej nie słyszał.

Od tamtej chwili nie czuł się już jak normalny kolega Milesa, jak normalny uczeń szkoły. Uznał, że widzą w nim chłopaka z białą matką i czarnym ojcem, pół na pół, który nie był ani biały, ani czarny, nigdzie u siebie.

Pani Stratton nie pracowała, a mama Andy'ego tak, w salonie piękności Roll of the Dye na Ritten-house Square, czyli w jednej z najlepszych dzielnic Filadelfii. Od wtorku do niedzieli wychodziła z domu o wpół do dziesiątej, a wracała o siódmej, pachnąc płynem do trwałej i papierosami, w adidasach na nogach i ze szpilkami w torebce. Do tego czasu schody na zewnątrz musiały być wymyte, wykładziny odkurzone, poduszki na kanapie strzepnięte, stół nakryty, a obiad – spaghetti lub mrożona pizza albo zapiekanka, ewentualnie coś z mięsem dla niego i dietetycznego dla niej – podgrzany i gotowy. Już w drugiej klasie wiedział, jak obsługiwać mikrofalówkę i piekarnik, Lori nauczyła go też włączać zmywarkę, pralkę i suszarkę. „Większość dzieci nie jest tak odpowiedzialna, ale ty według mnie jesteś” – mawiała, a Andy z radością uczył się wszystkiego, dumny, że potrafi zrobić rzeczy, o których inne dzieci nie mają pojęcia. Tak było aż do pamiętnej jesieni, kiedy to przeczytał, jak Tomek Sawyer wrobił inne dzieciaki w malowanie płotu, i zrozumiał, czując palący wstyd, że mama nabiła go w butelkę.

Jeszcze raz spojrzał na kuchnię. Linoleum przy zlewozmywaku już niemal się przecierało, oliwkowa lodówka rzęziła, a tapeta imitująca sosnowe deski odłaziła od ściany. Pan Sills mówił, że może to naprawić, będzie wyglądało jak nowe, i że wszystko nie zajmie więcej niż jeden dzień, lecz mama odparła, że dziękuje, ale nie, dziękuje bardzo.

– I tak dużo pan robi – dodała, a pan Sills, chyba dość smutny, wzruszył ramionami i spakował swoją skrzynkę z narzędziami.

– Jakby co, proszę dzwonić – powiedział i spojrzał na Andy'ego. – Ciebie też to dotyczy, młody człowieku.



Andy wiedział, że nigdy nie zadzwoni. „Nie potrzebujemy jałmużny” – mawiała Lori. Sądził, że kiedy nie patrzy, mama może płacić panu Sillsowi za te wymiany żarówek, których nie mogła osiągnąć, i naprawienie okna w piwnicy, gdy pękła szyba.

Policzył uderzenia kościelnego dzwonu i zdziwił się, że dopiero trzecia. Ruszył do szafy, żeby wyciągnąć buty i jeszcze wyjść, gdy usłyszał przekręcanie klucza w drzwiach. Zamarł i spuścił głowę, kiedy wściekła Lori wpadła do pokoju, cztery godziny wcześniej niż zwykle. Jej blond włosy, rano związane w staranny kucyk, teraz spadały na policzki i ramiona, a dłonie nerwowo rozpięły płaszcz ze sztucznej wełny, z białym kożuszkim, który już zaczynał żółknąć. Po chwili płaszcz wylądował na kanapie.

Andy rzucił się, żeby go powiesić. Lori stała natomiast nieruchomo i przyglądała się synowi. Wszystkie fryzjerki w Roll of the Dye musiały się ubierać na czarno, co dla Lori oznaczało czarne dżinsy i bluzkę lub wdzianko z dżerseju, zawsze obcisłe, zawsze rozpięte u góry, by pokazać gładką skórę dekoltu i część piersi. Musi wyglądać tak, tłumaczyła kiedyś, żeby inspirować innych. Chodzi o to, że kobiety, które przychodzą do salonu, powinny chcieć wyglądać tak jak ona i wierzyć, „nawet te stare i te grube, że to możliwe, jeśli Lori je uczesze”.

– Dzwoniła siostra Henry – zaczęła niebezpiecznie spokojnym głosem. Andy widział, jak mocno zaciska dłoń na oparciu kanapy i że skóra pod makijażem jest cała w czerwonych plamach. – O co poszło z Ryanem Petermanem?

Nie odpowiedział.

– To już drugi raz w tym roku – ciągnęła Lori. – Następnym razem cię wyrzucą.

Dalej milczał. We wrześniu Darryl Patrick nazwał Andy’ego „Oreo”, czarny na zewnątrz i biały w środku. „Oreo! Ale ty nawet nie wyglądasz na czarnego”. Technicznie rzecz biorąc, nie była to obelga, lecz i tak wlał Darrylowi na placu zabaw po lunchu. Kiedy mama zapytała, co się stało, odparł, że to tamten zaczął, i tyle.

– Andy? – drażyła Lori. – Co my z tym zrobimy?

Włożył rękę do kieszeni i zacisnął palce na kciuku, z nadzieją, że jeśli się nie odezwie, mama da mu spokój, ona jednak nie ustępowała.

– O co się pobiliście?

Milczał. Nie poddawała się.

– Poszło o tę kurtkę, tak? – odgadła, a on skinął lekko głową. Lori westchnęła, odsunęła włosy z twarzy, które po chwili znów na nią opadły. – Kochanie, przecież ci mówiłam. Gdybym mogła kupić ci nową, zrobiłabym to. Kupiłabym ci sto kurtek, gdybym miała pieniądze.

Nieprawda, pomyślał. Czuł ucisk w żołądku, twarz go paliła. Gdybyś miała pieniądze, pojechałabyś z koleżankami do Atlantic City.

– A teraz muszę zadzwonić do Petermanów i przeproszać.

Poszła do siebie i zamknęła drzwi na klucz. Ponieważ jednak drzwi były tanie i marne, jak wszystko w tej taniej i marnej norze, Andy słyszał każde słowo.

– To bez znaczenia. Kurtka to kurtka, Andy jest przyzwyczajony do używanych rzeczy.

Potem nastąpiła pauza.

– Ależ, nie, nie, nie, nie mogłabym... – odpowiedziała po chwili Lori. – Naprawdę, to zupełnie zbyteczne... Andy nie może zostać nagrodzony za to, co zrobił, musi zrozumieć, że to było złe.

Później nastąpiło sporo „och” i „ach” oraz „rozumiem” i wreszcie „dziękuję”. Andy stał przy kuchennym stole, noga skakała jak głupia, aż w końcu oparł na niej cały ciężar ciała, żeby ją uspokoić. Do kuchni weszła mama.

– Co się stało? – zapytał.

Lori dotknęła jego twarzy. Po bójce miał podrapany policzek i podbite oko.

– Petermanowie rozumieją, dlaczego się zawstydziłeś. Ryan chce część kieszonkowego przeznaczyć na nową kurtkę dla ciebie.

– Nigdy – powiedział Andy.

Był przerażony. Gorsze niż noszenie starej kurtki Ryana byłoby noszenie nowej, zakupionej przez niego specjalnie dla Andy’ego. I wtedy Lori się rozpląkała, zasłaniając twarz rękami. Nie szlochala na pokaz, jak to czasami czyniła, tylko siedziała spokojnie, a łzy spływały jej między palcami.

Andy nie cierpiał, kiedy płakała. Miał wtedy ochotę uciec z domu i biec przed siebie, znaleźć się jak najdalej od niej. Podszedł jednak do mamy i poklepał ją po ramieniu.

– No, już dobrze – wyszeptał.

Gdy próbował ją objąć, czuł, jakby trzymał w ramionach pęk patyków. Nie poruszyła się, żeby mu pomóc, nie zrobiła nic, tylko siedziała i płakała. Pochylił się, opierając policzek o jej głowę. Czuł zapach szamponu, lakieru do włosów i lotionu Jergens oraz zapach papierosa, którego wypaliła w drodze z dworca do domu, i tic-taca, którego potem ssala.

– Przepraszam. Obiecuję, że nie będę się więcej wdawał w bójki.

Poklepał ją znów po ramieniu i przyniósł szklankę wody, ale nawet jej nie tknęła. Zza okna dobiegł go odgłos przejeżdżającego autobusu i rozmowa dwóch kobiet o przedświątecznych zakupach.

– Jesteś głodna? – zapytał, na co Lori pokręciła głową.

– Ale ty coś zjedz. W portfelu mam pieniądze. – Oderwała dłonie od twarzy, próbując się uśmiechnąć. – Przecież rośniesz.

Nie chciał jej pieniędzy. Nie tego wieczoru. Wyjął kopertę z oszczędnościami, którą trzymał u siebie w szafie na najwyższej półce. Składał w niej te dwa dolary od pani Green za karmienie jej kotów, gdy wyjeżdżała do

Wirginii odwiedzić matkę, i pięć dolarów od pana Clea-ry'ego za to, że uczył Dylana jeździć na rowerze, oraz dwudziestopięcio- i pięćdziesięciocentówki za odśnieżanie schodów i chodników u sąsiadów. Zbierał na rower, już od roku, kiedy Miles dostał swojego górala. Teraz wyjął dziesięć dolarów, zamówił pizzę z pieczarkami, ulubioną mamy, i dał dostawcy dolara napiwku.

– Dziękuję – powiedziała cicho i bez wyrazu, gdy położył na stole karton. Włosy spadały jej na twarz.

Kiedy Andy był mały, uważał, że mama jest śliczna, jak jakaś aktorka czy modelka z tych czasopism z fryzurami, które przynosiła z pracy, ale teraz widział, ile z tego piękna to tylko makijaż – dzięki kredce oczy wydawały się osadzone nieco dalej od siebie, konturówki powiększały usta. Włosy też farbowała, swój prawdziwy kolor nazywając „mysim”. Dla Andy'ego nie miało to znaczenia. Nawet bez makijażu, pomimo widocznych odrostów, rzadkich, bladych rzęs bez tuszu, pomimo osadzonych blisko siebie oczu i zbyt wąskich ust nadal uważał, że jest piękna.

Ustawił talerze i serwetki, ale Lori podziobała tylko pół kawałka i poszła do siebie, zostawiając Andy'ego z telewizorem.

Obejrzał Jima Gardnera w lokalnych wiadomościach, a potem Petera Jenningsa. Odgadł dwa hasła w *Kole fortuny* i odpowiedział na całą serię pytań o sporcie w *Va banque*. O ósmej zaczął się *Bill Cosby Show*. Theo dostawał w szkole złe stopnie. W czasie gdy Cliff i Clair to omawiali, Andy zdążył zjeść cztery kawałki pizzy. Wyobrażał sobie, że mieszka w dużym domu z pięknymi meblami, obrazami na ścianach oraz z rodzicami, którzy martwią się jego stopniami (mama ledwie rzucała okiem na wyniki, nigdy nie zauważając piątek z matematyki ani „potrzeby poprawy” ze sprawowania). Theo Huxtable nie musiał nosić kurtki, za którą zapłaciło jakieś inne dziecko. Mama Theo zrozumiałaby bez niepotrzebnych słów, dlaczego on wolałby już raczej nie mieć żadnej kurtki.

Tego wieczoru, leżąc na rozkładanej kanapie, myślał o tym, jak mama czasami rzucała mu przez ramię „kocham cię”, gdy szła do łazienki, a on ścigał poduszki z kanapy, jeszcze ciepłe od jej ciała, żeby sobie pościelić na noc, albo jak mówiła to rano, zanim wyszedł do szkoły, i całowała go w policzek, zostawiając na nim szminkę. Kilka razy powiedziała mu nawet, że jest jej ukochanym, jedynym na świecie.

Ale gdyby rzeczywiście go kochała, to na pewno kupowałaby mu nowe rzeczy, prawda? I nie pozwalała, by przez trzy miesiące chodził w butach posklejanych taśmą. I słuchała, przyniósłszy z kościoła toughskiny, gdy tłumaczył, że tego nikt nie nosi, wszyscy mają lewisy. Ale ona zawsze tylko swoje. „Gdyby babcia miała wąsy, toby była dziadkiem”.

Andy odwrócił się na drugi bok, przewracając też poduszkę na chłodną stronę. Jedna noga znów podskakiwała nerwowo, powodując skrzypienie łóżka.

Mama Milesa wkładała synowi do pudełka z lunchem liściki. Czasem Miles odczytywał je głośno, a inni się śmiali. „Cieszę się, że jestem twoją mamą” albo „Jestem z ciebie dumna każdego dnia”. Pewnego razu, gdy Miles nie widział, Andy wyciągnął taką kartkę z kosza, ubrudzoną w rogu tuńczykiem. Wyczyścił ją, złożył i schował do plecaka. Czasami wyciągał ją i czytał, udając, że jego mama ją napisała. „Bardzo mnie cieszy, że lubisz czytać” – pisała pani Stratton. Zabawne, bo Miles wcale za tym nie przepadał. Zresztą Andy też nie. Mimo to zatrzymał karteczkę i wyobrażał sobie, że jest o nim.

W sobotę, po incydencie z kurtką, wcześniej się obudził, włożył najcieplejszą bluzę i wyszedł pobiegać. Gdy wracał do domu, z kapturem na głowie i rękami w kieszeniach, żałował, że nie ma pieniędzy na gorącą czekoladę i pączka. Dzień był przenikliwie zimny, szare niebo sypało śniegiem, ale ludzie wydawali się radośni w swoich czapkach i rękawiczkach, z wielkimi torbami pełnymi przedświątecznych zakupów. W oknach błyskały maleńkie lampki, na drzwiach wisały wieńce z czerwonymi kokardkami. Strattonowie mieli choinkę. Andy przez okno widział na jej szczycie anioła z ozdobnego papieru, którego wykonała Melissa, siostra Milesa. Anioł miał złotą koronę z lamety, a Andy wiedział, że pod sukienką, między nogami ma też złote włosy łonowe, które Miles przeniósł z korony i tam przykleił. Lori nigdy nie kupowała drzewka. „Za dużo z tym bałaganu” – twierdziła, chociaż w zeszłym roku pan Sills przyniósł im choinkę pod same drzwi: sosnę, zapakowaną w plastikową siatkę i pachnącą lasem. Zaproponował, że ją ustawi, a po nowym roku zabierze z powrotem.

Już w domu Andy wysprzątał łazienkę, mimo że to nie jego kolej. Leżał na kanapie, przeglądając komiksy z Batmanem, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

Złapał szybko telefon, na wypadek gdyby musiał wybrać jakiś numer alarmowy. Upewnił się, że łańcuch jest zapięty, otworzył lekko drzwi i wyjrzał. Na progu stała korpulentna kobieta z włosami ufarbowanymi na nijaki brązowy kolor, miała zaniepokojoną minę i płatki śniegu na policzkach. Obok niej zobaczył wysokiego, czerwonołicego mężczyznę w błyszczącej zielonej kurtce Eagles. Dziadkowie, rodzice mamy, których nie widział prawie rok, i proszę, oto są, z rękami pełnymi prezentów.

– Andy? – powiedziała babcia wysokim, drżącym głosem, a Andy poczuł ucisk w żołądku.

– Wesołych świąt! – zawołał dziadek. – Może wpuścisz nas do środka?

– Przywieźliśmy ci kakao – mówiła babcia, wyciągając puszkę, żeby mógł się naocznie przekonać. – I kilka drobiazgów dla ciebie i mamy.

– Nie mogę – odparł Andy. Usta miał jak z drewna, a choć czuł smutek, zabrzmiało to tak, jakby był zły. „Mój dom, moje zasady” – powiedziała Lori. „Nigdy więcej nie przekroczą tego progu”. Ostatnia ich wizyta miała miejsce w Wigilię zeszłego roku, przyszli na kolację, była okropna awantura, mama

krzyczała: „Wynoście się z mojego domu!”, a babcia zaciągnęła Andy’ego do sypialni i zakrywała mu uszy. Oczywiście na próżno, bo i tak wszystko słyszał. Jak półmisek z indykiem walnął o ścianę i jak dziadek przeklinał słowami na „k” i mówił, że Lori powinna trzymać nogi razem i że skoro tak sobie pościeliła, to ciekawe, jak się teraz wysypia.

Kiedy Andy był mały, jeszcze w przedszkolu, dziadkowie zawsze byli w pobliżu. Babcia zostawała z nim w soboty, gdy mama szła do pracy, albo on jechał do ich domu w Haddonfield na cały weekend. Babcia zabierała go do swojej ulubionej piekarni w południowej Filadelfii, gdzie panie za ladą, ubrane całe na biało, jak pielęgniarki, częstowały go ciasteczkami z kolorową posypką.

– Jaki słodki! Spójrzcie tylko na te rzęsy – mówiły.

– To pani? – zapytała kiedyś jedna, a babci stężała twarz, gdy przyciągnęła go do siebie.

– Oczywiście, że mój – powiedziała chłodno.

Raz zabrała go do centrum handlowego na świąteczny pokaz światła i dźwięk, siedział też wtedy u Mikołaja na kolanach. Innym razem dostał od dziadka hokejówki i poszli na lodowisko. Andy najpierw przypatrywał się innym łyżwiarzom, potem stawiał na taflি pierwsze chwiejne kroki, z początku powoli, ale dość szybko wyczuł, o co w tym chodzi, i już niedługo mknął po lodzie, pomagając sobie wprawnymi ruchami rąk, a ostrza rysowały na nim długie, płynne pociągnięcia. Dziadek machał do niego, ilekroć zgrabnie przemykał obok. Później jednak dziadkowie przychodzili coraz rzadziej, a ilekroć o nich zapytał, twarz Lori jakby się przeobrażała w przerażającą maskę. Łyżwy powędrowały do szafy i pewnego dnia nagle zniknęły.

Od tamtego czasu na spotkanie z dziadkami mógł liczyć jedynie na gwiazdkę. Co roku jechali do nich do Haddonfield na wielką ucztę: indyk, szynka, lasagne, słodkie ziemniaki, purée ziemniaczane i zapiekanka z fasolki szparagowej z chrupiącą cebulką na górze, a potem bułeczki, herbatniki, chleb kukurydziany, trzy rodzaje ciasta i sycylijskie cannoli zakupione w wybranej cukierni. „Jak za dawnych lat” – mawiał dziadek. Bywał tam też wujek Paul, brat mamy, i jego żona, ciocia Denise, oraz ich małe córki, Jessica i Heather, zwykle w takich samych odświętnych sukienkach z kokardami, szarfami i rozkloszowanymi spódnicami, a mama zabierała do domu torbę resztek, które starczały im na tydzień.

Rok temu mama postanowiła zaprosić dziadków na Wigilię do nich. Wzięła dzień urlopu i siedziała w kuchni do drugiej nad ranem, pochylona nad książką kucharską, co rusz przeklinając i domykając piekarnik kopniakiem. Spaliła pierwsze lasagne, a kiedy indyk nie chciał się zmieścić w piecu, kazała Andy’emu trzymać go mocno za krostowatą skórę, trzasnęła go na pół i piekła w dwóch kawałkach. Ciasta kupiła w piekarni, a śmietana była z puszki, cannoli nie było w ogóle. Razem przynieśli rozkładany stół z piwnicy Clearych i ustawili go

w salonie. W wazonie mieli czerwone i zielone goździki, na stole pożyczony obrus i plastikowe talerze, a mama krzątała się po domu, wciąż mamrocząc do siebie. „Boże, pomóż mi”, „Lepiej, żeby się udało”, „Jeśli słowem piśnie o talerzach, to nie ręczę za siebie”.

Godzinę przed przybyciem dziadków poszła wziąć prysznic i przebrać się, a Andy’emu kazała odkurzyć podłogi, umyć resztę naczyń i, na Boga, koniecznie sprawdzić łazienkę. Lori, która wyszła potem z sypialni, to Lori, jakiej Andy nigdy wcześniej nie widział. W miejsce swojego zwykłego stroju włożyła luźny czerwony sweter z długimi rękawami, szerokie czarne spodnie i czarne płaskie buty. Włosy zebrała z tyłu i ślicznie zaplotła. Prawie się nie umalowała, a zamiast ogromnych kolczyków włożyła małe złote krzyżyki wkrętki.

Sama kolacja przebiegła spokojnie, choć było tak mało miejsca, że gdy dziadek usiadł na kanapie, obijał się kolanami o składane krzesła wokół stołu. Babcia chwaliła jedzenie, wciąż powtarzając, że sama lepiej by nie ugotowała, mimo że indyk okazał się różowawy w środku, a zapiekanka z fasolki była przypalona na górze. Dziadek milczał, popijając piwo prosto z butelki, kiedy się okazało, że Lori nie posiada kufła. W końcu po podaniu deseru i nalaniu kawy mama przeszła do sedna.

– Chciałabym z wami o czymś porozmawiać.

– Tak? O co chodzi, kochanie? – zapytała babcia.

Lori bawiła się swoim naszyjnikiem, również w kształcie krzyżyka. Z pochyloną głową i bez cieni na powiekach wyglądała tak, jak pewnie w liceum, to znaczy oprócz paznokci, które były długie, dość ostro zakończone i pomalowane na czerwono. Poza tym, kiedy złożyła ręce, sweter opadł lekko, ukazując tatuaż na jednej piersi. Andy uważał, że to kwiatek albo imię wypisane ozdobną czcionką, ale wiedział, że to jedna z tych wielu, wielu rzeczy, o które przenigdy nie należy pytać. Zauważył zmarszczone czoło i słyszał oddech matki, wolny i głęboki – zawsze tak oddychała, gdy była zła, ale nie chciała tego okazać.

– Dziękuję, że przyszliście – rozpoczęła.

– Było bardzo miło – odparła babcia. Dziadek milczał. Andy miał wrażenie, że gapi się na tatuaż, jakby nie wiedział wcześniej, że Lori go tam ma.

– Wiecie, jakie to dla mnie ważne, żeby Andy nadal mógł chodzić do katolickiej szkoły. Żeby był dobrze wykształcony.

– Oczywiście – szepnęła babcia.

Dziadek nadal milczał. Popraw sweter, myślał intensywnie Andy, ale mama nie usłyszała tych myśli.

– Pracuję pięć, czasami sześć dni w tygodniu, jestem zwykle po dziesięć godzin na nogach.

Dziadek głośno pociągnął nosem. Mama się wzdryg-nęła, ale mówiła dalej, ze spuszczonego wzrokiem i złożonymi rękami, jakby wcześniej ćwiczyła to

przemówienie i teraz miała je zamiar wyrecytować do końca, choćby nie wiem co.

– Wolałabym was o to nie prosić, dobrze wiecie, ale po prostu potrzebuję teraz trochę pomocy. Samochód nie przejdzie przeglądu, a niedługo termin wpłaty czesnego...

Dziadek, który do tej pory się nie odzywał, w końcu zabrał głos.

– Możesz poprosić o pomoc rodziców ojca Andy’ego.

Lori wykręcała palce dłoni.

– Tato, przecież wiesz, że tego nie zrobię.

– I wcale się nie dziwię. Wcale a wcale.

Lori spojrzała na Andy’ego.

– Kotku, idź do sypialni – nakazała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Poszedł więc, słysząc ją za sobą. – Powiedzcie tak lub nie, ale mnie nie obrażajcie.

– Skoro prosisz o moje pieniądze, nie mów mi, jak się mam zachowywać – odparł na to dziadek.

Andy stanął w korytarzu, wiedział, że teraz już nikt się nim nie zainteresuje. Dla tamtych trojga na razie nie istniał.

– Nie tego chcieliśmy dla ciebie z matką – mówił dziadek. – Staraliśmy się dobrze cię wychować. Myśleliśmy, że spotkasz porządnego chłopca, wyjdiesz za niego i zamieszkasz w jakiejś szanowanej okolicy, może blisko nas, w domu z ogrodem i dobrą szkołą w sąsiedztwie. A spójrz tylko na siebie. – W jego głosie dźwięczało obrzydzenie. – Rozejrzyj się wokół.

Andy wyobraził sobie, jak dziadek ciężką ręką zatacza krąg, wskazując na ich marne mieszkanko, postrzępioną wykładzinę i odłóżką farbę oraz składany stół z metalowymi nogami wystającymi spod obrusa.

– Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, oszczędzaliśmy, żebyś mogła iść do Hallahan, a ty co? Rozłożyłaś nogi przed pierwszym czarnym chłopakiem, który się do ciebie uśmiechnął.

Andy usłyszał teraz wysoki, drżący i zaskoczony głos babci.

– Lonnie, wystarczy.

Dziadek nie zwrócił na nią uwagi.

– Gdybyś miała choć trochę rozumu – kontynuował – pozwoliłabyś zamieszkać Andy’emu z nami.

– Nie oddam syna, nigdy – powiedziała mama lodowatym tonem.

Andy’ego paliła twarz, czuł ucisk w żołądku, jakby zaraz miał wymiotować, kołysał się to do przodu, to do tyłu. Cieszył się, bardzo się cieszył, że mama nie chce go oddać jak jakiegoś psa czy kota, ale myślał też o domu dziadków w Haddonfield, o koszu powieszonym nad garażem i o pokoju, który tam miał, cały dla niego, z własnym łóżkiem i narzutą w niebiesko-zieloną kratę. I o łazience dla gości, z której korzystał tylko on, bo był przecież jedynym gościem. Byłoby fajnie. Ale wtedy odsunął od siebie tę myśl, odciął ją, jak odcina

się dopływ wody, następując na wąż. Jak mógł w ogóle tak pomyśleć?

Przyszła do niego babcia, żeby zagonić go do sypialni. Mocno przytuliła jego twarz. Jej sweter pachniał pieczonym indykiem i płynem do prania.

– Sama sobie pościeliłaś – wykrzykiwał dziadek – i ciekawe, jak się teraz wysypiasz, co?

– Wynoś się z mojego domu i nigdy nie wracaj! – wrzeszczała mama. – Dla mnie umarliście, oboje.

A potem przyszło najgorsze.

– I możecie zapomnieć o Andym, już nigdy go nie zobaczycie.

Babcia stała obok niego, mocno go ściskając i tuląc do siebie.

– Kochanie – powtarzała bez końca, a on chyba się bał, bo też się do niej tulił, obejmując ją mocno, aż do sypialni wszedł dziadek.

– Bierz swój płaszcz, Bernice. Wychodzimy.

– Lonnie, proszę cię. Nie w ten sposób.

– Bierz płaszcz – powtórzył i babcia puściła Andy'ego, ścisnąwszy go jeszcze jeden, ostatni raz.

Dziadek ukląkł na podłodze, Andy słyszał, jak chrupnęło mu w kolanach. Był cały czerwony, w oczach miał łzy, kiedy położył dłonie na jego ramionach.

– Andrew – zaczął.

I wtedy weszła Lori, z takim impetem popychając drzwi, że aż trzasnęły o ścianę.

– Odsuń się od niego – nakazała. – Nigdy więcej nie będziesz rozmawiał z moim synem.

Gdy wyszli, mama oparła się o drzwi wejściowe – jej czerwone paznokcie odbijały się ostro na białym tle – jakby dziadkowie mogli wrócić i chcieć dostać się do środka siłą. W końcu jednak odwróciła się do Andy'ego.

– Jak zadzwonią – powiedziała tym strasznym, cichym głosem – odłóżysz słuchawkę. Gdyby kiedykolwiek tu przyszli, trzaśniesz im drzwiami przed nosem. Jeśli chodzi o mnie, nie masz już dziadków. Nie potrzebujemy ich. Mamy siebie, i to wystarczy.

A teraz Lori nie ma, a oni stoją za drzwiami. Z rękami pełnymi prezentów.

– Kochanie, proszę cię – mówiła babcia. Ciężkie złote kolczyki rozciągały dziurki w jej uszach, a czerwona szminka ubrudziła zęby. Przypomniawszy sobie, jak zawsze pięknie pachniała, i jej miękkie swetry, i herbatniki z posypkami, i jak się poczuł, gdy powiedziała wtedy „oczywiście, że mój”.

W gardle go ściskało, oczy piekły.

– Nie mogę – powtórzył.

Dziadek podszedł do drzwi, tak że niemal się o nie oparł, a Andy poczuł jego zapach – Old Spice i cygara. Był postawnym mężczyzną o siwych włosach zaczesanych do tyłu od samej nasady poranego zmarszczkami czoła. Pracował



jako instalator w Navy Yard, ale teraz był już na emeryturze.

– Andrew – powiedział swoim głębokim głosem. – Wiemy, że nie jesteśmy tu mile widziani, ale proszę cię, synku, cokolwiek dzieje się między nami i mamą, to nie twoja wina. Nic nie zrobiłeś. Chcemy tylko dać ci kilka prezentów. Bardzo cię kochamy.

Andy miał wrażenie, jakby coś rozrywało mu wnętrzności.

– Nie mogę – powtórzył raz jeszcze łamiącym się głosem.

Zamknął drzwi i przekręcił klucz, po czym odszedł jak najdalej od nich, aż znalazł się w sypialni mamy. Te drzwi też zamknął. Oparł palące czoło o ścianę, ignorując pukanie, i zaczął głęboko oddychać, licząc jednocześnie do stu, zanim znów otworzył oczy.

Dziadków już nie było, ale prezenty zostawili pod drzwiami, opakowane w papier z reniferami ciągnącymi sanie z Mikołajem na tle rozgwieżdżonego nieba. Andy rozglądnął się, czy nikt nie patrzy, i zabrał je do środka. Zamknął się w łazience, choć Lori miała wrócić dopiero za godzinę, i rozdarł papier. Butelka perfum dla mamy i *Księga rekordów Guinnessa*, o którą prosił w swoim liście do Mikołaja, w twardej oprawie, oraz zestaw nowych skarpet. Największa paczka była ze Strawbridge's: zimowa kurtka, niebiesko-czerwona, dokładnie taka, jaką Andrew sam by wybrał.

Długo na nią patrzył. Może mógłby ją trzymać w szkolnej szafce i nosić tylko na przerwie? Albo powiedziałby Lori, że dostał od sąsiadów, od pani Cleary? Bo nie pasowała Dylanowi? Albo że to prezent od Ryana Petermana?

No tak, tylko że mama zaraz poleciałaby im dziękować, pani Cleary nie miałyby pojęcia, o czym mowa, a Petermanowie kazaliby Ryanowi pokazać tę kurtkę i zrobili wielką szopkę, jaki to on wspaniałomyślny i superchrześcijanin. Mógł też stanąć przed mamą i powiedzieć prawdę: Dostałem od dziadków i nie chcę im jej oddawać.

Tylko że wtedy ona się odwróci, opierając ręce o krzesło, jakby nie mogła ustać o własnych siłach. Może nawet znów zaczęłaby płakać, a tego Andy nie zniesie. „Jesteśmy drużyną” – mówiła zawsze. „My przeciwko światu”.

Worki na śmieci mama trzymała pod zlewozmywakiem, wyciągnął więc jeden, wrzucił tam wszystko, kurtkę i książkę, skarpety i perfumy, pudełka i papier ze wstążkami. Sprawdził, czy nie zostawił nigdzie kawałka papieru albo taśmy, i wybiegł z domu. „Bardzo cię kochamy” – dźwięczał mu w głowie głos dziadka.

– Wcale nie – mruczał pod nosem. – Wcale nie.

Na dworze dość mocno padał śnieg, porywisty, lodowaty wiatr unosił z chodników kurz i śmieci. Andy naciągnął kaptur i ruszył szybko, ze spuszczoną głową, ściskając przed sobą worek. Pan Sills zaparkował właśnie przy krawężniku swoją rozklekotaną jasnoniebieską furgonetkę i wysiadł, ubrany w spodnie i koszulę w kratę, z wielkim brzuchem zwisającym nad paskiem i siwymi lokami

pod szarą czapką z włóczki. On też niósł opakowaną pięknie paczkę.

– Wesołych świąt! – zawołał.

Andy udał, że nie słyszy, przyciągając brodę do piersi i mijając go, zanim tamten zdążył wykonać jakikolwiek ruch, wręczyć mu prezent czy zadać niewygodne pytanie. Na Kensington Avenue za hiszpańską restauracją stał kontener na śmieci. Andy uniósł pokrywę, wrzucił worek i pozwolił jej opaść z trzaskiem, od którego zaboląły go uszy.

Obok kontenera stał zwykły kosz na śmieci: gazety, plastikowe torby, fusy i skorupki po jajkach, zgniła połówka sałaty i kawałek cegły. Andy podniósł cegłę. Poczul w dłoni przyjemną szorstkość. Wyszedł na chodnik i zanim zdążył pomyśleć, zanim zastanowił się, co robi, uniósł dłoń i z całej siły rzucił cegłą w przednią szybę zaparkowanego przed restauracją samochodu.

Szkło posypało się gradem poszarpanych odłamków. Kobieta idąca chodnikiem krzyknęła, a mężczyzna obok niej wskazał na Andy'ego.

– Hej, chłopcze! – zawołał.

Andy rzucił się biegiem. Mężczyzna próbował go gonić, ale był stary i powolny, więc szybko został w tyle. Sprawne nogi migiem pokonywały kolejne metry chodnika, Andy meandrował ulicami jednokierunkowymi i brukowanymi uliczkami na tyłach domów, zbyt wąskimi dla samochodu. Nie czuł zimna, nie myślał o kurtce, o dziadkach ani o mamie, nie myślał o niczym, nie czuł nic, nic nie słyszał, w tym również wycia syren, aż do momentu, gdy ręce policjanta chwyciły kaptur jego bluzy i pociągnęły Andy'ego gwałtownie w tył. Pod mundurem gliniarz był miękkim, trzęsącym się mięsem, a zawieszzone u pasa radio i pistolet sprawiały, że portki wyglądały tak, jakby miały się zaraz zsunąć mężczyźnie z tyłka.

– Wesołych świąt, dupku – powiedział.

Andy szarpnął się gwałtownie.

– Wal się, tłuściochu – nie pozostał mu dłużny.

Wtedy policjant jeszcze raz pociągnął go za kaptur i rzucił na ścianę domu. Uderzenie wypchnęło mu z płuc całe powietrze, tymczasem policjant ostro wykręcił mu ręce, do tyłu i w górę. Ból wymiół z jego mózgu wszystko inne, nie czuł już śniegu we włosach ani na policzkach, śniegu, który topniał i mieszał się ze łzami.

Rachel  
1990

Wpadłam do pokoju chora ze wstydu. Było mi niedobrze, oczy piekły, a serce chciało się wyrwać z piersi. Moja kreacja na przyjęcie – szara minispódniczka z falbanami, różowo-szara góra oraz różowe rajstopy – wisiała spokojnie na oparciu krzesła. Uderzyłam w nie ze złością, więc rzeczy spadły na podłogę i leżały tam teraz jak półtora nieszczęścia. Nigdy w życiu nie było mi tak bardzo wstyd, nawet sobie nie wyobrażałam, że taki wstyd jest możliwy.

Bat micwa zaczęła się idealnie. Od tygodni się przygotowywałam, ćwiczyłam z taśmą od kantora Krugmana tak długo, aż znałam na pamięć i potrafiłam zaśpiewać każdy hebrajski wers. Babcia wzięła mnie na zakupy, wybrałyśmy granatową sukienkę, którą miałam na sobie podczas nabożeństwa („Bardzo gustowna” – skomentowała z aprobatą babcia), i kreację na przyjęcie. Mama w końcu pozwoliła mi przekłuć uszy, co prawda nie w Pagodzie, w galerii handlowej, gdzie zrobiły to wszystkie moje koleżanki, mimo że ją błagałam, tylko w gabinecie pediatry, „tak na wszelki wypadek”. Chociaż od półtora roku czułam się całkiem dobrze, nadal musiałam uważać na infekcje. Rano, przed nabożeństwem, mama wzięła mnie ze sobą do salonu, gdzie Annette, jej fryzjerka, ułożyła mi włosy, cudownie je prostując przy użyciu okrągłej szczotki. Zrobiła mi też manikiur, mój pierwszy, a mama pozwoliła jej nawet podkręcić mi rzęsy, nałożyć trochę tuszu i błyszczyc na usta. Cały czas siedziała w fotelu i przyglądała mi się w lustrach, czasami kładąc ręce na sercu, czasami pociągając lekko nosem, co stanowiło ostrzeżenie, gdybym tylko była czujniejsza.

Nabożeństwo rozpoczęło się o dziesiątej. W świątyni nie było tak tłoczno jak w najważniejsze święta, kiedy to wszystkie miejsca, do ostatniego, są zwykle zajęte, ale mimo to pierwsze dziesięć rzędów wypełnili goście, głównie ciocie, wujkowie i kuzynowie, między innymi siostra babci, ciocia Florence, i jej mąż Si, dwaj bracia taty z żonami i dziećmi. Moje koleżanki i koledzy siedzieli razem – Kara, Marissa, Kelsey i Britt oraz Josh S., Josh M., Derek i Ross, no i oczywiście wszystkie dzieciaki z niedzielnej szkoły hebrajskiej. Rodzice zasiedli w pierwszym rzędzie, mama w różowym kostiumie – plisowanej jedwabnej spódnicy do kolan i dopasowanym żakiecie zapinanym aż pod szyję – oraz w szpilkach, tata i Jonah w ciemnych garniturach i krawatach. Na bimie, z ciężkim srebrnym wskaźnikiem w dłoni, przesuwając palcem pod każdym hebrajskim słowem, stałam ja, ze zdenerwowania wręcz na baczność, ale kiedy przetrwałam pierwsze błogosławieństwa, zaczęłam się powoli uspokajać, odśpiewałam wszystkie modlitwy i swoją część Tory, a potem świetnie przeczytałam przygotowany tekst. Omawiany przeze mnie fragment dotyczył przestępstw seksualnych, które, jak wytłumaczył mi rabin Silver, nie do końca są najlepszym

tematem bat micwy. Razem postanowiliśmy, że podejść do tej kwestii bardziej ogólnie i będę mówić o zasadach jako takich, o tych, których należy przestrzegać, i o tych, które powinniśmy kwestionować, oraz o tym, które nakazy Biblii są dziś, w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, wciąż aktualne i przeszłyby zwycięsko współczesne, jak to rabin ujął, „przesłuchanie”.

Gdy skończyłam, nogi mi się trzęsły, ale nie tyle ze zdenerwowania, ile raczej pod wpływem odczuwanej ulgi. Myślałam już o imprezie, która miała się zacząć tuż po uroczystościach religijnych. Czekają dwadzieścia okrągłych stołów na dziesięć osób każdy, nakrytych różowo-srebrnymi obrusami i przystrojonych różowymi hortensjami w srebrnych misach, jeśli siedzieli przy nich dorośli, oraz różowo-srebrnymi balonami w przypadku dzieci. Po przystawkach dorośli dostaną kurczaka lub łososia, a dzieci meksykańskie przysmaki. Będzie też DJ i sześcioro dzieci, trzy dziewczynki i trzech chłopców, które poprowadzą różne tańce i zabawy.

Na koniec zabrał głos rabin, a pani Nussbaum ze zgromadzenia zakonnego podarowała mi złote świeczniki i modlitewnik. Staliśmy razem z rodzicami i Jonahem, blisko siebie pod modlitewną chustą taty, a rabin odczytywał specjalne błogosławieństwo.

– A teraz – powiedział – czy rodzice Rachel, Bernard i Helen, zechcieliby powiedzieć kilka słów?

Spodziewałam się, że to tata zabierze głos, bo gdy wcześniej razem wyszli do czytania, mama płakała i tak słabo śpiewała tekst Tory, że kantor sam przesunął mikrofon w stronę ojca. Zobaczyłam jednak, że tata kładzie dłoń na plecach mamy i lekko ją popycha, tak że niemal wpadła na niebieski aksamit z frędzlami przykrywający bimę. Wyciągnęła kartkę papieru, rozłożyła ją, poprawiła mikrofon i odchrząknęła.

– Kiedy Rachel się urodziła... – rozpoczęła.

– Nic nie słyhać! – zawołał wujek Si, któremu z uszu wystawały kępi siwych włosów i który zazwyczaj pachniał jak wiśniowe krople na gardło.

Mama uśmiechnęła się niewyraźnie. Wyciągnęła z rękawa chusteczkę i znów zaczęła, mocno opierając dłonie na kartce, którą położyła na pulpicie i wygładziła.

– Czas narodzin Rachel był bardzo trudny dla naszej rodziny. Jak wielu z was wie, Rachel urodziła się z wadą serca wymagającą natychmiastowej operacji. Przez kilka dni... – W tym miejscu wydała z siebie rozzierający dźwięk, jakby chciała zaszlochać, ale udało się jej powstrzymać. Szybko dokończyła zdanie. – Przez kilka dni nie wiedzieliśmy, czy nasza słodka dziewczynka przeżyje.

Poczułam, jak spowija mnie chłód, najpierw zdrętwiały mi palce u stóp, potem kostki, lodowate zimno przeszło do brzucha i posuwało się dalej, aż zmieniło mi ręce w dwa kawałki drewna.

Nie, błagam, to się nie może dziać naprawdę. Błagam, nie.

A jednak się działo.

– Kiedy miała sześć lat... – Mama głośno przełknęła ślinę i pociągnęła nosem, a potem złapała mnie za ramię, jakby się bała, że ucieknę. – ...znaleźliśmy ją w jej pokoju. Nie oddychała. Codziennie dziękuję Bogu za sanitariuszy, którzy przybyli tak szybko i przywrócili ją do życia, ale nie da się zapomnieć... – Znów okropnie załkała. – Nie da się zapomnieć tego uczucia, gdy widzi się swoje dziecko w takim stanie. Przez całe lata Rachel spała podłączona do monitora, tuż obok naszego łóżka. Co roku kolejna hospitalizacja, kolejna operacja lub wyjazd na izbę przyjęć, coś, co powodowało nawrót lęku, że Bóg mi ją odbierze. I ciągłe pytania: Dlaczego dotknęło to właśnie mnie, mojego męża i syna, dlaczego Bóg poddaje nas próbie w ten właśnie sposób, dlaczego dał nam taki skarb tylko po to, by go odebrać?

– Nie słyszemy cię! – zawołał znów wujek Si.

Wpatrywałam się w czubki swoich butów, autentycznie się modląc, chyba po raz pierwszy w trakcie tego nabożeństwa, żeby to się już skończyło. Spojrzałam na zebranych. Britt Weinstein zwyczajnie się gapiła, wielkimi okrągłymi oczyskami, a obaj Joshowie wyglądali tak, jakby się śmiali. Uczestniczyłam już w bar i bat micwach i wiedziałam, że rodzice czasami bardzo się wzruszają, a nawet płaczą, opowiadając, jak to ich synek czy córeczka stali się teraz mężczyzną czy kobietą, tyle że dziś to nie była zwykła mama ze zwykłą emocjonalną reakcją. To moja mama zdradzała nasze rodzinne sekrety, które ja przez ostatnie dziewięć miesięcy tak usilnie starałam się ukryć.

We wrześniu zaczęłam liceum, do którego uczęszczali uczniowie z pięciu różnych podstawówek miasta Clearview na Florydzie, czyli mnóstwo dzieciaków, których nie znałam i które nie znały mnie jako dziewczynki z zepsutym sercem, biednej Rachel, której ciągle nie było w szkole, która na wuefie musiała siedzieć na ławce, gdy reszta grała w piłkę, Rachel, dla której na plastyce ciągle robili kartki z życzeniami powrotu do zdrowia i która raz musiała mieć ze sobą w szkole butlę z tlenem.

Całe lato przemyślałam, jak zmienię się w dziewczynę wesołą, uśmiechniętą i swobodną, której największym problemem w dotychczasowym życiu było przekonanie się któregoś poranka, że jej ulubione dżinsy nadal leżą w praniu.

Garderoba stanowiła ważną część całej tej operacji, a mama była przeszczęśliwa, zabierając mnie na zakupy i kupując wszystko, co widziałam wcześniej w „Mademoiselle”, „Seventeen” i „Sassy”, a więc dekatyzowane dżinsy z wysokim stanem, bluzki od Henleya, krótkie ogrodniczki z szelkami krzyżującymi się na plecach, a nawet przykrótkie T-shirty, które odsłaniały mój brzuch, kiedy się rozciągnęłam. „Nie pokazuj ich ojcu” – mówiła przy kasie z zatroskanym spojrzeniem, a ja ją obejmowałam i upewniałam, że jest najlepszą

mamą na świecie.

Kiedy zaczęłam szkołę, wszyscy zobaczyli pewną siebie, uśmiechniętą, opaloną dziewczynę o błyszczących, kręconych włosach, dziewczynę, która z całą pewnością nigdy nie była chora. Co rano spędzałam pół godziny, nakładając na włosy serum i mus przeciw puszeniu, a potem lokówką doprowadzałam niesforne loki do fryzury à la Elizabeth Berkley w *Byle do dzwonka*. Nosiłam je rozpuszczone albo spięte w kucyki. Do tego różowe trampki i rozpinane koszule lub bluzki z kołnierzykami, na tyle wysokie, żeby zakryć bliznę.

Do Halloween miałam nową grupę przyjaciół, najfajniejsze dziewczyny i chłopaków, którzy się wokół nich kręcili. Marissa była zabawna, używała brzydkich słów, całowała się z trzema chłopakami, a z jednym z nich przeszła nawet do następnego etapu. Rodzice Kary byli rozwiedzeni, a mama spotykała się z kimś, więc Kara popołudniami miała cały dom dla siebie. Kelsey to dziewczyna spokojna i inteligentna, ale również tak śliczna, że dostała się do klubu najpopularniejszych, mimo że w ogóle nie miała takiego zamiaru. Natomiast Britt była jej najlepszą przyjaciółką od pierwszej klasy, choć zastanawiałam się, czy Kelsey nie wybrała jej dlatego, że wyglądała tak zwyczajnie, iż na jej tle ona robiła jeszcze większe wrażenie, jak brylant na tle zwykłego złota. Byli też chłopcy, na razie koledzy, tacy, którym się podobałyśmy – Derek, Ross, Josh S. i Josh M. Wszyscy oni siedzieli obecnie w synagodze i gapili się na mamę, która łkała tak strasznie, że nie potrafiła nawet przeczytać zapisanych wcześniej słów.

Tata podszedł więc do niej i objął ją w talii. Szepnął coś, czego nie dosłyszałam, ale mama pokręciła głową i pochyliła się do mikrofonu, tak że gdy przemówiła, wszyscy aż się wzdrygnęli. Usłyszałam wysoki ton przetworzony przez aparat słuchowy wujka Si.

– Nie wiem, dlaczego Bóg wybrał akurat naszą córkę do walki z tą chorobą, która będzie z nią przez całe życie, ale myślę, że dzięki niej Rachel jest nie tylko piękna, lecz także silna i potrafi docenić każdy dzień, który został jej dany, i wiem...

Cofnęła się, ramiona jej drżały. Rzuciłam Jonahowi bezradne, zrozpaczone spojrzenie, a on w odpowiedzi przewrócił oczami, jakby mówił: „Też nie mogę w to uwierzyć”. Dobrze, że miałam brata po swojej stronie, mimo że rano był na mnie wściekły. Zapewne przypomniał sobie swoją bar micwę, kiedy to tydzień wcześniej trafiłam do szpitala i mama była mną tak pochłonięta, że zapomniała o przeróbkach jego garnituru. Skończyło się na tym, że przed samym nabożeństwem babcia spinała mu rękawy agrafkami, a Jonah stał z zaciśniętymi ustami i udawał, że go to nie rusza i że wcale nie jest bliski płaczu.

– Wiem, że nie nam kwestionować Boże decyzje – kontynuowała mama swoim drżącym głosem. – I wiem, że każdy dzień z Rachel to dar. Modlę się o jeszcze wiele, wiele takich dni.

I wtedy, kiedy byłam już pewna, że nic gorszego nie może się wydarzyć, kiedy już przekonała moich przyjaciół, że jestem dzieckiem w stylu tych łysych i wychudzonych podopiecznych fundacji Mam Życzenie widywanych w reklamach telewizyjnych lub podobnych do Alice, mojej szpitalnej koleżanki, mama otoczyła mnie ramionami, zatopiła głowę w moich włosach i ścisnęła mnie tak mocno, że nie mogłam się ruszyć i z ledwością oddychałam, aż w końcu rabin i tata razem, bardzo delikatnie, oderwali ją ode mnie i zaprowadzili, wciąż płaczącą, na miejsce.

Do mojego pokoju hotelowego dochodziła muzyka, *Celebration* Kool & the Gang. Koleżanki prawdopodobnie tańczą, bez butów, za to w skarpetkach z napisem Rachel, które kupiliśmy na tę okazję. Usiadłam na kanapie, nadal w granatowej sukience, myśląc sobie, że najchętniej zostałabym tutaj do końca. Mogłabym powiedzieć, że niezbyt dobrze się czuję. Po wystąpieniu mamy każdy by mi uwierzył.

– Rachel?

Drzwi się otworzyły i weszła babcia, przechodząc ostrożnie, żeby nie nadepnąć na rozrzucone ubrania.

– No cóż, niezłe przedstawienie! – skomentowała.

Wydałam z siebie coś w rodzaju chichotu, choć niezupełnie, nie odrywając jednak rąk od twarzy. Babcia usiadła obok, a ja się o nią oparłam, czując zapach talku i perfum Ivoire.

Babcia to mama mamy, ale są tak różne, że czasem trudno uwierzyć, iż w ogóle łączy je jakieś pokrewieństwo. Mieszkała na osiedlu dla emerytów piętnaście minut od nas, w kompleksie składającym się z identycznych domków nad sztucznymi jeziorami z polem golfowym w środku. Ale w sumie rzadko tam bywała. Domu używała jak przebieralni, w której się zatrzymywała w drodze między pralnią a tygodniowym wyjazdem do przyjaciół. Potem się przepakowywała i znów wyjeżdżała. „Nosi mnie” – mawiała i wybierała się w kolejną podróż, czasem z grupą z synagogi, czasem sama. Była na Alasce, w Izraelu, w Europie i w Japonii. Kiedyś pojechała na safari, ubrana w lekkie spodnie i baleriny. Przysyłała kartki spod Ściany Płaczu, z wieżą Eiffla czy Big Benem, a wracała ze zdjęciami jaguarów i lwów. Śmiała się, opowiadając, że przez ściany jej namiotu każdy kształt wydawał się dzikim kotem, ale w końcu okazywał się przewodnikiem lub towarzyszem podróży. Obiecała, że po skończeniu liceum będę mogła wybrać dowolne miejsce, a ona mnie tam zabierze.

Teraz śpiewała Whitney Houston, *I Wanna Dance with Somebody*, a babcia mnie przytuliła. Miała bladą i miękką skórę, na policzkach róż, włosy pozostawały siwe, krótko je obcinała, więc na głowie formowało się gniazdo loczków. Nigdy nie widziałam jej bez makijażu, zawsze też była elegancko ubrana, zazwyczaj w kremach i różach. Na moją bat micwę włożyła tweedową spódnicę i żakiet z maleńkich kwadracików różu i bieli z ciemnoróżową lamówką wokół klap i na

kieszeniach, a pod spód kremową jedwabną bluzkę. Na głowie miała kapelusz, jak zwykle w synagodze, zawadiacki dysk bladuróżowej wełny z małym fragmentem siateczki wystającej spod ronda.

– Nie włożysz swojej kreacji? – zapytała tak delikatnie, że nagle odeszła mi cała złość. Chciało mi się tylko płakać.

– Czemu musiała to zrobić? – zapytałam. Jak mała dziewczynka, jakbym miała sześć, a nie trzynaście lat i była oficjalnie dorosła. – Dlaczego musiała ze mnie zrobić dziwaczkę? Przecież wszystko ze mną w porządku, od szóstej klasy nie byłam w szpitalu, a teraz wszyscy wezmą mnie za jakieś dziwadło. – Głos mi drżał, tak jak mamie, ale nie miałam zamiaru się rozpłakać.

– Do pewnego stopnia przyznaję ci rację. Cóż, nie wypadło idealnie – mówiła bez emocji babcia. – Co do przyjaciół... pozostaną nimi, o ile to rzeczywiście przyjaciele. I wiesz, tak sobie myślę, że może pierwszą rzeczą w twoim dorosłym życiu żydowskiej kobiety będzie przebaczenie mamie?

W końcu się wyprostowałam i spojrzałam na nią. Z mojego doświadczenia wynikało, że to rodzice wybaczą dzieciom – mokre ręczniki na podłodze, brak zadania domowego, zapomnienie ze szkoły druczku zgody na wyjazd i wiele innych rzeczy, dużych i małych, których nie dopilnowaliśmy, rozczarowując ich po raz kolejny. To nie dzieci wybaczały rodzicom. Babcia jednak patrzyła na mnie bardzo poważnym wzrokiem.

– Rodzice nie są idealni – tłumaczyła. – Ja taka nie byłam, twoja mama nie jest i prawdopodobnie, jeśli urodzisz własne dzieci, ty też taka nie będziesz. – Podobało mi się, że powiedziała „jeśli”, a nie „kiedy”, jak zawsze mawiała moja druga babcia, mama taty. – Mama bardzo cię kocha i to nie było dla niej łatwe. Wiem, że nie lubisz o tym myśleć, i doskonale rozumiem, że nie chcesz robić z tego wielkiej sprawy, ale, Rachel, ona naprawdę cierpiała.

Znów zamknęłam oczy. Wiedziałam, że babcia ma rację i że mamie było trudno, ale nie mogłam przestać myśleć o tym, że takie samo przedstawienie urządzi na wręczaniu dyplomów, na moim ślubie i kiedy – jeśli – urodzę pierwsze dziecko, i że gdziekolwiek pójdę i kogokolwiek poznam, moja mama będzie w pobliżu, przypominając, że może i wyglądam normalnie, ale taka nie jestem, ponieważ jestem chora i krucha i niemal umarłam, i nadal mogę, i że nigdy nie będę taka sama jak inni.

Usłyszałam za drzwiami jakieś śmiechy, odgłos biegających stóp, pewnie dziewczyny szły do łazienki. Musieli już podać przystawki, małe hot dogi w cieście, moje ulubione, i sajgonki z sosem morelowym.

– Słyszałaś, co rabin mówił o byciu dzielną niewiastą? – zapytała babcia.

Wzruszyłam ramionami. Nie chciałam przyznać, że nie słuchałam, bo myślami byłam już na przyjęciu, ciesząc się, że mam przyjaciół, fajnych i wesołych, którzy nie uważają mnie za chorą, dziwną ani popsutą.



Babcia z uśmiechem pokręciła głową.

– Ten człowiek uwielbia dźwięk własnego głosu. Ale dziś wcale nie było tak źle. *Eszet chail* – powiedziała po hebrajsku. – Dzielna niewiasta. Jest o tym wiersz, w Księdze Przysłów. Kiedyś znałam cały, ale ta część, którą pamiętam najlepiej, przy której pomyślałam o tobie, brzmi tak: „Otwiera dłoń ubogiemu, do nędzarza wyciąga swe ręce”.

– Mama nie jest biedna – wymamrotałam.

Babcia westchnęła.

– Nie, ale jest w potrzebie. Chce wierzyć, że wszystko z tobą będzie dobrze, a tego nie może jej dać żaden lekarz. Potrafisz sobie wyobrazić, jakie to dla niej trudne?

Nie potrafiłam. Ale pomyślałam, że mogę przynajmniej być dla niej dobra, nawet jeśli jej nie rozumiem i mimo to, że mnie zawstydziła.

Babcia się wyprostowała, poprawiła kapelusz, a potem wyrecytowała:

– „Kłamliwy wdzięk i marne jest piękno: chwalić należy niewiastę, co boi się Pana”.

– Nie wiem, czy wierzę w Boga – wymknęło mi się. Dużo o tym rozmyślałam, chociaż nie planowałam się tym dzielić, szczególnie w ten dzień. Ale jaki bóg pozwoliłby umrzeć sześciu milionom ludzi w piecach obozu koncentracyjnego? Jaki bóg pozwoliłby porywać małe dzieci? Jaki pozwoliłby im umierać w gorący dzień w samochodzie, bo rodzice o nich zapomnieli? Jaki bóg pozwoliłby urodzić się dziecku z wadą serca albo pozwolił jego mamie zawstydząć je śmiertelnie na bat micwie? Dlaczego Bóg pozwolił umrzeć Alice?

Babcia mnie zaskoczyła.

– Ja też nie jestem pewna, czy wierzę. Za to wierzę, że ludzie mogą być dla siebie dobrzy. – Znów mnie przytuliła. Czubek mojej głowy oparł się o jej policzek. – I to zawsze w tobie najbardziej kochałam. Masz dobre serce, Rachel.

– Jasne, dobre, zepsute serce, które nie działa prawidłowo i pewnie mnie kiedyś zabije, na przykład jutro, więc lepiej niech mama wsadzi mnie pod klosz i nigdy nie wypuszcza z domu.

Babcia pocałowała mnie w czoło.

– Jestem z ciebie dumna – powiedziała, co według mnie było o wiele lepsze niż „kocham cię”. – A teraz przebierz się wreszcie, bo ominie cię własne przyjęcie.

Poszłam do przebieralni, włożyłam spódniczkę i zbiegłam na dół, czując się jednak wciąż dziewczyną, nie kobietą.

Andy  
1990

– Cześć, młodzieńcze szybki jak strzała – przywitał go pan Sills.

Przednimi kołami wjechał na chodnik, a potem wycofał, żeby prosto zaparkować. Otworzył drzwi od strony pasażera i Andy wsiadł. Sierpniowy poranek był parny, zanosilo się na upał rzędu trzydziestu pięciu stopni. Andy miał na sobie tenisówki, spodenki i przynoszący szczęście T-shirt Sixersów, wziął też butelkę wody, którą całą noc trzymał w zamrażalniku.

– Gotowy? – zapytał pan Sills, wrzucając bieg. Andy kiwnął głową. – Zdenerwowany?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Rozmowny jak zawsze – zauważył jego towarzysz, wyjeżdżając na drogę w stronę autostrady, która miała zaprowadzić ich do Franklin Field.

Tamtego feralnego dnia przed Bożym Narodzeniem, kiedy to Andy wyrzucił nowiuteńką kurtkę, a potem roztrzaskał komuś cegłą szybę w samochodzie i został złapany przez policjanta, to właśnie pan Sills przyszedł na komisariat. Zawiadomił też mamę Andy'ego. Już drugi raz z rzędu Lori musiała się zwalniać z pracy z powodu syna. W swojej obcisłej bluzeczce, z jaskrawoczerwoną szminką na ustach i mikołajkową czapeczką na głowie oczarowała dyżurnego, a potem i funkcjonariusza, który Andy'ego złapał. Gdy tylko oficer Nash dowiedział się, że Andy ma dopiero dziesięć lat – kłamstwo to Lori wyartykułowała, kładąc dłoń na rękę policjanta i pozwalając, by jej piersi otarły się o jego bark – zgodził się go puścić jedynie z upomnieniem.

– Ale nie może się znów pakować w kłopoty – zastrzegł.

Lori uśmiechnęła się słodko i obiecała, że nie będzie.

– Sytuacja może przyjąć dwojaki obrót – tłumaczyła spokojnie w samochodzie, mocno trzymając kierownicę. – Albo dalej będziesz się wściekał i wpadał w tarapaty, które skończą się w poprawczaku, a nawet i więzieniu, albo wymyślisz coś, żeby się w te tarapaty nie pakować. Moja rada brzmi: biegaj.

Już miał ją poprosić o wyjaśnienie, jak niby bieganie może tutaj pomóc, kiedy sama to zrobiła.

– Jak przyjdzie ci ochota komuś przyłożyć albo rzucić czymś ciężkim, po prostu biegnij. Biegnij tak długo, aż nie będziesz w stanie ruszyć ręką, aż zupełnie opadniesz z sił. Jeśli nawet wtedy ci nie przejdzie, poczekaj, aż złapiesz oddech, i ciskaj, trudno. Wypróbuj ten sposób – poradziła i uniosła dłoń, by powstrzymać jego „ale mamó”, zanim zdążył je wypowiedzieć. – Wypróbuj przez miesiąc. Jeśli się nie sprawdzi, pomyślimy o czymś innym.

Może to jej rada pomogła, a może robota przy gazetach, którą złapał tej wiosny, żeby zwrócić mamie kasę za wstawienie nowej szyby.

Pan Sills był tam wtedy, w niedzielę, zaraz po tym, jak ciężarówka „Examinera” zostawiła na chodniku przed domem Andy’ego cztery paki gazet. Andy pochylał się właśnie nad nimi, gdy nadszedł pan Sills ze swoją fajeczką. Zastanawiał się, czy sąsiada nie obudził przypadkiem hałas samochodu.

– Sporo tego – stwierdził pan Sills, przechodząc na jego stronę.

Andy przytaknął.

– Pewnie nie masz roweru?

Pokręcił głową. Wciąż oszczędzał, choć czasem miał wrażenie, że nie nabiera nawet na używany rowerek dziecięcy.

– Ależ z ciebie rozmowny gość! – Pan Sills sięgnął do kieszeni, wyciągnął mały nożyk o zakrzywionym ostrzu i przeciął sznurek na jednej z paczek. – No to jaki masz plan?

Andy wskazał swój szkolny, teraz pusty, plecak oraz dwie płócienne torby dostarczone przez redakcję gazety. Poprzedniego wieczoru wszystko sobie przemyślał. Zrobi dwie rundki. Do torby na lewym ramieniu załaduje kilkanaście gazet, w plecaku i torbie na prawym ramieniu upchnie ile się da, tak żeby mógł swobodnie sięgać po gazety i rzucać je, nie przerywając biegu.

– Będę biegł.

Kiedy pan Sills pykał z fajeczki, przyglądając się chłopcu z rozbawieniem, ale także z lekkim niepokojem, Andy zaczął pakować gazety. Po zapamiętaniu pierwszych trzech adresów włożył mapkę do kieszeni i ruszył truchtem w stronę domu stojącego dwie przecznice dalej, potem na drugą stronę – trzy domy obok siebie – następnie w Rand Street, z niej w Ontario, gdzie zostawił dwa egzemplarze, i w Argyle, gotowy do kolejnego zrzutu. Prychnął na niego bezdomny kot, uciekając mu z drogi, jakiś stary gruchot ciągnął za sobą tłusty, szary dym. Na chodnikach było mnóstwo śmieci, kocich gówien i starych gazet, a także torebek, w których sprzedawano narkotyki. Czasami trafiał nawet na igłę lub strzykawkę. Na każdym rogu stał diler, rozglądając się za klientem i mając oko na policję.

Przebiegł Argyle, dwa razy skręcił w lewo i znalazł się na Malta Street – torba z prawej była pusta. Sięgnął do plecaka, przełożył gazety do lewej torby, załatwił Malte i ruszył wzdłuż Ontario do domu. W głowie słyszał głos Jima McKaya, prowadzącego *ABC’s Wide World of Sports*: „Młody Andy Landis idzie pewnie po rekord dystansu. Niespotykana szybkość i determinacja. O tym młodym człowieku z pewnością jeszcze usłyszymy”.

Sprintem biegł przez Kensington, której chodniki były przeważnie puste, a sklepy jeszcze zamknięte, z zasuniętymi kratami. I obok hiszpańskiej restauracji z kontenerem na tyłach, gdzie znalazł ten kawałek cegły, ale oni nie zamawiali gazety, więc nawet nie spojrzął. Następna była Willard – z górki, potem Madison – pod górkę, i znów w dół Jasper aż do East Hilton, ponownie kawałek Kensington

do Allegheny i wreszcie Wishart. Nawet tutaj, gdzie królowały beton i asfalt oraz wilgotny powiew od rzeki Delaware, dawało się wyczuć wiosnę i dojrzeć plamy zielonej trawy wyrastającej na opuszczonych działkach oraz chwasty przebijające się przez szczeliny w płytkach chodnikowych. Andy odniósł wrażenie, że wie, do czego został stworzony – a mianowicie do tego, by biegać po ulicach i rzucać przewiązane gumką gazety tak, by wylądowały dokładnie przed drzwiami wejściowymi, poruszać się szybciej niż rowerzyści i policjanci patrolujący ulice w swoich wozach. Po to się urodził i to było jego przeznaczenie. Pot ściekał mu po policzkach, krew buzowała w żyłach, serce uderzało mocno i miarowo. Chciał już tak zawsze biec.

– Spokojnie, kolego! – zawołał pan Sills przez otwartą szybę swojej furgonetki, w której sączył kawę, gdy Andy wrócił po ostatnią paczkę. – Chyba nie chcesz dorobić się przepukliny!

Andy z uśmiechem pomachał do niego i już biegł dalej, czując ciepło na policzkach. Minął kilka dziewcząt w dżinsowych minispódniczkach. Czuł, jakby z każdym krokiem wydobywał się spod czegoś ciężkiego – na to coś składała się, po pierwsze, bójka z Ryanem Petermanem, który nie odezwał się do niego od, jak to nazywał Andy, Wydarzenia z Kurtką, po drugie, fakt, że mama nie pozwalała mu widywać dziadków, po trzecie, spojrzenie, którym obrzucały go kucharki, nakładając mu na talerz dodatkową porcję spaghetti albo ziemniaków, po czwarte, to, że jego sztruksy toughskiny były znów za krótkie i wystawały z nich gołe kostki. A także sposób, w jaki dzieciaki dzieliły się teraz na grupy, czarne osobno, białe osobno, a Andy nie wiedział właściwie, do której należy. I to, że na niedzielnej mszy dla ojców i synów, po której było wspólne śniadanie z naleśnikami, wszyscy mieli ojca, tylko on nie.

Allegheny, F Street, Westmoreland, tu o mały włos nie wpadłby na starszego faceta z pudlem.

– Przepraszam! – zawołał przez ramię.

– Uważaj lepiej! Widzicie go, następny Roger Bannister! – zareagował właściciel psa, a Andy od razu odgadł, że Bannister to biegacz, tak jak on.

Kiedy dostarczył ostatnią gazetę, niemal ogarnął go żal. Stał na Clearfield Street, przy McPherson Square, który miał być skwerem, ale faktycznie był ulicznym bazarkiem z prochami, i mama ostrzegła, żeby nigdy, przenigdy tam nie chodził. Rzeczywiście, walało się tu więcej igieł i strzykawek, plastikowe woreczki niesione wiatrem przelatowały w powietrzu, a bezdomni leżeli na ławkach i w okrągłym betonowym tunelu, który miał służyć do zabaw małym dzieciom. Stał pochylony, opierając dłonie na kolanach, a krople potu spadały na chodnik. Musiał złapać oddech. I wtedy usłyszał za sobą klakson. Pan Sills w swojej niebieskiej furgonetce.

– Wsiadaj, człowieku strzało! – powiedział. – Mogę postawić ci śniadanie?

Normalnie Andy potrząsnąłby głową. Mimo że pan Sills odwiedzał ich w domu – właściwie to on znalazł im nowe mieszkanie, naprzeciwko swojego, w innej części Kensington – Andy ograniczał rozmowy z nim do minimum. Kiedyś w szkole nauczycielka zapytała, czy chciałby wziąć udział w programie *Big Brother*, gdzie dostałby do pary dorosłego, który zabierałby go w różne miejsca, do kina, muzeum i tym podobne. Andy grzecznie podziękował, bo wiedział, że Lori nie życzyłaby sobie, aby spędzał czas z obcym, i może nawet opowiadał mu o sobie. Ale niekiedy miał wrażenie, że mama pozwala Sillsowi kręcić się w pobliżu, żeby właśnie był takim Wielkim Bratem, człowiekiem, którego Andy mógłby szanować i na którym mógłby się wzorować, koniec cytatu. Nie chciał tego, nie chciał, żeby obcy człowiek mówił mu, co ma robić, albo, tym bardziej, wchodził w rolę jego ojca, więc był dla pana Sillsa miły i nic ponadto.

Tego ranka jednak po prostu umierał z głodu, a wiedział, że w domu nie mają ani płatków, ani chleba tostowego.

– Zapytam – odparł i zanim zdążyłby się rozmyślić, pobiegł szybko do domu.

Furgonetka pana Sillsa telepała się za nim.

– Hej, mammo!

– Hej to do konia – odpowiedziała, jak to ona.

– Mogę zjeść śniadanie z panem Sillsem?

Usłyszał jej westchnienie i przygotował się na odmowę.

– Jeśli za godzinę cię nie będzie, dzwonię na policję – odparła.

Umył ręce i twarz, zmienił koszulkę. Pan Sills zaparkował naprzeciwko drzwi wejściowych. Andy wszedł, zauważając, że fotel został uprzątnięty. Pod nogami wałały mu się za to trzy czy cztery kubki po kawie wraz ze starymi numerami „National Geographic”.

Trochę się martwił, o czym będą rozmawiać, ale pan Sills mówił wystarczająco dużo za nich dwóch – o tym, dlaczego psują się nowe pralki, i o swojej siostrzenicy, która niedawno urodziła córkę.

– Cztery trzysta! Fest baba.

Andy niewiele się odzywał, ale słuchał. W kabinie pachniało tytoniem i kawą. Puste kubki przetaczały się po podłodze, delikatnie pobrzękując na każdym czerwonym świetle.

W Country Club Diner usiedli w jednym z boksów.

– Ja to co zwykle, słoneczko – zwrócił się Sills do kelnerki, która chyba go znała i bez pytania nalala mu kawy do filiżanki.

– A ty, kochanie? – zapytała Andy’ego, unosząc dłoń z długopisem.

– Tylko grzanekę. – Przełknął z trudnością. Czuł w powietrzu jajka i bekon, widział też stos francuskich tostów, które kelnerka niosła do drugiego stolika.

– To wszystko? Coś do picia?

Andy spojrział w kartę. Sok pomarańczowy dolar dwadzieścia pięć za małą porcję – idiotyzm, przecież czterolitrowy karton kosztował niecałe dwa.

– Wystarczy woda.

– Przynies mu Głodomora – zdecydował pan Sills. – A ty powiedz tylko – zwrócił się do Andy’ego – jakie chcesz jajka. Mocno przysmażone?

Głodomór okazał się dwoma talerzami jedzenia plus kaszka. Było tam wszystko: naleśniki, dwa jajka sadzone, smażone z dwóch stron, bekon i kiełbasa, tost z białego chleba przekrojony na trójkąty. Andy polał naleśniki syropem, posmarował tost masłem i dżemem, polał jajka ostrym sosem i całość zjadł, nie zapominając podziękować, kiedy pan Sills zamówił jeszcze duży sok pomarańczowy i gorącą czekoladę. Jadł, jadł i jadł, a kiedy skończył, pomyślał, że nigdy w życiu nie był tak objedzony, nawet u babci w czasie świąt.

Pan Sills, który zamówił tylko dwa jajka w koszulkach z żytnim tostem, przez cały posiłek dalej spokojnie opowiadał. Andy z zadowoleniem przyjął wiadomość, że pan Sills również kibicuje Sixersom, szczególnie Charlesowi Barkleyowi.

– Mówią o nim „okrągły”. – Z tymi słowy pan Sills poklepał się po brzuchu.

Pan Sills sam był cały okrągły – okrągła twarz, pękaty brzuch i duże, grube paluchy. Nosił okulary w złotych oprawkach, skórę miał dość ciemną – nie tak ciemną jak pan Stratton, ale też nie tak jasną jak Andy. Tata Andy’ego też miał średnio ciemną skórę i Andy zastanawiał się, jak to jest, że bardziej przypomina mamę, zwłaszcza jeśli chodzi o kolor. Wiele razy, kiedy był z mamą, ludzie sądzili, że jest biały. Zdarzało się, że prosto w twarz mówili mu złe rzeczy o czarnych, na przykład wtedy, gdy powiedział pani w sklepie obuwicznym, gdzie mieszka, a ona od razu zrobiła minę. „A po co to się pchać między nich? Przecież nie jesteś czarny”. „Nie jest” – odparła ze słodkim uśmiechem Lori i przyciągnęła go do siebie. „Ale jego ojciec był”. Kobieta wycofała się, najwyraźniej zszokowana.

– Lubisz koszykówkę? – zapytał pan Sills.

– Może być – przyznał Andy, wycierając twarz serwetką, by na pewno pozbyć się z brody całego syropu.

Pan Sills przyglądał mu się uważnie i Andy’emu przyszło do głowy, że ma coś jeszcze do powiedzenia, gdy ten wypalił:

– No bo twój tata grał.

Andy był zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć. Nikt nigdy nie mówił o jego ojcu. Nikt nawet nie wypowiedział w jego obecności słów „twój tata”. Lori właściwie nie mówiła nic. „Poszedł do wojska i zginął. Koniec historii” – odparła te kilka razy, gdy Andy zdobył się na odwagę, by zapytać.

Wiedział, że nazwisko miał po nim i że był czarny, chodził do szkoły katolickiej, zaciągnął się po urodzeniu Andy’ego, bo nie mógł znaleźć pracy. Stacjonował w Niemczech i miał ich sprowadzić, ale potem zginął w wypadku.

Gdzie w Niemczech? W jakim wypadku? Gdzie są jego rodzice i czy kiedykolwiek widzieli Andy'ego? Mógłby zapytać, ale Lori pokręciłaby tylko głową z tak ogromnym smutkiem, że wydałaby się jakby mniejsza, skurczona, praktycznie znikając na jego oczach w tym swoim czarnym ubraniu. „Nie akceptowali mnie” – mówiła tonem sugerującym, że byli również przeciwko Andy'emu.

– Mój tata grał w koszykówkę? – zapytał ochryłym głosem, a jego stopy zaczęły mimowolnie bębnić w restauracyjną wykładzinę.

– Tak jest, proszę pana – potwierdził Sills. – Był środkowym. Grał z moim synem, jeśli mam być dokładny. W liceum.

Andy'emu zajęło chwilę, zanim przypomniał sobie, że wie, o które liceum chodzi, mama mu kiedyś powiedziała. Rodzice poznali się na jakiejś potańcówce w szkole właśnie i pobrali się zaraz po zdaniu egzaminów końcowych, jego mama w Hallahan, a tata w...

– Roman Catholic?

Pan Sills przytaknął.

– Znał go pan? – zapytał Andy. – Znał pan mojego tatę?

Te dwa słowa „mój tata” tak cudownie układały mu się w ustach, że miałby ochotę wciąż je powtarzać.

– Słyszałem o nim – uściślił pan Sills. – Raz czy dwa widziałem go na boisku. – Kiedy się uśmiechał, okulary wędrowały mu w górę, do brwi. – Twój tata był chyba najlepszym graczem ligi szkół katolickich. Może nawet najlepszym w mieście.

Wszystko to było dla chłopca zupełną nowością. Serce waliło mu jak w trakcie biegu.

– Naprawdę?

Pan Sills otworzył skórzane etui, zerknął na rachunek i położył na stole dwadzieścia dolarów i jeszcze dziesięć. Andy policzył w głowie i uznał, że to dlatego kelnerka tak się ucieszyła na jego widok.

Razu pewnego poszedł na pizzę ze Strattonami. Pani, która prowadziła klientów do stolika, zeszywniała na ich widok i zapytała, czy przyszli odebrać zamówienie, choć nikomu innemu tego pytania nie zadała. Była biała, podobnie jak większość siedzących w restauracji. Kiedy w końcu pokazała im stolik, pan Stratton był wyraźnie zły. „Typowe” – szepnął do żony.

– Wsiadaj – zachęcił Andy'ego pan Sills. Niedługo później podjechali pod ich nowe lokum... ale zamiast zostawić go tutaj, Sills zabrał Andy'ego kilka domów dalej, gdzie sam mieszkał. Andy się zawahał, kiedy pan Sills otwierał drzwi. Lori zgodziła się na śniadanie, nie na wizyty domowe, jednak tak bardzo chciał dowiedzieć się czegoś o ojcu od kogoś, kto go znał, że wszedłby do środka, nawet gdyby stała z założonymi rękami, blokując wejście, i mówiła: „Zabraniam”.

Mieszkanie znajdowało się na parterze. Pan Sills udał się, jak sądził Andy,

do kuchni, gdy tymczasem on stał oszołomiony, rozglądając się dookoła. Wyglądało na to, że każdy skrawek przestrzeni małego pomieszczenia – każdy centymetr ściany i podłogi – był zakryty, zajęty, zastawiony. Na ścianach obrazy, rysunki, strony wyrwane z czasopism, wszystkie w ramach różnych odcieni miedzi, brązu i złota, niemal zakrywały tapetę w zielono-kremowy wzór. Jedną ścianę tworzyły właściwie lustra. Andy zauważył sterty książek i czasopism, stare lampy, dziwną rzecz z brązu, która potem okazała się spluwaczką, stoliki na delikatnych nóżkach przy kanapie i dwa fotele okryte pokrowcami. Na podłodze leżały wzorzyste dywany w odcieniach złota, czerwieni, niebieskości i szmaragdowej zieleni.

Przyglądając się uważniej, Andy odkrył sekret tego pokoju – a mianowicie wąską ścieżkę wiodącą od drzwi do kuchni, od której odchodziła kolejna, prowadząca do foteli z jednej strony i do kanapy z drugiej. Obrazy, rysunki i fotografie pogrupowano tematycznie: najpierw kwiaty, potem krajobrazy, a dalej psy – niektóre w pozach ludzkich, inne w klasycznie psych. Jeden z obrazów przedstawiał psy w ubraniach podczas partyjki brydża. Lustra także miały różne rozmiary, od takich jak w pudernicze mamy do wielkości ekranu telewizora. Kilka z nich otaczały złote ramy uformowane w winorośl lub wzór kwiatowy. Nie było kominka, ale pozostała po nim półka. A na niej samotne zdjęcie młodej, szczupłej kobiety w sukni ślubnej. Stała bokiem, trzymając w rękach bukiet, długi welon spływał jej po plecach.

– To pani Sills – wyjaśnił pan Sills.

Niósł tacę z imbrykiem i talerzykiem ciasteczek maślanych, w kształcie półksiężyców, z posypką cukrową, a Andy, który piętnaście minut wcześniej myślał, że już nigdy niczego nie tknie, poczuł, że znów jest głodny.

– Dalej, częstuj się – zachęcał pan Sills.

Andy tak właśnie zrobił, podczas gdy tamten nalewał im herbatę.

– Zmarła osiem lat temu. Bardzo mi jej brakuje – ciągnął pan Sills rzeczowym tonem, jakby to nie było nic takiego, stwierdzić, że ktoś umarł i że bardzo go brakuje.

A gdyby tak Lori postawiła zdjęcie ojca, żeby Andy mógł je codziennie oglądać? Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Raz, kiedy był mały, pokazała mu ich zdjęcie ślubne. Ona w białej sukience, z burzą włosów na głowie, ledwie przytrzymywaną błyszczącą białą opaską, a obok chudy i wysoki ojciec – chyba nie czuł się zbyt swobodnie w swoim smokingu, spod rękawów wystawały mu nadgarstki. Miał duże, ciemne oczy i krótko obcięte włosy, usta takie same jak te, które Andy co rano widział w lustrze. Nie dalej niż we wrześnieu pytał mamę, czy ma jakieś inne zdjęcia, ale tylko pokręciła głową, a jej twarz stężała.

Andy szedł za panem Sillsem w kierunku dwóch foteli i stolika pomiędzy nimi. Pod stolikiem leżał stos starych numerów „Sports Illustrated”, więc rzucił im



tęskne spojrzenie. Pokój przypominał chłopcu ilustrację z *Hobbita* przedstawiającą chatę Bilba Bagginsa. Spojrzał na oprawione plakaty reklamujące dawne mecze bokserskie, sterty „National Geographic” i magazynów „Life”, porcelanowe figurki, które nawet w jego oczach wyglądały na dużo droższe niż te należące do mamy. Z kolei na stoliku przy kanapie leżała rozłożona szachownica, a także sporo pudeł na kapelusze, przynajmniej tak wydawało się Andy’emu – duże i małe, razem tworzyły wieże wysokości chłopca.

– Skąd to wszystko? – zapytał pana Sillsa, gdy ten wrócił z albumem.

– Z różnych miejsc.

Usiadł obok Andy’ego, napił się herbaty i otworzył album.

– Proszę, pani Sills ułożyła je chronologicznie, każdy rok liceum osobno.

Andy powoli przewracał kartki: zdjęcie klasy DeVaughna, chłopca o okrągłej twarzy i uśmiechu pana Sill-sa, dalej drużyna koszykarska klas pierwszych, chłopcy w czerwono-niebieskich strojach ustawieni w trzech rzędach, pod spodem nazwiska. DeVaughn Sills stał w pierwszym rzędzie, w drugim natomiast Andy odnalazł inny znajomy uśmiech i swoje nazwisko. Wielkie dłonie obejmowały piłkę, nadgarstki i palce ojca były bardzo podobne do jego własnych.

Czuł, jak ogarnia go zdumienie, miał gęsią skórkę i sucho w gardle. Ominął strony z ocenami DeVaughna i wypracowaniem na temat konwencji genewskiej, zatrzymując się na pożółkłym artykule wyciętym z „Examinera”. „Roman Catholic dochodzi do półfinałów” przeczytał. „Pomimo wysiłków wybijającego się wśród drugoklasistów środkowego Andy’ego Landisa, który zdobywając 28 punktów, pobił rekord szkoły, Crusadersi przegrywają z Knightsami w półfinałach turnieju ligi szkół katolickich”.

Dołączono czarno-białe zdjęcie mężczyzny – właściwie chłopca – w trakcie skoku, z piłką na czubkach palców, przy obręczy kosza. Andy pochylił się tak, że nosem niemal dotykał plastiku, i studiował każdy szczegół. Jego ojciec, Andrew senior, miał taką samą pociągłą twarz, pełne usta i szeroko rozstawione oczy, ale nos szerszy i włosy bardziej kręcone. Patrzył na jego nogi w krótkich spodenkach, jakie w tamtych czasach nosili zawodnicy, długie nogi, z wyraźnie zarysowanymi mięśniami łydek i ud. Ręce miał zresztą równie silne. Zbudowany był podobnie jak Andy: szczupły, ale mocny.

A więc jesteś, pomyślał z radością i zdziwieniem. Oto jego druga połowa, pozostała część, człowiek, który dał mu oczy, usta i długie nogi. Andy czuł, że na zdjęciu ślubnym ojciec nie był sobą, tam ktoś mu powiedział, co ma włożyć i jak stać, za to tutaj wręcz przeciwnie, był w swoim żywiole, wyskakując w powietrze, jakby grawitacja w ogóle nie istniała, energiczny i pełen życia, wyglądał, jakby z łatwością mógł kontynuować ten skok i wznosić się dalej, zginając rękę tak długo, aż piłka wpadłaby do kosza. Tata pewnie czuł się na boisku tak samo jak on na bieżni albo porządnej drodze. Tam właśnie czuł, że żyje. Wtedy wszystko

nabierało sensu. To był jego świat.

Andy przewracał kartki, szukając kolejnych wzmianek o ojcu. I znalazł. „Środkowy Andrew Landis zdobył 22 punkty w meczu z West Catholic Prep, walnie przyczyniając się do wygranej swojej drużyny”. „Andrew Landis zdobył rekordowe 32 punkty”. Zdjęć już nie było.

– Wybijający się zawodnik Andrew Landis – szepnął Andy... a potem tak cicho, żeby pan Sills go nie usłyszał, dodał: – Tata.

– Tak, to on – potwierdził pan Sills. – Miał to coś, potrafił się znaleźć we właściwym miejscu we właściwym czasie. I ta szybkość! – Gwizdnął z podziwem. – Jak dostał piłkę, nikt go nie mógł zatrzymać. Ale nie popisywał się, wiesz? Po celnym rzucie nie wieszał się na obręczy, żeby machnąć nogami, nie wygłupiał się. Zrobił, co do niego należało, i wracał na swoje miejsce, czekając na kolejną szansę.

Andy nie wiedział, co powiedzieć. Nadal nie mógł uwierzyć, że pan Sills znał jego tatę i że w końcu może się czegoś o nim dowiedzieć. Jaki był? Rozrywkowy czy spokojny? Dobrze się uczył? Lubił muzykę, komiksy czy samochody? Miał wielu przyjaciół czy tylko kilku? Miał kogoś przed Lori? I dlaczego wybrał sobie do kochania białą dziewczynę?

– Spotkał pan kiedyś rodziców mojego taty?

Pan Sills pokręcił głową.

– A jego kolegów?

Ta sama odpowiedź.

– A pana syn? – Usiłował przypomnieć sobie jego imię. – DeSean? Czy oni się przyjaźnili?

– DeVaughn – poprawił go pan Sills, po czym zamilkł. Objął rękami swój pokaźny brzuch i patrzył w ścianę. W końcu zapytał: – Nie chciałbym być wścibski, ale co właściwie mama powiedziała ci o tacie?

– No właśnie nic! – Wyszło tak głośno, że słowa wydawały się odbijać od luster. – Nic mi nie powiedziała. Tylko tyle, że poszedł do wojska, wyjechał do Niemiec i zginął w wypadku.

Pan Sills pokiwał głową i odstawił filiżankę.

– Album możesz zatrzymać. Jeśli chcesz, oczywiście.

– Dziękuję. – Andrew przypominał sobie o manierach. – Dziękuję też za śniadanie. Za wszystko.

Pan Sills machnął ręką.

– Miło wiedzieć, że jednak potrafisz mówić – zauważył. – Może teraz nie będziesz już taki obcy.

Ale ja jestem obcy, dla wszystkich, pomyślał. Tego chce moja mama. Biegnąc do domu, mocno ścisnął album. Miał zamiar zadać mamie te wszystkie pytania: czy widziała tatę na boisku, co w ogóle pamięta, jak się poznali i co wtedy

powiedział. Ale zastał zamknięte drzwi, wyłączone światła i puste mieszkanie.

Włączył lampę i poszedł do kuchni. Na stole Lori zostawiła kartkę, wraz z niespodzianką: zdjęcia.

„Andy” – pisała. Nigdy nie dodawała „kochany”, ani nic w tym rodzaju. „Znalazłam je w czasie porządkowania szafy”.

Potem następowała przerwa, jakby mama musiała się zastanowić albo zebrać siły.

„Trudno mi o tym mówić, więc proszę, nie zadawaj pytań”.

Bez podpisu. Bez „kocham cię”. Ani słowa, dokąd poszła i kiedy wróci.

W Andym narastał gniew, ścisnął mu żołądek, zapiekł w gardle. Chłopiec złożył dłonie w pięści. „Proszę, nie zadawaj pytań”. Ale tu przecież chodzi o jego ojca, człowieka, który dał mu połowę tego, kim jest, a ona nigdy nic mu nie mówiła, oprócz tych kilku razów, zupełnie przypadkowo. Kiedyś grali w radio piosenkę Marviną Gaye’a, a ona ni stąd, ni zowąd powiedziała: „Andrew bardzo ją lubił”. Albo wtedy, gdy znalazł zepsuty budzik z radiem, westchnęła: „Twój tata wiecznie powtarzał, że go naprawi”. Jak coś się jej tak wymknęło, zaciskała usta, czasami zakładała ręce na piersi, a całe jej ciało mówiło: „Nawet nie próbuj”.

Andy usiadł i przejrzał ten maleńki, smutny stosik zdjęć, wyblakłe kwadraciki sztywnego papieru, niektóre pożółkłe i lepkie, jakby najpierw tkwiły w albumie, a potem ktoś je oderwał. Było to ślubne, które pamiętał, i jedno zrobione chyba w dniu ukończenia szkoły, bo uśmiechnięty Andrew stał w todze i birecie. W jego uśmiechu Andy wyczuł brawurę, a w ramionach ojca, jakby lekko uniesionych, dojrzał energię, która tylko czekała, aby wybuchnąć. Gdyby widać było stopy, Andy spodziewałby się ujrzeć, że ojciec stoi na palcach, lekko się unosząc, bo tak jak syn nie może ustać spokojnie w miejscu, bo gdyby się nie ruszał, wyskoczyłby po prostu z siebie. A więc jesteś, pomyślał ponownie, sam nie wiedział, czy miał na myśli ojca, czy siebie.

Następne zdjęcie zrobiono polaroidem: Lori z wystającym brzuchem okrytym bluzeczką w biało-niebieską kratkę. „Dziewiąty miesiąc” – podpisał ktoś, pewnie babcia. I na koniec kilka zdjęć Andy’ego, łysego, zezowatego maluszka w zbyt obszernych niebieskich śpioszkach z barankiem... i wreszcie na koniec Andy w ramionach ojca. Jedną wielką dłonią z wystającymi kostkami Andrew obejmował główkę syna, dotykając jego nosa swoim. Koszulka odkrywała umięśnione przedramiona, krótkie rękawy ściśle opinały bicepsy. Wyobraził sobie, że słyszy jego głos: „Nic się nie martw. Mama cię kocha, nawet jeśli nie potrafi tego okazać. Jesteś świetnym młodym człowiekiem, a ja jestem z Ciebie dumny”.

Andy ułożył zdjęcia w wachlarzyk, potem w kwadrat, następnie ustawił je w rzędzie. W końcu przyjrzał się każdemu z osobna. Ostatecznie wsunął je w puste miejsca w albumie pana Sillsa, a album schował do szafy z ubraniami, komiksami i z pościelą wkładaną tu po złożeniu łóżka.

Mijała wiosna. Andy i pan Sills powoli się zaprzyjaźniali. Latem, gdy rodzice Milesa wysłali go na obóz, a temperatura była tak nieznośna, że większość ludzi wolała siedzieć w klimatyzowanych pomieszczeniach, Andy wyjeżdżał z panem Sillsem na zlecenia. Słyszając pod domem terkot niebieskiej furgonetki z napisem instalacje i naprawy, wybiegał na ulicę i albo wyciągał ciężką skrzynkę z narzędziami, albo wskakiwał do auta, i ruszali. Nauczył się wielu rzeczy, takich jak udrażnianie zapchanych toalet, wymiana bezpieczników, czyszczenie rynien ze starych liści czy naprawa ciekących dachów.

– Mój asystent – przedstawiał go pan Sills w każdym nowym dla niego domu.

Andy niewiele się odzywał w trakcie tych wypadów do cudzych łazienek, ogródków i na dachy. Lubił słuchać opowieści o koszykówce, o wielkich meczach, pamiętnych rzutach i rozgrywkach pucharowych, których wynik nie był pewny aż do ostatnich sekund ostatniego meczu serii. Podczas pracy pan Sills wszystko Andy’emu tłumaczył. Miał grube, ale bardzo sprawne i precyzyjne palce.

– O, proszę, śrubokręt krzyżakowy, czyli krzyżak. I jest nam teraz potrzebny. Widzisz wgłębienie we wkręcie? Też w kształcie krzyża.

Andy’emu podobały się nazwy narzędzi: poziomice, szczypce półokrągłe, klucze imbusowe i nasadowe. Podobało mu się, że pan Sills o nie dbał, po każdym użyciu wycierał czystą, naoliwioną szmatką, odkładał też każdy śrubokręt i klucz na swoje miejsce. Andy cieszył się, że potrafi już sam wykonać w domu niewielkie naprawy, przetkać syfon czy dokręcić prowadnice szuflady.

– To męska robota – powiedział mu pan Sills, gdy Andy zaczął z nim jeździć. – Mężczyzna dba, żeby w domu wszystko działało, i dba o swoje narzędzia.

W dni wolne pan Sills lubił wybrać się na poszukiwanie staroci, jak niegdyś z panią Sills, zanim umarła. Odwiedzał sklepy z używanymi rzeczami i komisy, przemierzając całą Filadelfię i South Jersey i gadając po drodze do komentatorów sportowych w radio. Wszyscy handlarze go znali i zostawiali dla niego towary: ulubione czasopisma, srebrne sztuce, porcelanę Spode, a konkretnie kolekcjonowany przez niego wzór Blue Italian. W sklepach przesyconych zapachami pleśni, naftaliny, pożółkłego papieru i starych ubrań pan Sills ucinął sobie pogawędkę z kasjerką, zwykle, nie wiadomo dlaczego, starszą panią, a Andy w tym czasie kartkował komiksy. Ranki spędzali więc na tych wyprawach, a potem jedli późny lunch w postaci grubych, soczystych kanapek z John’s Roast Pork, budy postawionej z pustaków w pobliżu torów, gdzie obok kierowców tirów i budowlańców w kolejce stały panie na wysokich obcasach i panowie w eleganckich garniturach. Niejednokrotnie zdarzało się, że ludzie brali Andy’ego za wnuka pana Sillsa. Czuł się wtedy, jakby w chłodny dzień zjadł coś ciepłego i słodkiego. Czasami pan Sills mówił do niego „synu” i to słowo chwyciło go za

serce.

Gdy Andy miał dwanaście lat, za część zaoszczędzonych pieniędzy kupił panu Sillsowi na gwiazdkę mosiężne podpórki do książek w kształcie słoni. Widział wcześniej, jak starszy pan podziwiał je w sklepie o nazwie Time and Again, na South Street. W tym samym miejscu kupił dla mamy naszyjnik: prawdziwą perłę na złotym łańcuszku. Naszyjnik kosztował czterdzieści dolarów (właściwie pięćdziesiąt, ale ekspedientka spuściła mu na czterdzieści), lecz warto było dla tej miny, gdy rano obudził Lori i podał jej małe pudełeczko opakowane w czerwony papier związany złotą wstążką.

– To za dużo – powiedziała, unosząc głowę i mrugając powiekami, jak zwykle, gdy nie chciała łzami rozmazać makijażu, choć przecież dopiero się obudziła i nie zdążyła jeszcze nałożyć ani podkładu, ani tuszu, który zmieniał jej rzęsy w sztywne, sterczące pajęczne nóżki. Włosy, nieulożone, spływały na policzki luźnymi falami. Wyglądała jak nastolatka, kiedy podeszła do szafy w swojej kraciastej piżamie i szlafroku z szenili. – Proszę – szepnęła dość nieśmiało, podając mu prostokątną paczkę. – Mam nadzieję, że wybrałam dobre.

Andy nie żywił wielkich nadziei. Zwykle Lori kupowała mu coś przydatnego – szkolne koszule lub nowy koc – a do pończochy wkładała mydełka i szczoteczki do zębów. Kiedy zobaczył buty do biegania Nike Air Flight, białe z niebieskim logo, aż krzyknął z radości.

– Będą pasować? – dopytywała, gdy Andy ją uściskał.

– Są idealne.

Od pamiętnej świątecznej awantury Andy i mama wypracowali własną tradycję bożonarodzeniową. Otwierali prezenty pierwszego dnia świąt, rankiem. Potem Lori piekła jedyną rzecz, którą od początku do końca robiła sama, a mianowicie drożdżowe cynamonki z miodem, z ciasta, które musiało dwa razy wyrastać. Na lunch zjadali cynamonki i szynkę. Następnie Lori wkładała do piekarnika gotowego faszerowanego kurczaka i oglądali *Opowieść wigilijną* lub *To wspaniałe życie*. Lori piła likier jajeczny, a Andy gorącą czekoladę z bitą śmietaną. Za każdym razem, gdy ta ostatnia się kończyła, wyciągał z lodówki puszkę i ponownie stroił ciemny płyn białą chmurką.

– Tylko w święta – mawiała mama i całowała go w czubek głowy.

W przytulnym małym mieszkanku, z brzuchem pełnym dobroci, w salonie wypełnionym niebieskawą poświatą telewizora i lampek choinkowych, które z panem Sillsem rozwiesili na drzewku, Andy czuł się ciepło i bezpiecznie. Przez ostatnie dwa lata trafiały się białe święta, pługi tworzyły wysokie zaspę przy zaparkowanych samochodach, a wiatr rozwiewał srebrne płatki i unosił w powietrzu, by wirowały nad pustymi chodnikami, ale w środku, w domu, było spokojnie i jasno. Lori zakładała rano naszyjnik od Andy'ego i mikołajową czapkę, która wieczorem zsuwała się na jej umalowane oko nad uśmiechniętymi,

umalowanymi ustami, a Andy myślał wtedy, że żaden chłopiec na świecie nie kocha swojej mamy tak, jak on kocha Lori.

Wiosnę i lato Andy przebiegał w nowych butach, między innymi robiąc okrążenia wokół parku i mierząc sobie czas – w ramach przygotowań do sierpniowych sprawdzianów kwalifikacyjnych. Chciał się dostać do licealnej drużyny lekkoatletycznej. Ponieważ Lori pracowała, pan Sills zgodził się go odwiedzić. Gdy stali na światłach przed wjazdem na autostradę, przyjaciel poklepał go po ramieniu.

– Świetnie sobie poradzisz, zobaczysz.

Andy nie odpowiedział. Otworzył okno, wpuszczając gorące powietrze i dźwięki miasta, wcisnął blokadę drzwi, pociągnął w górę i ponownie wcisnął, w drugiej ręce miętosząc butelkę z wodą.

Roman Catholic, nowa szkoła Andy’ego, znajdował się w centrum, na rogu Broad i Vine, i nie posiadał własnej bieżni. Wszystkie zawody były wyjazdowe, a treningi odbywały się na kampusie Penn. Pan Sills wysadził Andy’ego przy Franklin Field, życząc mu raz jeszcze szczęścia, po czym odjechał naprawiać klimatyzator.

Cały poprzedni tydzień było gorąco, ale tego dnia temperatura sięgała co najmniej trzydziestu pięciu stopni. Andy naliczył też na murawie trzydziestu spoconych chłopców, niektórzy się rozciągali, inni rozmawiali w grupkach. Facet w koszulce z napisem Roman Catholic i gwizdkiem na szyi przedstawił się jako trener Maxwell. Miał twarz jak zaciśnięta pięść i niskie, masywne ciało, które składało się z samych mięśni. Nosił świeżo wyprasowane płócienne spodnie, a czarne sportowe buty wyglądały jak prosto ze sklepu.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stoper. Andy zauważył, że dwaj towarzyszący mu mężczyźni mają ze sobą notatniki i długopisy.

– Dobra, chłopaki – powiedział.

Ustawił ich w szeregu i wyjaśnił, co mają robić.

Pod jego kierunkiem chłopcy biegali sprintem, przez płotki, potem czterysta i osiemset metrów. Skakali też w dal, z miejsca i z rozbiegu. Trener obserwował ich, od czasu do czasu mówił coś do asystentów. Na starcie przed biegiem na tysiąc sześćset, stojąc z ośmioma innymi zawodnikami, niektórymi w szpanerskich korkach, Andy pomyślał sobie: „Jestem lepszy od was”. Poświęcił na trening więcej czasu – codzienna runda z gazetami i całe popołudnia w parku. Pracował więcej i potrafił więcej wytrzymać.

Nie było wystrzału, tylko okrzyk „Start!”. Na dźwięk głosu trenera Andy wystrzelił do przodu, dając z siebie wszystko. Czuł palenie w płucach, ale od razu wyszedł na prowadzenie i nie dał go sobie odebrać. Wygrał bezapelacyjnie, zostawiając drugiego zawodnika daleko za sobą.

Kiedy skończyli, trener Maxwell odesłał pozostałych chłopców na ławkę.

Andy czuł na sobie ich wzrok, słyszał pojedyncze słowa, w tym swoje imię. Trener przywołał go i położył mu rękę na ramieniu, w taki sam sposób, w jaki ojciec Ryana Petermana robił to ze swoim synem.

– Masz talent – powiedział. Zacięta twarz rozluźniła się w krótkim uśmiechu. – Za wcześnie, żeby określić, jak duży, ale jest. Czy mama albo tata kiedykolwiek biegali?

– Koszykówka – odparł Andy. Serce mu rosło. Talent. Ciekawe, czy tata też to czuł, to szczęście, jakby połknął słońce, wkładając na zakończenie meczu do kosza trzy punkty na wagę zwycięstwa albo może zabierając piłkę przeciwnikowi. – Tata grał w kosza.

Trener klasnął w dłonie, uciszając chłopców. Siedzieli w pierwszym rzędzie krzesełek, jeden przy drugim, słuchając uważnie.

– Czeka was ciężka praca, cięższa, niż jesteście sobie w stanie wyobrazić – rozpoczął. – Sprint, okrążenia, bieg do upadłego, podnoszenie ciężarów, krokodylki, przysiady, wypadki i pajacyki, aż będziecie żałować, że się urodziliście. To nie baseball ani koszykówka. Tu nie będzie meczu – powiedział pogardliwie, a jego zacięta twarz zacięła się jeszcze bardziej przy tym zniechęcającym słowie. – Nie będzie gry, piłki, drużyny, punktów i innych zastępców. I żadnych cheerleaderek w mini. Nie będzie muzyki ani fantastycznych rzutów, jesteście tylko wy, bieżnia i zegar. To najprostsze, co może być, najprostsze i najtrudniejsze. Nie każdy się do tego nadaje. Chłopcy się nudzą. Męczą. Nie chce im się poświęcić czasu, żeby zbudować FUNDAMENT, który jest KLUCZEM do SUKCESU.

Andy pokiwał głową. Nie zależało mu na drużynach i cheerleaderkach, nie przeszkadzało, że wszystko to mają piłkarze i koszykarze. Wyniki, bramki i medale zajmowały odległe drugie miejsce za radością, którą czuł, gdy biegł, i za tym przekonaniem, że znajduje się dokładnie tam, gdzie powinien, a wszelkie zmartwienia znikają, gdy tylko czuje ziemię pod stopami, ruch powietrza na skórze i mknie tak, jakby sam czas musiał się spieszyć, żeby go dogonić.

– Jeśli włożycie w to WYSIŁEK, będziecie mieć WYNIKI – perorował Maxwell, jego czerwona twarz robiła się jeszcze czerwiejsza, a z ust wydobywały się małe kropelki śliny. – Jesteście gotowi na ciężką pracę? – zapytał na koniec, i wszyscy, wraz z Andym, wykrzykali jakąś formę potwierdzenia.

W zimie biegał w hali, wiosną na stadionie. Do końca pierwszej klasy miał rekord stanowy na tysiąc sześćset metrów w klasyfikacji szkół katolickich i świeckich i po raz pierwszy reprezentował swój region. Dalej biegał z gazetami, ale zmienił trasę na dłuższą, lepiej płatną. Zaczął skrupulatnie zapisywać wszystkie treningi – co z czasem stało się nawykiem i zostało mu na całe życie – każdy wypad, każdy przysiad i każde okrążenie boiska. Po szkole szedł do biblioteki przy Dziewiętnastej i Vine, szukał książek o bieganiu i czytał je tak długo, aż mógł recytować z pamięci całe ich fragmenty. Dowiedział się o Rogerze Bannisterze,

który dokonał według naukowców niemożliwego, bo przebiegł tysiąc sześćset metrów w czasie poniżej czterech minut, o Jimie Ryunie, który w sześćdziesiątym czwartym powtórzył ten wyczyn, będąc jeszcze uczniem, i o Paavo Nurmim, Latającym Finie, który pozostał niepokonany przez sto dwadzieścia jeden wyścigów. Przeczytał również o Billu Rodgersie, który wygrał cztery maratony bostońskie, o maratończyku Franku Shorterze, który wraz ze zdobyciem złotego medalu na olimpiadzie w siedemdziesiątym drugim rozpoczął w Ameryce boom na bieganie, i o Alberto Salazarze, który jako dwudziestolatek pobiegł tak szybko w Falmouth Road Race, że temperatura jego ciała osiągnęła ponad czterdzieści jeden stopni Celsjusza i na metę wezwano księdza, by mógł mu udzielić ostatniego namaszczenia. Salazara lubił najbardziej, Salazara i Steve'a Prefontaine'a, który zawsze biegł pierwszy, jak Andy, i był gwiazdą szkolnej drużyny, a kiedyś nawet rekordzistą w siedmiu konkurencjach, od dwóch do dziesięciu kilometrów, i nigdy na swoich dystansach nie przegrał żadnych zawodów uczelnianych.

Andy, zanim skończył szesnaście lat, postawił sobie trzy cele: Pójdzie na Uniwersytet Stanu Oregon, jak Steve Prefontaine. Weźmie udział w olimpiadzie. Zarobi tyle pieniędzy, żeby starczyło na wszystko, czego chcieli on i mama, tak żeby nie musieli się już o nic martwić.



Rachel  
1993

– Będzie super – powiedziałam do mojej najlepszej przyjaciółki, Marissy Feldman. Zamknęłam błyszczący do ust o smaku gumy balonowej, wrzuciłam go do torby i złożyłam razem jej drewniane uchwyty. Siedziałyśmy, wraz z dwudziestoma innymi członkami grupy młodzieżowej, przy synagodze Beth Am, w autokarze, który wiozł nas do Atlanty, gdzie mieliśmy spędzić pierwszy miesiąc wakacji – spać w akademikach, jeść posiłki w stołówce studenckiej i budować domy w ubogiej dzielnicy, pod skrzydłami organizacji charytatywnej Home Free.

Rodzice po raz pierwszy pozwolili mi wyjechać z domu na dłużej niż jedną noc u koleżanki, i to dopiero po miesiącach błagań, telefonie od rabina Silvera oraz specjalnej wizycie u kardiologa.

– Może jechać – oznajmiła pani doktor Karen, w której włosach jakiś czas wcześniej zaczęły się już pojawiać srebrne nitki.

Siedzieliśmy z rodzicami w jej gabinecie, pani doktor za swoim biurkiem – prawdziwy antyk – na którym piętrzyły się kartoteki, leżała lornetka oraz dziennik obserwacji ptaków. „Większość lekarzy gra w golfa” – powiedziała mi kiedyś. „Ja zbieram ptaki. To dużo mniej stresujące”.

– Musi uważać – ostrzegła rodziców, którzy siedzieli razem, trzymając się za ręce. – Jak wiemy, jest to stan chroniczny i już się nie zmieni. Ale operacje przebiegły bardzo pomyślnie i dały oczekiwany efekt. W zasadzie Rachel ma normalne serce. – Pochyliła się, patrząc na mnie z uśmiechem. – Niech więc będzie normalną nastolatką. Wiem, że dla rodziców to niełatwe, ale spróbujcie pozwolić jej rozwinąć skrzydła.

Oczywiście rozwinięcie moich skrzydeł to ostatnia rzecz, jakiej życzyłaby sobie mama, ale ja błagałam i wrzeszczałam, a w końcu zagroziłam, że ucieknę, jeśli nie podpiszą zgody na wyjazd. No i udało się. Jechałam na wakacje, podziwiając krajobraz, który, w miarę jak posuwaliśmy się na wschód, stawał się coraz bardziej zielony.

Ustawiłam oparcie fotela i dotknęłam włosów, by sprawdzić, czy opaska jest na miejscu i czy otaczające twarz fale nadal ją otaczają, a nie skręciły się przypadkiem buntowniczo. Po katastrofalnej bat micwie byłam przekonana, że jeśli nie poczynię natychmiastowych kroków naprawczych, moje życie towarzyskie będzie skończone i przyjaciele mnie po prostu opuszczą. Przez całą imprezę i potem jeszcze przez kolejny miesiąc nie tyle mówiłam mamie, że jest nienormalna, ile sugerowałam dobitnie, że zdecydowanie przesadza, że wcale nie jestem taka chora, a teraz cieszę się pełnią sił. „Żałuje po prostu, że zrezygnowała z pracy” – tłumaczyłam, a Marissa, Kelsey, Kara i Britt kiwały głowami, być może myśląc o własnych matkach. Mama Marissy była prawnikiem, wiecznie poza

domem, mama Kelsey uczyła plastyki, ale tylko dlatego, że nie była w stanie znaleźć galerii, która zgodziłaby się sprzedawać jej rzeźby linowe, które tworzyła w pokoju gościnnym, nazywając go studiem, a mama Britt, jak moja, kiedyś pracowała, ale teraz prowadziła dom i zajmowała się dziećmi, oczywiście przesadzając.

Marissa uniosła swojego gatorade'a, zaprawionego przed wyjazdem wódką.

– Za nowe ciacha! – wzniosła toast, pociągnęła łyk i podała mi butelkę. Starszy brat Marissy, student Uniwersytetu Stanu Floryda, za oburzająco wysoką opłatą dziesięciu dolarów kupował nam drinki brzoskwiniowe i likiery o tak ekscytujących nazwach jak Pikantna Malinka czy Ale Melon, ostatnio jednak przeczuliśmy się na wódkę, bo uznałyśmy, że jest bardziej wyrafinowana niż jakieś dziecinne drinki, które jednak, jak podejrzewam, obydwie wolałyśmy.

Wychyliłam łyk, usiłując się nie skrzywić, po czym, gdy alkohol spłynął dalej i serce jakby dostało czkawki, starałam się tym nie przejmować. Zachowywać się jak beztroska, uśmiechnięta dziewczyna, której jedynym doświadczeniem śmierci był pogrzeb dziadka lub babci albo utrata ukochanego zwierzaka. Udowodnić to sobie było o wiele trudniej. A służyli do tego chłopcy.

Najpierw był Jason Friedlander, który poprosił mnie do tańca na mojej bat micwie, a potem, przed ceremonią zapalenia świec, zaprowadził mnie do pustej sali i pocałował. Szok. Jego dłonie na moich ramionach, twarz tuż przy mojej twarzy, oddech w moich ustach. Kiedy próbował włożyć mi rękę pod bluzkę, by zbadać niedawno zabiustonoszowany teren, odepchnęłam go, bo nie chciałam, żeby trafił na nierówną linię blizny.

– Co jest?! – zawołał. Oddychał ciężko, a przed oczami zafalowały mi jego brązowe włosy, które zresztą okazały się zadziwiająco miękkie. – Nie podobam ci się?

Prawdę mówiąc, do tamtej chwili nie poświęciłam Jasonowi ani jednej myśli i nie miałam o nim żadnego zdania. Po tym wydarzeniu jednak nie mogłam skupić się na niczym innym. Twarz, która wcześniej wydawała się banalna, a może nawet z lekka głupkowata, teraz okazała się przystojna. Dłonie, usta, pewność siebie, z jaką mnie dotykał – wszystko razem przyprawiało o zawrót głowy. Najważniejsze jednak, że cała ta sytuacja, to, że się za mną uganiał, przekonała siódmą klasę, iż faktycznie jestem najnormalniejszą dziewczyną na świecie.

Kiedy dojeżdżaliśmy do domu – mama wciąż we łzach, przeprasząc za całe zamieszanie, tata poważny i lekko zirytowany, mitygujący mamę („Już dobrze, Helen, uspokój się”), i mój brat Jonah przewracający oczami, z wystającym mu z kieszeni marynarki jointem – myślałam tylko o Jasonie. Czy od dawna mu się podobam? Co zwróciło jego uwagę: włosy, oczy, uśmiech? Czy uważa, że jestem ładna? Czy to znaczy, że jest już moim chłopakiem?

Czułam się tak, jakby ktoś poprawił mi skórę, dopasował ją, tu ujął, tam

dodał i wprawnie zszył – wreszcie leżała jak ulał, a każdy jej centymetr mrowił nowo nabytą świadomością. Nie jestem zepsuta ani połamana, lecz cała i zdrowa. Późnym wieczorem, gdy oglądałam się naga w łazience, zakrywając bliznę ręcznikiem, myślałam o Jasonie. Że widzi mnie właśnie taką – widzi płaski brzuch, wąskie stopy o wysokim podbiciu, długą szyję, kształt piersi. Może nigdy nie będę najpiękniejszą dziewczyną ani tą z najmniej skomplikowaną przeszłością, ale jeśli nadawałam się na czyjąś dziewczynę, jeśli podobałam się chłopcom, to znaczyło, że jestem normalna, tak samo jak Kelsey, Britt i cała reszta.

„No to opowiadaj” – zachęcałam Jasona, który pochwalił się awansem drużyny do ćwierćfinałów małej ligi, gdy jego mama wiozła nas do Multikina na *Edwarda Nożycorękiego*.

„No to opowiadaj” – zachęcałam rok później Scotta, którego rodzice byli w trakcie rozwodu, a tata wyniósł się do jednopokojowego domeczku na Casey Key w pobliżu Sarasoty.

Po Scotcie był Derek, grał kapitana Haka w naszym szkolnym musicalu. Po przedstawieniu namówiłam go, żeby zachował hak, wtedy, jadąc na pizzę, będziemy mogli parkować na miejscach dla niepełnosprawnych. Ludzie zaczęliby na nas wrzeszczeć, wypominać brak wrażliwości, a wtedy Derek machnąłby im przed oczami swoim hakiem, uśmiechając się żałośnie i dzielnie zarazem, a oni speszyliby się i rzucili przeproszać.

Potem nastął Anand, w trakcie spektaklu odpowiadał za oświetlenie i pocieszał mnie po Dereku, kiedy ten zaczął chodzić z Jill Pappano, która grała tygrysy Lily.

W drugiej klasie Ananda zastąpił Troy, tenisista o zgrabnych łydkach i pięknie ukształtowanych ramionach, który jednak, jak się wkrótce okazało, niewiele miał do powiedzenia, choć był najwytrwalszym z moich chłopaków i zawsze próbował wsunąć mi rękę pod to, co właśnie miałam na sobie, na górze czy na dole, albo starał się wcisnąć moją dłoń między swoje nogi. „Zobacz, co ze mną robisz” – mawiał przy tej okazji.

Wiedziałam, o co mu chodzi. Wtedy dziewczyny zaczynały już z chłopakami na serio. Marissa poszła na całość, z tym że oboje byli pijani, więc twierdziła, że to się nie liczy, Britt natomiast zrobiła swojemu loda, choć nigdy nie zobaczyłyśmy kolesia na oczy, podobno chodził do liceum Duke’a, a Britt poznała go rzekomo na plaży podczas ferii wiosennych. Tak naprawdę seks mnie przerażał. Całe życie musiałam uważać na swoje ciało, nie biegać zbyt szybko, nie zgrzać się, przyjmować witaminy, dbać o nawodnienie i myć ręce aż do bólu, bo wiedziałam, że z moim osłabionym układem odpornościowym mogę złapać byle przeziębienie, które przerodzi się w grypę, a ta w zapalenie płuc, i znów wyląduję w szpitalu.

Seks oznaczał brak kontroli, przeciwieństwo ostrożności. Oznaczał pójście na żywioł. A jeśli nie potrafię? Albo jeszcze gorzej: jeśli potrafię, zrobię to i coś mi

się stanie?

Nie był to temat do rozmowy z moją kardiolog, kochaną doktor Karen, z jej chusteczkami zdobionymi monogramem, które trzymała w kieszeni dla potrzebujących, i krótko obciętymi, kręconymi włosami, których nigdy nie układała. Zajmowała się mną od dziecka, więc nie mogłam jej zapytać, co by się stało z moim sercem, gdybym to zrobiła, a już na pewno nie miałam zamiaru gadać o tym z mamą. Kiedy skończyłam szesnaście lat, pewnego dnia zapukała do mnie. Otworzyłam. Stała ubrana w jasnoszare lniane spodnie i brzoskwiniową jedwabną bluzkę, do której przypięła identyfikator. Niedawno zaczęła znów pracę w bibliotece, tym razem jako wolontariusz, trzy razy w tygodniu. Mama nie była piękna, ale całkiem ładna, miała jasną cerę, piegi i miękkie, jasnobrązowe włosy oraz okrągłe brązowe oczy, zawsze jakby lekko zdziwione, jak gdyby właśnie ktoś ją podszedł i uszczypnął w pośladek.

– Co jest? – zapytałam. Był piątkowy wieczór i planowałam wybrać się ze znajomymi na plażę.

Nic nie mówiąc, weszła i przycupnęła na brzegu łóżka, jakby nie chciała się rozgościć. Założyła nogę na nogę, pobawiła się pierścionkami, a potem palnęła sztywniaką mówkę o tym, jak to „pod pewnymi względami” jestem teraz kobietą i że będę dokonywać własnych wyborów dotyczących swojego ciała, a ona z ojcem mają nadzieję, że to będą wybory właściwe.

– Nie muszę ci chyba mówić, jakie to ważne – dodała ze smutnym uśmiechem.

Faktycznie, nie musiała. Rok wcześniej dziewczyna Jonaha zaszła z nim w ciążę. Cały weekend dzwoniły telefony, rodzice mieli zmartwione miny, a zza drzwi ich sypialni dobiegały odgłosy szeptanych kłótni. „Helen, nawet o tym nie myśl” – mówił tata. „Bernie, uspokój się” – odpowiadała mama. Punkt kulminacyjny nastąpił w niedzielny wieczór, byli rodzice, Jonah z dziewczyną i jej rodzice. No i ja, przyczajona na półpiętrze, skąd wszystko słyszałam. W poniedziałek rano Greta poszła do lekarza. Jonah jej nie towarzyszył, a do końca tygodnia ze sobą zerwali. Tyle wiedziałam o seksie – że mógł być fajny, ale mógł też spowodować kłopoty, zniszczyć związek, przynieść wstyd rodzicom i w ogóle powodować różnego rodzaju katastrofy.

Próbowałam masturbacji. Marissa twierdziła, że zaczęła w wieku lat dwunastu, i bardzo polecała, a raz nawet, kiedy wypiliśmy trzy butelki napoju alkoholowego na bazie wina, zaproponowała nam pokaz. Ale moje próby, podejmowane raczej bez przekonania, okazały się porażkami. Mimo przeczytania dziesiątek scen miłosnych i zobaczenia co najmniej takiej samej ich liczby w filmach, trudno mi było sobie wyobrazić, co właściwie powinnam czuć. Tak więc samotne usiłowania zakończyły się bólem w nadgarstku i samopoczuciem podobnym do napięcia przedmiesiączkowego. Wielkie nic, myślałam, odwracając

się na bok. A może to wszystko kłamstwo, które ludzie wymyślili, żeby książki i filmy się sprzedawały?

Byłam jednak taką samą romantyczką jak każda nastolatka. Słuchałam w kółko UB40 (*I Can't Help*) *Falling in Love with You*, aż tata zawołał z dołu: „Wystarczy już!”. Pragnęłam miłości, wielkiej miłości, o jakiej piszą piosenki i robią filmy. Chciałam być centrum świata jakiegoś chłopaka, jedynym, o czym potrafiłby myśleć. Chciałam być dla kogoś w ten sposób ważna.

– Hej! – Marissa dźgnęła mnie łokciem i podała butelkę. Spojrzałam na przyzwoitki z przodu autokaru, wzięłam łyk, rozkoszując się ciepełkiem w żołądku, a przy okazji myśląc, że łamię przepisy, więc jestem niegrzeczną dziewczynką... czyli dziewczynką normalną.

Kierowca włączył *Powrót do przeszłości*, co wszyscy zignorowali, bo albo gadali, albo pociągali z butelek, niekoniecznie z wodą, albo palili w toalecie, nie zważając na zakaz. Rabin Silver siedział z przodu pogrążony w rozmowie z mamą Melissy Nasser – chyba o Izraelu, bo to ulubiony temat rabina. Z tyłu natomiast kilka par się migdaliło. Właśnie Patti Cohen usiadła na kolanach Larry'ego Mendelsohna, a ten zaczął jej pod bluzką masować plecy. Patrzyłam przez chwilę, jak wpycha swój język do jej ust, a potem go z nich wyciąga.

– Chyba wiem, jak wygląda Larry, gdy próbuje przetkać muszlę.

– Obrzydliwe – pisnął wysoki głos za nami.

Marissa wsunęła zaprawionego alkoholem gatorade'a do torby marki Gap i zerknęła przez ramię. Bethie Botts uśmiechnęła się szeroko i nijako.

– Głos z innej planety – szepnęłam i obie przewróciłyśmy oczami.

W każdym liceum panuje hierarchia. I ktoś musi stać na samym jej końcu, ktoś, o kim nawet największe kujony z trądzikiem, największe ciamajdy towarzyskie i niefartownie ukrywający się homoseksualiści mogą powiedzieć: „O matko kochana”. W naszym przypadku, odkąd pamiętam, tę pozycję zajmowała Bethie Botts, znana również jako Wielka Bethie albo Klucha. Bethie była rzeczywiście bardzo gruba, dlatego nikt nie chciał z nią siedzieć – po prostu nie było miejsca. Jej wielkie uda rozpychały szwy teoretycznie luźnych nylonowych spodni (dżinsy nie wchodziły w grę), tłuszcz na brzuchu, piersiach i ramionach wylewał się na wszystkie strony, zajmując również część przestrzeni sąsiada.

Twarz Bethie była szeroka i okrągła jak talerz, do tego tłusta i pokryta zgrupowaniami zaskórników i pryszczycy w różnych stadiach rozwoju. Brązowe, cienkie włosy zwisały smutno na ramiona. Nosiła zwykle wzorzyste swetry w romby w bardzo nietwarzowych kolorach, buty jak dla babci, szerokie i białe, bez tak dobrze widzianego logo Nike, ewentualnie mniej popularnych, ale akceptowalnych trzech pasków Adidasa. Patrzyła na świat nieciekawym wzrokiem, takim bez wyrazu, a kiedy się odzywała, prezentowała odpychający uśmiešek. Obgryzała paznokcie, skórki miała poobrywane, często do krwi. Chodząc po

szkole, kiwała się jak kaczka, powłócząc nylonowymi pantalonami i nie zatrzymując na nikim spojrzenia, a do tego uśmiechała się z wyższością.

No i ten zapach – okropny, spowijający ją od stóp do głów, tworzył coś w rodzaju jej osobistej strefy klimatycznej. W szkole podstawowej były to nuty moczu połączone z niemytym ciałem i nieświeżym ubraniem. Kiedy podrosła, odór moczu został zastąpiony przez ostry, aż piekący zapach jej ciała, smrodek, który był jak pogoda u Marka Twaina – wszyscy narzekają, ale nikt nic nie robi. Choć w przypadku Bethie jednak niektórzy próbowali reagować. Życzliwi nauczyciele brali ją na bok, proponując antyperspirant, dezodorant lub mydło. Mniej taktowni koledzy, jak Mikey Henderson czy Joel Marx, zagadywali czasami: „Matko, Botts, idź weź prysznic, bo śmierdzisz!”. Raz w grudniu, gdy rabin Silver obdarował nas drobnymi prezentami z okazji Chanuki, Bethie otrzymała zestaw mydełek i próbek perfum. Żadna z tych inicjatyw nie zadziałała – ani prezenty, ani obraźliwe odzywki. Bethie pozostała niewzruszona. Nigdy też nie wydawała się urażona. Ale też nigdy nie zapachniała lepiej.

– O co tu chodzi? – pytała Marissa, gdy minął pierwszy tydzień w liceum. Przyszła z innej podstawówki i nie orientowała się w sytuacji. Siedziałyśmy razem i szybko się zaprzyjaźniłyśmy. – Jest opóźniona czy co?

Pokręciłam głową.

– Nie jest opóźniona, tylko dziwna. I zawsze taka była. Jak Stonehenge, tylko bardziej śmierdzi. I nigdy się nie zmienia.

Sprawy wyglądałyby inaczej, gdyby Bethie była miła, gdyby o siebie trochę zadbała, podjęła jakiś wysiłek. Przecież w Clearview mieliśmy też inne grube dzieci, kilkoro z problemami skórnymi i w tanich ciuchach, a jednak znalazły przyjaciół i sensowne miejsce podczas przerwy na lunch. Bethie jednak do nich nie należała, bo aktywnie zniechęcała do siebie bliźnich. Kiedy ktoś zagajał rozmowę, albo milczała, albo odpowiadała nie na temat, albo wprost bezczelnie.

– Co czytasz? – zapytała ją Marissa pierwszego dnia w klasie.

Bethie wykrzywiła się durnowato, jak to ona.

– Książkę – odparła zupełnie do niej niepasującym słodkim dziewczęcym głosem.

Marissa spojrzała na mnie, żeby się przekonać, czy to drwina. Wzruszyłam ramionami. Z Bethie nigdy nie wiadomo.

O szóstej autokar zajeżdżał pod KFC. Usiedliśmy przy stolikach po trzy, cztery osoby, i tylko Bethie siedziała sama, aż rabin Silver zajął miejsce naprzeciw niej. Potem w autokarze dokończyłyśmy naszego gatorade'a. Oparłam głowę o szybę, a Marissa zaczęła czytać *Co się wydarzyło w Madison County*, czyli hit minionej wiosny.

– Posłuchaj tego – powiedziała i przeczytała na głos: – „Lampart wziął ją znowu i znowu, i jeszcze raz. Przypominało jej to podmuchy wiatru nad prerią i,

wijąc się pod nim, czuła się jak westalka niesiona tymi podmuchami ku słodkim, uległym ogniom, znaczącym łagodny obły kształt zapomnienia”<sup>1</sup>.

– Jak rany – jęknęłam. – Błagam cię. Lampart jak podmuch wiatru? Przecież one są futrzaste i ciężkie? A ognie? Uległe?

– Cicho! – rzuciła Marissa i kontynuowała. – „Już wiem, po co znalazłem się akurat teraz na tej właśnie planecie, Francesco. Nie po to, żeby podróżować albo robić zdjęcia, lecz po to, żeby cię kochać. Jakiś czas spadałem ze wspaniałego miejsca na wysokościach, a było to o wiele dawniej, niż liczę sobie lat. I od samego początku spadałem ku tobie”.

Zrobiłam z ust dzióbek i wydałam z siebie świst, naśladowując bombę lecącą do ziemi.

– Spadać od początku. Lądowanie musi boleć.

– Brałaś pod uwagę ewentualność, że w tych wszystkich szpitalach, zamiast naprawić ci to serce, lekarze niechcący je usunęli? – zapytała Marissa, wyciągając z torby błyszczący, by po raz kolejny przeciągnąć usta jaskrawym różem.

Autokar jęknął i wszedł w zakręt, a potem wspinał się stromą drogą wiodącą ku miękkim zielonym trawnikom i budynkom z białej cegły. Uniwersytet Emory. Wysiedliśmy, zabraliśmy torby, walizki i śpiwory, które kierowca wystawił na chodnik, i poszliśmy za rabinem do auli.

– Liczę, że nie każą nam nosić kasków – wyraziła nadzieję Marissa, dotykając swojej świeżej trwałej. – Wystarczająco trudne było znalezienie twarzowych ogrodniczek.

– Bezpieczeństwo przede wszystkim – odparłam z lekkim niepokojem.

Wypełniając formularz na ten wyjazd, rodzice zapisali całą stronę o mojej chorobie, ale co, jeśli zarządzający robotami jej nie przeczyta i każą mi nosić ciężary? Poprawiłam włosy i postanowiłam zrobić to, co zwykle w takich sytuacjach, czyli powiedzieć, że mam okres, i posiedzieć w cieniu gdzieś na ławeczce. Spakowałam walkmana oraz *Wichrowe Wzgórza*, a także egzemplarz „People”, który podebrałam wprost ze skrzynki – na okładce Mariah Carey w dniu ślubu. Nawet jeśli skończę na ławce, nie będę się nudziła.

Marissa wycelowała do kosza, nie trafiła jednak i butelka po gatorade spadła na chodnik. Przyjaciółka szła już dalej, więc nie zauważyła tego. Westchnęłam i podniosłam butelkę. Kiedy się odwracałam, spostrzegłam chłopaka. Przyglądał mi się. Miał szerokie ramiona, bardzo białe zęby i krótkie brązowe włosy. Nie gapił się jak to zwykle chłopcy, tylko patrzył, jakby mnie rozpoznał, a najdziwniejsze było to, że i ja odniosłam wrażenie, że skądś go znam.

– Chodź już, Rachel! – zawołał rabin, więc pobiegłam do auli.

Weszłam akurat w momencie, gdy na środku stała platynowa blondynka w średnim wieku z fryzurą baleriny. Uniosła dłoń, prosząc o uwagę.

– Nazywam się Darcy Edelman i jestem dyrektorem miejscowej sekcji Home

Free. Chcę wam wszystkim podziękować za to, że do nas przyjechaliście – powiedziała. – Bardzo proszę podchodzić po identyfikatory. Ich kolor wskazuje grupę, do której zostaliście przydzieleni.

Mój miał niebieski otok. Taki sam jak chłopaka, który mi się przyglądał. Wysoki, ale nie zbyt wysoki, szczupły, ale nie chudy, z widocznie zarysowanymi mięśniami ramion i klatki piersiowej pod zwykłym niebieskim T-shirtem. Pociągła twarz z wysokim czołem, brązowymi oczami, prostymi, gęstymi brwiami i dołkiem w podbródku. Mimo krótkiego strzyżenia miał wyraźnie kręcone włosy i piękne usta, pełne i leciutko wydęte, jakby chciał kogoś pocałować. Zauważyłam, że nie nosi aparatu... ale za to wpatruje się w mój identyfikator.

– Rachel? – zapytał miłym, głębokim głosem.

– Tylko mi nie mów, że też masz tak na imię. – Uśmiechnęłam się do niego, myśląc jednocześnie, że Marissa będzie ze mnie dumna: wreszcie zwrócił na mnie uwagę jakiś przystojniak.

– Rachel Blum – powiedział. Popatrzył na identyfikator, potem na mnie. – Byłaś kiedyś w szpitalu w Miami? W szpitalu dziecięcym?

Przyjrzałam mu się uważnie.

– Tak. Ale tylko pół życia. A co?

Uśmiechnął się, błyskając śnieżną bielą zębów.

– Opowiedziałaś mi bajkę.

Gapiłam się na niego i czułam, jakby stanęło mi serce, jakby światła przyciemniono, a na sali zapadła cisza.

– Napisałeś do mnie – stwierdziłam, próbując jakoś połączyć tego przystojniaka z dzieckiem z izby przyjęć – a ja ci odpisałam, ale mój list wrócił po kilku dniach.

To była prawda, napisałam do Andy’ego, by zapytać, czy ręka rzeczywiście była złamana i czy przed wyjazdem poszedł jeszcze nad ocean, i czy koledzy podpisali mu się na gipsie, ale mój list, do którego tak się przykładałam, tydzień później wrócił z adnotacją adresat nieznany.

Zmarszczył brwi i spuścił wzrok, wpatrując się w swoje białe-niebieskie adidasy Nike, do biegania, ale nie te z systemem pompowania, które preferowali chłopcy w mojej szkole, niezależnie od tego, czy grali w kosza, czy nie.

– Przeprowadziliśmy się niedługo po powrocie.

– Naprawdę? – nie dowierzałam, doszukując się w przystojniaku śladów tamtego zranionego ośmiolatka. Zauważyłam przy tym, że on czyni podobne obserwacje. – To niesamowite!

Czułam walenie serca i z trudem łapałam oddech, podobnie jak wtedy, gdy miałam sześć lat i zapalenie opłucnej, tylko że tym razem to było cudowne.

– Faktycznie – potwierdził, lustrując mnie i jakby nie wierząc, że to naprawdę ja, jakbym w każdej chwili mogła zniknąć.



I wtedy dyrektorka klasnęła w dłonie.

– Jutro po śniadaniu znajdziecie swoich kierowników i rozpoczniecie pracę – zakomunikowała. – A teraz porządnie się wyśpijcie!

– Do zobaczenia jutro. – Uśmiechnęłam się do Andy’ego.

– Jasne. Super.

Odchodząc, dotknął mojego ramienia; to dotknięcie wniknęło bardzo głęboko. Patrzyłam za nim – na jego krótkie włosy, opaloną skórę, szerokie ramiona i wąskie biodra. Czulałam się jak dziewczyna z filmu, która po wielu przejściach i próbach w końcu dostrzegła swoją nagrodę.

Następnego dnia siedziałam już w autokarze, gdy on ze swoimi kolegami dopiero wchodził. Z daleka skinął mi głową. Sądziłam, że zwyczajnie mnie minie, ale w ostatnim momencie usiadł obok. Pomyślałam, że chyba nieźle wyglądam. Obudziłam się wcześniej, nawet przed budzikiem, miałam więc czas na dłuższy prysznic, spryskanie się brzoskwiniową mgiełką i nakręcenie termoloków. Potem z piętnaście minut przeglądałam wszystkie zabrane ciuchy i w końcu zdecydowałam się na białą bluzkę z długim rękawem, najodpowiedniejszą do spranych ogrodniczek (nawet w największej spiekocie musieliśmy mieć długi rękaw, rzekomo ze względu na bezpieczeństwo). Byłam ciekawa, czy on też się zastanawiał, co ubrać – włożył fioletowy T-shirt ze złotym napisem holy cross i dopasowane džinsy.

– Dzień dobry – przywitałam się.

Odwrócił się.

– Rachel Blum. Nie Bloom przez dwa „o”, tylko przez „u”.

Kiedy się uśmiechnął, w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki.

Zalała mnie radość. Pamiętał.

– Cóż, widzę, że przez ostatnie osiem lat bez przerwy o mnie myślałeś.

– Od czasu do czasu robiłem sobie przerwę. Egzamin y wstępne i takie tam.

To dało mi wymówkę, żeby mu wlepić niby-kuksańca w ramię, które okazało się tak solidne, na jakie wyglądało.

– Nie kłam. Założę się, że myślałeś o mnie nawet na egzaminach. Na pewno żadna inna dziewczyna nie potrafiłaby opowiedzieć *Jasia i Małgosi* tak jak ja.

Pokręcił głową z ledwie dostrzegalnym uśmiechem, jednocześnie ściągając brwi.

– Masz bardzo wysokie mniemanie o sobie.

– Wcale nie, ale potrafię rozpoznać u faceta obsesję.

Wyciągnął w przejściu swoje długie nogi. Ja wyjęłam z kieszeni tubkę kremu z filtrem.

– Poczęstujesz się? – zapytałam. Pociągnął nosem.

– Brzoskwiniowy? – Wziął tubkę i obrócił ją w dłoni. Zmarszczył czoło, gdy spostrzegł cenę. – Jedenaście dolarów?

– Dziesięć dziewięćdziesiąt dziewięć.

Pokręcił głową, udając niedowierzanie, ściągając gęste brwi i przymrużając oczy.

– A co, uważasz, że nie jestem tyle warta? – Odebrałam mu tubkę i wycisnęłam krem. – Zawiera składniki odżywcze odbudowujące skórę. I witaminę E. Ona jest ważna.

– Oczywiście.

Patrzył, jak wcieram krem w policzki i nos. Gdybym знаła go trochę lepiej, rozmazałabym mu reszkę na twarzy, ale tylko wtarłam nadmiar w wierzch swoich dłoni.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, wstał.

– Czas do pracy, dziesięć dziewięćdziesiąt dziewięć.

Zabrał mi tubkę i włożył ją z powrotem do kieszonki moich ogrodniczek. Wsiadłam zaraz za nim.

Naszym kierownikiem okazała się młoda kobieta o imieniu Alex, która postanowiła zrobić sobie rok przerwy po licencji i popracować dla Home Free. Wprowadziła nas w temat, opowiedziała ogólnie o dzielnicy, pokazała zdjęcia rodziny, która będzie mieszkać w „naszym” domu, a potem wyjaśniła, że oczywiście w tydzień nie zbudujemy całego budynku.

– Większość prac zostanie wykonana przez fachowców, i tak być powinno – tłumaczyła. – Natomiast naszym zadaniem jest przygotowanie frontu robót, żeby oni mogli od razu przystąpić do pracy.

Przygotowanie frontu robót polegało na uprzątnięciu mnóstwa śmieci, posegregowaniu wkrętów i śrubek, przeniesieniu drewna i worków z cementem z ciężarówki na plac budowy oraz na zbieraniu stert darowanych ubrań i sprzętów kuchennych. Miałam nadzieję, że oboje z Andym zostaniemy przydzieleni do sortowania śrub, lecz Alex dała nam po ogromnym worku i po parze rękawic roboczych, oznajmiając tym samym, że pierwszy dzień wakacji spędzę na zbieraniu śmieci. Kiedy nasza kierowniczka oznajmiła, że możemy iść, stanęłam blisko Andy’ego, więc zupełnie naturalnie poszliśmy w tym samym kierunku.

Byłam przyzwyczajona do florydzkiego upału i wilgotności, ale w domu przynajmniej wszystko pachniało czystością i można było wdychać słoń, morską bryzę. Tego bezwietrznego ranka niebo było tak jasnoniebieskie, że aż białe, a powietrze tak gęste, że wydawało się osiadać na skórze, śmierdziało spalinami. Zachwaszczony teren trzeba było oczyścić z potłuczonego szkła, styropianowych pojemników po fast foodach i sporadycznych psich kup.

Andy pochylił się, by podnieść dwie garście starych gazet, podczas gdy ja ostrożnie ujęłam kubek po kawie, trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania.

– Wszystko? – Zbierał właśnie część butelki.– To może chwilę zająć.

– Przecież mamy czas.

Patrzył, jak w dwóch palcach podnoszę skrawek gazety.

– Jeśli w ten sposób będziesz zbierać śmieci, to faktycznie: mamy sporo czasu.

– Jak to było z twoją ręką?

Wzruszył ramionami.

– Nie bardzo pamiętam. Zrobili zdjęcie i dali temblak, po jakimś czasie musiałem wrócić po gips. – W jednej ręce trzymał grabie, a w drugiej worek na śmieci, otarł więc czoło ramieniem. – Mama nie była zadowolona.

Pamiętałam jego mamę: chmurę włosów, zapach alkoholu i sposób, w jaki zwracała się do Andy’ego – jakby był dorosły i jakby oczekiwała, że tak właśnie się zachowa.

– Okej, a gdzie mieszkasz? Masz rodzeństwo? Psa, kota?

„Dziewczyne?” – dopowiedziałam w duchu i postanowiłam, że jakoś potem przemycę to pytanie.

– Mieszkam tylko z mamą, w Filadelfii.

Alex głośno klasnęła w dłonie i na jej sygnał zaczęliśmy z Andym grabić nierówny teren. Przysunęłam się bliżej, aż dotknęłam jego ramienia. Poczułam gorąco na skórze, serce mocniej mi zabiło. Próbowałam wymyślić jakiś inny temat, gdy odezwał się Andy.

– Uprawiasz jakiś sport?

Pokręciłam głową, dotykając klatki piersiowej i niewidocznej pod bluzką blizny. Chciałam wiedzieć, czy pamięta. Chciałam, żeby na mnie spojrział – na moją talię, nogi i włosy, mój największy atut, który wszyscy zauważali i komplementowali.

– Lubię czytać – odparłam.

Andy się skrzywił, łącząc ciężkie brwi w literę „V”.

– Ja nie przepadam.

– Domyśliłam się tego – powiedziałam z uśmiechem.

– To znaczy?

– No, z tego twojego listu. Masz chyba najbardziej nieszczęśliwe pismo, jakie w życiu widziałam.

– Nieszczęśliwe pismo? – Usta mu drgnęły. Kiedy schylał się, żeby zebrać chwasty, obserwowałam rysujące się pod koszulką wypukłe kręgi. Czuję zapach mydła i wypranej bawełny. – O co ci chodzi?

– Pisałeś takimi małymi literkami, jakby kreślenie ich sprawiało ci ból. Jakbyś musiał płacić za każdą kropelkę atramentu. – Szłam za nim, gdy oparł grabie o ścianę, podniósł drewno i zaniósł je we wskazane przez Alex miejsce. Też wzięłam dechę i podreptałam za nim. – Robiłeś to już wcześniej?

– Co, wolontariat?

– Nie, budowanie domu. Wyglądasz, jakbyś się na tym znał.

Naprawdę. Miał szybkie i pewne ruchy, nieprzypadkowe i płynne, co stanowiło spory kontrast z chłopcami i mężczyznami, których znałam. Umiejętności domowe taty zaczynały się i kończyły na wymianie baterii w pilocie do bramy garażowej, a Jonah był tak leniwy, że nawet jeśli posiadał jakieś wrodzone zdolności naprawienia zepsutej lampy czy młynka do odpadów, to wolał siedzieć w swoim pokoju.

– Mam znajomego, który naprawia różne sprzęty, czasami mu pomagam.

– Nasz fachowiec jest chyba zboczony.

Tak podejrzewałam. Norman miał minę winowajcy i zawsze trzymał ręce w kieszeniach, a raz, jak się kąpałyśmy z Marissą w basenie, gapił się na nas.

– Mój znajomy nie jest zboczony – oznajmił Andy i zaczął stawiać dłuższe kroki, więc musiałam przyspieszyć, żeby za nim nadążyć.

– Nie powiedziałam przecież, że jest! Nie wszyscy są! – Odłożyłam swoją deskę. – Chociaż facet, który czyści nam basen, też jest dziwny.

– Masz basen?

Chyba zrobiło to na nim wrażenie. Chciałam wyjaśnić, że na naszej ulicy każdy ma basen i że to nic wielkiego, ale pomyślałam, że może u niego jest inaczej.

Zebrał z ziemi kolejną porcję drewna i skrzywił się, kiedy ja podniosłam jedną dechę.

– Nie możesz wziąć więcej?

– Przepraszam, ale delikatny ze mnie kwiatusek.

– Wczoraj tachałaś z autokaru wielgachną torbę. A właściwie co ty tam wpakowałaś? Całą szafę?

Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy mógł mnie widzieć z torbą. Chyba mnie śledził, pomyślałam, czując zawrót głowy. Przyglądał mi się z ukrycia.

– Skąd o tym wiesz? Śledziłeś mnie?

– Nie.

– Jasne, że śledziłeś – upierałam się. Już wcześniej droczyłam się z chłopakami i rozśmieszałam ich, ale pomyślałam, że jeżeli uda się z Andym, to będzie lepsze niż wszyscy tamci razem wzięci. – Poznaję ten wzrok, widzę jasno, że pracujesz dla CIA.

Niemal się uśmiechnął.

– A może tym razem księżniczka spróbuje wziąć dwie deski?

– Bardzo chciałabym wnieść większy wkład, problem jednak w tym, że przy pracy z drewnem istnieje niebezpieczeństwo wbicia się drzazgi, z czego może się rozwinąć zapalenie, a wtedy mogłabym poważnie zachorować – wyjaśniłam.

Podobało mi się, że mówił o mnie „księżniczka”, szczególnie że nie dodał „żydowska”.

– Dlatego mamy rękawice i długie rękawy.

Uniósł dłoń, by zademonstrować.

– Drzazgom to nie przeszkadza. Mogą dostać się wszędzie. – Ściszyłam głos i dodałam złowieszczym szeptem: – Dosłownie wszędzie.

– Jesteś nienormalna. – Pokręcił głową.

Gdy wróciliśmy do sterty drewna, pokazowo poprawiłam swoje rękawice ochronne, a Andy z namaszczeniem włożył mi w ręce nie jedną, ale dwie deski.

– Jak sądzisz, dasz radę?

– Spróbuję – odparłam i wzięłam głęboki oddech, usiłując uspokoić serce. – Masz jakieś inne hobby oprócz budownictwa?

– Biegam – oznajmił. Miał poważną minę i skupiony wzrok. – Pewnego dnia pojedę na olimpiadę.

– Naprawdę? Słyszałam, że bilety są dość drogie.

– O, ty! – powiedział zabawnym tonem reprimendy. Ale się nie uśmiechał. Nie żartował.

– A w jakiej... konkurencji byś startował?

W szkole też mieliśmy drużynę lekkoatletyczną, i w ogóle wszystkie możliwe drużyny, lecz moi znajomi do niej nie należeli, więc nigdy nie byłam ani na treningu, ani na żadnych zawodach.

– Biegam na długich dystansach. Jesienią w biegach przełajowych, około pięciu kilometrów. Biegam też na tysiąc sześćset metrów i w sztafecie, osiemset metrów, wiosną. Ale w college'u będę pewnie biegał na pięć i dziesięć kilometrów.

– Ja chybabym umarła, gdybym miała przebiec kilometr.

Nie kłamałam. Najdłużej w życiu biegałam, kiedy autobus szkolny przyjechał o siódmej pięćdziesiąt i musiałam gnać, żeby mi nie uciekł.

– Nie biegacie na wuefie?

Znów dotknęłam blizny.

– Nie pamiętasz? Jestem delikatnym kwiatuszkiem. Na wuefie co najwyżej mogę tańczyć.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Jak to jest? Idziesz na studia... – zaczęłam i zawiesiłam głos.

Nawet gdyby wygrał całą tę olimpiadę, a potem wyjechał i wygrał wojnę, wiedziałam, że nie będę mogła z nim być, jeśli nie pójdzie na studia. Religia, jak podejrzewałam, też może stanowić problem. Moja kuzynka Abby, córka siostry mamy, poślubiła faceta o imieniu Tim, którego poznała na studiach. Podśledzałam kiedyś rozmowę mamy na jej temat przez telefon. „Przynajmniej dzieci będą żydami” – mówiła. I jeszcze: „Może on zmieni religię”.

No i kwestia rasy. Rodzice nigdy nie powiedzieli, że życzą sobie białego zięcia, ale pewnie dlatego, że do głowy by im nie przyszło, iż mogłabym spotykać się z nastolatkiem, który nie jest biały. Nie byli rasistami, nie używali zakazanych

słów i marszczyli brwi, gdy wujek Si opowiadał, dlaczego czarni są lepsi w sporcie, ale nie sądzę, że znali wielu ciemnoskórych, i chyba nie byłiby zachwyceni, gdybym chciała zabrać Andy'ego na studniówkę. A ja już się nad tym zastanawiałam.

– Na studiach będę biegał – potwierdził. – Na Oregonie, mam nadzieję. Mają najlepsze wyposażenie i tam jest teraz najlepszy trener. Jeśli będę wystarczająco dobry, pojedę na specjalny obóz treningowy. Tam mają sponsorów, Nike i tym podobni, zapłaciliby mi za utrzymanie, treningi i zawody. W dwutysięcznym będę miał dwadzieścia trzy lata, czyli akurat, choć na moim dystansie można biegać i po trzydziestce. Mam więc przed sobą olimpiady w latach dwa tysiące, dwa tysiące cztery, osiem, a może nawet dwanaście.

Biegacz olimpijski. Spróbowałam sobie to wyobrazić. Stoję na trybunach, ubrana ze smakiem i patriotycznie, w niebieskie dżinsy, białą koronkową bluzkę, przezroczystą, ale nie za bardzo, i z czerwoną opaską we włosach. Gdy Andy przebiega linię końcową, następuje najazd kamery na mnie, ja wyskakuję w powietrze i wyrzucam w górę ręce. Powrót na Andy'ego, który wciąż na bieżni szuka mnie wzrokiem, osłaniając dłonią oczy.

– No dobra, trenujesz, jedziesz na obóz, potem na olimpiadę, przywozisz złoto, twoje nazwisko wędruje na opakowania płatków śniadaniowych...

Andy się uśmiechnął.

– A dalej?

Uśmiechnął się szerzej.

– Trenowanie, może. Albo znajdę coś innego, co lubię robić.

– Kochani! – zawołała Alex. – Lunch!

Andy złapał kosmyk moich włosów, kciukiem i palcem wskazującym, i pociągnął niezwykle delikatnie, a potem puścił, tak że kosmyk odskoczył na swoje miejsce, łaskocząc mnie w policzek.

Byłam zbyt zaskoczona, żeby coś powiedzieć. Chłopcy całowali mnie już i dotykali, rozpinali mi stanik i próbowali wsuwać ręce w spodnie, ale nigdy jeszcze nikt nie wykonał wobec mnie gestu tak intymnego i to tak pewnie, jak Andy przed chwilą. Ciekawe, czy robił to już wcześniej, czy był to gest, który doprowadził do perfekcji, ćwicząc go na dziesiątkach dziewcząt. Miałam wrażenie, że nie. Wydawał się spontaniczny, przeznaczony tylko dla mnie. Podobam mu się, pomyślałam. A może wcale nie. Może się tylko zabawia. Jeszcze się nie pocałowaliśmy, a to będzie moment prawdy, wtedy dowiem się, czy Andy jest tylko miły dla kogoś, kogo poznał dawno temu, czy też czuje to samo co ja.

Lunch dostaliśmy w brązowych papierowych torbach: kanapki, owoce, herbatniki i butelka wody. Andy wziął dwie paczki i zaprowadził mnie pod liche drzewo, które dawało jedyny dostępny w okolicy cień.

– Szkoda, że ten dom nie ma basenu – zauważył, odciągając koszulkę od

ciała w miejscu, gdzie pociemniała od potu i była prawie czarna. Zazwyczaj nie cierpiałam spoconych chłopaków. Kiedy Troy obejmował mnie zaraz po meczu, znosiłam to dzielnie, lecz po chwili wręczałam mu ręcznik. A tu nagle w ogóle mi nie przeszkadzało, że Andy się poci. – Co robi twój tata?

– Nieruchomości komercyjne – odparłam z nadzieją, że nie zada mi zbyt wielu pytań, bo wydałoby się, jak niewiele wiem. Jadłam swoje jabłko, wyobrażając sobie, że pływamy razem z Andym, ja unoszę się na wodzie i czuję pod sobą jego dłonie.

– Nosisz biżuterię?

– Co?

Pochylił się i opuszkami palców dotknął mojej szyi, a potem, przez bluzkę, wypukłości blizny. Poczulałam na twarzy uderzenie gorąca. Zaczerwieniłam się i uniosłam głowę, jak kwiat w stronę słońca.

– Powinnaś mieć tutaj coś ładnego.

I spojrzął mi prosto w oczy, a ja wytrzymałam ten wzrok. Nie śmiałam się, nie żartowałam i nie robiłam min, tylko patrzyłam i pozwalałam, by Andy patrzył na mnie.

Noc i kolejny dzień chodziłam jak we mgle, wrywałam chwasty, nosiłam deski, segregowałam używane naczynia i sztućce, zawsze świadoma, gdzie dokładnie jest Andy, czując na sobie jego wzrok albo tylko to sobie wyobrażając. W autobusie siedział obok. Opowiadał o roznoszeniu gazet i o panu Sillsie.

– Jak byłem mały, wdałem się kilka razy w bójkę. – Pokręcił głową. – Prawie wyrzucili mnie ze szkoły.

– Biłeś się?

Wyciągnął znów nogi w przejściu.

– No wiesz, jak to jest.

– Nie, nie wiem. Dziewczyny się nie biją. Plotkujemy tylko i kradniemy sobie chłopaków.

Ciekawe, czy uważał, że specjalnie tak często używam słowa „chłopak”.

– Raz ktoś powiedział coś o mojej kurtce, szczeniackie sprawy. Wyrosłem z tego.

– Wygrałeś wtedy?

Błysnął zębami.

– Za każdym razem.

– Zwycięzca! – ogłosiłam, biorąc go za rękę i podnosząc ją, jak robią to sędziowie po meczu bokserskim. Myślałam jednocześnie o jego kurtce, z której inne dzieci się śmiały.

W klimatyzowanym autokarze było cudownie po całym dniu w lepiącym gorącu. Siedzieliśmy, nie rozmawiając zbyt dużo, ale cisza nie była krępująca. Krajobraz za oknem zmieniał się. Zniknęły działki z opustoszałymi siedzibami

nieistniejących już firm. W ich miejsce pojawiły się pięknie wypielegnowane trawniki w pobliżu Emory. W trakcie kolacji on siadał ze swoim towarzystwem, ja ze swoim. Słyszałam narzekania na nudną robotę i duszący upał, żalując, że gadają tak głośno, bo wolałabym odegrać w głowie moje rozmowy z Andym albo pomyśleć o tym, jak się czułam, gdy nasze nogi w autokarze się stykały.

Z chłopakiem ze szkoły mogłabym wykonać pierwszy ruch, szczególnie gdybyśmy byli na imprezie, on wypiłby kilka piw, a ja może też. Usiadłabym mu na kolanach albo wcisnęła się obok niego na kanapę, albo jeszcze coś innego, tak żeby go sprowokować do pocałowania mnie. Jednak tutaj, w Atlancie, nie było imprez, a jeśli był alkohol, to ja nic o nim nie wiedziałam. No i wciąż nie miałam pewności, co Andy do mnie czuje. Czy mnie lubi, czy mu się podobam? („Nie znam go, ale może nie zachowuj się jak sierżant” – radziła Marissa, gdy opisałam jej swój dylemat).

Czwarty dzień pracy okazał się wyjątkowo gorący.

– Pijcie dużo wody – poleciła rano Alex, wskazując dodatkowe termosy ze schłodzoną wodą, przygotowane obok stanowisk do mierzenia i zaznaczania długości desek, oczywiście w pełnym słońcu.

Andy przyniósł mi kubek wody i przypomniał, żebym się posmarowała, a ja skupiłam się na tym, żeby się przy nim nie pocić, mniej więcej w takim samym stopniu jak na pracy.

Skończyliśmy wcześniej, o trzeciej, kiedy temperatura dochodziła do trzydziestu pięciu stopni. Wdzięczni, wsiedliśmy do chłodnego wnętrza autokaru i zajęliśmy miejsca. Po chwili zamknęłam oczy i gdy ruszyliśmy, zapadłam w drzemkę, zmęczona upałem. Oparłam głowę o ramię Andy’ego, nie dlatego, że tak zaplanowałam, ale dlatego, że tak akurat wyszło. Ocknęłam się, kiedy uderzyłam policzkiem w jego bark i znieruchomiałam, wstrzymując oddech, czując pod bawełną ciepło jego skóry i zastanawiając się, czy mnie odsunie. On jednak zmienił pozycję tak, żeby było mi wygodniej, a potem bardzo, bardzo delikatnie zaczął głaskać mnie po policzku opuszką kciuka. Robił to tak leciutko, że ledwie czułam jego dotyk.

– Masz taką miękką skórę – szepnął.

Chciałam powiedzieć coś o kremie nawilżającym, ale westchnęłam tylko niewyraźnie i wyciągnęłam rękę, a on zamknął ją w swojej dużej dłoni.

Tego wieczoru podszedł do mojego stolika i stał spokojnie, aż razem z Marissą podniosłyśmy wzrok.

– Masz ochotę na spacer? – zapytał, a ja bez słowa wstałam. Wziął mnie za rękę i wyszliśmy.

Na trawnikach kampusu było sporo drzew, wyobrażałam sobie, że studenci siadają pod nimi, by odrobić zadanie. Usiedliśmy obok siebie pod jednym z nich, oparci o pień, i patrzyliśmy w gwiazdy.



– W Filadelfii nie widać gwiazd tak wyraźnie – stwierdził Andy.

– Pojechaliśmy kiedyś na Cape Cod i było tam tak ciemno, że widziałam je wszystkie, setki gwiazd.

Właściwie nie miałam ochoty na rozmowę o gwiazdach ani na porównywanie miasta z wsią. Odwróciłam się do niego, widziałam w ciemności zarys jego twarzy i myślałam: Jeśli mnie nie pocałuje, to chyba umrę.

– Zajmiesz mi jutro miejsce przy śniadaniu? – zapytał, gdy na dzwonnicy wybiła dziesiąta i wszyscy zaczęli wracać do akademików.

– Chyba że spotkam kogoś, kto bardziej mi się spodoba – odparłam.

Dojrzałam jego urażone spojrzenie. Przez tę chwilę, nim się zorientował, że żartuję, wyglądał, jakby znów miał osiem lat – zaciśnięte usta i smutne brązowe oczy. Przypomniałam sobie, jaki samotny był wtedy, w szpitalu, i jak jego matkę bardziej interesowało wyzywanie pielęgniarek niż zajęcie się Andym. Chłopiec, który został wychowany w taki sposób, prawdopodobnie miał mniejszą tolerancję na droczenie się niż ktoś taki jak ja.

Wtedy poczułam na szyi jego dużą, ciepłą dłoń, drugą objął mnie w tali i przyciągnął tak blisko, że znów mogłam zobaczyć te długie, podkręcone na koniuszkach rzęsy, które pamiętałam ze szpitala.

– Dobranoc, Rachel – powiedział.

Zamknęłam oczy i przechyliłam głowę, czując w końcu jego usta, ciepłe, delikatne i niespieszne. Najśłodszy pocałunek w moim życiu.

Wpłynęłam do swojego pokoju, ledwie zauważając łóżka, biurka i szafę z miodowego drewna z wiszącymi w niej pustymi wieszakami. Wyciągnęłam nocną koszulę z różowo-pomarańczowej torby z monogramem. Przez głowę przemykały mi dziesiątki piosenek miłosnych, a każda z nich, każda fraza o tęsknocie, pożądaniu i niemożności życia, jeśli to życie jest bez ciebie, brzmiała tak, jakby napisano ją specjalnie dla mnie. *Don't stop believing* – nuciłam. *Hold on to that feeling*.

Wciąż jeszcze nuciłam Journey, gdy wpadła Marissa, a za nią wtoczyła się Bethie.

– Co jest? – zawołała ta pierwsza.

Bethie wyciągnęła książkę z jednej z dwóch marketowych reklamówek, w które spakowała swoje rzeczy.

– Pocałował mnie!

– Matko! Nareszcie!

Złapałam Marissę za ręce, zaczęłyśmy piszczeć i skakać na łóżku. W ogóle nie zwracałyśmy uwagi na Bethie z małą tubką pasty, szczoteczką i spranym białym ręcznikiem, która wyszła z pokoju i znów przyszła. Wilgotne włosy moczyły jej nocną koszulę. My rozmawiałyśmy – Marissa ciągle powtarzała: „Musisz mi wszystko powiedzieć”, a ja z przyjemnością spełniałam jej prośbę –

podczas gdy Bethie czytała wypożyczoną z biblioteki *Faldkę czasu* (miło ją wspominałam z okresu szóstej klasy), okryta przywiezionym z domu kusym brązowym kocykiem. Sypiała w obszernej koszulce, w rodzaju base-ballowej, z brokatowym jednorozcem baraszkującym na fałdach jej brzucha, i w jasnoniebieskich spodniach od dresu tak opiętych, że sprawiały wrażenie namalowanych na jej udach.

Myślałam, że w życiu nie zasnę, zwłaszcza że Bethie nalegała, by lampa na jej biurku została włączona. Nie zależało mi. Chciałam sobie wszystko dokładnie odtworzyć w pamięci: dotyk ciepłej ręki Andy'ego na mojej talii, jego długie nogi w dżinsach, no i to, co powiedział i co ja powiedziałam, niski ton jego głosu, jego zapach. Dotyk jego ust.

Gdy obudziłam się następnego dnia, leżałam w swoim dolnym łóżku, a w promieniach wpadającego do pokoju słońca tańczyły drobinki kurzu. W powietrzu za oknem już czuło się wilgoć. To sen, pomyślałam. I wtedy do pokoju wpadła Bethie.

– Coś dla ciebie! – oznajmiła wysokim tonem bez wyrazu i rzuciła na mój śpiwór zwykłą, białą kopertę.

Zobaczyłam swoje imię wypisane maleńkimi, pochylonymi literkami, które przez te wszystkie lata doskonale pamiętałam. Otworzyłam kopertę i znalazłam pojedynczą kartkę papieru, na której napisano jedno słowo: „Rachel”. Była owinięta wokół czerwonego spinacza do papieru, z którego uformowano serce.

Oparłam się o ścianę, czując, jak ogarnia mnie słabość, i ściskając w dłoni serduszko, podczas gdy własne serce waliło mi w piersi jak młot. W końcu Marissa wyszła z łazienki i usiadła obok mnie, rozsiewając wokół zapach szamponu Finesse oraz brzoskwiniowego pee-lingu.

– Co to? Pokaż! O rany! – piszczała, kiedy otworzyłam dłoń.

– No.

Nie mogłam uwierzyć, że Andy zrobił coś tak romantycznego, tak słodkiego. Miałam ochotę skakać, biegać i krzyczeć z radości. Wzięłam rekordowo krótki prysznic i praktycznie wtańczyłam z powrotem do pokoju. Wysuszyłam i wymodelowałam włosy, umalowałam się, włożyłam jasnoniebieskie dżinsy i czerwoną koszulę z długim rękawem z małymi guziczkami przy kołnierzyku. Zaczęłam przetrząsać torbę w poszukiwaniu zawieszki w kształcie gwiazdy Dawida, którą dostałam od babci z okazji bat micwy. Ostrożnie zdjęłam ją z łańcuszka i zastąpiłam sercem Andy'ego, by mogło znaleźć się dokładnie w zagłębieniu mojej szyi.

Niestety, zostały tylko dwa dni do końca. Nadal przenosiłam deski, przyglądając się jednocześnie, jak Andy przecina je piłą. W ogóle nie przypominał moich kolegów, z tym swoim bieganiem, samotną matką i przyjacielem panem Sillsem, z historyjkami o wygrananiu mistrzostw szkół katolickich w biegach

przełajowych oraz o koledze Milesie, który miał być tu z nim, ale go zawiesili, bo wyrzucił czyjś plecak przez okno autobusu.

– Jak to jest być rasy mieszanej? – zapytałam go raz, dość nieśmiało, podczas lunchu pod naszym drzewem. Ściągał z chleba plastry indyka, rolował je i zjadał najpierw, jak to miał w zwyczaju.

Andy wzruszył ramionami.

– Nigdy nie byłem inny. Wiem tylko, jak to jest być mną.

Wydaje mi się, że zrozumiałam. Kiedy ludzie pytali mnie, jak to jest mieć chore serce, przechodzić te wszystkie operacje i tak dalej, opowiadałam o opuszczonych lekcjach i pobytach w szpitalu, ale tak naprawdę nie potrafiłam powiedzieć, jak to jest, bo nie miałam tego z czym porównać.

Nie oczekiwałam, że Andy rozwinie temat, ale mnie zaskoczył. Spuścił głowę, choć na ziemi nie było nic prócz grudek i gałązek.

– To trochę tak, jakby było we mnie dwóch ludzi – dodał.

– To znaczy?

– Kiedy jestem z mamą albo z... – Przełknął głośno ślinę. – Chciałem powiedzieć z babcią, ale już bardzo długo się z nią nie widziałem. Obydwie są białe, więc kiedy jestem z nimi, ludzie sądzą, że też jestem biały, i bywa wtedy, że dowiaduję się, co naprawdę myślą o czarnych. – Spojrzał na mnie smutno. – I to nie jest miłe. Z drugiej strony czarni chłopcy, z którymi się ścigam, uważają zwykle, że nie jestem dostatecznie czarny albo że próbuję być biały, albo że gadam jak biały... – Zerwał źdźbło trawy i zaczął nim kręcić między kciukami. – No i te wszystkie pytania: kim jesteś, skąd jesteś. Nie wystarczy odpowiedź, że z Ameryki czy z Filadelfii. Czasem też przyłapuję ich, jak mi się przyglądają. – Związał źdźbło w węzeł i pstryknął palcami, zrzucając je na ziemię, po czym zerwał następne. – Po prostu nigdy nie jestem... – Znów bawił się źdźbłem. – ...no, zwyczajnie normalny. Zwyczajnym, normalnym człowiekiem, takim, że wystarczy spojrzeć i wszystko jest jasne. Zawsze muszę decydować, z kim chcę trzymać, kim będę tego akurat dnia. Czy nawet o tej i o tej godzinie. Ludzie, którzy mnie znają, nie myślą w ten sposób, ale inni... – Przesunął się, przeniósł ciężar z boku na bok, jakby chciał wstać i odejść. – Czasami żałuję, że nie znam jeszcze kogoś takiego jak ja. – A potem, tak cicho, że ledwie go usłyszałam, dodał: – Szkoda też, że nie poznałem swojego taty.

Chciałam mu powiedzieć, że rozumiem jego pragnienie bycia normalnym i tego, żeby mieć kogoś, kto przeżył to samo, z kim można by o tym porozmawiać i kto by nie kłamał. Ale nigdy nie opowiedziałam nikomu o Alice – ani rodzicom, ani babci, nikomu. Nie znalazłam właściwych słów. Pomyślałam, żeby go pocałować – miał taką smutną minę, siedział z przymkniętymi oczami i spuszczoną głową. Dotknęłam jego ramienia i wsunęłam rękę w jego dłoń. Wiem, jak to jest, pomyślałam, a on spojrzał na mnie, jakby usłyszał. Wiem, jak to jest.

Nadeszła sobota, ostatnia noc w Atlancie.

– Dobrze się spisaliście – mówiła Alex, kiedy zebraliśmy się w nowo postawionym domu. Wciąż był niedokończony, tylko surowe drewno i gołe ściany oraz stopy rur PVC, niewątpliwie jednak zbliżał się coraz bardziej do bycia domem, z pokojami, ścianami, klatkami schodowymi i drzwiami. I łazienkami. Zastanawiałam się, czy moglibyśmy zapodziać się w drodze do autokaru, znaleźć jakiś koc i rozłożyć się na surowej podłodze, żeby być razem, gdy zajdzie słońce. Kiedy wieczorne niebo przybierze kolor fioleto bratków, kiedy nie słyszać nic oprócz ptasiej i cykadowej symfonii.

Może Andy myślał o tym, co ja, bo gdy wszyscy wychodzili z budynku, wziął mnie za rękę, zostając w tyle. W środku panował półmrok, pachniało świeżym drewnem. Andy znów przyciągnął mnie do siebie. Kocham cię, pomyślałam... ale nic nie powiedziałam. Dziewczyny nie powinny mówić tego pierwsze.

– A gdyby to był nasz dom? – zapytał.

Zażartowałam, że nie byłby idealny, bez kanalizacji i instalacji elektrycznej. Słyszałam śmiech wchodzących do autokaru i narzekania Alex o porzuconych rękawicach ochronnych. Andy mnie objął, a ja oparłam głowę o jego pierś, przypominając sobie rysunek z komiksu Lyndy Barry, na którym dziewczyna, groteskowa i piegowata, siedziała w sypialni i patrzyła, jak chłopcy grają w koszykówkę. Zapadał zmrok, a ona obserwowała chłopaka, którego kochała. Jesteśmy małżeństwem, myślała, choć nikt o tym nie wie prócz nas.

Jesteśmy małżeństwem, pomyślałam, a Andy ścisnął moją dłoń i wyszliśmy powoli na zewnątrz, gdzie już zmierzchało.

Dla uczczenia ostatniej nocy na kolację była pizza, a potem film w sali gimnastycznej, *Naręczona dla księcia*, jeden z moich ulubionych. Gdyby w każdych drzwiach nie stała przyzwoitka, wymyślilibyśmy sposób, żeby się wymknąć. W tej sytuacji jednak znaleźliśmy sobie miejsce w głębokim cieniu, w kącie sali – Andy oparł się o ścianę, a ja o niego. Moje plecy na jego piersi, tak blisko, że trudno byłoby wsunąć między nas kartkę papieru. Całowaliśmy się tak długo, aż smak jego ust był mi znany jak własny.

Po filmie mnie odprowadził.

– Możesz nie zasypiać? – zapytał.

Pokiwałam głową. Nigdy nie byłam mniej śpiąca. Nie zasnę całą noc, a nawet cały tydzień, jeśli tak trzeba.

– Przyjdę po ciebie.

Znów kiwnęłam głową i pocałowałam go, stając na palcach i nie przejmując się okrzykami mijających nas kolegów, w rodzaju:

– Hej, znajdźcie jakiś pokój!

Może zabierze mnie z powrotem do domu, pomyślałam. To jednak

niemożliwe, przecież jechaliśmy tam dwadzieścia minut, a tu nie było samochodów, taksówek ani autobusów. Ale to właśnie sobie wyobraziłam: że Andy bierze mnie w ramiona i zostajemy sami w pustych pokojach.

– Jesteś pewna?

Dotknęłam jego policzka.

– Jestem.

Pobiegłam do pokoju, rozebrałam się, owinęłam ręcznikiem i poszłam pod prysznic. Wyszorowałam się dokładnie we wszystkich możliwych miejscach, dwa razy umyłam włosy, potem stanęłam przed lustrem z pianką i suszarką, rozmyślając, czy to zrobimy, czy będzie bolało, a moje serce galopowało jak mały kucyk. Tak się cieszyłam, że poczekałam, że to nie stało się z Derekiem, Scottem, Jasonem czy Troyem, że poczekałam na prawdziwą miłość.

Kiedy wróciłam do pokoju, przy ubraniach nie było naszyjnika. Spojrzałam na podłogę – nie ma. Przetrzęsłam śpiwór i wszystkie rzeczy, które miałam wcześniej na sobie. Przeszukałam szuflady i omiotłam wzrokiem całą podłogę, sprawdziłam kieszenie ogrodniczek i pobiegłam do łazienki, aby upewnić się, że tam nie został, pod prysznicem albo przy umywalce. Marissy ciągle nie było, sporo czasu spędzała teraz z chłopakiem z Baltimore o imieniu Pete. Bethie leżała na swoim łóżku, w aurze nieszczęścia i smrodku, kartkując *Home-coming* Cynthii Voigt, kolejny hit klas młodszych.

– Bethie – zagałam, wciąż dysząc z powodu biegania tam i z powrotem. – Widziałaś mój naszyjnik?

– Jaki naszyjnik? – zapytała Marissa, wpadając do pokoju z zaróżowionymi policzkami i kwiatem derenia we włosach.

– Moje serce – wyjaśniłam rozgorączkowana, trochę zaczynało mnie mdlić. – Zostawiłam je na komodzie i poszłam wziąć prysznic, a teraz go nie ma.

Opróżniłam torbę, wyrzucając wszystko na śpiwór, przeszukałam przednią kieszeń, mając nadzieję, że poczuję pod palcami serduszko. Tymczasem Marissa podeszła do łóżka Bethie. Wyciągnęła rękę.

– Oddawaj.

– Spadaj – odparła Bethie, nie podnosząc wzroku znad książki.

– Bethie, masz go? – zapytałam. Głos mi się załamał. – Albo wiesz, gdzie jest?

– Och, już ona dobrze wie – orzekła Marissa. Na twarz wypłynął jej chłód, wyglądała bardzo dorosło i nieco przerażająco. – Bethie, Beth-eee. Wyłaż, wyłaż z nory i oddaj Rachel jej własność.

Bethie nie reagowała, ale jej błyszcząca, okrągła twarz się zaczerwieniła. Nogi miała podciągnięte i jej kolana pod kocem zaczęły się nerwowo poruszać na boki. Marissa jednym zdecydowanym ruchem szarpnęła koc. Ani bluzka z jednorożcem, ani spodnie Bethie nie miały kieszeni.

– Zostawcie mnie! – pisnęła. Kulila się cała, podkurczając nogi, a mnie naszło skojarzenie z robakiem, któremu nagle podniesiono kamień, pod którym siedział.

– Zostawię cię, jak oddasz Rachel naszymi, ty pieprzona złodziejko.

Wstrzymałam oddech. Nigdy nie słyszałam, żeby Marissa mówiła tak komuś w twarz.

– To tylko głupi spinacz! – krzyknęła dziecinnym głosem Bethie. – Może się zgubił.

– Nie zgubił się, Jabbo, ty tłusciuchu. Co z nim zrobiłaś, połknęłaś?

– Marisso – powiedziałam półgłosem. Co innego nazywać Bethie „Jabba” w naszych prywatnych rozmowach, a co innego wykrzykiwać jej to w twarz. Tego raczej nie chciałam.

– Oddawaj – powtórzyła Marissa. Złapała Bethie za ramiona i podciągnęła do góry, tak że tamta usiadła.

Bethie spojrzała na nią ze złością.

– Zostawcie mnie albo powiem pani Nasser.

– Powiem pani Nasser – przedrzeźniała ją Marissa, naśladując piskliwy głosik. – A ty co, jesteś w przedszkolu, cholerna skarżypyto? Oddawaj! – W rytm słów szturchała Bethie i szarpała ją. Bethie się jej wyrwała i spojrzała na mnie.

– Pewnie go zgubiłaś – powiedziała. – Ale nie martw się, rodzice na pewno kupią ci nowy.

– To był prezent, ręcznie robiony, rodzice nie mogą mi takiego kupić.

Twarz mnie paliła, czułam, że nie wytrzymam i sama nią zaraz potrząsnę. Wiedziałam, że to ona go wzięła. Byłam pewna. Widok mojego szczęścia to więcej, niż biedaczka mogła znieść.

– Nie zgubiłam go, leżał dokładnie tutaj – mówiąc to, wskazałam na komodę. – Jeśli wiesz, gdzie jest, powiedz mi.

Rzuciła mi to samo zarozumiałe spojrzenie i znów otworzyła książkę. Podeszłam do łóżka i spojrzałam na czubek jej głowy, na tłuste włosy i biały przedziałek.

– Wyrzuciłaś go? Spuściłaś w sedesie? Zjadłaś?

Nigdy wcześniej do nikogo tak nie mówiłam, ale tym razem byłam rozwścieczona. To serduszko znaczyło dla mnie więcej niż wszystko inne, co posiadałam, nawet kolczyki z brylantami, które dostałam na bat micwę od rodziców, czy zrobiony na drutach przez babcię szal, który zabierałam na każdą operację.

Bethie milczała. Marissa podeszła do kąta, gdzie tamta trzymała swoje reklamówki z rzeczami, i podniosła je.

– Hej – jęknęła Bethie. – Nie waż się!

Nie zważając na to, Marissa wyrzuciła ich zawartość na łóżko Bethie. Dwie

pary gigantycznych majtek. Rozciągliwe czarne legginsy z dziurą na kolanie. Próbki kosmetyków w małych buteleczkach, zapewne ukradzione z hotelu – szampon i płyn do płukania ust. Mała kosteczka – pewnie mydło, zgadywałam – opakowana w papier toaletowy. Obdarty szary słonik bez oka. Marissa go podniosła.

– To twoje zwierzę mocy? – zapytała.

– Zostaw go – powiedziała Bethie, jakby się przestraszyła. – Nie wzięłam tego głupiego serca, więc nie dotykajcie moich rzeczy.

– Myślisz, że mam ochotę ich dotykać? Będę potem musiała zdezynfekować dłonie – odparła Marissa z drwiną i szturchnęła całą stertę.

– Powiedz, gdzie jest moje serduszko. – Wyrwałam Marissie słonika. – Gadaj albo go spuszczyć w łazience.

– Nie! Nie wolno ci!

Paznokciem oderwałam mu drugie oko i po chwili uderzyło głośno o podłogę. Leżało tam, brązowe okrągłe szkiełko, wydawało się patrzeć na mnie oskarżycielsko. Serce tak mi waliło, że aż falowały mi piersi, cała się trzęsłam, z furii, wstydu i dziwnego podniecenia, dreszczyku, jaki daje pofolgowanie swojej ciemnej stronie, gdy zaczynają nami rządzić nasze najgorsze instynkty.

– Przestań! – krzyczała Bethie. – Zostaw go!

– To oddaj naszyjnik.

– Nie wiem, gdzie on jest! – wrzasnęła na mnie Bethie.

Przez głowę przemknęła mi myśl „ja też nie”, ale szybko znikła.

– Oddaj – powiedziała Bethie, wyciągając dłoń.

– A co ci tak zależy? – zapytałam. – Rodzice kupią ci następnego.

– Nie mieszkam z rodzicami. Jestem w rodzinie zastępczej.

– Uuuu, bidulka – włączyła się Marissa. Oczywiście jej lśniły, była zaróżowiona. Chyba też jej się spodobało. Tak, na pewno czerpała z tego jakąś dziwną przyjemność. – Rodzice cię wyrzucili, bo im też podkradałaś rzeczy?

Bethie spuściła głowę. Płakała głośno, okropnie łkając. Rzuciłam w nią słonikiem, z całej siły.

– Następnym razem ukradnij dezodorant albo ubranie, które nie wygląda jak z Caritasu.

Miałam zamiar kontynuować, dopowiedzieć coś o szamponie, płynie na trądzik i tak dalej, gdy nagle usłyszałam za plecami swoje imię.

Odwróciłam się. W drzwiach stał Andy, w ręku trzymał mój naszyjnik.

– Został w stołówce – powiedział.

Oparłam się ciężko o ścianę, starając się uspokoić i myśląc jednocześnie, ile zdążył usłyszeć. Twarz mnie paliła na samo wspomnienie całej sceny.

– Dzięki ci, Panie Boże.

Bethie wciąż płakała. Ze wstydu kręciło mi się w głowie, zaczynało mnie

mdlić. Było gorzej niż wtedy, gdy tata przyłapał mnie na oglądaniu „Penthouse’a”, którego znalazłam pod jego materacem, gorzej niż wtedy (miałam sześć lat), gdy mama nie chciała mi kupić batonika, więc go ukradłam z półki, a kasjerka to zauważyła. Podniosłam słonikowe oczko i podeszłam do Bethie.

– Mogę to naprawić.

– Nie możesz – odparła. Kolana podciągnęła pod brodę, jedną ręką ciągnęła się za włosy, dość mocno, na pewno ją bolało. – Nie możesz, nie możesz, nie możesz – powtarzała, za każdym razem rwąc włosy.

– Mogę, naprawdę umiem – zapewniłam, dotykając jej ramienia. Pod materiałem ciało było gorące i miękkie. – I mogę też dać ci inne. Mam całe serie pluszaków z czasów, gdy byłam w szpitalu.

Bethie kiwała się i dalej ciągnęła za włosy.

– Nic nie rozumiesz. Nie chcę nowych, chcę Tylera. Tylko on mi został.

Został? Skąd? Pewnie po rodzicach. Poczulałam się wtedy taka mała, strasznie mała, i podła. Szczęście, które mnie wypełniało pod prysznicem, znikło, a wraz z nim ta dzika idiotyczna radość, która tak mnie nakręcała, gdy wyzywałam Bethie i niszczyłam jej rzeczy. Miałam ochotę schować się pod śpiwór i zamknąć oczy, jak małe dziecko.

– Bethie – zaczęłam znowu – przepraszam, że byłam taka okropna.

– Wszyscy tacy dla mnie są – warknęła. – A ty niczym się nie wyróżniasz, tylko tak ci się wydaje. Jesteś dokładnie taka sama jak inni.

– Przepraszam – powtórzyłam.

Strząsnęła moją dłoń i odwróciła się do ściany.

Andy nadal stał w drzwiach. Spojrzałam na niego, a on spuścił wzrok, twarz miał zupełnie bez wyrazu. W milczeniu odłożył serduszko na komodę, odwrócił się i wyszedł. Wszystkie trzy milczaliśmy, dopóki nie zamknął za sobą drzwi.

– Dobra robota, Bethie – skomentowała Marissa. – Fajny sposób na niszczenie innym miłości.

Bethie nie odpowiedziała, nawet nie odwróciła głowy.

Wciąż oszołomiona i zawstydzona, kompletnie nieszczęśliwa, powoli zdjęłam z siebie ciuchy, w które się wystroiłam, i włożyłam piżamę. Nie odzywając się słowem do Marissy, nawet nie myjąc zębów, wpakowałam się do śpiwora i odwróciłam do ściany. Cała się trzęsłam, ścisnęło mnie w żołądku, ale nie mogłam płakać, czułam zbyt wielki smutek. Jeśli było coś między Andym i mną, jeśli coś się między nami zaczynało, teraz umarło. Nie takiej dziewczyny pragnął... i mogłam za to winić tylko siebie.

Następnego dnia poszłam na śniadanie dość wcześnie, zostawiając swój bagaż przy tabliczce „Beth Am”. Rabin zapowiedział, że do dziewiątej trzeba opuścić pokoje, bo muszą je przygotować na przyjęcie kolejnej grupy – siatkarzy. Andy siedział ze swoimi kolegami i ze wzrokiem wbitym w talerz, nie patrzył ani



na mnie, ani na nikogo innego. Ja zajęłam miejsce między Marissą i Sarą Ackerman, nic nie zjadłam i nic nie mówiłam. Włosy związałam w kok, jak robię to w domu, gdy i tak nie widzi mnie nikt, na kim mi zależy. Włożyłam dzinsy z podwiniętymi nogawkami i jedyny czysty T-shirt, jaki mi został, biały. Rano, gdy Bethie była w łazience, położyłam na jej łóżku walkmana z moimi kasetami i kartkę. Napisałam na niej „Przepraszam”. Nie wiedziałam, czy lubi taką muzykę jak ja, ale nic innego nie miałam.

Po śniadaniu udaliśmy się do auli na spotkanie pożegnalne. Były przemówienia różnych rabinów, księży i nauczycieli o tym, że wspaniale pracowaliśmy i jak ważne są tego typu inicjatywy oraz że zawarliśmy przyjaźnie na całe życie. Po ostatnim „do widzenia i szczęś-liwej podróży” Andy jako jeden z pierwszych ruszył do wyjścia. Zerwałam się i depcząc po nogach kilku koleżankom, pobiegłam, by go dogonić.

– Hej!

Szedł w kierunku autokarów, bardzo szybko, z rękami w kieszeniach i ze spuszczoną głową.

– Andy! – Chwyciłam go za rękę. Nie wyrwał jej, ale palce miał zimne i bezwładne, a kiedy go ścisnęłam, nawet nie drgnął.

– Czy... – Czułam gulę w gardle. – Czy jeszcze się do mnie odezwiesz?

Wyzwolił dłoń z uścisku i znów zaczął iść.

– Mamy wsiadać do autokarów – powiedział.

– Proszę, Andy.

Pociągnęłam go za rękaw, jak małe dziecko.

– Kłótnia kochanków? – zawołała wesoło Marni Marmelstein, mijając nas.

Pociągnęłam Andy’ego za budynek, gdzie nikt nas nie widział.

Twarz miał poważną, w oczach smutek.

– Powinienem wsiadać do autokaru.

– Musisz coś wiedzieć.

Koniecznienie chciałam powiedzieć coś na swoją obronę, żeby tak na mnie nie patrzył, rozczarowanym wzrokiem, z pogardą, jakby mnie w ogóle nie znał.

– Nie znasz Bethie. Ona jest okropna. Chodzi wiecznie z tym swoim głupim uśmiezkiem i śmierdzi, i jest wredna. I nieuprzejma, gdy chcesz z nią pogadać. Nie myśl, że nie próbowaliśmy. Chcieliśmy być dla niej mili, zaprzyjaźnić się, ja też – tłumaczyłam. Technicznie rzecz ujmując, było to prawdą, choć faktycznie ostatni raz okazałam Bethie uprzejmość, zapraszając ją na bat micwę, i to tylko dlatego, że rodzice nalegali.

– Co jej się stało? Dlaczego taka jest?

– Nie wiem.

Prawdę mówiąc, niewiele przez te wszystkie lata myślałam o Bethie Botts, najwyżej dziwiło mnie, że w najmniejszym stopniu nie zależy jej na rzeczach tak

ważnych dla mnie: żeby ładnie wyglądać, ładnie pachnieć, umieć się ubrać, przyjaźnić z właściwymi osobami i nigdy nie robić ani nie mówić nic, co by mnie od nich odróżniało.

– Jest biedna – powiedział Andy cicho i jakoś bez wyrazu. – Nie ubiera się tak jak ty i twoje zarozumiałe koleżanki, bo jej na to nie stać.

– Nie jestem zrozumią! – wyrwało mi się natychmiast. Po tych wszystkich latach udawania, że jestem jak moje koleżanki z klasy, nagle, proszę bardzo, wręcz błagam o zmianę swojego statusu. – Nie wiesz, jaka jestem!

– Wiem, co widzę – odparł na to.

I ja wiedziałam, co widzi, gdy na mnie patrzy. Dziewczynę w drogich ciuchach, designerskich dżinsach i bajeranckich tenisówkach, z wielkim domem i basenem. Która ma własny pokój, samochód, telefon, której rodzice powiedzieli, że może iść na uniwersytet, jaki tylko sobie wymarzy, a babcia obiecała po dyplomie podróż do dowolnego miejsca na świecie. Jak to wyglądało dla chłopaka, któremu finansują szkolne obiady i który nosi używane ciuchy?

– Wczoraj byłam okropna, wiem o tym. Ale nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiłam. Chciałam tylko moje serduszko...

Głos uwiązał mi w gardle.

– Myślałam, że jesteś inna – powiedział Andy tak cicho, że ledwie go słyszałam.

Patrzyłam na niego, zaciskając pięść. Poczekalam, aż spojrzy mi w oczy.

– Jestem inna. Jestem dziewczyną, która przez trzy lata z rzędu traciła półtora miesiąca szkoły, bo musiała leżeć w szpitalu, a po powrocie wlec ze sobą butlę z tlenem. Jestem dziewczyną, która przeszła tyle operacji, że anestezjolog przysyła mi kartki na urodziny, i nadal gdy się budzę, widzę nad sobą mamę, która płacze, bo boi się, że... że... – Słowa wypływały niepoohamowanie, nikt nie mógł ich powstrzymać. Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiłam, nawet sobie. – Miałam kiedyś w szpitalu przyjaciółkę, Alice, tylko ona jedna mówiła mi prawdę o różnych rzeczach, jak to jest być tak bardzo chorym, że człowiek zbliża się do śmierci, a potem umarła, umarła, umarła, kiedy miałam osiem lat, tam, w szpitalu, gdzie się poznaliśmy, i tylko ona rozumiała, a ja nawet się z nią nie pożegnałam, więc wiem, wiem jak to jest, jak człowiek się czuje... – Przerwałam, musiałam złapać oddech. Po twarzy spływały mi łzy, z nosa ciekło. Byłam pewna, że wyglądam strasznie, ale miałam to gdzieś, i nie mogłam przestać. Otarłam oczy i podniosłam głowę. – Jak to jest czuć się innym.

Andy westchnął, jakby ze złością, i zamknął oczy. Widziałam jego rzęsy spoczywające na policzkach i skórę głowy prześwitującą między krótkimi loczkami. Dłonie zacisnął w pięści, ale nie odepchnął mnie, gdy go objęłam.

– Andy – szeptałam.

Wydawało się, jakby całe jego ciało zamieniło się w pięść, twardą i oporną.

Przytuliłam się do niego, mocno, opierając głowę pod jego podbródkiem, aż usłyszałam kolejne gniewne westchnienie, jakby nie chciał mnie tutaj, lecz nie potrafił mnie odprawić.

Pocałowałam go pod uchem, potem w zagłębienie szyi, w policzek, i przytuliłam twarz do jego twarzy.

– Proszę – szepnęłam, a on jęknął, jak wyciągany z deski gwóźdź, pochylił się i pocałował mnie. Na początku miał chłodne usta, ale objęłam dłońmi jego głowę i rozwarłam wargi, żeby nasze języki mogły się spotkać. Znow jęknął, tym razem ciszej, mocno mnie tuląc, przyciągając do siebie, aż mnie podniósł.

– Szkoda – szepnął, a ja wiedziałam, co ma na myśli: że chciałby cofnąć czas, żeby było wczoraj, żebyśmy byli sami, w pokoju z łóżkiem i zamkniętymi drzwiami.

– Przyjadę cię odwiedzić – obiecałam. – Napiszę.

Czułam, że kiwa głową.

– Ale tym razem musisz mi odpowiedzieć. – Płakałam, ogarnięta szczęściem i nadzieją, które zastąpiły wcześniejszy smutek. – Napisać porządny list, rozumiesz? Tymi swoimi maleńkimi literkami.

Postawił mnie na chodniku.

– Pamiętasz tego misia, którego mi wtedy dałaś?

Kiwnęłam głową.

– Nadal go mam. Zawsze go ze sobą zabierałem, do każdego następnego mieszkania, gdziekolwiek jechałem.

Czułam, że serce mi zaraz wybuchnie.

– Kocham cię – powiedziałam, mając gdzieś, że mówię to pierwsza.

Pocałował mnie w usta, potem w policzek, a potem bardzo cicho, ledwie dosłyszalnie powiedział:

– Ja też cię kocham.

Część II  
Czyjaś miłość

Rachel  
1995

Nawet boso, we własnej kuchni, w luźnym stroju, jakiego nigdy nie wkładała poza domem, babcia wyglądała elegancko. Pomalowane paznokcie, lniane spodnie świeżo wyprasowane, na rękę srebrna bransoletka z czarną perłą, pamiątka z dawnej podróży na Tahiti.

– Nie mówię nie – oznajmiła, stojąc na minidrabince. – Mówię jedynie, że to poważna decyzja. Twoja pierwsza miłość ma duże znaczenie. To część twojej własnej historii. Historii, którą będziesz opowiadać sobie i innym przez resztę życia.

Babcia wróciła właśnie z kolejnej podróży, trzytygodniowego rejsu barką z Brugii do Paryża. Po drodze zwiedzała zamki, winnice, pola tulipanów i ogród kwiatowy w Keukenhof. Przywiozła drewniane malowane chodaki i kulę śniegową z miniaturowym wiatrakiem w środku. Miałam taką kulę z każdego miejsca, w którym była, z każdego jej wyjazdu, odkąd się urodziłam.

– Wiem – odparłam. Rumieniłam się i czułam suchość w gardle. Po dwóch latach telefonów i listów nie mogłam uwierzyć, że trafia się w końcu szansa, byśmy się z Andym spotkali. Byłam niemal pewna, co się wtedy stanie. – On jest cudowny, przedstawię cię. I zobaczysz, że go polubisz.

– Nie chodzi o to, czy go polubię. – Stała boso, paznokcie, jak zawsze, ładnie spiłowane i pomalowane. Była dumna ze swoich małych, wąskich stóp z wysokim podbiciem.

– Ma na imię Andy... – zaczęłam.

– Wiem, jak ma na imię – przerwała babcia, wyciągając się, by powiesić nad piecem piękny biało-niebieski ozdobny talerz z Delft. W czasie podróży w jej kuchni odbył się remont. Na podłodze położono kremowe marmurowe płyty, z tego samego materiału wykonano blaty, do tego zlewozmywak i lodówka z nierdzewnej stali. Kiedy to opisywała, brzmiało dość sterylnie i chłodno – białe lakierowane szafki i metal – ale zadbała też o plamy koloru ocieplające wnętrze. Na stole zielony wazon z pięknymi żonkilami, na ścianach ozdobne talerze z podróży do Portugalii, Włoch i Grecji, inkrustowana i emaliowana ceramika.

– I wiesz, gdzie się poznaliśmy i że jesteśmy w kontakcie od dwóch lat.

Wiedziała również, że nie raz błagałam rodziców, by pozwolili mi się z nim zobaczyć. Tłumaczyłam, że polecę samolotem albo pojadę pociągiem, albo nawet autokarem, że zapłacę z własnych pieniędzy i że jeśli zatrzymam się u Andy'ego, będzie tam jego mama, więc nic złego się nie wydarzy. W końcu, zupełnie już zrozpaczona, powiedziałam, że sami mogą mnie tam zawieźć i razem z nami chodzić po mieście, obserwując, jak oglądamy Dzwon Wolności i Independence Hall. Za każdym razem odmawiali, niezależnie od tego, jak bardzo prosiłam i jaka

byłam grzeczna. Pomimo że ciężko pracowałam, żeby przynieść z matematyki piątki z minusem i czwórki, i pomimo udziału w projekcie Playtime, w ramach którego zajmowałam się bezdomnymi dziećmi, które raz w tygodniu przychodziły do Centrum Żydowskiego, żeby pobawić się i popływać.

W ostatniej klasie rozpoczęłam zmasowaną kampanię na rzecz wspólnego z Andym balu maturalnego. Miał pieniądze na podróż, a nawet na hotel, ale i w tej kwestii rodzice odmówili.

– Mało to fajnych chłopaków masz tu na miejscu, w Clearview – przekonywała mama przy kolacji.

– Helen ma rację – dodawał ojciec, nakładając sobie kurczaka albo rybę z grilla.

Babcia była moją ostatnią szansą i jedyną nadzieją. Za miesiąc kończyłam szkołę i zgodnie z obietnicą zabierała mnie w wielką podróż – Rzym, Florencja, Paryż i Londyn. Andy zasugerował, żebyśmy się zatrzymały w Filadelfii. „To wielkie lotnisko” – mówił. „Mnóstwo lotów międzynarodowych”.

– Jest bardzo dojrzały – tłumaczyłam babci. – Ma dwie prace, rano roznosi gazety, a trzy wieczory w tygodniu pracuje w kręgielni. Jedzie do Oregonu na pełne stypendium lekkoatletyczne.

Na rodzicach nie robiło to żadnego wrażenia. Interesowały ich stopnie i wyniki egzaminów końcowych, a nie wyniki sportowe. Kiedy zapytałam, czy mogę składać papiery do Oregonu, stanowczo odmówili.

– Mamy tu u nas bardzo dobre uczelnie – stwierdziła mama, nie dodając, że chce mnie mieć blisko nie tylko domu, lecz także lekarzy, pod opieką których muszę pozostawać całe życie.

– Helen ma rację – rzucił jak zwykle ojciec, tym razem siedząc przy stoliku karcianym, gdzie lubił rozwiązywać krzyżówki i sudoku.

Tuż po osiemnastych urodzinach zagroziłam, że sama pojedę do Filadelfii. Miałam pieniądze, te z bat micwy i z urodzin na pewno starczyłyby na samolot. Byłam też pełnoletnia, więc nie mogli mnie zatrzymać.

Tata jednak sprawdził, czy nie blefuję. To był pierwszy raz, kiedy naprawdę był na mnie zły. Nie zwyczajnie zdenerwowany, ale zły. W zdenerwowaniu podnosił głos, w gniewie natomiast, jak się okazało, mówił cicho i zdecydowanie.

– Jeśli chcesz być niezależna i dokonywać własnych wyborów – powiedział – to pewnie będziesz w stanie zapłacić sobie również za studia.

Mówił serio? Nie byłam pewna. Ale po naszej rozmowie podsłuchiłam ich z mamą w kuchni. Ona o coś zapytała, nie wiem o co, ale intonacja była pytająca, a on odpowiedział irytująco pobłażliwym tonem „szczenięca miłość”. Byłam tak wściekła, że musiałam wbić sobie paznokcie w dłonie.

Babcia zwinnie zeszła z drabinki, złożyła ją i odstawiła na miejsce, a potem usiadła przy stole i przyjrzała mi się uważnie. Wstrzymałam oddech, poddając się

temu badaniu, a ona nagle kiwnęła zdecydowanie głową.

– Dobrze, możemy lecieć przez Filadelfię.

– O mój Boże, dzięki ci, babciu.

Obiegłam stół, żeby się jej rzucić na szyję, podekscytowana i trochę przestraszona, że w końcu, po takim czasie i tych wszystkich zabiegach, to się wydarzy i znów go zobaczę.

W dzień wylotu ustawiłam budzik na czwartą, żeby mieć godzinę na włosy i makijaż. Potem przyjechał zamówiony samochód. Na niebie panował już bezchmurny błękit, walizka czekała przy drzwiach, pozostało spakować kosmetyki, termoloki i powieść Judy Blume, ale dla dorosłych – *Smart Women* – do bagażu podręcznego, czyli mojego fioletowego szkolnego plecaka. Miałyśmy bilety na poranny samolot z Miami. Lotnisko było zatłoczone, pełne matek uspokajających dzieci, biznesmenów i stewardes ciągnących walizki na kółkach, a także starszych osób, powoli i niepewnie przechodzących przez stanowisko kontroli bezpieczeństwa. Ubrana w lniane czarne spodnie i żakiet, z białą bluzką pod spodem, babcia czuła się tam jak u siebie w domu, wiedząc dokładnie, dokąd iść, komu dać napiwek i jak wysoki. Miała status platynowego klienta we wszystkich liniach, dzięki zebranych milom, więc do Filadelfii leciałyśmy pierwszą klasą, a potem biznesową do Londynu. Już na miejscach z przodu samolotu babcia poprosiła o wodę i sok pomidorowy, podziękowała za omlet z serem oraz owoce, dodając jednak, że byłaby wdzięczna za talerze, sztucce i serwetki. Wyjęła z torby bagietkę, mały słoiczek miodu, serek pleśniowy i kiść winogron.

– Nigdy nie ufaj samolotowemu jedzeniu – poradziła, dzieląc ser i chleb. Zjadłyśmy, babcia później drzemała, a ja czytałam ponownie ostatni list od Andy’ego, ten, który rozłożyłam i złożyłam tyle razy, że papier stał się już miękki jak bawełna.

*Kochana Rachel,*

*trudno wprost uwierzyć, że Cię w końcu zobaczę, po tak długim czasie. Chciałbym Ci tyle pokazać. Mam nadzieję, że moja dzielnica Cię nie przerazi. I chciałbym Ci przedstawić pana Sillsa, który tyle o Tobie słyszał, że ma wrażenie, jakby Cię znał.*

*Tak bardzo za Tobą tęsknię, tak długo już. Chcę Cię tylko objąć i trzymać w ramionach, ale myślę, że powinienem Ci też pokazać miasto.*

*Do zobaczenia wkrótce.*

*Andy*

Ja zawsze dopisywałam „Kocham Cię”. On się tylko podpisywał. Skąpił tych słów, jak i wszystkich innych. Moje listy były długie i szczegółowe, niemal jak dziennik. Zdawałam mu relację z całego dnia, kto co powiedział na angielskim czy chemii albo matmie, pisałam o awanturze brata z rodzicami, bo nie chcieli mu

kupić samochodu, i o tym, że przemycał do domu dziewczyny, kiedy nikogo nie było. Sama natomiast pogodziłam się z faktem, że w zamian otrzymam jedynie kilka zdań, ale wierzyłam, że Andy mnie kocha i że w kolejny piątek znów pogadamy przez telefon.

Po odebraniu bagażu babcia zaprowadziła mnie na postój taksówek i kazała jechać kierowcy do hotelu Rittenhouse, usytuowanego przy pięknym zielonym parku pełnym wypielęgnowanych krzewów, fontann, rzeźb i kwiatowych rabat. Przecinały go kamienne ścieżki z mnóstwem ławek. Siedzieli na nich biznesmeni, zjadając ociekające sosami kanapki, zarzuciwszy uprzednio krawaty przez ramię, młode matki pilnowały dzieci, gdy te zanurzały ręce w prostokątnej lustrzanej sadzawce.

Odświeżyliśmy się obydwie i babcia dała mi plan miasta, opowiadając, co sama zamierza robić. Umówiła się na lunch z dawnymi znajomymi, potem pójdą do galerii sztuki Barnesa w Main Line. Na swoją zwyczajową sjęstę wróci do hotelu – uważa, że Amerykanie powinni przejąć ten południowy zwyczaj – a o ósmej zjemy razem kolację.

– Chcę, żebyś była ostrożna – przestrzegła mnie, zakładając apaszkę. – Jesteś śliczną dziewczyną i masz już tyle lat, że potrafisz o siebie zadbać, ale nie widziałas tego chłopca spory kawał czasu. Może się okazać, że wcale nie czujesz do niego tego, co czułaś dwa lata temu.

– Czuję – odparłam... ale tak naprawdę sama się nad tym zastanawiałam. Co, jeśli nie będzie już wyglądał ani pachniał tak dobrze jak wtedy, w Atlancie? Jeśli spojrzę na niego i zobaczę tylko zwykłego chłopaka, jakich wielu?

Babcia cmoknęła mnie w policzek i ścisnęła rękę. Spojrzałam kontrolnie w lustro – długa biała sukienka na ramiączkach z angielskiego haftu, którą niedawno kupiłam, z falbaniastą spódnicą, i buty do kostki na niskim obcasie, z jasnoniebieskiej skóry, ozdobione turkusowymi, srebrnymi i różowymi wyszywanymi ptaszkami i kwiatami. Kowbojki były teraz przebojem u nas w szkole, więc poprosiłam o nie i dostałam na Chanukę. Nałożyłam błyszczący na usta, spryskałam włosy lakierem, zjechałam windą i wyszłam z hotelu.

Przed budynkiem stała fontanna z posągami szczupłej dziewczyny z brązu w sukience do kostek, przedstawionej jakby w biegu, z jedną nogą uniesioną. Przy fontannie w niebieskim T-shircie i džinsach siedział Andy. Włosy nadal obcinał krótko, ale był większy, wyglądał bardziej dorośle, niż go zapamiętałam. Uniósł rękę na powitanie i wymówił moje imię.

Wyobrażałam sobie scenę, w której rzucam mu się w ramiona, a on mnie podnosi i obsypuje pocałunkami. Rzeczywistość okazała się bardziej niezręczna – patrzyliśmy na siebie, ale nie prosto w oczy, nie dotykaliśmy się też. Mimo naszych listów i rozmów minęło jednak sporo czasu. Jego ramiona bardziej się wypełniły, plecy wydawały się szersze, twarz była właściwie twarzą mężczyzny,



nie chłopca.

– Ładnie wyglądasz – powiedział nieśmiało.

Chciał mnie wziąć za rękę, ale zmienił zdanie i pociągnął delikatnie kosmyk moich włosów. Więc ja wzięłam jego dłoń i przyciągnęłam go do siebie, blisko, żartobliwie uderzając biodrem o jego biodro, czując jednocześnie, że coś we mnie puszcza, jakaś blokada. Będzie dobrze, pomyślałam.

– Głodna? – zapytał wtedy.

Jeszcze na górze, w pokoju byłam, ale teraz, gdy pomyślałam o szukaniu miejsca, zamawianiu, przeżuwananiu i płaceniu, uznałam, że to strasznie meczące, w dodatku potencjalnie niebezpieczne, można się zbłądzić na wiele sposobów, na przykład coś wylać, albo Andy mógłby wdawać się w idiotyczne pogaduszki z kelnerką, jak wujek Si („To straszne, że w takim miejscu nie pozwalają dawać napiwków” – jego ulubiony dowcip).

– Jesteś głodna? – powtórzył. – Bo mnie w zasadzie zawsze chce się jeść – dodał, a ja się uśmiechnęłam na wspomnienie brata, który zaraz po przyjeździe do domu przygotowywał sobie michełkę płatków z mlekiem, zjadał ją, a godzinę później pałaszował dwudaniowy obiad. – Chodź.

Szliśmy Walnut Street, mijając jej eleganckie sklepy, potem przecięliśmy Broad, która, jak wyjaśnił Andy, stanowiła główną arterię miasta.

– Co roku zamykają ją na wyścig Broad Street Run. Szesnaście kilometrów.

– Brałeś w nim kiedyś udział?

Uśmiechnął się.

– Wygrałem w kategorii poniżej osiemnastu lat.

– Oczywiście tylko dlatego, że ja zrezygnowałam.

– O, ty – powiedział tak samo jak wtedy w Atlancie, przed tą okropną awanturą z Bethie.

Przyciągnęłam go do siebie i stanęłam na palcach, żeby go pocałować. Czułam się piękna, gdy wiatr okręcał mi sukienkę wokół kostek.

Reading Terminal wypełniały tłumy ludzi, mnóstwo stoisk i cudowne zapachy, od których aż leciała ślinka – cynamonki i pączki, kanapki z wieprzowiną i pieczonym indykiem, falafel, gyros, pierogi. Mijaliśmy greckie i meksykańskie knajpy, delikatesy i bary sushi. Andy znalazł stolik i zapytał, na co mam ochotę.

– Sama nie wiem, wszystko wygląda pysznie.

– No to zrobię ci niespodziankę – postanowił.

Wrócił po dziesięciu minutach z kanapką z pieczoną wieprzowiną, jarzynami i ostrym serem provolone, dwoma ciepłymi precelkami, rumianymi i błyszczącymi, oraz zupą z makaronem i uszkami.

– Wszystkiego po trochu – wyjaśnił.

Choć obawiałam się, że będę zdenerwowana i nieporadna, kanapka okazała się tak smakowita, że od razu pożałam połowę, otarłam usta i zrećźnie zanurzyłam

kawałek precla w kubeczku z musztardą miodową.

– Lepsze niż mieli w Home Free – pochwaliłam. – Boże, pamiętasz tamte kanapki?

– Pewnie nie byłyby takie złe, gdyby nie to gorąco.

– No tak, czekały na nas od rana w tym rozgrzanym autokarze, a to nie działa zbyt dobrze na indyka, a tym bardziej na ser.

Kupił dwie butelki wody mineralnej, a po drodze do wyjścia wstąpiliśmy jeszcze na lody do Bassetts – dla mnie czekoladowe, dla Andy’ego truskawkowe.

– Co teraz? – zapytał. – Chcesz zobaczyć Dzwon Wolności?

– Nie mam nic przeciwko naszym ojcom założycielom, ale chyba wolałabym zobaczyć, gdzie mieszkasz.

Trochę się nachmurzył.

– Okej.

Gdy skończyliśmy lody, wziął mnie za rękę i poprowadził Market Street, potem z tłumem ludzi zeszliśmy do stacji metra. Andy wręczył mi żeton, przeszliśmy przez bramki i wsiedliśmy do pociągu. Jeździłam już metrem w Nowym Jorku i Waszyngtonie, ale zawsze z rodzicami. Siedząc obok Andy’ego, udo przy udzie, czując ciepło jego ciała i jego zapach – zapach słońca i wiosny – czułam się bardzo dorosła, zdenerwowana i podniecona.

Po sześciu przystankach wysiedliśmy przy skrzyżowaniu Kensington i Somerset, zeszliśmy z metalowych schodów i poszliśmy dalej. Kensington Avenue nie mogła być oddalona od Walnut Street więcej niż piętnaście kilometrów, a był to już zupełnie inny świat. Tam Tiffany’s i modne butiki, tu tanie sklepy, rozbite neony i stare, obdarte plakaty typu damska bielizna – dwie pary w cenie jednej, dziecięce kurtki 30% taniej.

Nawet sieciówki, które znałam, wyglądały inaczej. Burger King w Clearview mieścił się w wolno stojącym budynku, miał schludnie przystrzyżony trawnik i parking, który co roku brukowali od nowa. Burger King w pobliżu domu Andy’ego został wciśnięty pomiędzy inne sklepy, rozbity szybę zastawiono dyktą i zaklejono taśmą. Chodniki były brudne i poplamione, tu i ówdzie leżała czarna od podeszew guma do żucia albo coś połyskliwego, czego nie rozpoznałam, dopóki jakiś mężczyzna nie odchrząknął i splunął na chodnik, tak zwyczajnie, jakby wrzucał do kosza pustą butelkę.

– Inaczej niż w Clearview, co? – zapytał, nie patrząc na mnie, Andy.

Nigdy u mnie nie był, ale opisywałam mu moje miasto i wysyłałam zdjęcia: domy w pastelowych kolorach, w stylu hiszpańskich hacjend, z czerwonymi dachówkami, trawnikami i basenami, w pobliżu plaża. Owszem, tu było zupełnie inaczej niż w spokojnym, cichym i bezpiecznym miejscu, gdzie dorastałam – było brudno, głośno i tłoczno – ale czuło się tu coś jak pulsowanie, energię i wigor, jakich nigdy wcześniej nie spotkałam. Ludzie chodzili szybciej, jakby musieli

gdzieś zdążyć, i byli bardzo różni – dziewczyna z finezyjnymi warkoczykami i wielkimi, prostokątnymi złotymi kolczykami śpiewała do siebie pięknym głosem, takim, jak słyszę w radio, obok dwie kobiety całe w czerni włącznie z burkami, tak że było im widać jedynie oczy, pchały wózki z normalnie ubranymi dziećmi, dziewczynką i chłopcem, a dalej mężczyzna oparty o słup telefoniczny, jakby zaraz miały się pod nim ugiąć nogi, kołysał się to w przód, to w tył. Miał na sobie brudne dżinsy, był bez butów i bez koszuli, wyglądało, jakby się ślinił.

Andy obejmował mnie delikatnie. Mijaliśmy bezdomnych, sklepy z zaopatrzeniem medycznym, z niepokojącymi laskami i przenośnymi toaletami na wystawach, oraz punkty przyjmowania zakładów. Powietrze wydawało się oblepiać człowieka i zostawiać na skórze warstwę brudu. Skręciliśmy za rogiem, przeszliśmy kolejną przecnicę i natychmiast rozpoznałam ceglany budynek, który znałam już ze zdjęć – trzy kondygnacje i zielone drzwi frontowe.

– Jesteśmy – oznajmił, przekręcając klucz i wpuszczając mnie do domu, w którym mieszkał razem z mamą.

Wstrzymałam oddech i weszłam. Andy opisywał mi to miejsce, mówił, że dom jest mały, niezbyt jasny i dość niski – mama ostrzegła Andy’ego, że jeśli urośnie jeszcze trochę, nie będzie się już w stanie wyprostować. A jednak to, co sobie wyobrażałam, nawet w połowie nie było tak smutne i biedne jak w rzeczywistości, szczególnie w porównaniu z luksusowym hotelem Rittenhouse, gdzie złote sznury z frędzlami przytrzymywały ciężkie kotary, dywany były grube i miękkie, a poduszki śnieżnobiałe, gładkie i chłodne. Andy stał pośrodku pokoju. Nie patrzył na mnie. Dominował tu telewizor, na stoliku przy kanapie leżały stare numery „Vogue’a” i „People”. Żadnych półek z książkami czy samych książek ani obrazów na ścianach, oprócz zdjęcia, które rozpoznałam – Andy w dniu ukończenia szkoły w todze i birecie. Wysłał mi miniaturową wersję, tu na ścianie wisiała wersja powiększona. Zauważyłam jeszcze kilka innych zdjęć, przedstawiały albo Andy’ego, albo jego mamę, albo oboje, jedno chyba z dnia zakończenia podstawówki, bo też był w todze i birecie. Wy tłumaczył mi kiedyś, że te dni są takie ważne, bo nie każdy w ich dzielnicy kończy szkołę, nie mówiąc już o studiach. Chciałam jeszcze popatrzeć, szczególnie na Andy’ego z młodszych lat, lecz on zabrał mnie do kuchni.

– Napijesz się czegoś?

Nie byłam specjalnie spragniona, ale zdenerwowana i zciekawiona. Pachniało tu bekonem, choć wszędzie panował nieskazitelny porządek, blaty z laminatu, białego w złote cętki, wyszorowano do czysta, zlewozmywak z nierdzewki był pusty, suszarka za to pełna misek i sztućców. Andy sięgnął do szafki, wyciągnął dwa plastikowe kubki i spojrzął na mnie wyczekująco.

– Tylko wodę – zdecydowałam, więc odkręcił kran i nappełnił je. Upiłam łyczek, a on wypił do dna, jabłko Adama ostro pracowało, gdy przełykał. Pocułam

straszną ochotę, by go tam pocałować, wiedziałam, że skóra będzie miękka.

– Filadelfia to piękne miasto – powiedziałam i zaraz uzmysłowiłam sobie, jakie to głupie, biorąc pod uwagę wszystko, co widziałam po drodze do mieszkania. – Często tam chodzisz? Mam na myśli Reading Terminal?

Skinął głową, nieco rozbawiony. Kuchnia była tak mała, że bardzo intensywnie doświadczałam jego obecności, każdy ruch powodował drgania powietrza, które czułam na skórze.

– Są tu jakieś parki?

Trudno było mi rozszyfrować wyraz jego twarzy, jakby rozbawienie i lekka irytacja.

– Okoliczne parki służą zasadniczo do sprzedaży narkotyków.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Kilka razy próbowałam trawki, na imprezach była też koka, przygotowana w kreskach na lusterku. Kolega z klasy, Seth Riccardi, chyba ją przynosił. Marissa twierdziła, że tata Setha bierze i ma tyle, że nie zauważa, jak syn mu podbiera. Widziałam ją więc, ale nie próbowałam – trawka czy piwo to jedna sprawa, lecz kokaina to coś zupełnie innego.

– Czy ty... – zaczęłam. – Próbowalesz kiedyś?

– Tylko piwo. I to nie za wiele. Muszę uważać. Gdyby trener zobaczył, że piłem, albo coś innego, wylałby mnie z drużyny.

Znów napił się wody.

– Gdzie jest twój pokój?

– Na górze. – Wskazał schody tak wąskie, że gdy po nich wchodził, ramionami musiał się ocierać o ścianę.

– Pokażesz mi?

W gardle czułam suchość, ogarnęły mnie przeróżne emocje – strach i zdenerwowanie, że powiem coś nieodpowiedniego albo zrobię coś głupiego, ale też uczucie, że gdybym tylko przytuliła się do Andy'ego, wszystko byłoby okej.

W pokoju nieco się uspokoiłam, może dlatego, że poczułam się trochę jak w pokoju Jonaha czy w pokojach chłopców, z którymi chodziłam, choć żadne z tamtych pomieszczeń nigdy nie było tak wysprzątane i schludne. Książki ustawiono pod ścianą w równy stos – wyłącznie podręczniki i książki o bieganiu, o biegaczach lub ich autorstwa. Na ścianach plakaty: z *Człowieka z blizną* i *Ojca chrzestnego*, dalej raper Tupac Shakur w swojej bandanie, patrzący w ten charakterystyczny, dojrzały sposób, i plakaty sześciu biegaczy – rozpoznałam Steve'a Prefontaine'a ze względu na długie włosy i Bruce'a Jennera z reklamy płatków. Pokój pachniał tak jak Andy, trochę potem, trochę noszonymi skarpetkami, mydłem, czystymi ubraniami i wodą po goleniu. Na komodzie zobaczyłam butelkę Old Spice'a i dezodorant Mennen, tuż obok miseczki z drobnymi i zwinięty czerwono-niebieski krawat oraz zdjęcia w drewnianej ramce. Przyjrzałam się z bliska. Czarnoskóry mężczyzna, stojący bokiem, trzyma

niemowlę i patrzy na nie, uśmiechając się radośnie.

– Twój tata.

– Mój tata.

Obok zdjęcia stała biała świeca, gruba i krótka, a obok niej kolejne zdjęcie, nasze wspólne, z Atlanty, które zrobiła nam Marissa. Andy stał za mną, opierając brodę na mojej głowie, a ja głupkowato się uśmiechałam.

– O, nadal je masz! – zawołałam radośnie. Miałam wrażenie, że rośnie mi serce.

– Schowałem tylko to z Heather Locklear – skomentował, a ja dałam mu szturchańca w bok, pewnie się go spodziewał.

Na jednej ze ścian wisiały wycinki prasowe, przyczepione pinezkami. Andy wysłał mi kopie kilku z nich, do których dołączono jego zdjęcia w momencie, gdy finiszuje, wyrzuca ręce do góry i coś wykrzykuje. Wśród wycinków znalazła się również informacja o przyjęciu na uniwersytet oraz list od trenera. Podeszłam bliżej, Andy wraz ze mną, położył mi ręce na ramionach.

*Serdecznie gratuluję i zapraszam we wrześ-niu do Oregonu.*

Funkcję łóżka spełniał zwykły materac ułożony wprost na podłodze, ale duży, metr pięćdziesiąt na dwa – taki sam jak mam w domu, pomyślałam – nakryty granatową kapą, a na niej dwie poduszki w jasnoniebieskich poszewkach. Ciekawe, czy wysprzątał ten pokój specjalnie dla mnie i czy zmienił pościel. Ta myśl wywołała napływ krwi na policzki i między nogi. W pokoju było tylko jedno okno, zza którego dochodziły odgłosy ulicy, dźwięki radia, przejeżdżających samochodów, strzępki rozmów przechodniów i stukot pociągu. Pomyślałam o własnym pokoju, kwiecistej tapecie, baldachimie nad łóżkiem i korkowej tablicy ze zdjęciami, o wielkim lustrze przy komodzie. Leżałam często przy otwartym oknie, wsłuchując się w szum morza i tylko szum morza – żadnych samochodów, ludzi, czasem nawet nie brzęczała kosiarka. Uczucie osamotnienia. Pomyślałam, że mieszkając w mieście, nawet samotnie, człowiek jednak nie czuje się nigdy sam, bo dźwięki wokół i tak zaraz przypomną, że obok tętni życie.

– Niezbyt romantycznie – odezwał się Andy. Ściągnął brwi i jakby delikatnie się zmarszczył, a ja zauważyłam na wysokości szczęki małą ranę, musiał przeciąć skórę przy goleniu. Ciekawe, czy on też się denerwował, czy czuł zażenowanie z powodu tego pokoju, domu i w ogóle całej swojej dzielnicy.

– Jest idealnie – odparłam.

I to ja zrobiłam te dwa kroki, które dzieliły nas od siebie. Przytuliłam się do niego, poczułam jego pierś, silne nogi, ciepło jego ciała pod koszulką. Objęłam go, a on się pochylił, wsunął mi dłoń pod włosy i pocałował, delikatnie i ostrożnie, jakby moje usta były owocem, którego próbuje pierwszy raz.

Smakował truskawkowo – pewnie od tych lodów – a gdy czubek mojego języka dotknął jego, westchnął, zadrżał i mocniej mnie objął.

– Tak dobrze? – szepnął.

– Bardzo – odszepnęłam... i żeby to udowodnić, wsunęłam dłoń pod jego koszulkę, gładząc ciepłą, gładką skórę. Ugryzłam go leciutko w ucho, potem w szyję. Westchnął, przyciągnął mnie bliżej, a ja poczułam, jakby ten dźwięk trafił prosto w wąski otvorek między moimi nogami. Czułam, jakbym nabrzmiewała, stawała się bardziej tkliwa, czułam nieustępliwe, mrowiące swędzenie.

Jego palce walczyły z zapięciem biustonosza.

– Czekaj – powiedziałam i rozpięłam go. Po chwili Andy był bez koszulki, ja bez sukienki, blisko siebie, moje piersi i moja blizna, nagie w niewyraźnym popołudniowym świetle.

– Moment – rzucił Andy. Zauważyłam pod dzinsami erekcję, a on zwyczajnie poprawił się dłonią. Faceci, pomyślałam, czując zalewającą mnie czułość wywołaną tym na wpół nieświadomym gestem, faktem, że Andy potrafi żyć we własnym ciele i czuć się w nim zupełnie swobodnie, w sposób, jaki dziewczynom jest chyba niedostępny.

Wyciągnął z tylnej kieszeni zapałki i zapalił świecę na komodzie, potem zsunął pomalowane metalowe żaluzje. W pokoju nastał półmrok, pełen migających w świetle płomyka cieni.

Andy zrzucił buty i położył się na materacu, ja chciałam zsunąć swoje, ale okazały się zbyt ciasne, musiałam więc usiąść i mocno pociągnąć.

– Wszystko tam na górze w porządku? – Słyszałam uśmiech w jego głosie.

– W porządku – odparłam, ciągnąc mocniej, aż w końcu uwolniłam stopy i położyłam się obok niego. Ogarnęło mnie radosne podekscytowanie, ale też lekki strach oraz chęć, by spowolnić czas, żeby wszystko zapamiętać i móc całą scenę odgrywać potem w nieskończoność w pamięci. Andy odwrócił się na bok i wsunął rękę pode mnie, przyciągając mnie do siebie. Ale nie pocałował mnie ani nie dotknął moich piersi, choć brodawki miałam zmarszczone i twarde. Jednym placem przesuwiał delikatnie po nierównej linii blizny. Zamknęłam oczy.

– Spójrz na mnie – powiedział. Lecz ja nie uniosłam powiek. Wtedy wymówił moje imię: – Rachel.

Uspokoiliam się najpierw, spojrzałam mu w oczy i dopiero wówczas, po raz pierwszy, odkąd go zobaczyłam tego dnia, poczułam się z nim swobodnie, tak jak w Atlancie. Mój Andy, pomyślałam, zbliżając do niego twarz, gdy on pochylał swoją. Nasze nosy się zderzyły.

– Au! – zawołałam. Oczy zaszyły mi łzami.

– Jezu kochany – wymamrotał Andy. – Wszystko okej?

– W porządku. – Czy ja mam taki wielki nochal? Czasami taki mi się wydawał. Ale Andy trzymał już moją twarz w swoich dłoniach.

– Może po prostu się nie ruszaj – zasugerował i pocałował mnie, na początku powoli, potem mocniej. Dotknął blizny, dotknął mojej piersi, niepewnie, ja się

wygięłam, dociskając ją do jego dłoni. – Okej? – zapytał ponownie, a ja zamiast odpowiedzi przyciągnęłam go do siebie. Czułam gorąco jego skóry, jego mięśnie, zapach, wreszcie jego usta.

Całowaliśmy się bez końca, potem pochylił się do mojej piersi i czubkiem języka okrążył brodawkę. Mięś-nie ud i brzucha zacisnęły się, poczułam, że moje biodra same wędrują w górę. Bardzo, ale to bardzo chciałam, żeby mnie tam dotknął, byłam śliska i wilgotna, i bardzo, bardzo pobudzona, po raz pierwszy w życiu poczułam, że czegoś tam brakuje, nowe odczucie, że mam część ciała, która może zostać wypełniona... i chciałam go tam, chciałam go poczuć w sobie tak mocno, miałam wrażenie, że jeśli go nie dostanę, po prostu nie dam rady tego znieść...

W końcu złapałam jego dłoń i pociągnęłam we właściwym kierunku, na koronkowe czarne majtki kupione w Victoria's Secret, teraz całe wilgotne.

– Poczekaj – szepnął.

Mocno szarpnął je w dół, okazując siłę i niecierpliwość. Sama zsunęłam je do końca. Rozchylił moje nogi, jego silne dłonie poradziły sobie z łatwością. Przez chwilę tylko patrzył. Zacisnęłam powieki. Wygoliłam wszystkie włosy, które mogłyby wystawać spod bikini, ale sporo zostało, o kilka odcieni ciemniejszych niż brąz na głowie, zakręconych w ciasne spiralki. Ciekawe, co sobie pomyślał i czy tak to miało wyglądać. Poglaskał je i pociągnął jedną spiralkę, jak robił to z kosmykami na głowie. Potem rozsunął palcem wargi, zanurzając go w wilgoci, i przeciągnął w górę, natrafiając na mały guziczek.

– Ooo!

Nie chciałam tego powiedzieć tak głośno, ale kiedy dotknął tego miejsca, to było jak wtedy na lekcji fizyki, gdy zetknęły się przewody pod napięciem i popłynął prąd. Andy przesunął palcem powoli, pochylając się, by mnie pocałować. Czułam się jak nigdy dotąd, niczego takiego wcześniej nawet sobie nie wyobrażałam. Skąd wiedział, jak to robić? Próbował z innymi? Szybko odsunęłam tę myśl, bo było mi zbyt dobrze, żeby zawracać sobie głowę czymkolwiek innym.

Andy jednym palcem mnie pocierał, a drugi wsunął do środka, poruszając tak długo, aż doszedł do granicy. Ramiona rozrzuciłam szeroko, mocno ściskając prześcieradło, ciężko dyszałam, serce mi waliło, ale właściwie tego nie zauważałam i nic mnie to nie obchodziło. Potem Andy uniósł się na łokciach i spojrzał na mnie poważnie.

– W porządku?

– Tak. Tak. Proszę.

Miał prezerwatywę. Patrzyłam, jak wyciąga ją z kieszeni leżących obok dżinsów i otwiera zębami. Razem ją odrolowaliśmy, wygładzając na jego twardym penisie. Nie czułam zażenowania, mimo że penisa z tak bliska widziałam pierwszy raz w życiu.

– Powiedz, jeśli będzie bolało.

Położyłam się znów, rozkładając nogi, i zamknęłam oczy. Wstrzymałam oddech, gdy poczułam tam czubek jego penisa. Andy całował moje piersi, ja go objęłam i poczułam, jak zaczyna się wsuwać, naciskając i ustępując, tam i z powrotem, krok po kroku, posuwając się o kilka milimetrów, aż nie mogłam już tego znieść. Przyciągnęłam go i szepnęłam:

– Boże, wejźdź głębiej, głębiej.

Jednym pchnięciem wszedł cały, wydając przy tym delikatny jęk. Był lekki ból, piekący, głośno wciągnęłam powietrze... wtedy wtulił twarz w moją szyję, jego ciało drżało, biodra poruszały się miarowo i szybko.

– Przepraszam, przepraszam, nie dałem rady – szeptał.

Tuliłam jego głowę. Głaskałam po włosach. Moje biodra nadal ruszały się słabo w górę i w dół. Miałam ochotę włożyć tam sobie rękę, albo jego... kiedy właśnie to zrobił, zakrywając mnie zaborczo.

– Krwawię?

Nawet nie spojrzał na swoje palce.

– Bolało?

– Tylko troszkę.

– Czy ty...

– Nie wiem – szepnęłam, chowając twarz w jego piersi. Miał na niej trochę włosów i cudownie pachniał tym specyficznym, swoim zapachem, mydłem, bawełną i skórą. – Chyba nie.

– Jak to?

– Chyba nigdy jeszcze tego nie przeżyłam.

Spojrzał na mnie z tą swoją miną – mieszanką rozbawienia i niedowierzania.

– Jak możesz nie wiedzieć?

Aż się zwijałam ze wstydu.

– Normalnie, nie wiem! To nie jest tak jak u chłopaków, rozumiesz?

Znieruchomiał, jakby się nad tym zastanawiał... a potem znów mnie dotknął i zaczął pieścić, jednym palcem, delikatnie, lekko, jakby się ze mną droczył. Trzepoczący ból stawał się intensywniejszy, wzrastał, biodra pracowały szybciej, czułam na nodze, jak jego penis, pokryty czymś śliskim, czym nasączają prezerwatywy, zaczyna sztywnieć. Andy leżał oparty na jednym łokciu i obserwował moją twarz, cały czas pracując palcem, wyżej, niżej, powoli, szybciej. Wierzgnęłam lekko, z westchnieniem, kiedy doszedł do miejsca, które znalazł za pierwszym razem.

– Tutaj – szepnęłam.

– Tak? – odszepnął.

Wtedy, ponieważ to był Andy, ponieważ moje ciało poruszało się bez udziału świadomości i coś we mnie wzbierało, coś cudownego i nieuchronnego,



złapałam go za nadgarstek i przesunęłam dłoń o te konieczne kilka milimetrów. Biodra podniosły się i opadły, podniosły i opadły, dyszałam, aż w końcu zastygłam, bo ogarnęło mnie niewiarygodnie przyjemne uczucie, które promieniowało od miejsca, gdzie dotykał mnie Andy, promieniowało do stóp i w górę, przez szyję. Czułam, jak całe ciało napręża się i rozluźnia.

– O – szepnęłam. – Boże.

Andy pocałował mnie w policzek.

– A teraz?

Odetchnęłam i otworzyłam oczy.

– Jeśli istnieje jeszcze coś więcej – wykrztusiłam z trudem – nie wiem, czy byłabym w stanie to znieść.

I roześmiałam się nieco drżąc.

– Śliczna dziewczynka.

Czułam we włosach jego duże i ciepłe dłonie. Oparłam głowę na jego piersi i zamknęłam oczy, stopniowo zaczęło wypełniać mnie uczucie zadowolenia, aż nie zostało miejsca na jakąkolwiek wątpliwość. On był samotny i ja byłam samotna, ale gdybyśmy byli razem, nigdy więcej nie musielibyśmy już odczuwać samotności.

Musieliliśmy zasnąć. Kiedy się obudziłam, świeca zdążyła dopalić się do końca. Na dworze ciemniało.

– Która godzina? – zapytałam, ale zanim Andy zdążył odpowiedzieć, zauważyłam zegar na komodzie. Siódma dwanaście.

– Spóźnisz się?

– O matko! – Już wkładałam sukienkę, rozglądając się za majtkami. – Mam być w hotelu o ósmej. Zdążymy?

– Możliwe, warto spróbować.

Odnalazł swoje ubranie, gdy ja wciągałam buty, i pobiegliśmy, zostawiając niezaścielone posłanie, splątane koce i poplamione prześcieradło.

Wbiegł na schody stacji, po dwa stopnie, potem się odwrócił, zbiegł i pociągnął mnie za sobą. W metrze ustąpił miejsca kobiecie w ciąży.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece – podziękowała mu, siadając z westchnieniem i kładąc zakupy między nogami.

Andy trzymał się stalowej rurki, a ja jego, opierając się o niego całym ciałem na każdym zakręcie, gdy pociąg przyspieszał i gdy zwalniał. Ciągle troszkę mnie bolało, nieznaną dotąd dyskomfort między nogami, który potraktowałam jako miłą pamiątkę po naszym spotkaniu.

Tuż przed ósmą zrobiło się całkiem ciemno, powietrze było łagodne i ciepłe, a park przy hotelu Rittenhouse – niezmiennie pełen ludzi. Przebiegliśmy obok wiolonczelistki, pięknej dziewczyny w czarnej sukience odkrywającej prawie całe plecy, grającej jakąś słodką i smutną melodię. Smyczek tańczył jej w dłoni, a przed

nią leżał futerał wyściełany aksamitem, do połowy wypełniony monetami i banknotami. Obok niej na ławce spał bezdomny mężczyzna, a na następnej siedziała młoda para, trzymali się za ręce, dziewczyna opierała głowę na ramieniu chłopaka.

Chłodek klimatyzacji i stonowany majestat hotelu stanowiły jaskrawy kontrast z tętniącym życiem parkiem. W powietrzu unosił się zapach lilii, którego źródłem była ogromna kompozycja kwiatowa na ośmiokątym stole w samym środku holu. Odwróciłam się na dźwięk swojego imienia i ujrzałam babcię ubraną już do kolacji, w czarne spodnie i żakiet ozdobiony paciorkami.

Swoim chłodnym przypudrowanym policzkiem dotknęła rozgrzanej skóry mojego.

– Przedstaw mnie swojemu koledze.

– Babciu, to jest Andrew Landis. Andy, to moja babcia Faye.

Andy uścisnął jej dłoń.

– Miło mi panią poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła, przyglądając mu się uważnie. – Jak spędziliście dzień? – Spojrzała na mnie, wyciągnęła rękę i delikatnie odwróciła moją twarz do siebie. – Chyba złapałaś trochę słońca.

Jeszcze bardziej się zarumieniłam.

– Zjedliśmy lunch w Reading Terminal, pospacerowaliśmy chwilę. Andy pokazał mi, gdzie mieszka.

– Brzmi fantastycznie. Młody człowieku, miałbyś ochotę zjeść z nami kolację?

Andy przestąpił z nogi na nogę.

– Nie wiem, czy jestem odpowiednio ubrany.

Babcia go zlustrowała.

– Nawet jeśli nie, na pewno z radością odzieją cię tu w jakąś marynarkę. Ale muszę ostrzec, że najprawdopodobniej będzie obrzydliwa.

Klasnęłam w dłonie.

– Tak! Tak, chodźmy!

Andy rzucił mi niby-zagniewane spojrzenie, a potem się uśmiechnął i wziął mnie za rękę. Poczulałam, że topnieję, i przytuliłam się do niego. Kiedy babcia nie patrzyła, pocałował mnie.

Rzeczywiście marynarka była obrzydliwa, w niebiesko-żółtą kratę, uszyta na kogoś niższego i szerszego niż Andy, ale włożył ją bez zbędnych ceregieli i poszedł za hostessą do stolika przy oknie, z widokiem na park. Martwiłam się, że Andy nigdy wcześniej nie był w takim miejscu – co nie znaczy, że byłam stałą bywalczynią francuskich restauracji – lecz kiedy kelner zapytał, co będziemy pić, Andy odparł, że tylko wodę, a gdy wrócił, by przyjąć zamówienie, ja poprosiłam o labraksa, a on, bardzo grzecznie, o burgera, który był najtańszym daniem

w karcie.

– Jak go przygotować? – zapytał kelner.

Babcia uniosła dłoń.

– Młody człowieku, jesteś pewien, że nie wolałbyś raczej steka?

Andy błysnął białymi zębami.

– Steka nigdy nie odmawiam.

– Frytki? – zapytał kelner, gotów zapisać zamówienie.

– Poproszę jedynie o szpinak na parze.

– Oczywiście.

– Dbasz o linię? – spytała zaskoczona babcia.

– Nie. Próbuje się zdrowo odżywiać. Nie za dużo smażonego. Trener tego nie pochwała.

– Zdyscyplinowany – skomentowała babcia z uśmiechem.

Siedziałam sobie, promieniejąc, czując się piękna i zadowolona, z opalonymi ramionami pod cieniutkimi ramiączkami sukienki i z moim przystojnym chłopakiem u boku, a oni rozmawiali – o dzieciństwie, które babcia spędziła w Newark, a on w Filadelfii, o tym, że oboje mieszkali w szeregowcach i oboje, mając naście lat, już pracowali, babcia w sklepie cukierniczym, a Andy roznosząc gazety i w kręgielni. Opowiedziała mu o swoich podróżach, o tym, jak w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku mąż zabrał ją na olimpiadę w Rzymie, gdzie na własne oczy widziała, jak Wilma Rudolph wygrywa bieg na sto i dwieście metrów, a potem sztafetę cztery razy sto. Kiedy przyniesiono zamówioną przez babcię butelkę wina, poprosiła, by kelner nalał każdemu do skosztowania. Andy smakował wino w ustach, podobnie jak babcia, po czym stwierdził:

– Niezłe.

Na deser zjedliśmy profiterole, nawet Andy się skusił. W końcu kelner przyniósł rachunek.

– Jeśli masz ochotę odprowadzić Andy’ego na dół, to zobaczymy się w pokoju – powiedziała babcia.

W windzie trzymaliśmy się za ręce, oparłam się o niego, powstrzymując łzy. Następnego dnia będę w samolocie, a kiedy Andy będzie się szykować do snu w Filadelfii, ja obudzę się w zupełnie innej części globu.

Podeszliśmy do fontanny, gdzie zobaczyłam go tego dnia po raz pierwszy. Na podjeździe dużo się działo: umundurowani parkingowi biegali z kluczami, a eleganckie samochody podjeżdżały do odzwiernego, by otwierać drzwi i pomagały wysiadać damom.

– Było naprawdę miło – zapewniłam, czując, jak kiepsko zabrzmiały te słowa.

Zamiast odpowiedzi Andy wziął mnie w ramiona, mocno przytulając do siebie. Jego pocałunek wywołał w moim ciele czystą tęsknotę.

– Jak ja to wytrzymam? – zapytałam, kiedy już mnie puścił. Czułam, że się rozklejam. Tak się martwiłam, a wyszło tak cudownie, lecz teraz znów się rozstajemy. – Nie chcę jechać.

– Mamy przed sobą mnóstwo czasu – powiedział.

– Mam twoje serce – sięgnęłam do kieszeni, wyciągając czerwony spinacz na łańcuszku. Otarłam oczy. Miałam nadzieję, że nie cieknie mi z nosa. – Zawsze noszę je przy sobie.

– Masz moje serce – potwierdził i znów mnie przytulił, szepcząc „kocham cię”. Pocałował mnie jeszcze ostatni raz, a potem, nie odwracając się, odszedł w stronę parku, w nabrzmiałą zapachami i pulsującą życiem noc.

Andy  
1996

Zauważył ją od razu, gdy autokar zatrzymał się przy kiosku – jeszcze szczuplejsza niż ostatnim razem, w dżinsach i bluzie z greckimi literami. Podskakiwała i machała do niego. Złapała go, cmoknęła w policzek, wzięła za rękę i od razu zaczęła zagadywać, a on przecież nie wyciągnął jeszcze swojej torby z luku bagażowego.

– Wygrałeś?

W czystym powietrzu i blasku późnojesiennego słońca Rachel przypominała kwiat – śliczna twarz otoczona loczkami i dwoje błyszczących oczu. Wyglądała bardzo młodo, i bardzo słodko, co nie przeszkodziło jej w trakcie piątkowej rozmowy telefonicznej, zanim wyjechał na zawody do Wirginii, bardzo klarownie opisać, co planuje na czas, kiedy znajdą się w łóżku.

– Czyżbym nie zawsze wygrywał?

Uniósł ją, trzymając w ramionach, pocałował w nos, policzki i usta, najpierw krótko, a potem dłużej.

– Zawsze – potwierdziła, biorąc go za rękę i wymachując nią, gdy szli w kierunku kampusu.

Jak tylko, jeszcze we wrześniu, dostał grafik zawodów, z linijką podszedł do mapy zawieszanej nad biurkiem i zmierzył, ile kilometrów dzieli każde miejsce zawodów od Beaumont w stanie Wirginia, gdzie Rachel studiowała historię w Beaumont College. Z myślą o podróżach Andy tak ustawił sobie zajęcia, żeby ostatnie kończyły się w piątek przed południem, a pierwsze nie zaczynały przed czwartą w poniedziałek. Trener zgodził się na przebukowanie biletu, dzięki czemu miał czterdzieści osiem godzin dla swojej dziewczyny.

– Nazywają cię „niezwyciężonym”? – zapytała Rachel.

Pokręcił głową.

– A ja mogę cię tak nazywać? Albo lepiej nie, bo jeszcze pomyślą, że mówię o tym, co nosisz w spodniach – zażartowała.

Machnęła ich splecionymi dłońmi w górę i w dół, potem puściła go, żeby pomachać dwóm dziewczynom ubranym podobnie do niej, i znów go chwyciła.

W swojej karierze studenckiej Andy jeszcze nie przegrał, co wystarczyło, by zauważyły to gazety. Lori przysyłała mu wycinki: „Nasz biegacz triumfuje na Zachodzie”. Załączyła też karteczkę. „Jestem z ciebie dumna” – pisała, tak jak kiedyś marzył, w podstawówce, gdy wyciągał z kosza liściki mamy Milesa. Kiedy w liceum brał udział w zawodach międzyszkolnych, mama nie przychodziła. Dopiero gdy zaczął wygrywać, bić rekordy, zbierać medale i pochwały oraz listy od trenerów z ofertą dołączenia do ich drużyn, Lori zaczęła zamieniać się z koleżanką z pracy, Marie, żeby móc mu kibicować.

Początkowo siadywała sama, w ostatnich rzędach, może czując się nieswojo w towarzystwie tych wszystkich mam, których w sumie nie znała, a które ubierały się w kolory drużyny i w odpowiednich momentach wykrzykiwały imiona synów. Z czasem jednak, gdy mijały kolejne tygodnie i robiło się coraz cieplej, Lori przywędrowała do reszty i wraz z innymi rodzicami dopingowała swojego syna. Czasami przychodził też pan Sills i głośno kibicowali, mama swoim wysokim głosem, pan Sills niskim. Na koniec mama siadywała przy samej bieżni. Podawała Andy'emu dres i mówiła, że jest dumna. Kiedy wygrał zawody stanowe, w ostatniej klasie, zadzwoniła nawet do dziadków, by podzielić się tą wiadomością, i pozwoliła im przyjść za zakończenie roku. Dziadek powiedział wtedy, że jest z niego dumny, a babcia płakała.

– Mój mały mężczyzna – wyszeptła Lori w drodze na lotnisko tego dnia, gdy ruszał do Oregonu. – Aż trudno uwierzyć, że jesteś już taki dorosły.

W brzasku poranka, w dżinsach i bluzie z nadrukiem Uniwersytetu Stanu Oregon, którą jej kupił, wyglądała bardzo młodo, ze swoją gładką skórą i długimi włosami, teraz ufarbowanymi na bardziej naturalny odcień blond, z artystycznymi pasemkami i delikatnymi falami. Miała zaledwie trzydzieści sześć lat, sporo mniej niż mamy kolegów. Może teraz, kiedy Andy wyjedzie, znajdzie sobie faceta – gdyby był okej, nie miałby nic przeciwko temu. Martwił się, wyobrażając sobie mamę pachnącą rozjaśniaczem i płynem do trwałości, jak wraca sama do pustego mieszkania, zimnej i ciemnej kuchni i niezamieszkanego kanapy.

Wysiadł z samochodu, wyciągnął torbę, jedną z tych darowanych drużynie przez producenta obuwia sportowego, i poprawił sznurówki butów, prezentu od innego sponsora. Dni zakładania cudzych rzeczy się skończyły. Między rundą z gazetami i kręgielnią, reklamowymi T-shirtami i dresami, miał mnóstwo rzeczy do obnoszenia.

– Będę tęsknić – powiedziała mama i niemal ze złością przesunęła pod oczami brzegami kciuków. – Powinam się była bardziej postarać.

– To znaczy? – zapytał zdziwiony Andy.

Znów otarła łzy.

– Powinam była bardziej cię zachęcać. Przychodzić na zawody. – Pociągnęła nosem. – I miałam ci kupić tę cholerną kurtkę w piątej klasie.

– Daj spokój, mamo.

Przytulił ją, zdziwiony, jaka jest drobna. Kiedy był mały, wydawała mu się gigantyczna, wielka i przerażająca, ale teraz widział wyraźnie, że jest filigranową, wciąż piękną kobietą, która starała się dla niego, jak mogła. Może nie wszystko wyszło dobrze, na przykład mówienie, że są drużyną, sami przeciwko światu, i że nie mogą nikomu pozwolić tego zepsuć.... Ale ciężko pracowała na ich utrzymanie. Nigdy nie miała faceta, przez lata ani razu nie przyprowadziła nikogo do domu, a robiła to większość matek jego kolegów samotnie wychowujących

dzieci. Jeśli nie dawała mu wszystkiego, czego chciał, to przynajmniej nie był rozpuszczonym bachorem i sam się nauczył, jak zdobywać to, czego potrzebuje, ciężką harówką.

– Idź – powiedziała. – Żebyś się nie spóźnił. – Delikatnie wklepała korektor w skórę pod oczami. Miała długie paznokcie, spiłowane na owal, i jak zawsze perfekcyjnie pomalowane.

– Mamo – powtórzył, ale machnęła energicznie ręką, odprowadzając go i ucinając wszelkie dyskusje. Odwróciła twarz, żeby nie mógł zobaczyć, czy płacze.

– Wiem, wszystko wiem – powiedziała.

Zarzucił plecak na ramię, wziął torbę i ruszył do drzwi automatycznych, do samolotu i do college’u, robiąc kolejny krok na drodze, którą wyznaczył sobie lata temu. Oregon był najlepszym w kraju miejscem dla studentów biegaczy. Będzie trenował i się ścigał, zaimponuje trenerom umiejętnościami, szybkością i przede wszystkim swoim podejściem: ciężką pracą, wytrwałością w znoszeniu bólu, wykonywaniem każdego polecenia i chęcią podjęcia się kolejnego wysiłku. Wygra mistrzostwa uniwersyteckie, potem krajowe i olimpiadę. Zwycięży, dostanie kasę za reklamy, spotkania, prowadzenie warsztatów i za trenowanie innych, kupi Lori dom w jakimś ciepłym miejscu, żeby odpoczęła i cieszyła się życiem, a nie całe dni usługiwała innym. Ciekawe, jaką zrobi minę, gdy wręczy jej złoty medal albo klucze do jej własnego domu. Ciekawe, jak by to było zobaczyć mamę w pełni szczęśliwą i zadowoloną z niego i z tego, że jest jej synem. „Ciężko pracuj” – usłyszał głos trenera Maxwella. „Trenuj, okrążenie za okrążeniem, i może któregoś dnia się dowiesz”.

Kampus Beaumont był jak małe miasteczko, bogate małe miasteczko. Budynki z cegły i marmuru otulał zielony bluszcz, a miękkie dywany trawników kontrastowały z szerokimi kamiennymi chodnikami, przy których stały drewniane, wypłowiałe na słońcu i deszczu ławki. Mieszkający tu studenci wyglądali jak z reklamy Abercrombie & Fitch. Wcześniej, na pierwszym roku, Rachel mieszkała w akademiku, na drugim można było się przeprowadzić do własnego mieszkania albo do siedziby swojego stowarzyszenia, i tam właśnie przeniosła się Rachel.

– O, jesteśmy – oznajmiła, wiodąc Andy’ego aleją, przy której stały okazałe rezydencje. Wszystkie miały greckie litery na drzwiach, szerokie, wypielęgnowane trawniki i wysokie drzewa zaciężające ścieżkę prowadzącą do wejścia. Stowarzyszenie Gamma rezydowało w trzykondygnacyjnym białym budynku z marmurowymi schodami, który wyglądał jak pomniejszona wersja domu z plantacji Scarlett O’Hary, czyli miał piękne kolumny i obszerny ganek. Wewnątrz było chłodno, pachniało pastą do mebli i pieczonym kurczakiem. Pokój Rachel znajdował się na drugim piętrze, ale Andy’emu od razu rzuciło się w oczy, że to nie zwykły pokój, a salon z sypialnią. W salonie miała biurko, kanapę, małą lodówkę i kominek, prawdziwy, na drewno, zresztą obok stał metalowy pojemnik z równo

ułożonymi polanami.

Na drzwiach szafy wnekowej wisiała śliczna długa sukienka w pokrowcu z pralni chemicznej, na oparciu krzesła zaś dwie krótsze, natomiast bluzki, spodnie i buty leżały w stosach, wszystkie w odcieniach kremowego i niebieskozielonkawego, czyli kolorach jej żeńskiego stowarzyszenia.

– To tydzień inicjacji – ostrzegła go już we wrześniu, kiedy omawiali telefonicznie jego grafik.

– Czyli co?

– Oficjalne uroczystości – powiedziała, jakby to było coś najbardziej oczywistego na świecie. – Będę bardzo zajęta.

Została wybrana na zastępcę głównej organizatorki, odpowiadała za rekrutację PNC-ek, czyli potencjalnych nowych członkiń, jak się okazało. Andy był rozczarowany, ale starał się przybrać normalny ton.

– No to spotkamy się innym razem.

– Nie – zaprotestowała natychmiast. – Proszę, przyjeźdź, nie bądź głupi. Chcę cię zabrać na bal.

A potem, nim zdążył zapytać o szczegóły tego tygodnia, zaczęła swoim najseksowniejszym głosem:

– Zgadnij, co mam teraz na sobie.

Słowa, ton, właściwie szept, odniosły natychmiastowy i spodziewany efekt, a mianowicie cała krew znajdująca się akurat w górnej części ciała spłynęła od razu w dół.

– Hej – zamruczała Rachel, patrząc na niego teraz spod przymrużonych powiek.

Zauważył, że choć części jej garderoby zajmowały niemal wszystkie powierzchnie, wisiały na wszelkich dostępnych haczykach i na meblach, to jednak łóżko – podwójne na szczęście, więc nie musieli się gnieździć, jak przez pierwszy rok – było czyściutkie i niezaśmiecone.

– No chodź – zawołała, rzucając się na materac – Pierwsze koty za płoty.

Pokręcił głową, chcąc wyrazić dezaprobatę, ale pociągnęła go za sobą, całując w szyję i w ucho, a on wiedział, że ma rację – tak dawno się nie widzieli, że ten pierwszy raz nie potrwa na tyle długo, żeby Rachel z tego coś miała. Była równie napalona jak on, zrywając z siebie bluzę i dzinsy. Gdy jej dotykał, czuł żebra i obojczyki – schudła na tych studiach. Co rano wszystkie gammki zbierały się w salonie, włączały płytę z aerobikiem lub stepem i razem ćwiczyły. Dla niego brzmiało to beznadziejnie, ćwiczenie pod dachem, bez powietrza, słońca, biegu. Poza tym wcale nie uważał, że powinna zrzucać wagę.

– Daj spokój – jęknęła, gdy wypowiedział się na ten temat. – Miałam tłusty tyłek.

Owszem, był większy, ale lubił go, lubił go głaskać i ścisnąć, czuć, jak



wypełnia mu dłonie.

Rachel wiała się pod nim, jedną nogę zarzuciła na niego, żeby poczuł jej ciepło i wilgoć.

– Nie mogę się doczekać.

Zakrył jej usta dłonią – jak będzie tak trajkotać, to on długo nie wytrzyma. Wzięła do ust jego palec i zaczęła ssać, on kolanami rozsunął jej nogi.

– Au! – pisnęła, gdy wszedł w nią jednym pchnięciem, zbyt niecierpliwie. Potem uniosła biodra i wsunął się dalej, niemal usłyszał „klik”, gdy dotarł do właściwego punktu.

Po wszystkim leżeli, dysząc miarowo.

– No dobra – odezwała się Rachel. – Pokaż mi je.

– Są okej – zaprotestował Andy.

Rachel jednak spojrzała surowo, usiadła i czekała, aż przełoży stopy na jej kolana. Po każdym dłuższym rozstaniu badała uważnie stopy Andy’ego, udawała przerażoną ich stanem, on natomiast wyrażał opinię przeciwną, choć tak naprawdę sądził, że w głębi duszy Rachel jest zadowolona, a może nawet zachwycona ich kondycją, a i on lubił, że poświęca mu tyle uwagi.

Aż otworzyła usta ze zdziwienia i zmarszczyła brwi, po czym przesunęła delikatnie paznokciem po jego prawej podeszwie.

– Czujesz to?

Andy pokręcił głową – naskórek był zbyt gruby.

– Boże, chyba jesteś kozłem, czy coś. To nie stopy, tylko kopyta. – Potem zabawiała się poobcieranymi palcami. – Warzyła sroczka kaszkę, temu dała, temu dała, o, a ten nie ma paznokcia, a ten też nie ma paznokcia...

Przerzucił nogi na drugą stronę i wziął ją w ramiona.

– Oho, czyżbym miała zostać pożarta? – zapytała, całując jego tors.

Związała włosy w kok na czubku głowy, więc mógł podziwiać kształt jej czaszki i słodkie małe uszka, lekko szpiczaste od góry. Głaskał jej plecy, od ramion w dół, a potem znów w górę, wsłuchując się w jej gardłowe dźwięki i czując przyspieszający oddech. Od tego pierwszego spotkania w Filadelfii kochali się dziesiątki razy i nigdy nie było gorzej niż cudownie. Nie to, żeby nie zdarzały się wpadki, pewnie: on za szybko kończył albo w ferworze chwili, Rachel na czworakach, a on za nią, mokry od potu, ona nagle się zawstydzła, że robią za dużo hałasu, on zaczyna ją uspokajać, że nic takiego nie zauważył, a jej wstyd tylko wzrasta. Raz walnęła go łokciem w oko, chcąc czym prędzej na niego wejść. Krzyknął zaskoczony. „Cicho tam, masz w końcu drugie” – powiedziała. Po czym złapała go za penisa, głaszcząc delikatnie, pocierając kciukiem o główkę. „Ale jego tylko jednego” – dodała, więc natychmiast zapomniał o oku, o wszystkim, objął ją i pociągnął w dół.

– Rachel?

– Poczekaj – powiedziała, wyskakując z łóżka. Włożyła szlafrok i wyszła do salonu.

Pograżony w lekkiej drzemce, słyszał, jak Rachel rozmawia z inną dziewczyną.

– Wszystko w porządku? – zapytał, gdy wróciła.

– Nie pojmuję, której części fragmentu „manikiur francuski albo krótki neutralny paznokieć” można nie zrozumieć. – Przewróciła oczami.

– Żartujesz sobie – skomentował, ale ona potrząsała głową.

Była rozkoszna, te brązowe oczy, wysunięty mały podbródek, garstka piegów na nosie i policzkach. Andy kochał nawet jej małe, białe ząbki. „Moje ty małe kochanie, moje serduszko” – mówił do niej czasami, a ona stawała na palcach i wołała: „Jestem już duża!”.

Teraz jednak patrzyła wzrokiem autorytarnym, nie rozkosznym.

– Ludzie muszą traktować to poważnie, bo jeśli nie, jeśli kandydatki podejną do tematu lekceważąco, nie dostaniemy najlepszych dziewcząt.

– Najlepszych dziewcząt – powtórzył Andy. Wiedział, że popełnił błąd, jeszcze zanim Rachel uniosła brwi i otworzyła usta, a potem je zamknęła, odwracając się spokojnie do lustra.

– A czym chęć przyjęcia najlepszych dziewczyn do stowarzyszenia różni się od przyjęcia najlepszych zawodników do drużyny?

– Ale co w tym kontekście znaczy „najlepszy”?

Już od roku, odkąd wstąpiła do Gammy, Andrew się zastanawiał, jak to możliwe, że jego zabawna Rachel, która potrafiła żartować ze wszystkiego, nagle zaczęła tak poważnie traktować te ich zasady i wytyczne. Nie wspominając o tym, jaka jest teraz chuda i że w ogóle nie rusza się nigdzie bez pełnego makijażu. Przed sobą miał nudny wieczór, te długie godziny do wypełnienia, gdy Rachel będzie rekrutować, a on się ukrywać w jej apartamencie jak jakiś męski odpowiednik Anny Frank. Dziś faceci nie byli zaproszeni, dopiero w sobotę, na bal. Już się widział, jak odrabia zadanie domowe w tym falbankowym, pachnącym, dziewczęcym otoczeniu czy usiłuje przyrządzić coś do jedzenia z jogurtów i SlimFastu, bo to jedynie Rachel trzymała w lodówce. („A co by się stało, gdybyś miała tu burgera i piwo?” – zapytał, na co ona zupełnie serio odpowiedziała: „Wyprowadziłyby mnie na tyły i zastrzeliły”).

Teraz Rachel nastroszyła piórka.

– Zajmujemy się działalnością charytatywną. – Każde słowo wymawiała bardzo wyraźnie. – Bierzymy udział w wolontariatach. Uczymy. Podczas gdy ty robisz te swoje okrażenia... – Tu dla zademonstrowania, o co jej chodzi, „przebiegła” palcem wskazującym i środkowym wzdłuż krawędzi biurka. – ...my pracujemy na rzecz naszej społeczności. Chcemy dziewczyn, które będą oddane ideałom Gammy.

Według Andy'ego ideał Gammy to być śliczną i popularną w Beaumont, być dziewczyną, którą bardziej interesuje właściwa kreacja i chodzenie z odpowiednim chłopakiem niż udzielanie korepetycji biednym dzieciom czy zbieranie funduszy na schronisko dla samotnych matek. Nie był jednak aż tak głupi, żeby powiedzieć to głośno. Oficjalnie stowarzyszenie nie było żydowskie, ale w praktyce większość członkiń to Żydówki, prawie wszystkie białe.

Pewnego razu zapytał, dlaczego stowarzyszenia są tak podzielone rasowo, na co Rachel zareagowała, jakby oskarżył ją o najgorszą zbrodnię. „Czarne dziewczyny mają własne stowarzyszenia. Nie chcą do nas przychodzić, ale gdyby chciały, traktowałybyśmy je na równi z innymi” – stwierdziła. Andy pokiwał głową, choć miał wątpliwości. Kilka razy chciał ją zapytać, czy mówi znajomym, że jego ojciec był czarny, i za każdym razem się powstrzymywał. Na pewno mówi, przekonywał sam siebie. To nie ma dla niej znaczenia. A jednak myślał o tym, gdy spacerował samotnie po Beaumont i czuł na sobie uważne spojrzenia, widział – lub sobie wyobrażał – że w delikatesach czy w kawiarni ochroniarze zwracają na niego większą uwagę. Albo kiedy w stołówce dosiedli się jacyś znajomi Rachel i zawsze zagadywali go o rap, jakby zakładali, że Andy kupuje każdą płytę i zna każdy utwór, choć z jego doświadczenia wynikało, że to właśnie żydowskie kujony najlepiej orientują się w tekstach N.W.A.

Może i kolor jego skóry nie miał znaczenia dla Rachel, jak zapewniała go przy każdej takiej okazji, ale był pewien, że w stowarzyszeniu są dziewczyny, którym to bardzo przeszkadza. I nawet jeśli rzeczywiście Rachel nie kłamie na jego temat, to całkiem możliwe, że przemilcza pewne fakty i pozwala ludziom myśleć, że Andy ma na przykład przodków z Hiszpanii, Izraela czy Grecji. Rodzicom powiedziała prawdę i byli dla niego przemili, gdy spotkali się w Beaumont, bo akurat trafiło na Weekend Odwiedzin, ale i tu się zastanawiał, czy nie byłiby uradowani, gdyby ich córka rzuciła Andy'ego dla jakiegoś żydowskiego młodzieńca.

Nawet jeśli nigdy nie zapytał jej wprost o kwestię rasy, to wypytał dokładnie o najbliższe koleżanki. Wszystkie tak samo się ubierały, ta sama marka dżinsów, bluzek i butów. „Jakby miały dokładny opis” – powiedział raz, właściwie żartem, a Rachel wyjaśniła, że w zasadzie to dostają coś takiego na piśmie. „Oczywiście jedynie sugestie” – tłumaczyła zakłopotana, co znaczyło, że przynajmniej zdaje sobie sprawę ze śmieszności sytuacji.

Nie chciał się kłócić, ale przychodziło mu czasem do głowy, czy potrafi wyobrazić sobie przyszłość z kobietą, która wręczała dziewczynom instrukcje, że powinny nosić dżinsy marki Guess, a nie Girbaud, i dawała wytyczne, ile guzików bluzki mogą rozpiąć.

– Wyglądasz pięknie – powiedział jej teraz, gdy siedziała przed lustrem i pincetą zadawała gwałt swoim brwiom. Rok wcześniej ścięła włosy, z przodu

krócej, z tyłu dłużej, na wzór tej aktorki z *Przyjaciół*, której udało się przekonać niemal każdą Amerykankę, że to najlepsza fryzura. Na szczęście włosy już odrosły i były takie jak w Atlancie, i tak mu się najbardziej podobała. Włożyła krótką białą spódniczkę, niebieską jedwabną bluzkę i apaszkę w kolorach stowarzyszenia oraz beżowe buty na obcasach w odcieniu jej skóry, które niesamowicie wydłużały nogi.

Cmoknęła go przelotnie, jakby myślała już o czymś innym.

– Do zobaczenia o północy.

I wyszła, został tylko zapach jej perfum i lakieru do włosów.

Andy zakradł się do łazienki, nie mogąc się nadziwić ilości kosmetyków, peelingów, płynów i maseczek. Wystarczyłoby dla całej drogerii. Długo stał pod prysznicem, ciesząc się ciśnieniem wody – w Oregonie z prysznicem raczej ciurkało. Zastosował peeling złuszczący na nogi oraz odżywkę głęboko wnikającą we włosy. Zastanawiał się przez moment nad oliwką pozostawiającą na skórze ochronny film, ale ostatecznie zrezygnował. Na powrót w dzinsach i bluzie wymknął się tylnymi schodami, niegdyś, jak wyjaśniła mu Rachel, używanymi przez służbę. Wałęsał się po kampusie, kupił kilka kawałków pizzy i zjadł je na ławce. Obserwował przechodzących ludzi. Dziesięć czarnych dziewczyn w niebieskich kostiumach i czarnych butach maszerowało rządkiem z kwiatami doniczkowymi w rękach. Za nimi szli chłopcy, każdy kandydat z własnymi książkami i z drugim plecakiem, zapewne skrywającym podręczniki starszych członków bractwa. Andy po raz kolejny uznał, że bractwo, fraternie, stowarzyszenia, czy jak tam zwał, to najgłupsza rzecz na świecie.

W końcu nadeszła północ. Leżał w łóżku, a Rachel, boso i z rozpuszczonymi włosami, przemierzała pokój, opowiadając mu o jednej z kandydatek, która się upiła i wymiotowała w toalecie.

– Powiedziała, że bierze antybiotyki, no sorry, ale chyba powinna sobie o tym przypomnieć, zanim wychłapała trzy szklanki ponczu.

Mówiła także, że podobno inne stowarzyszenie ukradło im ich temat balu, a mianowicie „Baśnie tysiąca i jednej nocy”.

– Organizują „Północ w oazie”, a to praktycznie to samo. I w dodatku wynajęły chyba słonia – zamartwiała się.

– To faktycznie... – „Okropne”, już miał dokończyć, ale Rachel mu przerwała.

– Wiem! Wiem! Boże, jak mogłam nie pomyśleć o tym wcześniej! – wrzasnęła.

– A może mogłabyś zorganizować kogoś grubego.

Rachel znieruchomiała w trakcie rozpinania biustonosza.

– Co?

Mimo że schudła, jej piersi, patrząc z profilu, były okrągłe i ciężkie, przypominały owoce. Melony to oczywiste skojarzenie, ale on myślał o nich jak

o brzoskwiinach, ze względu na złotaworóżowy kolor jej skóry i słodczy, jaką czuł, gdy je całował.

– Kogoś grubego – powtórzył, właściwie żartując. – No wiesz, żebyście mieli na imprezie grubasa.

Widział, jak Rachel rozważa, czy wziąć to żartem, czy na poważnie.

– Mamy w stowarzyszeniu grube dziewczyny – powiedziała w końcu.

– Kogo?

– Missy Sanders.

– Missy Sanders nie jest gruba – stwierdził z nadzieją, że mówią o tej samej osobie, biuściastej i różowolicej blondynce, której masywne nogi składały się raczej z mięśni niż tłuszczu i która grała w lidze hokeja na trawie.

– Szczupła też raczej nie.

– Czy jej ojciec nie jest senatorem?

Rachel włożyła rozpinaną górę od piżamy z elastycznej bawełny w czerwone serduszka. Przez pierwszy rok zaopatrywała się w Victoria's Secret i na każdą jego wizytę zakładała coś nowego, zwykle dziwaczного – koronkowe biustonosze z majtkami, przezroczyste, krótkie koszulki, rzeczy z mnóstwem haczyków i pętelek, które zmniejszały talię i powiększały biust... W końcu powiedział jej, że jemu najbardziej się podoba biała koszulka bez rękawów i spodnie od piżamy na tyle luźne, żeby mógł swobodnie włożyć w nie rękę.

Rachel się skrzywiła, zakładając spodnie.

– Zasiada w Izbie Reprezentantów.

– Ale gdyby był senatorem, mogłaby być gruba?

Rachel pokręciła głową.

– Skąd. Może gdyby był prezydentem, może wtedy. I tylko pod warunkiem, że miałyby śliczną twarz, średnią cztery zero i jej mama w przeszłości też należała do stowarzyszenia.

Podeszła do szafy, z pokrowca z pralni wyciągnęła sukienkę, przyłożyła ją do siebie, spoglądając w lustro i marszcząc brwi. Suknia bez ramion, w kolorze turkusowym, zdobiona była złotym haftem.

– Przypominam księżniczkę Jasminę czy raczej taką spod latarni?

Andy nie odpowiedział. Po co? Nie miał zamiaru udawać, że to w ogóle jest jakiś temat. Rachel ściągnęła brwi, ale po chwili twarz jej się rozjaśniła.

– Och, czekaj! Popatrz, co znalazłam dla ciebie!

Odwiesiła sukienkę i sięgnęła na górną półkę, pozwalając mu się rozkoszować widokiem jej pupcy w piżamowych spodenkach. Po chwili podała mu sztywną czapkę w kształcie odwróconej donicy z frędzlem na górze.

– O – powiedział, wstając, i położył czapkę na biurku. – Raczej nie.

Wyduła wargi w sposób, który zwykle bardzo mu się podobał.

– To fez – wyjaśniła. – Prawdziwy.

– Nie włożę tego.

– Ale...

– Rach – przerwał jej, czując znajome swędzenie, jakby miał zaraz wyskoczyć z siebie, jeśli nie zacznie się ruszać. Kochał ją. Była najśladszą dziewczyną, jaką znał. Przy niej się śmiał, był sobą, czuł się lekki, a przecież czasami było mu naprawdę ciężko, gdy wspominał te wszystkie zastarzałe urazy i żale, prawdziwe i wymyślone. Od spotkania w Atlancie myślał o niej bez przerwy przez dwa kolejne lata, czytał jej listy, w których opisywała, co robi, co myśli i czuje. Wiedział, że jego własne nie były tak wylewne – zawsze się z nim o to droczyła, że pisze, jakby płacił słono za każdą kroplę atramentu – ale przez telefon opowiadał o treningach i zawodach, o kolegach, którzy traktowali sport poważnie, i o tych, którzy się objali, a ona słuchała, zadawała pytania, nawiązując do spraw, które poruszał całe tygodnie albo i miesiące wcześniej, okazując cierpliwość, jakiej nie zaznał od nikogo prócz pana Sillsa.

Nadal do siebie pisywali i nadal dzwonili, jednak uważał, że to całe stowarzyszenie nie tylko zabiera jej większość czasu, ale też budzi w niej najgorsze instynkty, zmienia ją w dziewczynę, którą zbyt długo zajmują manikiury i oficjalne kreacje, która nie ma już czasu go wysłuchać i która nie myśli o przyszłości, chyba że chodzi o kolejną rundę rekrutacji lub bal.

Andy przestąpił z nogi na nogę. Noc była chłodna i rześka, w powietrzu pachniało jabłkami i dymem z tych wszystkich kominków. Cały czas czekała na niego trzykilometrowa ścieżka wokół sztucznego jeziora, które jakiś zamożny absolwent Beaumont pogłębił, żeby drużyna wiosłarzy miała gdzie trenować. Mógł przebiec jedno okrążenie albo dwa. Rachel patrzyła na niego, czekając, aż dokończy zdanie. Zmusił się, by pozostać na miejscu, ale bębnił palcami w biurko, tuż obok idiotycznej czapki.

– Chciałaś, żebym wypożyczył smoking, więc wypożyczyłem. Co zresztą nie było tanie. Przyjechałem, bo chciałem się z tobą zobaczyć. Wiem, że jesteś zajęta, i nie zamierzam ci przeszkadzać, ale nie rób ze mnie swojej lali do przebierania.

Podeszła do niego, z rozpuszczonymi włosami, pachnąc pastą do zębów. Poczł, że jego ciało reaguje, dłonie objęły ją w talii, zsuwając się po chwili niżej. Przyciągnął ją do siebie.

– Dla najlepiej ubranej pary jest nagroda – szepnęła, ocierając się o niego i odsuwając, i znów ocierając, aż ją złapał i przytrzymał w miejscu. Spojrzała mu w oczy i zatrzepotała rzęsami. – I stowarzyszenie dostanie punkty.

Matko kochana. Opuścił dłonie.

– Dobra, już dobra – poddała się Rachel.

Roześmiała się, przytuliła do niego i położyła sobie jego dłonie z powrotem na pośladki.

– Na pewno świetnie wyglądałbyś w fezie, ale rozumiem. Jesteś facetem,

a nie lalką Kenem. Wolna wola. Uczyłam się o tym na filozofii.

Podeszła do drzwi, wystawiła głowę na korytarz, złapała ręcznik, a potem jego rękę, i pociągnęła go do łazienki.

– Już brałem prysznic.

– Czystości nigdy za wiele.

Kabin było trzy, jedna obok drugiej, oddzielone jedynie zasłonkami. Rachel odkręciła wszystkie trzy baterie, zasunęła wewnętrzne zasłonki i wciągnęła go do środka. Woda lała się mocnymi strumieniami. Przez dwadzieścia minut, podczas gdy łazienka wypełniała się parą, szeptał jej do ucha, ona się śmiała, aż w końcu wylała na rękę trochę żelu do kąpieli, wzięła go w dłoń i cudownie powoli przesuwała aż do samego końca, a następnie z powrotem.

– Skarbie – powiedział, gdy strumień wody obmywał jej twarz, odsuwając włosy, więc widział ją przed sobą bez zwykłej chmury loczków. – Kocham cię.

Następnego ranka obudził się znów gotów do czynu, ale Rachel nie było w łóżku. Zanim wyszła, pochyliła się nad nim i pocałowała w sposób, w jaki żony zapewne całują mężów przed pójściem do pracy. Andy pościelił więc łóżko, poćwiczył, wziął prysznic i ubrał się. Potem jedna z koleżanek Rachel przywołała go do stołówki, dużego pomieszczenia o sklepionym suficie i marmurowej podłodze, z długimi drewnianymi stołami, przy których studentki jadły. Lub nie jadły (raz przesiedział z nimi pół godziny, a one tylko dłubały widelcami w swoich sałatkach).

Zjadł naleśniki i dietetyczny bekon z indyka, a potem przemknął do biblioteki, która była piękna, jak stara rezydencja pełna książek – ciemne rzeźbione drewno, błyszczące mosiężne lampy i rzędy kabin. Znalazł dla siebie zakątek z dużym krzesłem i widokiem na dziedziniec. Odrobił zadanie z socjologii rodziny i psychologii defektologicznej, przebrnął też przez wyczerpujące dwadzieścia stron z Arystotelesa na seminarium z filozofii. Większość kolegów z drużyny studiowała wychowanie fizyczne, czyli mieli zostać nauczycielami. Kilku innych, którym jeszcze mniej się chciało zagłębiać w książki, wybrało geologię, nazywaną tutaj geobetką, bo profesorowie zaliczali przedmioty, jeśli tylko nie zapadało się na zajęciach w sen zbyt głęboki i nie chrapało zbyt głośno. Andy jeszcze nie zdecydował, wahał się między specjalizacją z literaturoznawstwa porównawczego i politologii. Lubił czytać o tym, jak działa świat i dlaczego ludzie robią to, co robią.

Do pierwszej był gotów. Beaumont miało swoje centrum: dwie ulice na krzyż, sklep z serami, gdzie sprzedawali kanapki, chińska knajpa i elegancka francuska restauracja, do której rodzice chodzili z dziećmi po wręczeniu dyplomów. Licząc drobne, by zapłacić za dwie bułki z serkiem śmietankowym, Andy zauważył postawnego lalusia w skórzanej kurtce. Facet przyglądał mu się z zarożumiałym uśmieszkiem i zapłacił kartą. A rachunki, pomyślał Andy, przesyła

zapewne rodzicom. Stał przy wąskim stole, przeżuując kanapki, gdy tamten wsiadł do bmw z naklejką aktualnego przeglądu, wydaną przez lokalną stację. Studenci z Beaumont to dupki. Przez rok kłócili się o to z Rachel, aż w końcu doszli do kompromisu. On zgodził się – wyłącznie na ich prywatny dwuosobowy użytek – iż niemożliwością jest, aby każdy człowiek, który uczy się w Beaumont, był dupkiem, a Rachel przyznała – również wyłącznie na ich prywatny użytek – że wielu z nich, w tym jej ukochane gamski, można określić mianem ograniczonych, uprzywilejowanych, dobrze sytuowanych dupków, którzy płynęli przez życie, myśląc, że wszystko, co osiągnęli, a więc dobre szkoły, dobra posada, śliczny dom i drogie wakacje, zawdzięczają własnej pracy, a nie swojemu statusowi, a raczej statusowi rodziców. „Urodzony w bramce, a sądzi, że strzelił gola” – mawiała mama. Andy złapał się na tym, że uważa dokładnie tak samo, gdy chodził po Beaumont, do którego Rachel tak bardzo chciała się dopasować. Wiedział, bo ją o to zapytał, że nikomu nie powiedziała o swoim sercu ani o szpitalach. Bliznę wyjaśniła operacją – jedną – która skorygowała wadę wrodzoną. Przenośną butlę z tlenem trzymała w walizce na dnie szafy, zawsze malowała paznokcie, by nikt nie zauważył zasinienia, a raz jedyne, kiedy słyszał, jak ktoś namawia ją na bieganie, wykręciła się skurczami.

– Czyż tu nie jest pięknie? – pytała go zwykle... no i, faktycznie, było jak na pocztówce, jak na obrazku, który kojarzy się z hasłem „uniwersytet”, jak na zdjęciu w folderze reklamowym. Jesienią studenci miewają zajęcia na dziedzińcu, siadają pod wielkimi dębami i klonami, których listowie mieni się złotem i szkarłatem, a wiosną dzieciaki, które chyba wybrano ze względu na wygląd, grają tam we frisbee na starannie wypielęgnowanych trawnikach.

Dwa razy w tygodniu Rachel i reszta jej siostr ze stowarzyszenia jechały busikiem do miasta, by udzielać korepetycji dzieciom z publicznej szkoły podstawowej. Rachel pracowała z Keilą, szóstoklasistką o łagodnym głosie i brązowych oczach, która zwracała się do niej per panno Rachel i patrzyła na nią tak, jakby wynalazła co najmniej MTV. Przynajmniej raz w miesiącu szły do zoo, kina, parku lub jakiejś miłej restauracji na podwieczorek. „Chciałabym móc zrobić coś więcej” – mawiała Rachel i marzyła głośno o adoptowaniu Keili po studiach, tak jakby Keila nie miała już matki.

– Po prostu nie rozumiem – zdenerwowała się, gdy dziewczynka wyjaśniła spokojnie, że facet jej mamy pożyczył tę różową torbę z monogramem, którą Rachel kupiła jej na urodziny, i już nie oddał. – Jak ona w ogóle może pozwolić, żeby taki typ znalazł się w pobliżu jej dziecka?

Andy chciał powiedzieć, że łatwo jest dokonywać właściwych wyborów, gdy człowiek ma wokół siebie życzliwą i wspierającą rodzinę, nie wspominając już o pieniądzu jako zabezpieczeniu, i kiedy wszyscy krewni zawsze robią to, co powinni, czyli studiuje i znajdują dobrą pracę.



– Stara się – tłumaczył jej, a Rachel wzdychała i powtarzała swoje:

– Po prostu nie rozumiem.

Andy rozumiał, choć pewnie nie uda mu się tego Rachel wytłumaczyć.

Czasami – raczej częściej niż rzadziej – wydawało mu się, że Rachel i jej koleżanki bawiły się tylko w kobiety światłe, o otwartych umysłach, które zauważają, że świat jest dużo większy niż mały grajdołek ich college'u i rówieśników. Doświadczwały istnienia biedy parę razy w miesiącu przez dwie godziny, jakby to był film w kinie czy program telewizyjny, coś, co się wyłącza po skończeniu i wychodzi, coś, co robią, żeby potem umieć o tym porozmawiać z ludźmi, którzy rzeczywiście mają na ten temat dużo do powiedzenia.

Tego wieczoru Andy kręcił się w pobliżu stołówki z nadzieją, że znów któraś z koleżanek Rachel weźmie go ze sobą. Niestety, nie miał szczęścia. Stołówka nie tylko wyróżniała się architekturą, z wysokimi sklepieniami i witrażowymi oknami, ale także serwowała boskie jedzenie. Co wieczór mnóstwo mrożonego jogurtu w różnych smakach, raz w tygodniu bufet z lodami i polewami, opcje wegetariańskie i musli, jeśli ktoś nie miał ochoty na właściwy posiłek. W jego kampusie dawali jakiś wybór, ale na pewno nie tak szeroki, a sam budynek był nowoczesny – ostre kąty i szkło – niebrzydki, lecz bez porównania z Beaumont. Raz w miesiącu mieli tu oficjalną kolację. Szefowie kuchni i kelnerzy (wszyscy czarni, jak zauważył) wkładali smokingi lub czarne sukienki z białymi fartuszkami z falbanką i podawali zapiekankę z krabami, pieczeń z udźca wołowego, owoce morza i stek z polędwicy. Gdy trafił tam po raz pierwszy, Andy jadł tak długo, aż brzuch rozsadził mu pasek, zastanawiał się też, czy mógłby spakować kilka kotletów na podróż, kiedy jedna z kelnerek, kobieta w średnim wieku, o okrągłej twarzy, nieśmiało wsunęła mu do ręki parę steków opakowanych w folię. Czyżby rozpoznała, że nie studiuje na miejscu... a może zauważyła, że jest w połowie czarny (nie każdy to potrafił), i chciała być miła?

O siódmej był już w pokoju Rachel, wykąpany i ogolony. W wypożyczonym smokingu obserwował, jak ponownie nakłada makijaż. Słuchali The Smiths – Andy dziękował Bogu, gdy w końcu przestawiła się z Whitney Houston i Mariah Carey, z tym że zawodzenia Morrissey'a okazały się jeszcze gorsze. Powietrze w budynku przesycone było perfumami i słodkim zapachem soków owocowych z domieszką dymu papierosowego i nutką wymiocin w okolicach łazienki. Dziewczyny nie potrafiły przygotować Koktajlu Arabskiego, więc zdecydowały się na Zombie, z sokiem ananasowym i wisienkami maraschino oraz trzema różnymi rodzajami alkoholu. Z nudów Andy zaczął przeglądać podręcznik Stowarzyszenia Gamma, leżący na nocnej szafce Rachel. Czytał głośno.

– „Obowiązują włosy proste lub kręcone, falowane są niedozwolone”. Dlaczego? – zapytał.

– Bo wyglądają niechlujnie.

Czytał dalej.

– „Musisz posiadać lokówkę (jeśli nosisz kręcone) lub prostownicę (ewentualnie suszarkę, jeśli masz tak proste włosy, że wystarczy je wysuszyć, i radzisz sobie na tyle z ich ułożeniem, że nie potrzebujesz prostownicy). Nie licz na to, że któraś z członkiń pożyczyci ci swoją lub cię uczesze, bo wtedy nie miałyby czasu zadbać o siebie. Uwaga: jeśli masz proste włosy, nie kręć ich lokówką, ponieważ fryzura musi wytrzymać piętnaście godzin, a włosy oklapłe i sztywne od lakieru nie będą tolerowane. Używaj preparatów chroniących przed ciepłem oraz nabłyszczacza”.

W swojej próżności Rachel podniosła najpierw jedną butelkę, potem drugą, i potrząsnęła nimi triumfująco. Aż zadrżały jej piersi. Andy zastanawiał się, czy będą mieć czas na szybki numerek przed bale, ale później sam zrezygnował. Na pewno nie – Rachel odmówiłaby ze względu na staranny makijaż.

– To nonsens – zawyrokował. – Wiesz o tym, prawda?

– Czytaj dalej.

– „Grzywka musi być starannie wymodelowana. Jeśli jest długa i boisz się, że może opadać na twarz, użyj spinek w odcieniu włosów”. Mogę cię o coś zapytać?

– Właśnie to zrobiłeś – odrzekła Rachel z ustami pełnymi spinek.

– Moja mama mogłaby tu zarobić fortunę. Czy dziewczyny naprawdę potrzebują instrukcji, jak używać lakieru do włosów?

Rachel westchnęła.

– Wiem, że tego tak nie postrzegasz, ale my im pomagamy. Ponieważ niezależnie od tego, czy chcesz to przyznać, czy nie, wygląd ma znaczenie. A co, jeśli ubiegałabym się o pracę, a nikt by mi nie powiedział, że mam fatalną fryzurę albo że dana szminka absolutnie mi nie pasuje?

– Gdybyś miała najlepsze kwalifikacje, i tak by cię przyjęli? – zaryzykował Andy. W świecie idealnym w każdym razie. W tym rzeczywistym nie był tego pewien. Jak traktowaliby go w Oregonie, na przykład, gdyby nie biegał, nie miał własnej grupy kolegów i ustalonej pozycji?

Rachel potrząsnęła głową, trochę ze złością, trochę ze smutkiem.

– Nie w przypadku kobiet.

Miał ochotę na kolejne pytania – na przykład: jak proste, falowane i kręcone włosy mają się do rozmów o pracę i do działań na rzecz społeczności, i czy dla Keili miało znaczenie, czy Rachel maluje paznokcie na czerwono, czy na bładny róż – ale rozległo się pukanie do drzwi.

– Hej, Andrew Landisie – przywitała się Pamela Boudreaux, druga obok Rachel zastępczyni przewodniczącej, której mama też uczęszczała do Beaumont. Pochodziła z Atlanty i mówiła z charakterystycznym akcentem, przeciągając samogłoski. Co do poczucia humoru, była raczej uszczypliwa. Kiedyś w jej pokoju

zauważył fotografię, na której wystąpiła w białej sukni. „To jakieś wesele?” – zapytał, a ona zachichotała. „Kotku, to mój debiut” – odparła.

– Mamy problem – oznajmiła teraz i pociągnęła Rachel na ławę pod oknem. Andy usłyszał, że problemem jest jedna z gammek, której sukienka „zbyt dużo pokazuje”.

– Widzę Sandrę, widzę Macy, widzę również majtki Stacy – wyrecytowała Pamela. – Albo raczej widziałabym, gdyby je włożyła. Stacy Saperstein.

– O cholera – zaklęła pod nosem Rachel.

– Twierdzi, że to kreacja Dolce & Gabbana, no dziękuję bardzo, i nie ma zamiaru się przebrać.

Andy zamknął oczy i słuchając, jak debatują nad problemem gołego tyłka Stacy Saperstein, zaczął planować jutrzejszy trening w Beaumont: dziesięć minut lekkiego biegu, sprint na sto metrów razy cztery, po każdym trzydziści sekund przerwy, potem cztery razy dwieście metrów, dwa razy czterysta i dwa razy po półtora kilometra w tempie zawodowym z pięciominutową przerwą. W wyobraźni przyklękał, ustawiał stopy w blokach, palce dłoni opierał na nierównym podłożu i czekał na wymagany strzał... I w tej właśnie chwili Rachel nim potrząsnęła.

– Hej, mój książę, czas na bal.

Nawet on musiał przyznać, że sala wyglądała pięknie. Dziewczyny rozwiesiły sznury małych lampek i umocowały na suficie tony białego tiulu jako imitację chmur. Kilometry materiału z przyszytymi lustreczkami udrapowano na ścianach tak, żeby osiągnąć efekt wnętrza namiotu. Na scenie grały na zmianę dwa zespoły, trzy szybkie utwory, jeden wolny (Rachel dokładnie mu wyjaśniła, skąd wzięły się takie akurat proporcje). W tłumie podobnie ubranych facetów Andy nie czuł się niezręcznie w swoim smokingu. Całkiem możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że ci wszyscy biali posiadali w szafach własne smokingi, nie musieli ich wypożyczać, a już zwłaszcza nie musieli tego robić za pomocą bonu przesłanego przez dziewczynę, jednak to akurat nie miało dla Andy'ego znaczenia. Wokalista drugiego zespołu właśnie zawodził: „Wiedziałem, że cię kocham, nim cię poznałem, wymarzyłem cię i sprowadziłem do swojego życia”. Andrew objął mocno Rachel.

– Fantastycznie to urządziłyście – szepnęła, a jej twarz się rozjaśniła, taka piękna. Choć gdzieś w głębi serca miał ochotę zmoczyć serwetkę i zetrzeć cały ten podkład, róż, korektor, eyeliner („WYŁĄCZNIE czarny lub brązowy!”) i cienie do powiek („neutralne, dobrze wymieszane, żadnych pasteli ani jaskrawych kolorów”), które wymieniono na liście, aż Rachel wyglądałaby znowu jak dziewczyna, którą poznał w szpitalu. „Opowiedz mi coś” – poprosiłby, a ona uśmiechnęłaby się i wzięła go za rękę. Przez chwilę nie mogliby się nadziwić, jak długo się już znają, a potem pogadali o tym, że już zawsze będą razem.

– Uwaga, stary! – rozległ się głos.

Na Andy'ego ktoś wpadł. Czerwonolicy facet z dwoma czerwonymi plastikowymi kubkami. Piwo się rozlało i wsiąkało właśnie w sukienkę Rachel.

– O nie! – Rachel z przerażeniem patrzyła na plamę, po czym uciekła, zostawiając Andy'ego i faceta z piwem samych sobie. Facet był napakowany i chyba ktoś siłą wcisnął go w ten smoking. Brzuch prześwitywał między guzikami, a kołnierzyk ciasno opinał szyję.

– Cholera jasna, nie widziałeś mnie? – jęknął ten z piwem.

Andy uniósł obie dłonie, szybko się orientując, że tamten jest pijany, na tyle pijany, że może nad sobą nie zapanować.

– Przepraszam.

– I powinienes! Cholerny kawał gówna.

Małe, podłe oczka Piwosza, osadzone głęboko w błyszczącej, nalanej twarzy, szybko zlustrowały Andy'ego, jego twarz, smoking i stopy. Mięsiłą, pijaną facjatę rozciągnął drapieżny uśmiech, w którym ukazały się ząbki tak proste, jak można mieć tylko po kilku latach drogich wizyt u ortodonta.

– Fajne butki, gnoju.

Andy poczuł, że się czerwieni. Człowiek w wypożyczalni chciał dać mu też odpowiednie buty, za dodatkowe osiem dolarów. Andy tyle nie miał, bo musiał kupić bilety i nowe podkoszulki (ostatnio Rachel przejechała palcem po spranym materiale i wprawdzie nic nie powiedziała, lecz on wiedział doskonale, co sobie pomyślała). Włożył więc granatowe adidas Nike, uznając, że to nadaje mu styl wyluzowany. Ale może się mylił.

– Ślicznie ci w tym, przydupasie – zadrwił Piwosz.

– Tobie też, brachu – odparł Andy, odwracając się. I na tym mogło się skończyć, powinno się skończyć, ale wtedy Piwosz dodał jeszcze:

– A co, bucików zabrakło w kościelnym kartonie z darami?

Gdyby oskarżył Andy'ego o kradzież smokingu, ten zignorowałby go. Gdyby zaczął na nutę rasistowską, Andy po prostu by odszedł, w swoich najkach, i pobiegł tak daleko, aż chęć walnięcia palanta by mu przeszła. Ale te słowa, „karton z darami”, sprawiły, że wspomnienia stanęły mu przed oczami. Z tym, że w ich kościele nie było kartonów, tylko składany stół z porysowanym plastikowym blatem, na którym dary układano według rozmiarów i płci. Rzeczy dla chłopców zawsze leżały pośrodku. Pamiętał, że mama starała się usiąść z brzegu ławki, by zaraz po słowach księdza „Idźcie w pokoju Chrystusa” mogła pierwsza być na miejscu, przebierając w ubraniach, łapiąc całe garści rzeczy, które i tak by mu nie pasowały, i piszcząc, gdy udało się jej znaleźć coś fajnego, dobrej jakości, z metką, którą znała. Jak stara kurtka Ryana Petermana.

Andy spojrzał ponad ramieniem Piwosza, otwierając szerzej oczy, jakby zobaczył coś ważnego.

– O, spójrz! – zawołał.

Facet, niezdarny jak hipopotam w błocie, zaczął się odwracać, nadstawiając Andy'emu wręcz przepiękną, ogromną szczękę. Zamachnął się więc i walnął. Piwosz padł razem z dwoma piwami. Andy był gotów kopnąć go swoim sportowym butem w żebra – co, patrząc z perspektywy, bardziej zabolałoby jego niż ofiarę z jej ochronnymi poduszkami – gdy dwaj kolesie Piwosza złapali go za ręce, a trzeci zaczął okładać. Andy zobaczył zbliżającą się pięść dokładnie w momencie, gdy Rachel nadbiegła w swojej ślicznej sukience, a perfekcyjnie umalowane usta ułożyły się w idealne „O”. „O” pełne dezaprobaty.

Piwosz nazywał się Kyle Davenport i był przewodniczącym Alphy, a więc bratniego stowarzyszenia gammek. No oczywiście. Rachel powiedziała to wszystko Andy'emu, siedząc na skraju łóżka i przykładając mu do twarzy lód owinięty w ścierkę. Przyciskała go w miejscu, gdzie dostał od jednego z braci Alpha.

– Nie jest dobrze – informowała.

Przebrała się w piżamę i starła większość makijażu, który nie spłynął razem ze łzami, ale fryzura wciąż się trzymała, więc wyglądała jak mała dziewczynka, która się przebrała i włożyła jakiś dziwaczny kapelusz.

– Przepraszam – powiedział, chyba po raz setny, odkąd Rachel podbiegła do niego, ślizgając się na rozlanym piwie. „Boże, Andy!” – krzyknęła wtedy. Teraz wyjął jej z ręki lód. – Co się działo potem?

Westchnęła. Wyglądała, jakby uszło z niej całe powietrze.

– Przyjechała policja.

Kiwnął głową. Zauważył gliniarzy, gdy Rachel wyprowadzała go z sali.

– Dobra wiadomość jest taka, że sprawdzaliśmy dowody, więc nikt nam nie zarzuci podawania alkoholu nieletnim. – Znów westchnęła. – Kyle nie wiedział, jak się nazywasz, i nie za bardzo chciał wyznać, jak to się wszystko zaczęło, więc nikomu nie postawią zarzutów. Zła wiadomość natomiast jest taka, że policja na naszej imprezie na pewno nie zrobi dobrego wrażenia na kandydatkach. – Kolejne westchnienie. – Ani na absolwentach. Ten incydent na pewno rzuci na nas cień.

Ja, pomyślał Andy, ja rzucam na ciebie cień.

– Chyba powinienem sobie pójść – pomyślał, nie zdając sobie sprawy, że mówi to głośno.

Rachel przecierała oczy jak zmęczony berbec.

– Może to dobry pomysł.

Andy wyprostował się zaskoczony. Nie taki był scenariusz. On przeprasza, a ona mu wybacza. On stwierdza, że powinien sobie pójść, na co ona nalega, by został, mówi, że rozumie, dlaczego uderzył tego gnojka, i że ona, znając sytuację, zrobiłaby to samo, i że niezależnie od problemów stowarzyszenia i tego, jak bardzo jej koleżanki są na nią wkurzone, to wszystko nie ma znaczenia, bo go kocha.

Ale to chyba nie miało nastąpić. Nie potrafił wyczytać z jej twarzy, co myśli,

plecy i ramiona trzymała sztywno. Sięgnął po jej dłoń. Odsunęła ją i wstała, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Uważasz, że jesteśmy złymi ludźmi – zaczęła.

– To nieprawda.

Warga już mu puchła, ciekawe, czy będzie miał śliwę pod okiem i czy trener zauważy, i jaką historyjkę mu wtedy opowie.

Podniosła rękę.

– Nie, po prostu posłuchaj, dobra? – Prychnęła, zwinęła dłonie w pięści i powiedziała: – Boże, jak ja mam tego dość.

– Czego?

– Tego, że faceci mnie zakrzykują! Nawet na zajęciach z feminizmu i gender wiecznie gadają faceci, więc może na chwilę się zamkniesz i mnie posłuchasz?

– Ale ja słucham – zaprotestował, i od razu zrozumiał, że lepiej nie rozszerzać tej kłótni o dodatkowy aspekt wyimaginowanego zagadywania Rachel przez facetów. Wystarczył jeden rzut oka na jej twarz, na to rozgorączkowane spojrzenie, żeby zamknął usta.

– Uważasz, że jesteśmy złe. Nie, proszę cię, nie zaprzeczaj. – Uniosła dłoń, jakby miał zamiar się sprzeciwić. – Uważasz, że jesteśmy płytkie i niepoważne, myślimy tylko o fryzurach i makijażach, i może nawet częściowo to prawda, może nawet sporo w tym prawdy. Ale nie tylko takie jesteśmy, a zresztą, Boże, Andy, nawet jeśli tak jest, to jeszcze nie znaczy, że możesz wszczynać bójki na naszym balu, przynosić mi wstyd i narażać na szwank moją reputację.

„Na szwank moją reputację”. Mówiła jak szef oceniający negatywnie nowego pracownika. Gapił się na swoje buty, usiłując powstrzymać drżenie nogi i zmuszając się do spokoju. Musi to przetrzymać.

– Przepraszam – powtórzył kolejny raz. – Nie wiem, co jeszcze mam powiedzieć. To było głupie, nie powinienem był tego robić.

Stała odwrócona tyłem, ale w szybie okna widział niewyraźne odbicie jej twarzy. Wydawało mu się, że płacze, lecz nie miał pewności.

– Wiesz, mogłabym mieć tu chłopaka. Mogłabym – powiedziała cienkim, wysokim tonem. – Nie myśl, że nie dostaję propozycji.

Andy poczuł, jakby ktoś włożył mu do gardła wielką kulę z drutu.

– Znajomi wciąż mnie pytają, co ja w tobie widzę. Uważają, że jesteś zarozumiały.

– Ja zarozumiały? – Nie mógł powstrzymać niedowierzania. Te dziewczyny, w tych swoich samochodach i ciuchach, z kartami kredytowymi, one uważają, że to on jest zarozumiały?

– Nawet się do nich nie odzywasz. Zachowujesz się, jakbyś był lepszy. Oceniasz je...

– Wcale...

– Tak, oceniasz. – Teraz już na pewno płakała. – Może nieświadomie, ale to się czuje. – Przerwała na moment. – Ja też to czuję. Zawsze mnie oceniasz, czy spełniam wymagania, czy przestałam już być taka płytka i snobistyczna. I nigdy mi się nie udaje, prawda?

Chciał do niej podejść, położyć jej ręce na ramionach i odwrócić do siebie. Scałować te łzy z policzków, ściągnąć z niej piżamę, zabrać do łóżka, gdzie zawsze wszystko było w porządku. Ale jej ciało pozostało sztywne, a kiedy próbował ją odwrócić, nawet nie drgnęła.

– Myślę, że powinieneś iść – powiedziała matowym głosem. Wzrok utkwiła w podłodze.

– Mam już bilet na autobus, na siódmą, przecież nie...

– Nie chcę cię tutaj.

Podniosła głowę i wpatrywała się w ciemny dziedziniec. Wyglądała gniewnie i groźnie, stała jak te figury na dziobach statków. Był wściekły, ale nie wiedział, gdzie tę złość skierować – na Rachel? Na Piwosza? Na siebie, że stracił panowanie? Czy na mamę, za to, że ubierała go w kościelne dary?

– Okej – powiedział.

Rachel wyszła z pokoju bez słowa. Nawet na niego nie spojrzała.

Pięć minut zabrało mu spakowanie swoich rzeczy – szczoteczka, książki, bokserki, głupi smoking. Szedł korytarzem ze spuszczoną głową, zza drzwi pokoiów dochodziły go stłumione szepty. O drugiej nad ranem kampus był opustoszały, wiedział więc, że musi sobie znaleźć jakieś miejsce na przeczekanie, bo inaczej ma jak w banku kolejne starcie z ochroną.

W sklepie nocnym kupił trzy hot dogi, wielką paczkę precli i za dwadzieścia centów kubek pełen lodu. Siedział przez jakiś czas na ławce przed sklepem, zjadł hot dogi, a potem zawijał lód w papierowe serwetki i przykładał go do policzka. O trzeciej był na dworcu autobusowym i próbował czytać socjologię w słabym świetle ulicznych lamp. Zasnął – niezbyt bezpiecznie, ale co tam, już i tak był pobity. O świcie obudził się z uczuciem, że ktoś dotyka jego ramienia.

Wzdrygnął się i zerwał na równe nogi, gotów uciekać albo walczyć, albo co tam trzeba. Przed nim stała Rachel, z kubkiem kawy. Włosy spięła w kok, ale niektóre zakręcone kosmyki pozostały na swoim miejscu. Miała zaczerwienione oczy, twarz całą w czerwonych plamach. Wyglądała pięknie.

– Kocham cię, wiesz – powiedziała.

Chciał ją przeprosić. Przyznać, że jest głupi. Że wcale nie uważa jej za płytką ani za idiotkę, wie, że ma dobre, szczere serce. Ale wszystko to zagubiło się zupełnie w drodze od mózgu do języka, pomieszało ze wspomnieniem napakowanego Piwosza z jego podłymi, świecącymi oczkami i pogardliwym wyrazem twarzy, wspomnieniem tego, jak się wtedy poczuł, jak zero, mniej niż zero nawet, jak pyłek, który facet taki jak tamten strząsa z rękawa na drodze do

swojego dobrego, czystego, ułożonego życia. Więc milczał, trzymał tylko jej dłoń, rysując na niej serce, aż nadjechał autobus i musiał wsiąść.



Rachel  
2001

Mapkę metra włożyłam do torby, a wyjęłam notes. Mrużąc oczy, odczytałam zapisany wcześniej adres, upewniając się, że dobrze pamiętam. Było wcześniej, siódma rano, zapowiadał się piękny jesienny dzień. Robiłam obchód rodzin, które miały kartoteki w Biurze do spraw Dzieci i Rodziny. Program moich studiów magisterskich z resocjalizacji na Uniwersytecie Nowojorskim obejmował praktykę w wymiarze dwudziestu jeden tygodni, i ja odbywałam ją w Stowarzyszeniu Pomocy Rodzinie, które pomagało rodzinom borykającym się z problemami mieszkaniowymi, a co za tym idzie również z bezrobociem, słabą frekwencją szkolną, brakiem umiejętności zakupu wartościowego jedzenia, a potem ugotowania go, nawet kiedy już było w domu.

Czasami, jak mówiła szefowa, nasza praca polega wyłącznie na wypisywaniu papierów, wypełnianiu formularzy i faksowaniu ich do właściwych agencji, a potem ponownym wysyłaniu, gdy zaginą gdzieś po drodze... jednak prawdopodobnie większość czasu spędzę z rodzinami – zazwyczaj matkami wychowującymi samotnie swoje dzieci – pomagając im otrzymać konieczną pomoc: czy to będzie lekcja o tym, co zrobić z zakupionym na targu jarmużem, czy też zajęcie się małym dzieckiem, żeby mama miała wolne ręce i mogła wypełnić podanie o pracę albo spędzić kilka godzin w miejscowym college’u.

Spojrzałam na drzwi, do notesu i znów na drzwi. To tu, nawet jeśli po drodze trochę błądziłam. Zapukałam ponownie.

– Flora! – krzyknęłam.

Żadnej odpowiedzi.

– Jej tu nie ma – zawołał tyczkowaty facet rozwalony na podłodze tuż obok mieszkania Flory i jej dwóch córek. Miał na sobie biały prążkowany podkoszulek, luźne džinsy z paskiem poniżej bioder i najnowszy model Air Jordan (jako praktykantka zaczęłam rozpoznawać marki butów sportowych – wielu moich klientów albo bardzo chciało je mieć, albo wydawało na nie o wiele za dużo).

Włożyłam notes do kieszeni i wygładziłam spódnice.

– A wie pan, gdzie jest?

Tyczkowaty uśmiechnął się leniwie, eksponując złoty ząb, i poprawił czapkę z daszkiem.

– Wyprowadziła się ze swoim facetem.

– Z którym?

Flora była pod opieką naszego stowarzyszenia, ponieważ zgłosiła się na pogotowie ze swoją trzyletnią córeczką Ariel, u której stwierdzono złamanie podokostnowe nadgarstka. Takie złamanie często bywa następstwem wykręcania rąk przez wielkie dłonie dorosłych. W wywiadzie przeprowadzonym przez

dyżurnego pracownika socjalnego Flora przyznała, że jej chłopak mógł „się trochę zdenerwować”, szczególnie jeśli dzieci przeszkadzały mu w cotygodniowym poniedziałkowym oglądaniu wrestlingu. Zapisaliśmy chłopaka Flory do programu kontrolowania agresji, a oboje na zajęcia dla rodziców, na które żadne z nich nie uczęszczało regularnie. Zaplanowaliśmy też wizyty domowe, zarówno wcześniej umówione, jak i niezapowiedziane, żeby sprawdzać, co dzieje się z dziećmi. Jeśli Flora zabrała je ze szkoły, żeby z nim zwiać, to nieciekawie.

Facet w podkoszulku wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jak się nazywa, ale wygrał w lotto. Zabrał ich z powrotem do Dominikany.

– Rozumiem.

Zapukałam ostatni raz, bardziej na pokaz, i włożyłam w drzwi swoją nową wizytówkę, a potem pewnym krokiem – przynajmniej taką miałam nadzieję – udałam się na kolejną wizytę, po drodze ciesząc się słońcem. Dzień był cudowny, bezchmurny i słoneczny, ale nie upalny, delikatny wietrzyk zdążył uprzątnąć niebo. W powietrzu wyczuwało się jednak nadchodzącą jesień, bo wiatr niósł ze sobą rześki chłodek sygnalizujący, że to już wrzesień, a nie maj. Doskonały poranek, pomyślałam, wyciągając swoją nową komórkę. Należało poinformować szefową, Amy Ung, co u Flory.

– Powrót do ojczyzny, co? – skwitowała Amy.

Była filigranową Azjatką, jej błyszczące włosy, prosto obcięte, opadały na ramiona, a czoło zakrywała grzywka. Po trzydziestce, zawsze nienagannie ubrana w świeżo wyprasowane spodnie w prążki i męskie koszule, które kupowała zapewne na dziale chłopięcym jakiegoś drogiego sklepu.

Amy, podobnie jak jej siostry, urodziła się w Nowym Jorku w rodzinie chińskich imigrantów, którzy prowadzili restaurację w Queens. (Kiedy zapytałam ją, spojrzała na mnie w milczeniu, po czym odparła: „chińską”). Mimo trzydziestu ośmiu lat spędzonych w Ameryce rodzice Amy bardzo słabo mówili po angielsku, chociaż całkiem nieźle go rozumieli, co oznaczało, że Amy, jako najstarsza, już w dzieciństwie była ich łącznikiem ze światem białych. Obserwując, jak urzędnicy różnej maści, od służb sanitarnych kontrolujących restaurację po dyrektora szkoły, do której uczęszczała, traktują jej rodziców, postanowiła, że zrobi wszystko, by uchronić rodzinę od krzywd. Poślubiła żydowskiego chirurga Leonarda, odbywającego staż w szpitalu Lenox Hill, a my zaprzyjaźniłyśmy się po części dlatego, że z powodu jego trzydziestoseściogodzinnych dyżurów Amy sporo nocy spędzała w szpitalnianej sypialni.

– Nie masz chłopaka? – zapytała, gdy pierwszy raz wyszłyśmy na drinka.

– Obecnie nie – odparłam i w skrócie opisałam sytuację z Andym i zakończenie naszego związku na drugim roku.

Początkowo, po tym katastrofalnym balu, myślałam, że wszystko między

nami jest w porządku, ale kiedy do niego dzwoniłam, to albo go nie było, albo był zajęty, a jak już znalazł trochę czasu, niewiele miał do powiedzenia – był wykończony po treningu, przygotowywał się do zawodów lub właśnie wychodził z kolegami. Gdy nie oddzwaniał przez dwa tygodnie z rzędu, wreszcie zrozumiałam. Nie chciał mnie już.

Tamtej wiosny opuściłam Stowarzyszenie Gamma, czy też raczej przestałam się aktywnie udzielać, tłumacząc skonsternowanym rodzicom, że trudno mi się skupić na nauce w natłoku tych wszystkich imprez. Sugerowałam, że bezładne i nieregularne jedzenie też nie jest bez znaczenia. Właściwie wystarczyło wypowiedzieć magiczne słowa „nie najzdrowsze środowisko”, żeby mama bezzwłocznie wsiadła w samolot i pomogła mi znaleźć inne lokum. Powinno mnie gryźć sumienie – środowisko w budynku stowarzyszenia nie było ani bardziej, ani mniej zdrowe niż gdziekolwiek indziej na kampusie – ale mnie nie gryzło. Po pamiętnym balu zaczęłam patrzeć na stowarzyszenie i college Beaumont oczami Andy’ego, widziałam więc całą tę białą, bogatą, wypielegnowaną, niemal sztuczną doskonałość. I choć próbowałam, nie potrafiłam już tego odwrócić. Irytowałam się, bo wyszło na to, że wcześniej nosiłam różowe okulary, a Andy, który rzekomo mnie kochał, zrzucił mi je brutalnie z nosa.

Mieszkanko, które znalazłyśmy poza kampusem, nie różniło się specjalnie od poprzedniego – na górnym piętrze późnogotyckiego budynku, z kremowymi tynkami i belkami z ciemnego drewna, miałam kominek, biało-czarną łazienkę z ogromną starą wanną, małą, ale funkcjonalną kuchenkę i balkonik.

Chociaż nie zerwaliśmy z Andym oficjalnie, odniosłam wrażenie, że plotka poszła w świat. Kiedy w październiku Charlie Corman zaprosił mnie na randkę, nie miałam oporów, by się zgodzić. W ciągu ostatniego roku w Beaumont spotykałam się więc i z Charliem, i z innymi chłopakami, i podobnie było po przeprowadzce na Manhattan. Nadal czułam obecność Andy’ego, jakby unosił się gdzieś w pobliżu, wpływając na moje decyzje, zawsze na miejscu, jak muzyka w tle, delikatna, ale rozpoznawalna, i żaden z chłopaków nie potrafił usunąć mi z głowy jego głosu.

Gdy składałam papiery do Nowego Jorku, na studia magisterskie z resocjalizacji, rodzice mieli sporo wątpliwości – Nowy Jork, resocjalizacja, życie i praca wśród biednych, bezdomnych, uzależnionych i chorych psychicznie. Nigdy nie opowiedziałam im o incydencie z Bethie Botts ani o balu z Andym. Powiedziałam za to, że życie na tym świecie jest trudne, dla większości ludzi dużo trudniejsze niż dla nas, i że ja chcę pomagać.

– Zapisaliście mnie do szkoły hebrajskiej, a oni tam ciągle opowiadali o *tikkun olam* – o naprawianiu świata. I ja chcę to właśnie robić.

Mama płakała, i nawet tata, który jak podejrzewam, wolałby widzieć mnie w roli nauczycielki albo bibliotekarki, no, ewentualnie kury domowej, skomentował szorstko:

– Jestem z ciebie dumny.

Mocno mnie przytulił i pocałował.

Spod drzwi Flory udałam się do Brendy Perrone, matki trojga dzieci, ekszony dwóch mężów. Była moim pierwszym, zupełnie samodzielnym przypadkiem. Pojawiła się u nas w lipcu, rozgorączkowana i wściekła, ciągnąc za sobą dzieci. Wyjaśniła, że po powrocie do domu w Red Hook zastała na drzwiach kłódkę i pismo o eksmisji.

– Ale chyba nie było to dla pani zaskoczeniem? – powiedziała Amy, wręczając mi kartotekę Brendy. – Od dziś będziecie pod opieką pani Rachel.

Teoretycznie stowarzyszenie skomputeryzowało się już lata temu, ale w praktyce wciąż mnóstwo było dokumentów papierowych, teczek pełnych zapisków o zakłócaniu porządku, które wyglądały jak mandaty, oraz kserokopii spisów przedmiotów osób zatrzymanych przez policję. „Obcinacz do paznokci, portfel, brązowa skóra, w środku jeden banknot pięciodolarowy, trzy jednodolarowe, dwie monety dwudziestopięciocentowe, jedna pięciocentowa i dwie jednocentowe”. Przeglądałam teczkę Brendy i oczywiście znalazłam zawiadomienie o eksmisji oraz kopie trzech kolejnych listów poleconych.

– Podpisała pani odbiór. Czy przeczytała pani w ogóle te listy?

Brenda jednym ruchem głowy odrzuciła na plecy swoje długie czarne włosy. Obciągnęła krótką skórzaną kurtkę, którą miała na sobie, i dopiero wtedy spojrzała na potwierdzenia i wreszcie na mnie. Biorąc pod uwagę życie, jakie wiodła, była nieprawdopodobnie piękną trzydziestotrzyletnią kobietą. Ojciec stosował przemoc, matka umarła bardzo wcześnie, Brenda nie skończyła liceum, wprowadziła się do swojego chłopaka i z nim miała pierwsze dziecko w wieku lat piętnastu.

– Moja koleżanka Celinda też takie dostała, a jednak nikt nie zamknął drzwi jej mieszkania.

Przeglądałam dalej.

– Były mąż poinformował panią pół roku temu, że stracił pracę i nie stać go będzie na czynsz. Powinna była pani znaleźć jakieś tańsze lokum.

– A niby kiedy? – zapytała Brenda.

Do późna pracowała w piekarni, więc nie bardzo miała czas umawiać się na spotkania i sprawdzać możliwości. Zachęcałam ją, by nie rezygnowała z pracy, znalazłam jej miejsce w tymczasowym domu dla matek z dziećmi oraz schronisko dla psa i zapisałam dzieci do programu wakacyjnego sponsorowanego przez miasto, w ramach którego jej najstarszy syn Nicky spędził lipiec u życzliwej zamożnej rodziny w ich wiejskim domu w Nantucket. W sierpniu przeprowadziła się do Harlemu, do bloku, który szybko podnosił swój status dzięki napływowi młodych małżeństw, które potrzebowały więcej przestrzeni, a nie stać ich było na lepsze osiedla, bo zależało im, by zostać na Manhattanie.

Tego ranka zastałam Brendę na kanapie w jej nadal raczej pustawym

mieszkanii na jedenastym piętrze czternastopiętrowego wieżowca. Brwi wyskubane w cienkie łuki, oczy ostro podkreślone kredką. Rzadkie włosy kleiły się do głowy i twarzy. Z ust wionęło starą kawą, a trzypokojowe mieszkanie już zdążyło nasiąknąć dymem papierosowym i niespłukiwaną toaletą, do tego dochodziły nutki fast foodów i obecności psa, dumy i radości Brendy – husky syberyjskiego, za którego, jak twierdziła, zapłaciła hodowcy tysiąc dolarów. Z pyska zalatywało jej, bo to suczka, gnijącym gryzoniem. Whitney, bo tak się wabiła, większość czasu spędzała, śpiąc zwinięta w kłębek u stóp Brendy, i co dziesięć minut wypuszczała długiego, dojrzałego, sądząc z dźwięku, bąka – brzmiał jak niska nuta zagrana na klarnecie.

„Po co płacić hodowcy tysiąc dolarów, skoro można pójść do schroniska i dostać psa za darmo?” – zapytałam kiedyś Amy podczas wspólnej kolacji. Raz w tygodniu wychodziłyśmy we dwie i metodycznie przerabiałymy wszystkie kuchnie, jakie oferuje Nowy Jork. Miałyśmy wtedy już za sobą knajpkę etiopską, włoską, tajską i koreańską. Tego wieczoru jadłyśmy przysmaki indyjskie – samosy, kurczak tandoori i szpinak z serem. Amy uśmiechnęła się pobłaźliwie. „No, no, żółtodziobie, jeszcze dużo się musisz nauczyć” – oświadczyła.

Zmieniłam pozycję na kanapie. Brenda dotknęła materiału mojego żakietu.

– Ładny, naprawdę ładny – pochwaliła.

– Dziękuję.

Żakiet nie był jakiś specjalny, ale miałam nadzieję, że wygląda na tyle oficjalnie, bym zyskała nieco szacunku moich podopiecznych, przeważnie ode mnie starszych. Na szczęście z okazji licencjatu rodzice sprezentowali mi skórzaną torbę, która nadal była w nie najgorszym stanie i w której mieściły się papiery, portfel, klucze, dyktafon oraz aparat potrzebne w trakcie rozmów i do udokumentowania warunków mieszkaniowych odwiedzanych osób.

Brenda puściła mój żakiet i zaczęła się bawić swoimi włosami.

– Co u was słyhać? – zapytałam bardzo łagodnym tonem.

Nauczyłam się od Amy, której najpierw przez trzy miesiące towarzyszyłam w pracy, że należy utrzymywać neutralny wyraz twarzy i ton głosu i nie zadawać pytania, na które nie znam odpowiedzi. Po przyjsciu skorzystałam z łazienki, gdzie zauważyłam męską maszynkę, krem do golenia i zgolony zarost w umywalce. Najstarszy syn miał osiemnaście lat, był niski jak na swój wiek i bez zarostu, tak mi się przynajmniej wydawało.

Brenda spoglądała na boki. Wiedziała, że nie wolno jej wpuszczać tu drugiej zarabiającej dorosłej osoby, ponieważ mieszkanie zostało zatwierdzone tylko dla niej i jej dzieci. Wiedziała jednak również, jak mi się wydawało, że ogrom pracy i biurokratycznych ścieżek, które trzeba by przejść, żeby eksmitować potencjalnego faceta, skutecznie powodowały, że wolelibymy przymknąć na to oko.

– Opowie mi pani o tym?

Poruszyła się niespokojnie.

– To znajomy, przyjechał w odwiedziny. Znam go z poprzedniej pracy.

Milczałam i patrzyłam na nią. Kolejna rzecz, której nauczyła mnie Amy, czyli strategiczne milczenie, które może się okazać najlepszym przyjacielem pracownika socjalnego. I rzeczywiście, podziałało. Brenda po chwili podjęła temat.

– Pomyślałam, że nam pomoże. Z rachunkami. Prąd, gaz, woda, kablówka... – Wyliczała na palcach, jakbym nie miała pojęcia, ile kosztują media. Świeży lakier na paznokciach, zauważyłam zirytowana. Nie potrafiła dać rano dzieciom śniadania ani dopilnować, żeby doszły do szkoły codziennie, a nie co drugi dzień, ciągle wyłączali jej telefon – to niebezpieczne, tłumaczyłam, w razie nagłego wypadku, gdy trzeba będzie dzwonić po pogotowie – ale zawsze znalazła czas na manikiur. Na manikiur i na faceta, i zwykle gdy o tym wspominałam, robiła się bezczelna.

– Czy to ten Brian, o którym rozmawialiśmy ostatnio?

Brenda zagryzła dolną wargę. Rzeczony Brian nocował na kanapie u brata, praktycznie bezdomny.

– Potrzebuje kąta, dopóki nie stanie na nogi – wyjaśniła.

Wiedziałam z naszych zapisków, że Biedny Brian ma bogatą kartotekę kryminalną, a w niej włamania, kradzieże, naruszenie sądowego zakazu zbliżania się i zadłużenie alimentacyjne.

– Pani Brendo...

Uniosła hardo głowę.

– Jestem dorosła i widuję się, z kim chcę, musi pani szanować moje wybory.

Głęboki oddech.

– Wie pani, dlaczego wprowadzenie się tutaj Briana to nie najlepszy pomysł?

– Bo niezbyt dobrze go znam – wymamrotała.

– Bo jest kryminalistą – poprawiłam ją. – Bo jego ostatnia dziewczyna zeznała, że bił jej dzieci.

Wyprostowała się.

– Rozmawialiśmy o tym. Brian mówi, że tamta chce mu narobić kłopotów, ma nie po kolei w głowie.

– Czyli to, co zwykle faceci opowiadają o swoich byłych, tak? Nie po kolei w głowie? Czy czasem pani były facet nie opowiada tych samych bredni o pani?

Przytaknęła, ale nie wyglądała na zadowoloną.

– Dobra, powiem mu, żeby się wyniósł. – I natychmiast się skrzywiła, rozumiejąc swój błąd. – To znaczy, że nie może się wprowadzić.

Czyli że się wprowadził i że prawdopodobnie Brenda nie ma najmniejszego zamiaru go wyrzucić. Gdyby to był zwykły facet, może bym się nie upierała. Ale ten mógł się okazać niebezpieczny. I dlatego będę się upierała.

– Wie pani, że nie wolno jej tu mieszkać z drugą dorosłą osobą. A ja wiem,

jak bardzo pani kocha swoje dzieci i że nigdy nie naraziłaby ich pani na niebezpieczeństwo ani nie ryzykowałaby, że ktoś je skrzywdzi. Brian może się wydawać wspaniały, i możliwe, że się zmienił, ale nie mamy pewności. A chyba nie chciałyby pani przekonać się na własnej skórze, że jednak popełniła pani błąd, prawda? Jest pani na to za dobrą matką.

Westchnęła i spojrzała na swoje dłonie, w końcu niechętnie, leciutko skinęła. Nie byłam pewna, czy mogę jej wierzyć, ale na ten moment nic więcej nie mogłam zrobić. System nie opiera się na możliwościach i prawdopodobieństwie i nie można zabrać dzieci z domu nawet na podstawie uzasadnionych przesłanek, że może spotkać je krzywda. Trzeba czekać, aż je spotka.

Wzięłam czystą kartkę.

– No dobrze, porozmawiajmy o Dantem. W zeszłym tygodniu dwa razy nie było go w szkole.

Brenda spojrzała w stronę rozdarcia na kanapie.

– Miał infekcję ucha.

– Ucha środkowego czy zewnętrznego?

Brenda złapała się za własne.

– Eee...

– Poszliście do lekarza?

Spuściła wzrok. I kiwnęła głową.

– Ma pani rachunek? Będziemy mogli zwrócić koszty.

– Gdzieś tu jest – mamrotała. – Chyba że wrzuciłam do kosza.

– Jeśli zadzwonię do gabinetu, lekarz potwierdzi, że u niego byliście?

Niewyraźne mamrotanie.

– Słucham?

Znów hardo uniosła głowę.

– Nie poszliśmy. Dzwoniłam i rozmawiałam z rejestratorką, powiedziała, że będziemy siedzieć cztery godziny w poczekalni, jak poprzednio, a Jim w piekarni powiedział, że nie mogę się tak zwalniać, bo oni zwolnią mnie. Poza tym wiedziałam, co jest Dantemu. Nawet gdybyśmy poszli, i tak daliby nam znów antybiotyk.

Pewnie to prawda, ale chore dziecko powinien zobaczyć lekarz, a Brendzie należało o tym często przypominać.

– No więc co pani zrobiła?

Zaczęła się wiercić na kanapie.

– Podałam mu antybiotyk.

– Skąd go pani wzięła?

– Miałam resztki.

– Od ostatniej infekcji ucha?

Znów mamrotanie.

– Pani Brendo, siedzę obok pani, ale nic nie słyszę.

Podniosła głowę, błyskając oczami. Zabrzmiałam pewnie jak typowa nauczycielka albo szef. „Mów głośniej, nic nie słyszę”.

– Miałam swoje antybiotyki.

– Więc podała pani Dantemu swój stary lek. Przechodziła pani zapalenie ucha?

– Miałam zapalenie pochwy. Ale co to za różnica. Zapalenie to zapalenie.

Matko kochana. Robiąc notatkę i wyciągając telefon, starałam się zachować pokerową twarz. Brenda wykorzystała moją nieuwagę, by włączyć telewizor.

– A co do Dantego – zagaiła, gdy umówiłam go już w przychodni na popołudnie. Spojrzałam na nią wymownie, więc wyłączyła telewizor. – Myśli pani, że mogliby go zbadać na ADHD?

– Dlaczego? Coś panią niepokoi? Czy któryś nauczyciel to zasugerował?

Z trojga dzieci Brendy to właśnie Dante był moim ulubieńcem. Poważny, grzeczny mały chłopczyk, który w dniu, gdy Brenda się wprowadzała, przytrzymał dla mnie otwarte drzwi, a potem powłókł się ze mną na plac zabaw. Jego krok i sylwetka kojarzyły się ze staruszką. Dwa razy zapytał, jak jeszcze daleko, a raz przystanął, żeby odpocząć. Nie był tak ociążały jak niektóre znane mi dzieci – owszem, nosił kilka zbędnych kilogramów, głównie na brzuchu – ale stawiałam na to, że jedyna aktywność fizyczna w jego życiu dotyczyła kciuków w trakcie gry komputerowej.

– Właściwie nie, ale... czy ja wiem. Nie ma zbyt dobrych stopni. Może to problemy z koncentracją?

– A telewizor jest włączony, gdy odrabia zadanie? Ma własny, spokojny kąt, gdzie może pracować? Pamięta pani, rozmawialiśmy o tym?

Kiwnęła głową. Według mnie w tym domu telewizor grał na okrągło. Poza tym Brenda najprawdopodobniej miała gdzieś problemy Dantego z koncentracją, natomiast bardzo by jej się przydało dodatkowe trzysta dolarów, które przysługują na dziecko z deficytem uwagi. Dostawała te pieniądze na najstarszego syna. Miały zostać przeznaczone na pomoce edukacyjne – te potrzebne w klasie, dodatkowe korepetycje, wizyty u psychologa – ale nikt w zasadzie nie sprawdzał, na co faktycznie rodzice je wydają. Podejrzewałam, że kasa, którą dostaje na Nicky’ego, stała dokładnie przede mną, wyposażona w sześćdziesięciocalowy ekran i dźwięk surround.

– Po prostu chciałabym dać Dantemu szansę – powiedziałam do Amy tydzień wcześniej, w piątek po południu. Zaczynał się weekend, a ona siedziała nad plikiem papierzyk. Leonard miał sobotni dyżur, więc nie spieszyło się jej do domu.

– Brenda rzuciła szkołę, bo była w ciąży, miała piętnaście lat. Jej matka urodziła ją w wieku osiemnastu. Ma troje dzieci z dwoma facetami, a jedyne, co ją



interesuje, to kolejny facet. Zapomnij o niej. – Amy przeczesła dłonią włosy, które w ogóle tego nie wymagały. Potem wyrównała stertę dokumentów. – Może to zabrzmieć obcesowo, ale ona, no wiesz, nie pójdzie na studia, nie skończy prawa na Harvardzie, a patrząc realistycznie, jej dzieci mają duże szanse, żeby dokonać podobnych wyborów.

Przed oczami stanął mi spokojny, poważny Dante, z nierównymi włosami obciętymi przez mamę i okrągłymi okularkami, jak buduje z modeliny, którą mu kupiłam, model Układu Słonecznego z planetami zawieszonymi na żyłce wędkarskiej. Plan najstarszego brata, by zaciągnąć się do wojska, spalił na panewce z powodu kartoteki policyjnej, podobnie zresztą było z pracą, więc Nicky nadal mieszkał u mamy, wraz z siostrą Dantego, szesnastoletnią Laurel, która przypominała mi, w sposób bolesny, Bethie Botts. Też nie dbała o skórę ani włosy, patrzyła zimno i z urazą, całą sobą mówiąc wszystkim: „Dajcie mi spokój”.

– Pamiętaj, żeby się nie dać złapać na konkretne dziecko albo rodzinę – powiedziała Amy. Wyciągnęła lusterko i poprawiła idealnie pomalowane usta. Zawsze przychodziła do pracy z uszmkowanymi ustami, odcień rubinowoczerwony, co stanowiło w zasadzie cały makijaż, jaki nosiła. Beznamiętna, cyniczna Amy, która pod tą pilnie strzeżoną skorupą była niesamowicie czułą osobą. – Spisz ich na straty.

Próbowałam... ale Dante zamieszkał już w moim sercu. Widząc w księgarni książkę dla dzieci, myślałam: „O, ta by się spodobała Dantemu”. Albo w trakcie zwiastuna wyobrażałam sobie, że zabieram go na seans, kupuję mu popcorn, a potem idziemy coś zjeść i rozmawiamy o filmie. Wszystko było jakoś powiązane – Dante przypominał mi Keilę, moją małą podopieczną. Laurel kojarzyła się z Bethie, z którą nie miałam kontaktu od liceum. Wszyscy i wszystko przypominało o Andym, ośmioletnim Andym samotnym w szpitalu, kiedy to odkryłam, że i ja mogę pomagać, a nie tylko być tą, której wszyscy pomagają.

– Więc mogę go dać zbadać? – ponowiła pytanie Brenda.

– Zapytam moją zwierzchniczkę. – Brenda wydeła usta. – Jest pani dobrą matką i wiem, że sobie tutaj poradzicie.

Kiedy zamykałam drzwi, uśmiechnęła się słabo.

Była ósma trzydzieści. Jeśli złapię metro, za dwadzieścia minut będę w moim podnajmowanym mieszkaniu w West Village, zjem spokojnie śniadanie, wezmę matę do jogi, którą wciąż zostawiałam w szatni albo w supermarkecie, i pójdę do biura.

Gdy byliśmy na Astor Place, tuż przed moją stacją metra przy Bleecker, pociąg stanął na dobre. Powiedzieli coś przez głośniki, ale tak niewyraźnie, jak pamiętałam ze szpitali. Zrozumiałam jedynie, że „ten pociąg jest odwołany”. Z westchnieniem dołączyłam do innych pasażerów wchodzących na peron.

– Puszczają coś w zastępstwie? – dopytywał młody mężczyzna w szarym,

uszytym na miarę garniturze, idealnie ogolony. Zniecierpliwienie dźwięczało w jego głosie i rysowało się w ułożeniu ramion: zarozumiała Mistrz Świata, którego nie można zatrzymywać na drodze po kolejnego dolara. Spojrzałam na kobietę, która podniosła do ucha komórkę, zacisnęła powieki, poruszając ustami, a potem wsunęła telefon z powrotem do torby.

Tymczasem ludzie zaczęli pchać się do wyjść, niektórzy rozmawiali przez telefon, wszyscy bardzo się spieszyli. Dołączyłam do kolejki, wspierałam się po schodach i stanęłam na ulicy, w dziwacznej ciszy. I wtedy zobaczyłam słup dymu.

– Boże.

– Mówią, że samolot uderzył w Światowe Centrum Handlu! – zawołała jakaś kobieta.

– To znaczy jakiś mały samolot?

– Rejsowy odrzutowiec.

– Skąd to pani wie? – zapytał Mistrz Świata.

– Syn ma praktykę w CNN. Są świadkowie, którzy widzieli, jak samolot uderza w jedną z wież. Ewakuują obydwie budynki.

– Mój mąż tam jest. – Kobieta, może nieco starsza ode mnie, podobnie ubrana, rozglądała się wokół szeroko otwartymi oczami. – Mój mąż tam jest – powtórzyła, jakby ktoś jej zaprzeczył, po czym szybko wyciągnęła telefon.

A potem ulica zaczęła drżeć. Powolne, niskie dudnienie stawało się coraz głośniejsze, by w końcu przeobrazić się w ogłuszający ryk. Wydawało mi się, że ziemia się przechyla. W torbie zaczął dzwonić telefon, więc natychmiast go wyjęłam i przyłożyłam do ucha.

– Rachel? Rachel, kochanie, gdzie ty jesteś? – Głos mamy przypominał ten sprzed wielu lat, gdy weszła do mojego pokoju i zobaczyła, jak cała sina walczę o oddech.

– Na Astor Place. Chciałam wrócić metrem. Wiesz, co się dzieje?

– Oglądaliśmy z tatą *Today*. – Jak co dzień przez całe życie. – Dwa samoloty uderzyły w Światowe Centrum Handlu. Mówią, że to mogą być terroryści.

– Kto tak mówi? Bo jak pan Lifshitz, to go nie słuchajcie.

Pan Lifshitz wierzył w teorie spiskowe.

– CNN – wyjaśniała mama. – Mówią, że porwali samoloty i uderzyli nimi w wieże, nie wiedzą, ilu ludzi zginęło...

Głos zaczął jej się łamać.

– Mamo, wszystko w porządku, jestem cała.

– Musisz natychmiast stamtąd iść, Rachel Nicole, słyszysz? Natychmiast. – Mówiła jak wtedy, gdy w wieku sześciu lat złapała mnie na dźbaniu w nosie przy ludziach. Tłum na ulicy jakby zamarł, patrząc w kierunku południowym, i zaraz potem zrozumieliśmy, że to, co słyszymy, to waląca się pierwsza wieża.

– Trzeba się stąd wydostać – powiedział ktoś.

Amy, pomyślałam. Mieszkała przy Park Slope. Mogłabym przejść most i pójść do niej, przeczekać, aż ruszą znów pociągi... A jeśli byłaby już w pracy, to znajdę coś innego, kawiarnię czy księgarnię, i poczekam, aż wróci albo ja będę mogła pojechać.

Cud, że miałam w torbie swoje adidas, dużo lepiej się szło. Policjanci przez megafony kierowali nas na most, na Williamsburg Bridge. Wydawało się, że wszyscy rozmawiają przez telefon. Niektórzy płakali. Dobrze, że mam wodę, myślałam. I dzięki ci, Boże, że nikt z moich znajomych tam nie mieszka. Włożyłam telefon w biustonosz – zły nawyk, jak powiedziała Amy: albo zniszczy mi telefon, albo nabawi raka piersi. I zaraz poczułam, że dzwoni.

– Halo?

– Rachel?

Rozpoznałam jego głos, choć nigdy go takim nie słyszałam. Andy Landis chyba się bał... i ten fakt, bardziej niż wszystko inne, spowodował, że to, co się działo wokół, stało się realne.

– Andy? – Zaczęłam płakać. – Wiesz, co się dzieje?

– Gdzie jesteś? Jest tam bezpiecznie?

– Byłam na stacji metra, ale zatrzymali pociągi, widziałam dym, a potem ziemia się zatrzęsała... i ten okropny hałas. Czy to prawda? – Zaczęłam drzeć, cała dygotałam. – Czy to terroryści?

– Gdzie jesteś? – powtórzył.

– Idę w kierunku Williamsburg Bridge. Chciałam pojechać do domu, ale nie przepuszczają w tamtą stronę.

– Ćwiczyłem na siłowni, telewizor był włączony. – Zamilkł na chwilę. – Mówią o dwóch samolotach. Odrzutowcach, pasażerskich. Mówią, że ludzie wyskakują z okien.

– Boże.

Spojrzałam na niebo, jakbym się spodziewała, że zaraz spadnie stamtąd jakiś samolot. Byłam kiedyś w Światowym Centrum Handlu, w księgarni, a potem z jednym z moich absztyfikantów na szczycie północnej wieży, w restauracji Windows on the World.

– Nie bój się – uspokajał mnie Andy. – Zostanę z tobą, aż będziesz bezpieczna. Oddychaj spokojnie. I idź. Jestem przy tobie.

– Mówią, że mamy iść do mostu – powtórzyłam.

– Gdzie dokładnie jesteś teraz?

Sprawdziłam nazwy ulic.

– Idziemy Ósmą na wschód.

Zakrył telefon i zadał komuś pytanie. Potem znów go usłyszałam.

– Do mostu masz trzy kilometry. Dasz radę.

– Nigdy w życiu nie przeszłam nawet dwóch.

– Nieprawda. Pamiętasz nasze pikniki nad jeziorem Carlisle? – To jeszcze w Beaumont, sporo ich było, leniwe sobotnie popołudnia, albo leżałam na jego piersi, albo on opierał nogi na moich kolanach, gadaliśmy o zajęciach, rodzicach i snach z poprzedniej nocy. – Spacerowaliśmy wokół jeziora i to były właśnie trzy kilometry. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Wiem, że dasz radę.

Spojrzałam na smugę dymu, która unosiła się coraz wyżej, zasłaniając piękne niebieskie niebo.

– Mów do mnie – powiedziałam ochryplym, nie swoim głosem. – Opowiedz mi, gdzie jesteś.

Opowiedział. Ja szłam wzdłuż FDR Drive i w końcu rzeczywiście doszłam do mostu, i przeszłam na drugą stronę, a Andy opowiadał, że zrobił licencjat, ale nadal mieszka w Oregonie, że dostał się do projektu treningowego, w ramach którego ma mieszkanie i jedzenie, psychologa, który z nim pracuje, bilety lotnicze, buty, ubrania i przygotowują ich do olimpiady. Szłam wraz z tłumem ludzi zszokowanych tak samo jak ja, niektórzy byli brudni od sadzy, inni płakali. Czasem słuchałam Andy’ego, a czasem wpadały mi w ucho strzępy rozmów – dziewczyna, której chłopak pracował w firmie handlowej z biurem w północnej wieży, matka, której dzieci były w domu z babcią, pewnie oglądali telewizję i martwili się, a ona nie mogła się dodzwonić.

– Co jadłeś na śniadanie? – pytałam Andy’ego, a on opowiadał o naleśnikach, które robi z odżywki białkowej, i że kolega, z którym mieszka, Mitch, uważa, że smakują jak podeszwa, ale i tak je zjada, bo nienawidzi gotować.

– A co u ciebie? – zapytał, więc opowiedziałam mu o wózku z bułeczkami i kawą na rogu, i jak bardzo Nowy Jork się różni od wszystkich innych miejsc, które znałam, i jak wtedy w Filadelfii pomyślałam, że chciałabym znaleźć moje własne miasto. Szłam, a on do mnie mówił – o treningu, grzybicy stóp, która się szerzy w drużynie, o trenerze, zupełnie innym od tych w college’u, i o panu Sillsie, który przyjechał do Oregonu na ostatnie zawody Andy’ego.

Byłam prawie za mostem, komórka piknęła, ostrzegając, że bateria się kończy.

– No i jak twoje serce? – zapytał Andy.

„Złamałeś je” – miałam ochotę powiedzieć.

– W porządku. Całkiem nieźle.

– Powinnaś tu do mnie przyjechać.

Przełożyłam telefon do drugiej ręki. Byłam w Brook-lynie, nie mając pojęcia, jak trafić do Amy i w ogóle, co dalej. Wszędzie pełno ludzi, ale brak samochodów, nie było też muzyki, odgłosu klaksonów ani płaczu dzieci. Jakby prawdziwe życie zostało na ten dzień zawieszona. Poczulałam się, jak kiedyś na stole operacyjnym – wąskie łóżko, chłód panujący na sali, przerażenie, które odczuwałam za każdym razem, gdy nakładali mi maskę i kazali liczyć w tył, i ta

pewność, że światło nade mną, maska i lekarze są ostatnimi rzeczami, jakie kiedykolwiek zobaczę.

– Rachel?

Telefon pikał coraz głośniej, a Andy wciąż tam był.

– Do Oregonu? Ale po co?

– Bo tu jest bezpiecznie.

– Bezpiecznie – powtórzyłam. Brzmiało nieźle.

Andy zamilkł, lecz tylko na chwilę.

– I dlatego, że cię kocham.

Andy  
2001

Nie widział Rachel od pięciu lat, trzy minęły od czasu, gdy zadzwonił do jej stowarzyszenia.

– Sorry, wyszła z Kyle’em – usłyszał wtedy.

Od tamtej chwili jego świat ograniczył się do biegania, jedzenia, spania, a potem znów biegania. Ostry cykl: trening, odnowa, powtórka, wyścig, odnowa, powtórka i trening. Napisała do niego po licencjacie, informując o dalszych planach, życzyła wszystkiego dobrego. On też chciał coś napisać, wmawiając sobie, że właściwie prawie o niej nie myśli, ale to nie do końca była prawda. Prawda była taka, że nie myślał już o niej z tą palącą i bolesną niecierpliwością, którą pamiętał z tych nocy, gdy nie potrafił myśleć o niczym innym, kiedy całe dni spędzał z kluczykami samochodu kolegi w kieszeni, prowadząc z Rachel rozmowy w swojej głowie, czekając na jej telefon, gotów od razu jechać. Teraz umiał myśleć już o niej spokojnie, jak o swojej pierwszej ukochanej, dzięki której zrozumiał, że miłość rzeczywiście istnieje. Miał nadzieję, że będzie szczęśliwa.

Cała ta staranna konstrukcja zawaliła się w jednej chwili, kiedy pewnego dnia Mitch O’Connell, biegacz z Karoliny Północnej, wbiegł jak oszalały do siłowni.

– Coś się stało w Nowym Jorku! – zawołał.

Andy wiedział, że tam jest Rachel, więc koniecznie musi ją złapać, dowiedzieć się, że żyje. Jej rodzice dali mu numer – byli chyba zbyt przerażeni, żeby odmówić – a ona odebrała po pierwszym dzwonku. Przeprowadził ją przez most, do bezpiecznej strefy, po czym zdał sobie sprawę, że nigdy nie przestał jej kochać.

Przez tydzień została w Park Slope, w domu szefowej, i co noc gadali z Andym całymi godzinami, tak jak wtedy, gdy byli nastolatkami i potem w college’u, gdy leżeli w jej łóżku, prawie w ogóle nie śpiąc. Kiedy wróciła na Manhattan, rozmawiali dalej, Rachel opowiadała o powietrzu pełnym dymu, smrodzie palonego plastiku, słupach i ścianach oblepionych ogłoszeniami o zaginionych i zdjęciami ukochanych, którzy pracowali w wieżowcach. Gazety pełne były historii o mężach i żonach, rodzicach i dzieciach modlących się o odnalezienie kolejnych żywych, o to, by ich mąż czy matka leżeli gdzieś w szpitalu z amnezją, nie znając swojego imienia i nazwiska, ale żywi. Opisywała uliczne sceny z zapłakanymi ludźmi, jak zupełnie obcy sobie przechodnie obejmują się nagle i jak pięciogwiazdkowe restauracje przysyłają strażakom i policjantom tony jedzenia, a inni zbierają fundusze na dzieci, których rodzice zginęli.

– Każdy chce coś zrobić – mówiła – ale nikt nie wie co.

– Przyjedź do mnie – powtarzał jej w kółko, aż wreszcie, w połowie

października, uznała, że przydałyby się jej wakacje. Andy zaczął odliczać dni, zastanawiając się, jak teraz wygląda i jak on będzie wyglądał w jej oczach, i czy wciąż jeszcze będą czuli to samo.

W końcu stanął na lotnisku Eugene, przy taśmie z bagażami. Chciał pójść do wyjścia, ale po zamachu z jedenastego września w portach lotniczych obowiązywały nowe zasady. Kupił dwanaście róż – nie czerwonych, bo ich nigdy nie lubiła, tylko morelowych, a na koniuszkach płatków bardziej pomarańczowych. Patrzył na pasażerów jadących ruchomymi schodami, kiedy nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń i zapach kokosowego szamponu oraz znajomych perfum. Odwrócił się. Stała przed nim i się uśmiechała. Miała zaróżowione policzki, jakby dużo czasu spędzała na powietrzu, a na nosie zauważył piegi. Była w dzinsach, jasnoniebieskiej koszuli z kolorowym wyszywanym paskiem i w kowbojkach podobnych do tych z Filadelfii. W uszach połyskiwały brylantowe kolczyki, również znajome. Ręce opalone i silne. Nie wyglądała na starszą, ale coś się zmieniło – była pewniejsza siebie. Nie rozglądała się już nieśmiało na boki, lecz z uśmiechem patrzyła wprost na niego.

– Cześć, nieznajomy. Uściskasz mnie?

Objął ją, czując delikatne wypukłości jej piersi i brzucha. Powitanie było chyba dużo bardziej intymne, niż planowała. Zanim jednak mógł się nim nacieszyć, odsunęła się. Wskazała na taśmie swoją walizkę i torbę, wziął więc bagaże i zaprowadził Rachel do samochodu, który pożyczył od trenera, by odebrać z lotniska dziewczynę.

Kiedy już nazachwycała się pięknem Willamette Valley, chłodnym powietrzem i sosnami oraz ogólną czystością z porównaniu z tym, co mieli teraz w Nowym Jorku, uśmiechnęła się do niego.

– Czytałam o tobie w gazetach.

– Naprawdę?

Nagle poczuł oniesmielenie, a jednocześnie ciekawość, co czytała i które zdjęcia widziała.

– Mama i brat są na bieżąco. W tamtym roku mało brakowało, żebyś wszedł do reprezentacji olimpijskiej, zgadza się?

Kiwnął głową.

– To zawsze loteria.

– Ale możesz spróbować w dwa tysiące czwartym?

– Taki jest plan.

Miała na ustach ciemnoczerwoną szminkę, to było nowe. Kiedy się spotykali, nosiła jaśniejsze kolory. Nie był pewien, czy mu się to podoba. Potem zadał sobie pytanie, dlaczego to takie ważne. Mieszkała przecież w Nowym Jorku, on w Oregonie. Pewnie miała chłopaka, ale była zbyt dobrze wychowana, żeby o tym mówić, a nawet jeśli nie miała, to i tak była jedynie przyjacielska wizyta

i tyle. A jednak w głowie widział swoją sypialnię, a w szczególności łóżko, z czystą pościelą i świeżo wypraną kołdrą. Wyobrażał sobie rękę Rachel w swojej i głos szepczący mu do ucha: „Szybciej, szybciej”.

Usadowił się wygodniej, poprawiając spodnie. Rachel przechyliła głowę. „Myślisz, że zawsze już tak z nami będzie, gdy się spotkamy?” – zapytała kiedyś podczas jego pobytu w Beaumont, może wtedy, gdy jechał prawie dwa dni, z jedną trzygodzinną drzemką, całą drogę w starej toyocie pożyczonej od kolegi z drużyny. Dotarł o piątej nad ranem, za wcześnie, by budzić Stowarzyszenie Gamma, a uznał, że jeśli zaśnie w samochodzie, wezmą go za zboczeńca albo włóczęgę. Siedział za kierownicą, próbując coś wymyślić, kiedy usłyszał stukanie w szybę. Zobaczył Rachel w szlafroku z palcem na ustach. „Ciii”. Kiedy się odezwała, przez kilka sekund nie miał pewności, czy to rzeczywiście ona, prawdziwa, a nie ta z jego wyobraźni, którą miał w głowie od college’u, a może i od Atlanty.

– Myślałam kiedyś o tym, że znam cię dłużej niż większość ludzi.

Miał na to kontrargumenty – owszem, znali się kawał czasu, ale mieli długie przerwy – nie zdążył jednak tego powiedzieć, bo właśnie wjechali na parking, a Rachel patrzyła zaskoczona na sale gimnastyczne, bieżnie (trzy) i ludzi. Przebiegały obok nich dziewczyny, szczupłe jak charty wyścigowe, w dopasowanych spodenkach i koszulkach.

– Chyba wszystkie sześć razem wzięte mają w sumie z półtorej piersi, nawet nie jeden pełny biust – zauważyła.

Trzymała torebkę przy brzuchu. Andy delikatnie ją odsunął.

– Wyglądasz świetnie – powiedział.

Miał ochotę dodać, że wygląda lepiej niż świetnie, że była piękna, pociągająca i kusząca jak półmisek owoców, ta soczystość i te wypukłości. Zdarzyło mu się wylądować w łóżku z kilkoma biegaczkami. Nogi miały zwinne i gibkie, ale niestety same ścięgna i kości, i rzeczywiście totalny brak biustu. Co gorsza traktowały seks jak bonusowy trening zalecony przez trenera, więc pompowały biodrami, jakby chciały się tylko zmęczyć, a nie zabawić.

Podjechał do części mieszkalnej – nic specjalnego: dziesięcioletnie dwukondygnacyjne budynki z cegły i nowo wybrukowany parking. Kilka wysportowanych osób wyjmowało akurat zakupy z samochodów lub wkładało do nich worki z praniem.

– Idziesz, Landis?

Andy pomachał Mitchowi.

– Muszę iść – powiedział do Rachel. Wskazał szlak wspinaczkowy u podnóża góry, wręczył jej klucze do mieszkania, pocałował ją jak mąż żonę po dziesięciu latach małżeństwa, gdy ta odwiozła go na stację. – Baw się dobrze.

– Wracaj szybko – powiedziała ona... i dodała: – Chcę potem zobaczyć twoje stopy.



Poszła w stronę budynku, dość znacznie kręcąc biodrami, obcasy powodowały mocniejsze, prowokacyjne wygięcie bioder. „Nienawidzę, jak wyjeżdżasz, ale lubię patrzeć, jak odchodzisz” – przypomniał sobie słowa jednej z ulubionych rapowych piosenek Mitcha. Patrzył na Rachel i z przyjemnością wyobrażał ją sobie w swojej kuchni, w sypialni, przed lustrem, z koszulą w rękę, jak nakłada szminkę albo bawi się włosami.

Podbiegł do reszty drużyny.

– Był numerek? – spytał Mitch, na co Andy pokręcił głową. – To lepiej się z tym pospiesz, bo strasznie głupkowato szczerzysz zęby – skomentował.

Andy uśmiechnął się jeszcze szerzej, poprawił sznurówki, wszedł na tartanową nawierzchnię bieżni numer trzy i zaczął biec.

– Co się z nami stało? – pytała Rachel.

Byli na kolacji we francuskiej restauracji, którą wybrała po szczegółowych konsultacjach z jego kolegami i po zapytaniu go, pół żartem, pół serio, czy dieta pozwala mu na coś tak szalonego jak pieczony kurczak.

– A dają tam łososia? – odgryzł się, na co ona przewróciła oczami, ale zaraz potem go objęła.

– Nigdy się nie zmieniał – powiedziała.

Przypomniało mu się, jak to było w Beaumont. On zamawiał rybę z grilla albo sałatkę, a Rachel hamburgera lub makaron, i kelnerzy zawsze podawali ich dania na odwrót. „O, nie, nie” – mówiła wtedy Rachel. „To on jest taki wybredny. Musi uważać na swoją dziewczęcą figurę”.

Tego wieczoru zamówiła pieczonego kurczaka, a on burgera z indykiem. Nie łososia, ale jednak. Rachel się śmiała, kiedy zamiast frytek poprosił o szpinak na parze.

– Na moje ziemniaki nie licz, nie podzielę się – ostrzegła. – Sam musisz sobie radzić.

– Nie ma sprawy – zapewnił, ale oczywiście wpakowała mu te ziemniaki do ust. Smakowały bardzo kremowo, musieli do nich dodać sporo masła.

Postanowili zamówić butelkę wina. Wypił kieliszek, ona dwa, o jeden więcej niż zwykle, zauważył – z powodu serca musiała uważać z alkoholem. Po kilku potknięciach i zachwianiach, na przykład gdy oboje równocześnie zadali pytanie, rozmawiali już tak swobodnie, jak wtedy nocami w Beaumont. Opowiadała mu o Alice i swoim strachu, że nigdy nie pozbędzie się z nosa tego okropnego zapachu szpitala, on zaś mówił o pewnej ekspedientce w sklepie ze starociami w Voorhees, która wzięła go za syna pana Sillsa, a on nie wyprowadził jej z błędu. Rachel potrafiła wspaniale opowiadać. Ze swoją mimiką i głosem bez trudu zamieniała się w każdego – w Brendę, bezczelną samotną matkę, która, podała synkowi antybiotyk na zapalenie pochwy, w Amy, swoją z pozoru arogancką szefową, i w Jonaha, który jak się wyraziła, brnął wytrwale, choć z trudnością przez studia

prawnicze po nieco przedłużonym licencjacie.

Andy opowiedział Rachel o nowym pomocniku pana Sillsa, którego poznał podczas ostatniej wizyty w domu.

– Byłeś zazdrosny?

Pokręcił głową i się uśmiechnął.

– Może trochę. Ale raczej zadowolony, że da temu chłopcu to, co dał mnie.

Powiedziała, że rozumie i że czuła coś podobnego, gdy poszła odwiedzić doktor Karen, kardiologa dziecięcego, kiedy przeszła już pod opiekę kardiologa dla dorosłych, a w poczekalni siedziała cała grupka nowych chłopców i dziewczynek.

– Chyba chciałam myśleć, że jestem jej najważniejszą pacjentką, jedyną i niepowtarzalną... ale zawsze są inne dzieci.

– Bardzo dojrzałe podejście.

– Faktycznie dojrzałam – przyznała i zrobiła dorosłą minę, spuszczać lekko głowę i marszcząc brwi. Dojrzałość trwała mniej więcej trzy minuty, a potem opowiedziała mu o córeczce swojej klientki, po którą poszła na plac zabaw, bo klientce przedłużyło się spotkanie z kuratorem. – Gdy tylko mnie zobaczyła, dziewczynka rzuciła się w moim kierunku, ściskając mocno kolorową reklamówkę. „Pani Rachel, pani Rachel – krzyczała – niech pani zgadnie, co tu mam!” Myślałam, że to jakiś rysunek albo ciasteczka, czy coś w tym rodzaju, a ona na to: „Nie, to są moje MAJTKI, bo niechący dostała się na nie MOJA KUPA!”

On opowiedział o Mitchu, który zawsze spóźniał się na każdy lot.

– Nawet jak jest już na lotnisku, w sali odlotów, przy ostatnim wezwaniu będzie siedział w toalecie.

Pytała go o zawody na Jamajce (gorąco) i półmaraton w Nowym Meksyku (podobnie) oraz maraton w Rzymie (gorąco, duszno i zdecydowanie najgorsze podłoże, na jakim biegał – całe kilometry bruku, na myśl o którym od razu bolą go kolana). Rozmowa zwolniła, chwile ciszy się przedłużały, aż w końcu tylko patrzyli na siebie. Andy zorientował się, że restauracja pustoszeje, kelnerzy zebrali się wokół stanowiska hostessy, a świeczka na ich stoliku dogasa.

– Deser? – zapytał kelner, trzymając długopis w pogotowiu.

– Ja dziękuję – odpowiedział automatycznie.

– Na pewno zasmakuje mu szarlotka – poprawiła go Rachel, uśmiechając się słodko. Ułożyła dziś swoje loczki w kok, więc mógł podziwiać delikatną linię jej szyi, połyskującej w blasku świec. – A ja poproszę o dodatkowy widelec i kieliszek porto.

– Porto? – zapytał Andy, kiedy kelner odszedł.

– Tak, wiem, zachowuję się jak snobka, ale miałam... – Spuściła wzrok. Przed kolacją się przebrała, włożyła czarną spódnicę i elegancką białą bluzkę z koronką przy kołnierzyku. – Znałam kogoś, kto lubił porto, i najpierw naśmiewałam się z niego, no wiesz, pije się je przed oczyszczeniem monokla lub

tuż po, ale okazało się, że jest naprawdę dobre, szczególnie z orzechami włoskimi.

Chłopak, domyślił się Andy. To chciała powiedzieć. „Miałam chłopaka, który lubił porto”. Poczł, jak serce mu przyspiesza, i odetchnął głęboko. Bądź realistą, tłumaczył sobie, minęły lata, przecież wiesz, że nie siedziała beczynnje, czekając na ciebie. I uzmysłowił sobie, że jakaś częśćka jego miała jednak nadzieję, że tak właśnie było. Kiedy kelner przyniósł porto, wzięła kieliszek i uniosła pytająco brwi, ale Andy odmówił, nie chciał mieć nic wspólnego z innymi facetami Rachel.

– No dobrze – poddała się.

Ostatecznie nie dokończyli deseru, on zjadł jeden kęs, a ona odsunęła talerzyk po kilku następnych.

– Chyba nie jestem głodna.

Kelnerzy znikli, hostessa ziewała przy swoim pulpicie.

– Chodźmy, zanim nas stąd wyrzucą.

Miał ochotę zapytać o amatora porto, o wszystkich, z którymi Rachel się spotykała, o Kyle'a Davenporta. Ale czy to było fair? Czy on się nie umawiał z dziewczynami? Ta biegaczka w cieniutkich biało-czerwonych spodenkach i ta słodka dziewczyna z zajęć z feminizmu i globalizacji, i jedna z sąsiadek, po czterdziestce, mocno opalona, z jędrnym, chłopięcym niemal ciałem – zwykle o tej samej porze robili pranie i zaprosiła go na piwo. Sądził, że jeśli byli sobie z Rachel pisani, to i tak będą razem. W przerwach jedynym rozsądnym wyjściem było poznawanie świata. Umawianie się z innymi. Wolność. Wmawiał sobie to wszystko i wierzył w to, ale kiedy wyobraził sobie Rachel w ramionach Kyle'a, jego napakowany język w jej ustach, Kyle'a nagiego, praktycznie bez szyi, w łóżku z Rachel, walnął w ścianę swojej sypialni tak, że omal jej nie uszkodził – pierwsza rzecz, której przyłożył od tamtego balu.

– Jak minął ci ostatni rok w Beaumont? – zapytał ją w drodze powrotnej do samochodu. Przez telefon, gdy dzwonił do Brooklynu, opowiadała mu o Nowym Jorku, o szefowej, klientach i mieszkaniu wynajmowanym z pomocą rodziców w West Village, ale nigdy nie wspomnieli o Beaumont ani o niej i Davenportcie.

– Wyprowadziłam się ze stowarzyszenia.

Zaskoczony Andy milczał.

– W pojedynkę mieszkało się inaczej, ale byłam zadowolona. Chyba dzięki temu lepiej przygotowałam się do życia w prawdziwym świecie, niż gdybym została, dalej gotowali mi obiadki i opierali mnie. A potem przeniosłam się do Nowego Jorku.

– A kiedy rzuciłaś Kyle'a?

– Kiedy zrobiłam co?

– Rzuciłaś Kyle'a Davenporta.

Odwróciła się do niego, szeroko otwierając ze zdziwienia oczy. Na jej

twarzy zobaczył przerażenie.

– Co?

Andy poczuł, że ogarnia go lekkość.

– Zadzwoń mi kiedyś i poproś mnie do telefonu, ale ktoś powiedział, że wyszłaś z Kyle'em.

– Andy. – Rachel spojrzała mu w oczy i spoważniała. – Gdyby Kyle Davenport był ostatnim mężczyzną na ziemi, zacząłbym się umawiać z kobietami.

Miał wrażenie, że się topi, ale woda zrobiona jest ze światła. Ogarnęła go przedziwna mieszanka emocji – złość, że zmarnował tyle czasu, radość, że się pomylił, że Rachel wciąż była tą samą dziewczyną, którą tak kochał i która nigdy nie mogłaby być z Kyle'em.

– Więc dlaczego mi tak powiedziały?

Rachel, która patrzyła na niego tak samo intensywnie jak on na nią, pokręciła głową.

– Niektóre były nieźle wkurzone z powodu balu. Zawiesili nas na jakiś czas... a resztą, co tam, nieważne.

Andy sięgnął po jej dłoń, a ona nie zabrała ręki. Spletli palce.

– A więc żadnego Kyle'a – powiedział, wciąż nie mogąc uwierzyć.

Potrząsnęła głową, poprawiła włosy znajomym, rozczulającym gestem. Ścisnął jej rękę i przyciągnął Rachel do siebie, aż zetknęli się biodrami.

– Co rano przez pół roku myślałem sobie mniej więcej tak: do diabła, pojedę do niej. Jeśli mnie rzuci, to przynajmniej dam jej szansę zrobić to osobiście. Ale wieczorem zmieniałem decyzję. Bez sensu, myślałem, tylko mnie wyśmiej.

– Nigdy bym cię nie wyśmiała.

Szli w milczeniu. Przy samochodzie objął ją mocno, ale do przyjęcia, wciąż mógł to być przyjacielski gest, chociaż na granicy. Kiedy ją puścił, zauważył jej błyszczące oczy i rumieniec na twarzy.

– Mam nadzieję, że zobaczymy się szybciej niż za kolejne pięć lat.

W odpowiedzi zarzuciła mu rękę na szyję i zbliżyła usta do jego ust. Pocałowali się, najpierw lekko, potem bardziej niecierpliwie, jej język, przywarła do niego całym ciałem, które wysyłało jasną informację.

– Chcesz wejść na górę? – zapytał.

Rzeczy zostawiła w jego pokoju, mieli je zabrać po kolacji do hotelu, który zarezerwowała. Kilka razy proponował jej swoje łóżko, on spałby na kanapie, ale Rachel odmawiała, grzecznie, lecz stanowczo.

Bez słowa wsiadła do auta i się uśmiechnęła.

– Tak.

Jak tylko zamknęli drzwi, zaczęli się znów całować. Czuł jej tańczący język, wsunął dłonie głęboko w miękkość jej włosów, czas wydawał się cofać, przenosząc ich lata wstecz, kiedy byli nastolatkami. Objął ją mocno, myśląc, że nigdy nie

będzie jej miał wystarczająco blisko, że gdyby mógł ją sobą owinać, jak matka owija dziecko własnym płaszczem, tak by zrobił. Otoczyłby ją ciepłem, dał poczucie bezpieczeństwa i nigdy już nie puścił.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do sypialni, która zawsze, gdziekolwiek mieszkał, wyglądała tak samo – łóżko, komoda, plakaty. Wyjątek stanowiła szumiąca delikatnie w kącie maszyna. Rachel przerwała pocałunek.

– Co to?

– Hipoksykator – wymamrotał, rozpinając jej bluzkę. – Symuluje wysokość nad poziomem morza.

Rachel jęknęła coś w rodzaju „na miłość boską”, a Andy ucieszył się, że nie widzi, co jest na balkonie, a mianowicie bieżnia wodna umożliwiająca treningi z kontuzją. Zwalili się na łóżko. Rachel ugryzła go delikatnie w brodę i w ucho, dotknęła jego twarzy. Westchnęła.

– Boże, jak cudownie, że to ty – szepnęła. Potem odsunęła go i oparła się na łokciach. – Ile czasu minęło?

Andy wiedział, o co jej chodzi – nie o to, kiedy po raz ostatni się widzieli. Wrócił myślami do swojej ostatniej miłosnej przygody, o ile można to tak nazwać: dziesięć minut obmacywania w barowej toalecie.

– Całkiem sporo – odparł.

Tamta dziewczyna – nawet nie był pewien, jak miała na imię – zapisała mu na ręce swój numer, eyelinerem, o ile dobrze pamiętał, bo żadne nie mogło znaleźć kartki ani długopisu. Kiedy potem spotkali się na drinka, zrozumiał, że nie mają sobie absolutnie nic do powiedzenia, o ile wcześniej nie wypije czterech piw. Wyglądała jak węgorz – wąskie ciało i usta konia.

Niewielu biegaczy było w stałych związkach, liczyli raczej na przelotne znajomości i jednorazowe numerki – noc lub weekend z biegaczką, która rozumie taki układ, albo z laską, która przyplącze się na zawodach lub w barze. Sam kiedyś, w trakcie zawodów kwalifikacyjnych do olimpiady w Atlancie, spiknął się z jedną reporterką. Nosila gorset i wkurzyła się, gdy Andy ją wyśmiał. „To podstawowa część garderoby” – utrzymywała, a jej wykrzywiona twarz nie wyglądała już tak ślicznie. Po wszystkim był głodny jak wilk, ale w lodówce jej odlotowego loftu utrzymanego w stylu „chrom i stal” znalazł jedynie wodę mineralną i jakieś korniszony.

Zupełnie inna niż Rachel, uzmysłowił sobie teraz, kiedy znów była w jego ramionach, te jej cudowne wypukłości, miękka skóra, piękne włosy, piękna blizna. I to był właśnie problem z nimi wszystkimi – one po prostu nie były Rachel.

Poczuł, że ona zsuwa się w dół łóżka, rozpinając mu spodnie, ściąga slipy i pieści go całego, a potem bierze do ust. Westchnął, zamykając oczy i myśląc, jak niewiarygodnie mu dobrze, gdy Rachel jęknęła gardłowo i przesunęła ustami do czubka.

– Spójrz na mnie – powiedziała.

Spojrzał i zobaczył, że ona też patrzy, otwiera usta, wciąga policzki i zjeżdża w dół do samego końca. Ciekawe, czy jakiś facet ją o to prosił – „Patrz na mnie, jak mi to robisz” – czy może widziała to w filmie albo gdzieś przeczytała. „Dziesięć sposobów, by pobudzić faceta”. Gdy zaczął wiotczeć, namiętność widoczna w jej oczach zmieniła się w konsternację.

– Co jest?

– Ciii. – Przyciągnął ją do siebie i wsunął dłoń między jej nogi, układając palce w sposób, w jaki go nauczyła. Chociaż nie, błąd, razem wykoncypowali, jak doprowadzić ją do orgazmu. Wtulił się w nią, całował i delikatnie kąsał zębami jej szyję, posuwając się w kierunku ucha, w którym to miejscu Rachel zawsze miała łaskotki.

– Ooo – szepnęła. – Ooo! O, o, o – wzdychała, gdy pocierał rytmicznie śliski guziczek... potem przestała myśleć o pozowaniu, o wyglądzie, i zapamiętała się we własnej przyjemności. Parzył, jak zamyka oczy, zaciskając uda na jego nadgarstku i unosząc gwałtownie biodra, raz, drugi, trzeci, i nieruchomieje. Napięła wszystkie mięśnie ud, brzucha i pośladków, wtedy poczuł na palcach jej pulsowanie.

Zanim się ocknęła, odwrócił ją na plecy i wszedł w nią. Po pierwszym pchnięciu musiał się zatrzymać, wiedział, że jeśli tego nie zrobi i podda się tej cudownej ciasności i ciepłu, to wybuchnie. Pragnął dać jej przynajmniej jeszcze jeden orgazm, najlepiej wspólny, i nie chciał, żeby znowu mu docinała, jak to się zdarzało, gdy po długiej przerwie on kończył, zanim ona w ogóle zdążyła zacząć. „To nie wyścig” – zwykła mawiać. „Nie poprawiasz tu własnego rekordu”. Zawsze o nią dbał... a czasami, kiedy był śpiący, przylegał ciasno do jej pleców, wsuwał w nią palce, a ona zajmowała się łechtaczką, i tak wspólnie troszczyli się o jej potrzeby. Tym razem jednak chciał, żeby było dobrze. Miało wyjść jak należy.

Pogłaskał ją po policzku i po włosach.

– Boże – szepnęła, kręcąc biodrami w sposób, którego na pewno długo nie wytrzyma. – Czekał. Masz gumkę?

Andy wysunął szufladkę nocnej szafki i wyjął prezerwatywę. Rachel zmarszczyła brwi.

– Chyba mi nie powiesz, że sprzedają je pojedynczo?

Pocałował ją, zadowolony, że jest zazdrosna. Powiedziałby jej wszystko, co tylko chce usłyszeć. W końcu wszedł w nią jeszcze raz. Gwałtownie wciągnęła powietrze i zamknęła oczy. Przez chwilę nic nie mówili. Jedną rękę trzymała na jego ramieniu, drugą powoli gładziła jego plecy, od nasady szyi do końca kręgosłupa.

– Cudownie być znów z tobą – wyszeptała... i dotąd Andy wytrzymał. Wybuchł w niej, głęboko w ten żar, który doprowadzał go do szaleństwa. Rachel jęknęła, jej dłonie wpiły mu się w ramiona, na twarzy czuł jej oddech, w uchu

słyszał nagłący głos.

– Rachel – wydyszał, gdy ona w kółko szeptała jego imię, jak piosenkę, mantrę albo modlitwę.

Jeśli mieliby się poczuć niezręcznie, to właśnie w tej chwili, kiedy spojrzeli w dół i okazało się, że on jest nadal w skarpetkach, a jej płaczą się na kostce majtki. Trzeba będzie pozbyć się prezerwatywy, no i to dziwne uczucie obecności kobiety w jego łóżku, po raz pierwszy od miesiąca, na dodatek Rachel zechce zapewne skomentować jego zdolności dekoratorskie, bo wystrój mieszkania był surowy, przypominał tani pokój w hotelu – bez książek, bez porządnego stołu, za to z używaną kanapą w salonie i plakatami jeszcze z czasu studiów. Ale kiedy tylko skończyli, Rachel wtuliła się w niego.

– Tak za tobą tęskniłam – powiedziała przyjaznym, zaskoczonym i szczęśliwym głosem kobiety, która w markecie wpadła przypadkiem na starego znajomego. Pięściami uderzała w niego delikatnie, jakby to z jego winy tyle czasu się nie widzieli.

– Ja też za tobą tęskniłem – przyznał. Uśmiechał się już tak długo, że pewnie rano będzie go bolała twarz. – Czuję się jak...

– No? – chciała wiedzieć Rachel. – Jak? – Zawsze go przesłuchiwała, zadając pytania o uczucia, i nie dawała się zbyć zwykłym „w porządku”, „szczęśliwy” czy „zmęczony”.

– Jakby się nic nie zmieniło – dokończył. – Jakbyś wyszła tylko po bułki i już była w domu.

– Jestem w domu – odparła.

Przytulił ją jeszcze raz, pocałował, a potem wstał. W kuchni nalał szklankę wody, upił łyk i z resztą wrócił do Rachel. Ona tymczasem zdążyła wyjąć z walizki prążkowany podkoszulek i nieodłączne spodnie od piżamy, tym razem w niebiesko-białe paseczki.

Podał jej wodę. Napila się, odstawiła szklankę i usiadła oparta o ścianę, rozkładając ramiona i czekając na jego stopy.

– Oj, niedobrze – usłyszał po chwili, gdy sprawdzała poturbowane palce.

Potem przesuwiała dłońmi w górę, po łydkach i udach.

– Masz niesamowite ciało. To znaczy, wcześniej też tak uważałam, ale teraz... – Zsunęła ręce z powrotem do jego kolan. – W sumie nie powinno mnie to dziwić, przecież ty zarabiasz na życie ćwiczeniem. Jeśli ktoś taki jak ty nie miałby wspaniałego ciała, to kto by je miał? – Ułożyła się teraz obok niego. – Opowiedz, co porabiasz całymi dniami.

Opowiedział, że biega, je, podnosi ciężary, rozciąga się, śpi, a potem wstaje, żeby zacząć od nowa. Jeździ na zawody, ściga się, poprawia swoje wyniki o sekundy, a nawet ułamki sekund. Wypowiedziane głośno, brzmiało to jakoś głupio, szczyt braku umiaru. Przecież ludzie walczyli na wojnach, leczyli choroby,

pisali arcydzieła albo, jak Rachel, pomagali potrzebującym dzieciom, a on co? Biegał wokół boiska, niewiele, ale jednak znacząco lepiej niż niewielka grupa pozostałych elitarnych lekkoatletów...

– A więc masz to, czego zawsze chciałeś. Szczęściarz z ciebie.

W ciemnym pokoju, w poświacie stojących przed domem lamp parkingowych, Rachel wyglądała pięknie i tak znajomo, jak coś, co bardzo kochał, a potem stracił, i z tą stratą się pogodził. Jej głowa na jego piersi i obejmująca go ręka miały niezwykle kojące działanie – czegoś podobnego nie udało mu się osiągnąć przez żaden masaż ani najlepszą medytację.

– Szczęściarz – powtórzył Andy.

A potem, bez zastanowienia i analizy – a Andy był człowiekiem, który zawsze wszystko wnikliwie analizował i planował, od liczby gramów białka w porannym koktajlu do liczby pokonanych każdego dnia kilometrów – odwrócił się na bok i patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

– Powinnaś ze mną zamieszkać.

– „Proszę, przyjeźdź do Denver wraz ze śniegiem” – zaśpiewała w odpowiedzi.

Przygarnął ją do siebie. Uwielbiał słuchać, jak śpiewa. Miała piękny głos, ze sto razy jej mówił, że powinna wstąpić do chóru, zespołu albo grupy teatralnej, ona jednak upierała się, że ma skalę trzech nut i że świat pełen jest ludzi dużo lepszych od niej.

– Nie jestem w Denver – zwrócił jej uwagę, chociaż rozważał taką opcję. Wielu sportowców jechało tam ćwiczyć na większych wysokościach.

– To piosenka, nie znasz jej? – Usadowiła się wygodniej i zaśpiewała znowu: – „Hej, chłopcze wędrowcze, lepiej się usatkuj, Denver to nie miejsce dla ciebie, nie ma tam złota ani mnie...”

– Ładna. I co dalej?

Rozciągnęła się apetycznie, ręce nad głową, piersi w górę, stopami poszukała jego łydek.

– Facet błaga ją, żeby przyjechała to tu, to tam, do Los Angeles, Bostonu, Denver, a ona mu mówi, żeby się usatkował.

– I co? Są w końcu razem?

– Nie pamiętam.

– Zostań ze mną.

Odsunęła się, oparła głowę na łokciu. W ciemności czuł na sobie jej wzrok.

– Chyba nie znamy się wystarczająco dobrze, żeby podjąć taką decyzję.

– O, ty!

Teraz, kiedy wróciła, nie potrafił sobie wyobrazić bycia bez niej.

– A co z moimi studiami?

– Na pewno możesz kontynuować tutaj.



Rachel milczała przez chwilę.

– Mam coś – oznajmiła, wstając.

Była piękną kobietą z krwi i kości, z pełnymi piersiami i okrągłym tyłeczkiem. Podeszła do swojej torby, rozpięła ją i zaczęła czegoś szukać. Wróciła z kopertą formatu A4 i przechyliła się nad Andym, by włączyć światło. Pokazała mu zdjęcie – to byli oni w wieku nastu lat. Rachel w bluzie z kapturem, on stoi za nią, obejmując ją obiema rękami.

– Boże, moje włosy – jęknął, odwracając wzrok od jakże modnej wtedy fryzury, z przodu na krótko, z tyłu włosy do ramion.

– A moje! – Rachel chichotała, wskazując natapirowane loki.

Potem wyciągnęła z koperty jeszcze coś. Andy spodziewał się, co zobaczy – to musiał być czerwony naszyjnik w kształcie serca na złotym łańcuszku.

– A więc... – powiedziała, nagle dość nieśmiało. Odwróciła się na bok. – Ja będę studiować, ty biegać, a wieczorem zjemy razem obiad?

– Zgadza się.

Spojrzała w sufit.

– Dobrze nam było razem, no nie?

Andy zerknął na zegarek. Przypuszczał, że jest północ, może pierwsza, ale jakimś cudem była już trzecia nad ranem. Za dwie godziny musi wstać, za trzy być na bieżni. I to powinno go zaniepokoić. W samym środku treningów wydolnościowych potrzebował snu. Ale był zbyt podekscytowany, żeby nawet zamknąć oczy. Potrafił wyobrazić sobie jutrzejszy trening – nierówną powierzchnię pod palcami, odliczanie trenera. Czuł, jak ciało wybija się w przód, a nogi błyskawicznie pokonują kolejne metry, wymazują przestrzeń, niosąc go jak na skrzydłach do Rachel. Do Rachel, która jest jego przeznaczeniem, do Rachel, która będzie na niego czekać.

– Czy z kimkolwiek innym było ci kiedyś tak samo? – zapytała Rachel. – Tylko nie opisuj ze szczegółami – dodała zaraz, chowając twarz w jego szyi, jakby miał zamiar zmuszać ją do oglądania nagrań wideo. – Nie muszę wiedzieć, gdzie podziela się reszta tych kondomów. Wytlumaczę sobie, że zabrała je wróżka kondomuszka. Ale...

Pogłaskała go po policzku, później po szyi. I oboje to poczuli – jakby zapaliła zapalniczkę albo odwróciła silny magnes w stronę żelaznych opiłków. Dla Andy'ego, który dobrze znał swoje ciało, świadom każdego ukłucia i drżenia, odczucie to miało intensywność wstrząsu.

Usłyszał śmiech Rachel, trochę smutny.

– A pamiętasz, jak cię zapytałam...

– ...czy zawsze tak z nami będzie?

– Może faktycznie jesteśmy sobie przeznaczeni.

Powiedziała to grubym głosem, ironicznie, ale Andy nie był w nastroju do

żartów.

– Zostań ze mną – powtórzył. Pocałował ją w czoło, policzki, czubek nosa, a potem w usta, z początku lekko, później powoli i długo, mówiąc jej w ten sposób, bo trudno byłoby mu znaleźć słowa, że ją uwielbia, zawsze tak było i będzie. – Proszę cię – dodał i jeszcze raz ją pocałował.

W końcu oderwał usta od jej ust, a Rachel uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Dobrze, zostanę.

Andy  
2004

Na nocnej szafce dzwoniła jego komórka, więc sięgnął nad Maisie, by odebrać. Sypiała nago, zima czy lato, swobodna w swoim ciele i całkiem słusznie z niego dumna... ale sypiała również z otwartą buzią, prawdopodobnie z powodu skrzywionej przegrody nosowej, jak przypuszczał Andy, choć nigdy tego nie potwierdził. I chrapała. Ona z kolei uświadomiła mu, że we śnie kopie, co najmniej raz w nocy przebiera nogami, jakby biegł. Uznał więc, że jest remis.

Poznali się z Maisie w nowojorskim klubie sportowym jakiś rok wcześniej. Był w mieście na corocznych mistrzostwach kraju, a hotelowe bieżnie nie działały, więc wysłali go do klubu naprzeciwko. I tam zobaczył Maisie na orbitreku – marszczyła brwi, wpatrując się w pusty wyświetlacz.

– Hej – przywitała się, podchodząc do niego w opiętych czarnych legginsach i białej górze prześwitującej nęcąco w miejscach mokrych od potu. Rejestrując jej rozbawione spojrzenie i poufały uśmiech, poczuł się jak w barze przed zamknięciem, a nie na siłowni, i to o dziewiątej rano. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale nie umiem sobie z tym poradzić. – Po czym zniżyła głos. – Chyba to zepsułam.

Andy, nie wiadomo dlaczego, też zaczął mówić półgłosem.

– A co się stało?

– No właśnie nie wiem. – Wydęła śliczne usta. – Możesz to zobaczyć? Byłabym ci wdzięczna.

Jak się okazało, orbitrek został przez kogoś wyłączony z prądu. Kiedy ponownie zajęła miejsce na działającym teraz sprzęcie, Andy wiedział już, że ma na imię Maisie, jest modelką i że wie, kim on jest.

– Rozpoznałam cię z artykułu w „Runner’s World”. W szkole trochę się ścigałam... oczywiście bez porównania... ale nadal biegam, żeby utrzymać kondycję, i dostaję wszystkie czasopisma. – Uśmiechnęła się i na moment, delikatnie, położyła mu rękę na ramieniu. – Trzymam kciuki, żeby wzięli cię do Aten.

Andy podziękował. Maisie bawiła się ramiączkiem swojego sportowego stanika.

– Właściwie nigdy tego nie robię, ale jeśli jesteś dziś wolny, może miałbyś ochotę zjeść ze mną kolację? No wiesz, tak po koleżeńsku.

I Andy, który od dwóch tygodni był w trasie, podczas gdy Rachel zakładała w L.A. oddział Stowarzyszenia Pomocy Rodzinie, sam zdziwił się swoją odpowiedzią.

– Jasne.

Wieczorem spotkali się w hotelowym lobby, on w białych spodniach

i granatowej koszuli, pożyczonych od Mitcha, drużynowego znawcy mody, ona w biało-niebieskiej sukience na ramiączkach.

– Pasujemy do siebie! – stwierdziła zachwycona i wzięła go pod rękę.

Zauważył jej nagie ramiona i spory dekolt, których Rachel nie praktykowała z powodu blizny. Pachniała białym winem i papierosami, kuszący zapach niegrzecznej dziewczynki... była olśniewająca, jakby Bóg wziął zwyczajną dziewczynę i przyciął ją na elegancko szczupłą, dodając mocno zarysowane kości policzkowe, dzięki czemu stała się tajemnicza, a nawet niebezpieczna, po czym złagodził twarz słodkim uśmiechem, pięknymi ustami i oczami tak wielkimi, że wyglądały jak z bajki.

Nawet on potrafił zakwalifikować restaurację do niezwykle modnych: rozbrzmiewał w niej gwar rozmów, pełno było tu facetów wyglądających na wpływowych i ważnych w towarzystwie pięknych kobiet (oraz kobiet wyglądających na wpływowe i ważne w towarzystwie zwyczajnie wyglądających facetów). Kiedy razem z Maisie szli za kelnerem, czuł na sobie ich wzrok. On zamówił szprycer, on poprosił jedynie o wodę.

– Wolałbyś, żebym zrezygnowała z wina? Wiem, że jutro biegniesz.

– Skąd, wszystko w porządku.

Nie mógł się powstrzymać przed porównaniem. Rachel mawiała zawsze: „Właściwie nie powinnam”, po czym zamawiała słodki drink z wisienką i parasolką, trzysta mililitrów alkoholu i cukier. Kusila go małym łyżkiem. On odmawiał, ona przewracała oczami i następował komentarz: „Przecież jeden mały łyżek cię nie zabije. To kalorie. A o nie ci chodzi, prawda?”. Może nie robiła tego za każdym razem – no, w zasadzie zdarzyło się jej raz czy dwa – ale musiał przyznać, że dobrze się poczuł w towarzystwie dziewczyny, która przedkładała jego potrzeby ponad własne.

Kelner przyniósł karty, ale Maisie nawet nie otworzyła swojej.

– Miecznik z grilla, bez sosu, i zielone warzywa, jakie tam macie – złożyła zamówienie... właściwie wyjmując je Andy’emu z ust, po czym zwróciła się do niego: – Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo cię podziwiam.

Andy machnął ręką. Maisie spojrzała na niego uważnie.

– Jesteś skromny – powiedziała, słodko przeciągając samogłoski. – Ale przy mnie nie musisz. Sama kiedyś biegałam, pamiętasz? Wiem, jakie to uczucie, gdy na ostatnim okrążeniu wszystkie mięśnie cię pieką, oddech boli i masz wrażenie, że nie dasz rady podnieść stopy ani razu więcej, a jednak się udaje. – Ścisnęła lekko jego dłoń. – Chciałabym kiedyś zobaczyć, jak biegniesz.

– Możesz to zrobić nawet jutro – usłyszał swój głos. – Madison Square Garden.

– Chyba wiem, gdzie to jest – oznajmiła Maisie, gestem odsyłając kelnera z koszykiem pieczywa i uśmiechając się do Andy’ego.

Starał się czegoś o niej dowiedzieć. Na początku nie za wiele mówiła, pozostawiając niejasne wrażenie, że nie miała łatwego dzieciństwa, w następstwie czego postanowiła ciężko pracować i zdobyć wszystko, co świat ma do zaoferowania. Wychowała się w małym miasteczku w Georgii, tylko z matką, jak on. Też była jedynaczką, mama pokładała w niej wielkie nadzieje. Ale kiedy próbował wypytać ją dokładniej, czy to o dom rodzinny, czy o miasto albo jej szkolną drużynę, kierowała rozmowę z powrotem na niego. Potrafiła słuchać, cały czas na niego patrzyła, siedząc nieruchomo, wręcz zdawała się nie oddychać... a potem nagle zadawała pytanie dobitnie świadczące o tym, jak uważnie słucha. Czuł się najważniejszą osobą na świecie i zauważył nawet, że zaczyna cenzurować swoje wypowiedzi. Nie to, żeby w ogóle usunął Rachel ze swojego życia – to byłoby złe i pewnie niemożliwe – ale zdecydowanie umniejszał jej rolę w sposób, który bardzo by jej się nie spodobał.

– Umawiasz się ze swoją dziewczyną z liceum? – Maisie patrzyła na niego z szacunkiem, co go rozbawiło, bo tak samo patrzyli koledzy z drużyny, gdy mówił, że Rachel to jego szkolna miłość.

Przytaknął. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Była jakby kolejnym krokiem w ewolucji kobiety: drobne kości, opalona skóra i długie, proste czarne włosy. Jej uroda mogła mieć korzenie gdziekolwiek, od Hiszpanii i Włoch, przez Izrael, do Grecji i Afryki. Andy ostatecznie dowiedział się, że jej ojciec, tak jak jego ojciec, był czarny, a mama była francuską Kanadyjką, i że swoje właściwe imię, Marie-Suzanne, Maisie zmieniła w wieku osiemnastu lat, gdy w agencji modelek Eileen Ford powiedzieli jej, że mają już trzy dziewczyny o imieniu Marie i dwie o imieniu Maria.

– Powiedziałam im wtedy, że wiem, gdzie chcę być za pięć lat.

– Czyli?

Uśmiechnęła się i zachichotała jak uczennica.

– Na okładce „Sports Illustrated” w wydaniu ze strojami kąpielowymi.

Andy’emu przemknęło przez myśl, że być może dlatego go zaczepiła – znajomość ze sportowcem mogłaby jej to znacznie ułatwić. Uznał jednak, że to objaw paranoi, po prostu śmieszne.

– Miałam już z nimi sesję – poinformowała Mai-sie. – Jeszcze nie okładka, ale są w kontakcie, więc nie jest to takie niemożliwe.

– Masz też plan dziesięcioletni? – zapytał, a ona się zastanowiła, uderzając palcem o swoje idealne usta.

– Do tego czasu pewnie nie będę już modelką – stwierdziła z wyraźnym rozczarowaniem w głosie. – Modelki mają datę ważności i nawet z najlepszymi osiągnięciami trzydziestka to trzydziestka. Dlatego muszę się skoncentrować na budowaniu własnej marki i wymyśleniu, z czym powinna się kojarzyć Maisie.

„Strzeż się ludzi, którzy używają trzeciej osoby, mówiąc o sobie” –

powtarzała często Rachel. Andy jednak był zafascynowany. Może w ten sposób mogą o sobie mówić jedynie niezwykle atrakcyjne kobiety?

– No więc z czym ma się kojarzyć Maisie? – Zaraz gdy to powiedział, uświadomił sobie, że z nią flirtuje. Hm, no cóż...

– Oto jest pytanie – podjęła temat. – Kostiumy kąpielowe? Tkaniny? Bielizna? Cindy Crawford na przykład projektuje meble, a seria Kathy Ireland sprzedaje się w Kmarcie lepiej niż Martha Stewart.

Andy, który sądził dotąd, że przeterminowane modelki trzymają się pieniędzy i sławy, wychodząc za gwiazdy rocka albo grając tu i ówdzie małe role, był pod wrażeniem, gdy Maisie planowała swoją przyszłość po zakończeniu kariery, wspominając przy tym Christie Brinkley i przedłużanie włosów sygnowane jej nazwiskiem, kosmetyki Iman oraz telewizyjne kariery Tyry Banks i Heidi Klum. Ona mówiła, a Andy złapał się na tym, że kiwa głową, powtarza cicho „tak, tak” i „wiem, wiem”, myśląc jednocześnie, że nigdy chyba nie spotkał nikogo, kto by go tak dobrze rozumiał, kto by rozumiał, że ma dwa życia do zaplanowania, to obecne i to, z którym zostanie, kiedy to pierwsze, o którym zawsze marzył, się skończy.

Dowiedział się, że Maisie mieszka w Nowym Jorku i z trzema innymi dziewczynami wynajmuje mieszkanie na Upper East Side. Ale nie zachwycała się Nowym Jorkiem tak jak Rachel.

– Ja właściwie mogłabym mieszkać wszędzie. Nowy Jork jest dla mnie trochę kłopotliwy. Wszyscy w domu chcą, żebym opowiadała o muzeach i teatrach, ale ja po prostu nie mam na to czasu, a poza tym nawet gdybym miała, w życiu nie wydałabym dwustu dolarów na koncert czy przedstawienie. Prędzej ściągnęłabym coś z internetu.

Z uśmiechem przechyliła głowę, jakby wyobrażała sobie muzykę, a może pieniądze zaoszczędzone na niechodzeniu na koncerty.

Kiwnięciem głowy wyraził całkowitą aprobatę, myśląc jednocześnie, jak bardzo Rachel go denerwowała tym swoim ciągłym porównywaniem Nowego Jorku i Oregonu i narzekaniem na brak porządnej indyjskiej restauracji i że po dziesiątej nie można już zamówić pizzy. „Wiem, że tu jest pięknie” – dodawała, wskazując na odcień nieba albo opisując specyficzny smak powietrza, jakby powietrze w ogóle miało smak. Wiedział, że nie jest szczęśliwa i że wciąż próbuje się do Oregonu przekonać, choć nadal prenumeruje „New York”, a czasami przyłapywał ją na czytaniu informatora kulturalnego i wzdychaniu na widok ogłoszenia o wystawie czy przedstawieniu, których przecież nie zobaczy.

Goście wchodzili i wychodzili, a oni porównywali swoje treningi, diety i ustalali ranking najokropniejszych lotnisk, na jakich byli. A kiedy kelner przyniósł jedzenie, Maisie nie wzięła do ust kawałka ryby, nie zamknęła oczu i nie wydała ekstatycznego westchnienia, jak czasami Rachel, i nie domagała się jego

opinii o wybranym daniu, a potem nie złościła się, gdy nie wyraził się o nim wystarczająco pozytywnie. Maisie po prostu przecięła rybę na pół, jedną część odsunęła na bok, a resztę jadła małymi, metodycznymi kęsami.

W końcu opowiedziała Andy'emu kilka historii – o tym, jak nauczyła się uśmiechać z zaciśniętymi ustami, bo jej zęby były straszne, ale potem agencja zapłaciła za licówki, i że nie miała przyjaciół, więc nikt nie zaprosił jej na komers ani bal maturalny. Andy dalej kiwał głową, potakiwał i reagował współczująco, ale jakoś trudno mu było w to wszystko uwierzyć. Opowiadki brzmiały na bardzo dopracowane, jakby przeczytała poradnik, jak piękna dziewczyna może zyskać czyjeś współczucie, i zapamiętała odpowiedzi. Kiedy łowca talentów dojrzał ją w galerii handlowej, miała siedemnaście lat, myślała, że sobie z niej żartuje, aż wręczył jej wizytówkę. Była niezdarna i nie dorobiła się jeszcze biustu, za to górowała nad wszystkimi chłopakami, a jej chorobliwa chudość, która okazała się atutem na wybiegu, też nie zyskiwała jej wielbicieli w Valdoście.

– Dziewczyny również mnie nie lubiły.

No, to jedno może i było prawdą.

– Pewnie dlatego, że jesteś taka... no wiesz – zareagował Andy, nie wiedząc, jak wyrazić swój zachwyt, i w ogóle czy wypada mu mówić tak otwarcie, bo nie chciał być nietaktowny ani niegrzeczny.

Chociaż to było nie fair, nie potrafił się powstrzymać i wciąż porównywał ją z Rachel, której twarz w jego wspomnieniach była śliczna, ale nie olśniewająca, włosy ładne, ale nieporównywalne z błyszczącą kaskadą Maisie, i która, odkąd się do niego wprowadziła, przytyła kilka kilogramów. Wszyscy inni w jego świecie dbali o formę, i to jak. Nawet amatorzy, których spotykał w sklepach sportowych czy w knajpie, trenowali do triathlonu albo ultramaratonu lub Ironmana... a w tym wszystkim Rachel, zadowolona z trzykilometrowego spacerku, po którym zasiadała do pikniku, a potem narzekała w drodze powrotnej, że się objadła i ma pęcherze na stopach, więc czy nie mogliby się trochę zdrzemnąć.

Maisie uśmiechnęła się i dotknęła jego ręki dokładnie w momencie, gdy myślał o tym, jak Rachel wymawia NFL, jak „Niffle”, i zawsze potem się śmieje, za każdym razem. I jaka nieznośna była na imprezach. Andy pytał ją, dlaczego zmienia temat albo nawet odchodzi, kiedy rozmowa wraca do biegania... co oczywiście w pokoju pełnym biegaczy zdarzało się często. „Przepraszam” – odpowiadała. „Mam swoje granice i po przekroczeniu punktu krytycznego nie potrafię już dłużej słuchać o tym, czy lepszy jest trening tempowy, czy interwałowy, albo lepiej gorąco i zimno czy na odwrót, i dlaczego Kenijczycy są nie do pokonania na tysiąc sześćset. Czy to naprawdę taki grzech zapytać kogoś, co właśnie czyta? Tylko że – wzdychała – to zawsze jest *Once a Runner* albo coś podobnego o bieganiu”.

Na jego prośbę Maisie opowiedziała mu o sesji dla „Sports Illustrated”.

Sześć modelek na chorwackiej wyspie w środku marca, pobudka o czwartej rano, morze co prawda krystaliczne i turkusowe, ale zimne jak cholera, a brzeg taki skalisty, że trzy pokaleczyły sobie stopy, więc musieli tuszować krew w Photoshopie.

– Byłam tak zdenerwowana, że zapomniałam spakować szczotki. Poprosiłam fryzjerkę o pożyczenie jednej, więc dała mi klucz do swojego apartamentu. Wchodzę tam i zaczynam się drzeć, bo widzę scenę masowego morderstwa: na łóżku leży dwanaście skalpów...

Okazało się, że fryzjerka przywiozła po kilka przedłużeń dla każdej modelki.

– Robili takie badania i wynika z nich, że faceci uwielbiają włosy. I lubią, jak dziewczyny się dotykają. To cytat z badania: „Lubię, jak się dotykają”.

Andy słuchał zauroczony, jej urodą, dykteryjkami, tym, jak ludzie na nich patrzą. Każdy facet na sali przyglądał mu się z szacunkiem, a nawet podziwem. Maisie, siedząca naprzeciwko i uśmiechająca się spod długich, opuszczonych rzęs, wydawała się jednocześnie egzotyczna i taka znajoma, taka jak on, ale też zupełnie niepodobna do nikogo, kogo znał.

Zasadniczo Andy uważał, że jest szczęśliwy – lubił swoje codzienne, zwykłe życie z Rachel, ich proste posiłki przy małym stole w kuchni i to, że jej rzeczy mieszały się z jego, lubił jej oprawione plakaty na ścianie, kosmetyki w łazience, książki, o które się wszędzie potykał, i zapach jej szamponu unoszący się w całym mieszkaniu wiele godzin po wyjściu spod prysznic, a także jej głos, podniesiony lub spokojny, gdy przeprowadzała podopieczną przez kolejny kryzys. Ale tutaj, w restauracji, tego chłodnego wiosennego wieczoru, siedząc przy stoliku z tą piękną kobietą i mając za szybą światła wielkiego miasta, uznał, że związek z Rachel jest już trochę nieświeży. Przecież miał dopiero dwadzieścia siedem lat. Czy był gotów na ustatkowanie się? Poza tym Rachel zachowywała się, jakby byli starym małżeństwem, łąziła w spodniach od dresu i całe wieczory potrafiła trzymać na twarzy maseczkę błotną. Kilka dni przed jej wyjazdem do Los Angeles Andy wyszedł do pralni, a Rachel czytała na kanapie. Kiedy wrócił i podszedł, żeby ją pocałować, oprócz zapachu czosnku i przypraw wegetariańskiego chili, które przyrządziła, w pokoju unosił się dodatkowy smrodek. „Matko, co to ma być?” – zapytał, wyciągając z torby czystą parę spodni. „Tysięczne sorki” – powiedziała. A potem się rozchichotała... na koniec i on się roześmiał. Ale czy takie właśnie miało być ich życie? Na to miał się cieszyć? Maseczki błotne i niezapowiedziane pierdnięcia?

Maisie wzięła go za rękę i paznokciem śledziła linie jego dłoni.

– Linię miłości masz bardzo silną.

Podniosła głowę i spojrzała na niego, a jemu mocniej zabiło serce. Poruszył się niespokojnie. Nie kochali się z Rachel przed jego wyjazdem, jak to mieli w zwyczaju. „Dziwnie się czuję” – powiedziała tamtego ranka, kiedy dopiero co ją



objął, i wstała z łóżka po krople na żołądek. Zostawił ją więc w spokoju. I to nieszczęsne puszczenie bąków.

– Co do linii życia... – kontynuowała Maisie. Czuł jej oddech na swoich dłoniach. – Widzę sukcesy. Błękitne wstęgi. Złote medale.

Andy się uśmiechnął. Rachel była wiele kilometrów stąd. Nigdy się nie dowie. No i czy nie miał prawa? W całym swoim życiu spał tylko z siedmioma kobietami. Był biegaczem światowej klasy, kandydatem na olimpiadę i jednym z niewielu w historii uczelnianych zawodów lekkoatletycznych, którzy pozostawali niepokonani przez tak długi czas. Powinien mieć więcej dup, jak to określał Mitch, niż muszla klozetowa w szkole żeńskiej, a mógł policzyć swoje podboje na palcach dwóch rąk, i to nawet nie wszystkich. Gdyby inni się dowiedzieli, że przepuścił taką okazję, śmiechem zmiotliby go z bieżni. To jakby przez rok jadło się obiady z puszki i nagle ktoś zaproponował krwisty stek, jakbyś jeździł na rowerze – niczego sobie, owszem, ale jednak rowerze – a tu ktoś wręcza ci kluczyki do pięknego sportowego autka, zawieszzonego tuż nad ziemią, z silnikiem, który mruczy nisko, kiedy tylko muśniesz stopą pedał.

Andy poprosił o rachunek. Gdy wyciągnął kartę kredytową, Maisie uśmiechnęła się z aprobatą. Dzięki hojnemu stypendium i premii od producenta obuwia za każdą wygraną miał czym zapłacić. Maisie nawet nie próbowała sięgać po portmonetkę, jak to zwykle robiła Rachel. Do hotelu wracali spacerem, w pełnym wyczekiwania milczeniu. Kiedy dotarli na miejsce, spojrzała mu w oczy.

– Zaprosisz mnie na szklanek wody?

W głowie usłyszał głos. Nie był to głos Rachel ani głos mamy, nie należał do żadnego z trenerów. Przemówił do niego głos pana Sillsa, pytając bardzo poważnie: „Czy takim właśnie człowiekiem chcesz być?”.

I Andy, czując się jak ostatni dupek, ujął dłoń Maisie.

– Jesteś niesamowicie piękna i pewnie będę tego żałował do końca życia – powiedział – ale mam dziewczynę.

Zrobiła nadąsaną minę, na co Andy od razu pomyślał, że cokolwiek jego towarzyszka będzie robić po skończeniu kariery modelki, na pewno nie będzie to aktorstwo.

– Cholera – rzuciła.

Andy próbował się nie wzdrygnąć. Nie lubił przeklinania, nigdy go nie lubił, przypominało mu Lori po kieliszku.

– Dlaczego wszyscy fajni faceci są albo zajęci, albo wolą innych facetów?

– Chodź. – Andy objął ją przyjaźnie, uważając, by nie dotknąć niczego poniżej ramion. – Przecież możesz mieć każdego faceta na świecie.

– A co, jeśli chcę ciebie?

Nie odpowiedział. Myślał już tylko o tym, żeby pójść na górę, przemyć twarz zimną wodą i zadzwonić do Rachel. Ale Rachel nie odebrała. Woda nie

pomogła, więc wziął prysznic, potem szybka masturbacja, taki seksualny ekwiwalent odchrząknięcia. Mimo to zasnął dopiero po dwóch godzinach, a na dźwięk budzika zerwał się z jękiem, nadal zmęczony, i uznał, że jeśli zawali bieg, to winna będzie Rachel.

Po południu, na bieżni, gdy czekał na wystrzał pistoletu, ogarnęło go uczucie wyczerpania, a zaraz potem frustracja i gniew. Ustawiony w pozycji startowej, wygięty i gotowy, miał nagle ochotę wrócić do hotelu, by spać. W miejsce zdenerwowania, które zwykle odczuwał – czasem bywał tak spięty, że tuż przed wyścigiem wymiotował – pojawiło się zmęczenie i spokój, nawet na granicy nudy... kiedy jednak zaczął biec, wydarzyło się coś dziwnego. Poczł lekkość, jakby zbudowano go z czegoś znacznie mniej gęstego i bardziej wytrzymałego niż ciało i krew. Wchodząc płynnie w zakręty, bez wysiłku poruszając rękami, wiedział, że pobije własny rekord, a może nawet rekord bieżni... i co dalej? Czy na mecie będzie czekać Maisie? Czy Rachel zadzwoni, żeby mu pogratulować?

Bądź swoim ciałem, pomyślał. Nie była to żadna z jego oficjalnych codziennych mantr – „lekki i silny” oraz „bez bólu” – z którymi pracował, a jednak po pierwszym okrążeniu właśnie to rozbrzmiało mu w głowie. Wiedział, co oznacza zwycięstwo: pojedzie do Aten walczyć o złoto. Z każdym krokiem zwiększał dystans do faceta za sobą, oddychał lekko i biegł bez wysiłku, myśląc, że jeśli trzeba, może przebiec maraton, że może tak biec już do końca życia.

Przerwał taśmę i wpadł w ramiona trenera, który wrzasnął mu do ucha niewiarygodny wynik. Andy spojrzał na tablicę, by to potwierdzić. Pojawiły się też kamery, no i Maisie. Wyglądała jeszcze piękniej niż ostatnio, więc bez namysłu wziął ją w ramiona.

Oczywiście zdjęcia zamieszczono na stronie „Runner’s World”. I oczywiście zobaczyła je Rachel. Na komórce miał sześć nieodebranych połączeń, a kiedy wrócił do hotelu i oddzwonił, od razu na niego naskoczyła.

– Rachel, to bez sensu. Nic się nie dzieje. Po prostu dziewczyna, poznałem ją w siłowni, też biega, i zapytała, czy może przyjść. Nie miałem pojęcia, że tak się to skończy.

W zasadzie była to prawda, mimo że pominął kilka najistotniejszych faktów, włącznie ze wspólną kolacją.

– To znaczy, że ktoś wepchnął ci ją w ramiona i kazał ścisnąć ze wszystkich sił?

Odkąd zaczął biegać, piłka go nie interesowała, ale wiedział, co mówili zawodnicy – najlepszą obroną jest atak.

– Skoro tak się martwisz, to dlaczego nie przyjechałaś razem ze mną?

Fuknęła z oburzeniem.

– Żeby siedzieć cały dzień w hotelu, potem oglądać cię przez osiem minut, a potem na imprezie słuchać godzinami, jak innym minęło te osiem minut?

Andy poczuł się urażony.

– Trzy kilometry powyżej ośmiu minut? To mi się ostatni raz zdarzyło na pierwszym roku studiów.

– No to co?! – wrzasnęła Rachel. – I przestań zmieniać temat! Mam gdzieś, ile biegiesz trzy kilometry. Interesuje mnie twoje obściskiwanie przypadkowych kobiet!

– Nic się nie stało – odparł, zaczynając powoli żałować, że to prawda.

– Wiesz chociaż, jak się nazywa?

– Maisie. Maisie Guthrie. – A potem niezrozumiały impuls kazał mu dodać: – Jest modelką.

– Modelka, proszę bardzo. No, to chyba tym razem wreszcie ci się poszczęściło.

Andy’ego, który oczekiwał chociaż gratulacji z powodu nowego rekordu osobistego, zaczęła ogarniać złość.

– Dasz w końcu spokój? Poznaliśmy się, przyszła na zawody, dopingowała mnie, co było miłe, więc ją uściskałem. To wszystko.

Nastąpiła chwila ciszy, pełna bezgłośniejsz kipiącej złości.

– Chcesz mi powiedzieć – odezwała się Rachel – że gdybym przyjeżdżała ci kibicować, nie czułbyś na mecie potrzeby obmacywania modelek?

– Całkiem możliwe! – zawołał Andy. – Nie wiem! Nie mam zbyt dużo doświadczenia z tobą na trybunach!

Zamiast mu odkrzyknąć, Rachel odezwała się spokojniej.

– To ja mam być ta zła, tak? Ja jestem zła, bo nie przychodzę ci kibicować, więc masz wymówkę, żeby prowadzić się z Cindy Crawford. Ale wiesz co? – Jej głos przeszedł w jadowity szept. – Nie myl mnie ze swoją matką. Ja chodzę z tobą na zawody.

– Przychodzisz i siadasz z boku nad książką. Prawie nie patrzysz.

Kolejna lodowata pauza. I kolejna spokojna odpowiedź.

– Nie jestem twoją fanką.

– Wiem – wymamrotał.

– Jestem osobnym człowiekiem.

Jak będziesz się tak dalej obżerała, to starczy cię za dwóch, pomyślał, ale powtórzył tylko:

– Wiem.

– Być może ta przeprowadzka to jednak był błąd.

Odczuł jej słowa jak cios w pierś... ale jeśli miał być całkowicie szczery, gdzieś głęboko poczuł też jakby cień ulgi.

– To nie był błąd. Chcę, żebyśmy byli razem.

– Ale nie jesteśmy sobie równi, prawda? Ty pracujesz, koniec cytatu. Zarabiasz. Ja nie robię nic.

– Jak skończysz studia, znajdziesz pracę.

Rachel przyjęli na resocjalizację w Portland, zaczęła też pracę w oddziale Stowarzyszenia Pomocy Rodzinie na Zachodnim Wybrzeżu. „Nie cierpię nie mieć własnych pieniędzy” – mówiła, gdy płacił za kolację albo dawał jej kartę kredytową na zakup ciuchów. Chociaż w sumie miała swoje pieniądze – za studia płacili rodzice, oszczędzała kasę z urodzin, bat micwy i tym podobnych – ale ich nie zarabiała i to jej bardzo przeszkadzało.

– Chyba powinnam wrócić do Nowego Jorku. Amy mówi, że ma dla mnie pracę.

– Rachel. – To wszystko działo się za szybko, jakby pociągnął obluźowaną dachówkę i już cały dom walił się w gruzy. – Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Przepraszam, że się wściekłem.

– Ja też cię przepraszam – powiedziała tak słabo, że to go bardziej zabolalo niż jej krzyk. – Właściwie nie powinnam się dziwić. Zawsze chciałeś mieć nowe rzeczy, prawda? Żadnych używanych kurtek. Założę się, że Mai-sie nie ma brzydkich blizn na swoim ciele, zgadza się?

– Rachel.

Słyszał, że płacze i nie wiedział, jak ją uspokoić, co powiedzieć.

– I pewnie nie jest też rozpuszczonym bachorem, wszystko zawdzięcza swojej ciężkiej pracy. Nie jak snobka Rachel i jej snobistyczne koleżanki. Powiedz szczerze, Andy. Nigdy nie byłam dla ciebie dość dobra i choćbym stanęła na rżęsach, to i tak nie będę.

Odłożyła słuchawkę i nie odbierała przez kolejne dwie godziny. Potem przyszli kumple, awanturowali się, dlaczego jeszcze nie ma go w barze. Zszedł więc z zamiarem wypicia paru piw i ponowienia próby złapania Rachel. Ale w barze była Maisie, w krótkiej sukience, odkrywającej jej długie nogi. Tym razem się nie wahał. Łyknął szkocką, objął Maisie w talii, przyciągnął do siebie.

– Chcesz zobaczyć mój pokój?

Zaczęli się całować już w windzie. Potem, trzymając się za ręce, przebiegli korytarz.

– Szybciej – ponaglała go Maisie, gdy szukał karty do drzwi.

W pokoju przyparł ją do ściany i całował, mocno, niemal ze złością, aż mu się wykręciła.

– Muszę na chwilę do łazienki.

Andy położył się na łóżku, nadal ubrany, i czekał. Maisie wyszła, mając na sobie tylko szlafrok. Stanęła przed nim.

– Hej – szepnęła, pozwalając, by szlafrok zsunął się z jej ramion. Po chwili stała naga, jeśli nie liczyć skrawka czarnej koronki majtek.

– Podoba ci się? – szepnęła znowu.

Boże, była niewiarygodna. Jak z filmu albo kolorowego magazynu. Piersi

małe, ale cudownie kształtne, z brodawkami jak dojrzałe jeżyny. Pociągnął ją do siebie i zaczął ssać.

To się nie może dziać naprawdę, myślał, przesuając dłonią po wypukłości jej biodra, a potem obejmując pośladek. Była zupełnie innym gatunkiem niż Rachel, ta szczupła talia, tyłeczek doskonale jędrny i okrągłutki. Włosy łonowe w kształcie strzałki wskazującej właściwy kierunek. Kiedy jej dotknął, była mokra, i gdy w nią wszedł, doszła niemal od razu, odrzucając głowę i wydając z siebie westchnienie.

– Słodko – szepnęła. – O, jak słodko.

Rankiem obudził go odgłos płynącej wody. Przeturlał się w pachnącej, pomiętej pościeli na swoją stronę łóżka i zaczął się zastanawiać, czy powinien się nienawidzić, czy raczej uznać, że uszło mu coś na sucho, i kto w barze widział, że wychodzą, i czy może wszyscy już wiedzą. Szum wody ustał, drzwi się otworzyły, wpuszczając do pokoju kłęb pary i zapach mydła. Kiedy otulona ręcznikiem Maisie podeszła do niego, był przygotowany na scenę, spodziewając się żądania obietnic, zapewnień, że to coś znaczyło i że jeszcze się zobaczą. Jednak ona pocałowała go tylko w czoło.

– Muszę lecieć, praca – szepnęła. – Tu masz mój numer.

Na stoliku nocnym położyła skrawek papieru, mokre włosy związała w kok, włożyła sukienkę, buty i seksownym krokiem skierowała się do drzwi. Żadnej gadki o losie i przeznaczeniu i że są dla siebie stworzeni. Uśmiechnęła się, pozwoliła mu ostatni raz spojrzeć na swoje doskonałe ciało, cudowne kości policzkowe i owal twarzy, i znikła.

Kiedy wrócił do Oregonu, zastał tylko kartkę. „Życzę Ci wszystkiego dobrego”. Wtedy miał już wyrzuty sumienia – co innego jeden skok w bok, co innego zerwanie. Dzwonił do niej nieustannie przez dwa tygodnie, rano, po południu i wieczorem. Nie odpowiadała. Normalnie by poleciał, ale trwała właśnie najbardziej rygorystyczna faza przygotowań do kwalifikacyjnych zawodów olimpijskich – jak zresztą Rachel doskonale wiedziała. A potem pewnego dnia zadzwonił telefon i odezwała się Maisie – była w Vancouver, sesja dla magazynu mody, czy mogłaby wpaść?

– Brzmi wspaniale – powiedział jej Andy.

W mieszkaniu, które oczyścił dokładnie z wszystkich śladów po Rachel, Maisie opowiedziała mu o sesji.

– Duża rozkładówka o jakiejś zmarłej pisarce, więc będą ważni pisarze, jak, powiedzmy, Henry James, i dyplomaci, architekci i tak dalej.

– Kim ty będziesz?

– Edith Wharton – odparła dumnie. – Pamiętasz ten film z Winoną Ryder? Kostiumowy? Nakręcono go na podstawie powieści Wharton.

– A czemu nie wybrali do tej roli jakiejś innej znanej pisarki?

Wzruszyła ramionami.

– Pojęcia nie mam. Może są jakieś nieużyte. Facet, który był Henrym Jamesem, chyba mnie podrywał – zachichotała. – O, czyżby zadziałał twój gen zazdrości? – szepnęła, wsuwając rękę w jego spodnie.

Została trzy dni, podczas których Andy cieszył się aprobatą i zazdrością kolegów. Przynajmniej większości z nich.

– Świetny nowy model – pochwalił James Leonard, sprinter, a Gary D’Allesandro, który biegał na tysiąc pięćset, oświadczył: – Jeśli ma siostrę, zastrzegam prawo pierwszeństwa.

Tylko Mitch miał wątpliwości, Andy widział to bardzo wyraźnie. Pewnie tęsknił za Rachel. I chyba nie polubił Maisie – gdy przychodziła na treningi, jakoś nie potrafił znaleźć z nią wspólnego tematu i szybko zmywał się od Andy’ego, kiedy ona tam była.

– Jest piękna! Naprawdę! Superlaska! – powiedział, gdy Andy go o to zahaczył. – Po prostu fantastyczna. Ja tylko... no wiesz – mówił, patrząc w podłogę. – Rachel też była fajna.

Andy się z nim zgadzał. Brakowało mu jej... ale było już za późno. Wróciła do Nowego Jorku, do czegoś, co zdaniem Andy’ego uważała za swoje prawdziwe życie, i to mu ciążyło na sercu jak kamień, jak coś, co spadło na niego i co będzie musiał nosić do końca życia.

Nadeszło lato. Andy poleciał do Sacramento na biegi kwalifikacyjne. Mimo rozwalonego życia osobistego wyniki sportowe ciągle poprawiał, jakby ból pchał go na bieżni wciąż do przodu, zawężając mu pole widzenia, aż dostrzegał jedynie linię mety. Kiedy zakwalifikowali go do Aten, jako jednego z dwóch reprezentantów USA w biegu na pięć kilometrów, chciał zadzwonić do Rachel, ale była z nim Maisie. Obejmowała go i uśmiechała się, pozując fotografom, jakby jej bardzo zależało, żeby się znaleźć na każdym zdjęciu. Jeśli Rachel oglądała wiadomości, to widziała też Maisie.

Kupił bilety dla mamy i pana Sillsa, wysyłając ich do Grecji trzy dni wcześniej, żeby mogli się rozgościć, zwiedzić zabytki, odpocząć. Maisie sama zapłaciła za siebie.

– Do zobaczenia na mecie – powiedziała.

Andy znał procedury: prosto z samolotu zawiozą ich do wioski olimpijskiej, gdzie nocują, jedzą, i w przypadku singli sypiają ze sobą. On nie był zainteresowany, w głowie biegł już na pięć kilometrów, wizualizował przeciwników i siebie obejmującego prowadzenie w pierwszym okrążeniu, zostawiającego resztę daleko, daleko z tyłu.

W wyścigu eliminacyjnym na pięć kilometrów pobiegło trzydziestu pięciu mężczyzn. Tylko piętnastu się zakwalifikowało do finału. Czas Andy’ego, trzynaście minut i dwadzieścia sekund, ustawił go w środku stawki, czyli idealnie –

nie wypalił się i wciąż miał coś w zanadru na finał.

– Powodzenia, bracie – życzył mu Tim Fine, drugi Amerykanin w jego konkurencji, któremu nie udało się zakwalifikować.

Reszta pola należała do Kenijczyków, Algierczyków, Marokańczyków i Etiopczyków, samych dwudziestojedno- i dwudziestodwulatków, drobnych i lekkich, jakby stworzonych do prędkości. Ze swoim metrem siedemdziesiąt pięć i osiemdziesięcioma kilogramami Andy czuł się przy nich jak gigant, był zresztą tylko jednym z trzech biegaczy w finale, którzy nie urodzili się w Afryce. W końcu odciął myśli i skoncentrował się na oddechu. Pogoda – słońce i delikatny wiaterek – nie miała znaczenia, podobnie jak ludzie na trybunach, trenerzy, koledzy czy wspomnienia tego wszystkiego, co doprowadziło do tej właśnie chwili. Kiedy pistolet wystrzelił, Andy poszedł do przodu z jedną tylko myślą w głowie: „Nikt mnie nie wykluczy”. Hicham El Guerrouj, faworyt konkurencji, biegł gdzieś w środku, czekając na właściwy moment, by zaatakować, czyli na ostatnie kilkaset metrów, gdy zwiększył tempo i zaczął deptać Andy’emu po piętach. Biegli ramię w ramię aż do ostatnich dwustu metrów, kiedy Andy, choć nogi paliły go jak żywy ogień, a ciało krzychało, by stanął, przyspieszył i pierwszy przeciął metę, ledwie pięć setnych sekundy przed El Guerroujem. Cały wyścig trwał nieco poniżej dziesięciu minut.

Resztę dnia pamiętał jak przez mgłę. Trenerzy wykrzykiwali mu w ucho pochwały, ktoś podał amerykańską flagę, którą okrył ramiona podczas zwycięskiego okrążenia. Uściskał płaczącego El Guerrouja. Gdy wręczali medale, Maisie, Lori i pan Sills znaleźli się tuż przy podium. Andy dotknął swojego krążka, przesuując palcami po grawerunku. Nadal trudno mu było uwierzyć, że tego dokonał, że spełnił swoje marzenie, wygrał. Czuł się jak stworzony ze światła i powietrza, uwolniony od wszelkich starych trosk i smutków, jakby wzniesiony na wyższy poziom, ponad innych ludzi z ich pracą, codziennymi małymi radościami i frustracjami, i jakby nigdy już nie musiał stamtąd schodzić i znów żyć w prawdziwym świecie... a wtedy, dokładnie w tym momencie, w głowie usłyszał inny, niedobry głos, szept brzmiący jak pobrzękiwanie groszy w puszcze żebraka: „A co, jeśli to nie wystarczy?”.

Otrząsnął się, czując nagły chłód, a aplauz publiczności zmienił się w niewyraźny, jakby stłumiony dźwięk, przypominający plusk fal uderzających bezsensownie o brzeg. Znów poczuł swoje ciało, ciężkie jak z ołowiu, pokryte gęsią skórą, i z wolna ogarniający go znajomy smutek. Zdobył każdą wstęgę, każdą nagrodę, włącznie z tą najważniejszą: złotym medalem. Wiele poświęcił – miłość, przyjaźń, cały swój czas. Zrzekł się praktycznie własnego ciała. A teraz? Co, jeśli nawet to wszystko nie wystarczy, by uciszyć ten głos, czasem przypominający głos matki, a czasem głos ojca, którego nie znał, głos mówiący: „Nie zasługujesz na to, nie jesteś tego wart, nigdy ci się nie uda”.

Z zamyślenia wyrwały go okrzyki mamy i tłum skandujący jego imię.

Pan Sills, imponujący w bluzie reprezentantów USA, mocno opinającej mu brzuch, co chwila unosił okulary, by otrzeć łzy. Maisie nie chciała puścić ręki Andy'ego.

– Będziesz potrzebował agenta – stwierdziła wieczorem, a kiedy na nią spojrzął, lekko oszołomiony po całym tym dniu, pocałowała go i uspokoiła: – Zostaw to wszystko mnie.

W domu medal powędrował do wyściełanego aksamitem pudełka, a Andy rozpoczął nowe życie. Najpierw reklamy butów, w których zdobył olimpijskie złoto. Potem portret w „Vanity Fair” (reklamę umieszczono tuż obok, co dało mu do myślenia). Razem z Maisie pozowali dla magazynu „People”, w numerze *Najpiękniejsi*. („Nie jestem piękny” – zauważył Andy, na co Maisie odparła: „Oczywiście, że jesteś... i ja też, cukierczku, a to jest reklama, jakiej nie kupią ci żadne pieniądze świata”). Później było więcej reklam, nagrania, pierwszy turniej golfa dla amatorów i zawodowców, gdzie grał w czwórce z najlepszym golfistą świata, prezenterką wiadomości i słynnym koszykarzem, którego jako dziecko oglądał w telewizji. Maisie uznała, że przyda mu się stylistka, na co się zgodził, choć niechętnie – ale faktycznie było to łatwiejsze niż spędzanie całych dni w sklepie, by wybrać coś, co dobrze wygląda. Agent załatwił mu kolejny artykuł tylko z powodu nowego wizerunku. Kiedy fotograf oznajmił Maisie, że chce zdjęcie samego Andy'ego, była zła, ale ucieszyła się, gdy w artykule o sportowcach jako trendsetterach wymieniono jej nazwisko i nazwano ją supermodelką.

W końcu przyszło i to, na czym naprawdę mu zależało, a mianowicie telefon ze „Sports Illustrated”. Reporter nazywał się Bob Rieper, znany wśród biegaczy jako Smutny Bob. Był szczupły, wysoki i lekko przygarbiony, miał prostokątną twarz, ciemne włosy opadające na oczy i niski, dźwięczny głos, jakby stworzony do komunikowania złych wiadomości.

Bob był w Atenach, widział też Andy'ego w Oregonie, gdzie ten nadal mieszkał i trenował, oraz w Nowym Jorku, gdzie wynajął mieszkanie z Maisie. Rozmawiał z Andym o następnej olimpiadzie w dwa tysiące ósmym roku i pojechał z nim do Filadelfii – Andy miał tam pogadankę w szkole podstawowej, a potem przedstawił Boba swojej mamie i panu Sillsowi. Przez cały ten czas Bob ani razu się nie uśmiechnął.

Tego ranka to właśnie jego głos usłyszał w telefonie, który wyrwał go ze snu o pogoni za dziewczyną w niebieskich kowbojskich butach Rachel, która uciekała przed nim Frankford Avenue w Filadelfii.

– Cześć, co słychać?

Bob nie uznawał tych gadek o niczym.

– Muszę cię o coś zapytać.

– Pytaj.



– Chodzi o twojego ojca.

Andy poczuł jedynie lekką ciekawość. Wstał z łóżka i podszedł do okna.

– No to słucham.

– Powiedziałaś, że zmarł w Niemczech, kiedy byłeś dzieckiem.

– Zgadza się.

– I że w ogóle go nie pamiętasz i nigdy nie próbowałaś niczego więcej się dowiadywać.

– No tak. – Maisie przyglądała mu się z łóżka, unosząc brwi. Andy wystawił jeden palec – minuta. Maisie kiwnęła głową i przewróciła się na drugi bok. – O co chodzi?

– Nie wiem, jak to powiedzieć. Chyba nigdy nie musiałem przekazywać nikomu takich wiadomości.

– Jakich wiadomości?

Uzmysłowił sobie, że kołysze się nerwowo na palcach i bębni ręką o udo.

Po drugiej stronie usłyszał westchnienie.

– Nasi ludzie znaleźli Andrew Landisa, który chodził do Roman Catholic i ukończył ją w tym samym roku co twój ojciec. Data wcielenia do armii też się zgadza.

– No i...

– Tylko że on żyje.

Andy przemierzał pokój, jak zawsze, gdy rozmawiał przez telefon. Kiedy usłyszał „żyje”, znieruchomiał.

– Żartujesz sobie? – zapytał nie swoim głosem.

– Żyje – powtórzył tamten. – W siedemdziesiątym dziewiątym poszedł do więzienia. Jego kolega kogoś zastrzelił, chyba konkurencyjnego dealera. I dał twojemu ojcu broń, żeby się jej pozbył, ale złapali go z nią, więc oskarżyli go o współudział. A że wcześniej już miał kłopoty, zasądziły najwyższy wymiar kary.

Andy doszedł później do wniosku, że musiał coś powiedzieć albo krzyknąć, bo po chwili poczuł na ramieniu dłoń Maisie i zobaczył jej przestraszoną twarz. Pokręcił głową, bezgłośnie powiedział „okej” i znów uniósł jeden palec.

– Jakie miał wcześniej kłopoty?

– Handel narkotykami, kradzież, włamanie...

– No, no – przerwał mu Andy, usiłując się roześmiać. – Może lepiej wymień, czego nie zrobił, będzie szybciej.

– Muszę coś z tego umieścić w artykule – oznajmił Bob. – Sam rozumiesz, jeśli ja o tym nie napiszę, zrobi to ktoś inny, więc skoro o tym wiem, nie mogę tego nie wykorzystać. Chciałem dać ci szansę to skomentować.

– Rozumiem.

Przeszedł korytarzem ich przestronnego, ale jeszcze niemal pustego mieszkania do łazienki. Z lustra patrzyła na niego obca twarz. Żyje. W więzieniu.

Nigdy nie próbował się skontaktować. Mama nie pisnęła słówkiem. Wiedziała? Jak mogła nie wiedzieć?

– Ale to nie... to znaczy, on nie... współudział oznacza, że on nikogo nie zabił?

– Na to wygląda. Złapali go z bronią w ręku. Pech. – Andy nie mógł znieść współczucia w głosie Smutnego Boba. – Może daj sobie chwilę czasu. Pogadaj z rodziną. Poproszę cię o komentarz później, teraz się tym nie przejmuj.

Nagle uderzyła go przerażająca myśl.

– Masz zamiar z nim porozmawiać?

– Pewnie spróbuję. Półtora roku temu wyszedł na warunkowe. Mieszka teraz w Filadelfii – mówił Bob. – To część twojej historii.

Mojej historii, powtórzył w myślach Andy. To tym się stał? Swoją historią? Ale skoro już musiał być historią, to wolałby być tą, którą sam stworzył, nad którą pracował od liceum, a która takim czasopismom jak „Vanity Fair” i „Philadelphia Examiner” w zupełności wystarczała. „Andy Landis, zwycięzca. Andy, który wychodzi na prowadzenie i je utrzymuje. Zapłaci każdą cenę. Andy Landis, który wychował się w filadelfijskich slumsach, żeby zdobyć złoty medal w Grecji”. Proste. Inspirujące. Jakże amerykańskie.

Chyba w którymś momencie musiał się pożegnać, bo nagle zorientował się, że stoi ze słuchawką, z której dobiega ciągły sygnał, a Maisie bacznie mu się przygląda.

– Nie uwierzysz – rozpoczął... i wtedy uzmysłowił sobie z dotkliwą jasnością, że nie mówi tego do Maisie, tylko do Rachel.

Ale Rachel nie odbierała jego telefonów, a Maisie patrzyła pytającym wzrokiem.

– Chodzi o mojego tatę.

– To znaczy? Przecież on nie żyje.

– Tak powiedziała mi mama. – Głos wiązał mu w gardle. – Ale w „Sports Illustrated” odkryli, że żyje. Spędził dwadzieścia lat w więzieniu, a teraz mieszka w Filadelfii.

– Matko, to co zrobił?

– Współudział w morderstwie.

Andy wybrał numer mamy, a gdy nikt nie odebrał, nagrał się. „Hej, ma, tu Andy. Oddzwon jak najszybciej, proszę cię, to ważne”.

Już kiedy odkładał słuchawkę, zdał sobie sprawę, że właściwie Lori i tak nic mu nie wyjaśni, nie da rady usprawiedliwić tak wielkiego kłamstwa.

– Kochanie. – Maisie chciała go jakoś uspokoić. Położyła mu ręce na ramionach i zaczęła masować, co Andy’ego zwykle bardziej drażniło, niż koło, bo dłonie miała tak małe, że nie potrafiła uzyskać odpowiedniej siły nacisku. Ale nic nie powiedział. – Boże, nie umiem nawet... powiedz, jak mogę ci pomóc.

– Nie mam pojęcia.

Nie miał pojęcia, jak się czuje, czego chce i co ma robić. Zadzwoił znów do matki i znów nic. Maisie podjęła swój masaż, a on nagle się poczuł, jakby ściany mieszkania go przygniatały, jakby miał zbyt ciasne ubranie, a skóra się na nim kurczyła. Jeśli się nie ruszy, wybuchnie.

– Daj mi chwilę.

Ubrał spodnie, koszulkę z długim rękawem, jedną z kilkunastu par butów, jakie miał do biegania, i już był za drzwiami. Bez rozciągania, bez planowania, nawet jej nie powiedział, dokąd wychodzi. Przebiegł przez ulicę do parku i biegł dalej, bez pulsometru, żelów energetycznych, prędkościomierza i licznika kilometrów, najszybciej, jak umiał, aż w końcu stanął na ścieżce przy East River, wyciągnął telefon i wstukał numer, dziwiąc się, że go pamięta.

Nie odbierze, myślał. Pewnie już dawno zmieniła numer. I co ja jej właściwie powiem? A ona?

Usłyszał jeden sygnał, potem drugi, już miał się rozłączyć i schować telefon, albo może poszukać prywatnego detektywa, który odkryje, co naprawdę się stało, kiedy w słuchawce rozległ się jej głos.

– Halo? – powiedziała i zaraz dodała: – Andy?

– Cześć, Rachel.

Rozejrzał się wkoło, ze zdziwieniem spostrzegając, że dobiegł aż do drogowskazu na rafinerię Domino Sugar.

– Co się stało?

– Skąd wiesz, że coś się stało?

– Dzwonisz po tak długim czasie i w dodatku brzmisz jakoś dziwnie. Coś musiało się stać.

Rachel, Boże, ten znajomy, bliski głos. Wszystko było tak, jakby rozmawiali dopiero co wczoraj.

– Chodzi o mojego ojca – powiedział w końcu. – On żyje.

– Co takiego? – Słyszał, że mówi coś do kogoś, potem jakiś szelest i odgłos zamykanych drzwi. – Zaraz, czy... czy powiedziałeś właśnie, że twój tata żyje?

– Żyje – powtórzył ochryłym głosem. Czuł się, jakby był jednym wielkim węzłem, zaciśnięte pięści, napięte uda. – Nie umarł. Był w więzieniu. Przez prawie całe swoje życie.

– Boże – powiedziała, a on wyobraził ją sobie, jak myśli. Pamiętał, jak razem odpoczywali, Rachel z głową na jego piersi patrzyła w sufit i cmokała językiem. Zapach jej włosów, miękkość ramion. – I co zamierzasz?

– Nie wiem. Chyba pojedę do domu. Pogadać z mamą. Spróbuję go odnaleźć, zapytać... – Odsunął się, żeby przepuścić grupę rowerzystów. – Zapytać, dlaczego nie chciał mnie poznać.

– Och, Andy – powiedziała takim smutnym głosem, i takim znajomym,

takim kochanym, że Andy poczuł, jak jego ciało, to idealnie wyregulowane narzędzie, które żywił, hołubił i o które dbał, rozpada się, jakby było z popiołu i soli. – Boże, Andy.

– Rachel – wychrypiał Andy... i bez zastanowienia dodał: – Pojedziesz ze mną?

– Za miesiąc wychodzę za mąż – powiedziała równocześnie z nim Rachel.

– Za mąż? – W jednej chwili poczuł się tak, jakby jakiś kulomiot źle wycelował i osiem kilogramów uderzyło wprost w jego brzuch. Otworzył usta. – Gratulacje – dodał chrapliwie.

– Miałam zamiar do ciebie zadzwonić... jeszcze przed, ale pomyślałam... – mówiła strasznie cicho.

„Jak mogłaś?” – myślał tymczasem Andy... ale przecież nie miał prawa czynić jej wyrzutów, nie miał do niej żadnych praw. Nigdy nie próbował jej odzyskać, nawet nie próbował jej powiedzieć, że wciąż o niej myśli i wyobraża sobie, że jednak ostatecznie będą razem.

– To świetny facet. – Rachel siliła się na entuzjastyczny ton, jakby sama siebie przekonywała do zalet przyszłego męża... a potem, bardzo szybko, szeptem, zanim się rozłączyła, dodała jeszcze: – Czasami żałuję, że to nie ty.

Rachel  
2003

W końcu przestanie boleć. Tak sobie powtarzałam, leżąc skulona na łóżku i płacząc albo tylko leżąc, jak ogłuszona. Było mi niedobrze, smutno i źle, nie mogłam się podnieść, jakbym już nie umiała wrócić do świata. Pozostało mi to jakoś przetrwać, innego sposobu nie ma. Przynajmniej nie udawał, że mnie nadal chce, nie zrobił przedstawienia. Po prostu mu przeszkadzałam, nie pasowałam do świata, który obraca się wokół kondycji i wyników, w którym na imprezach rozprawia się o progu mleczanowym i w którym zamiast mnie rano przytulić i zapewnić o swojej miłości, Andy zaczynał dzień od rozłożenia na podłodze karimaty lub też od ćwiczenia nóg z dziwnym przedmiotem przypominającym plastikową wycieraczkę samochodową, a służącym do rozluźnienia mięśniowo-powięziowego.

Spakowałam się, gdy on był jeszcze w Nowym Jorku. Rozważałam powrót na Florydę, ale sama myśl o „a nie mówiliśmy” wypisanym na twarzach rodziców, o ile nie wypowiedzieliby tego głośno, była po prostu nie do zniesienia. Więc poleciałam do Nowego Jorku, gdzie przez jakiś czas korzystałam z couchsurfingu, dopóki nie znalazłam małej umeblowanej kawalerki na Osiemdziesiątej Szóstej, zapisałam się z powrotem na uniwersytet i dostałam płatną pracę w Stowarzyszeniu Pomocy Rodzinie, którego Amy nadal była szefową, a Brenda, co wcale mnie nie zdziwiło – podopieczną.

– O, kochaneńka, a cóż to się stało? – zapytała Brenda.

Byłyśmy umówione na dziewiątą i od jakiegoś czasu czekałam u niej na schodach, gdy w pewnym momencie wyskoczyła z nieznanego samochodu, bardzo żwawa, w radosnym nastroju, czarnych botkach do kolan ozdobionych frędzlami i zgrabnej czarnej skórzanej kurteczce. Sprawiała sobie grzywkę, dość krótką, na jaką mogą sobie pozwolić tylko kobiety o idealnych rysach i pięknie wyrzeźbionej czaszce, a Brenda, choć była naprawdę śliczna, do takich się nie zaliczała. Za to nowa dziewczyna Andy’ego owszem. Wyszukałam ją w internecie i była dokładnie taka, jak się spodziewałam: olśniewająca, egzotyczna, szczupłe biodra, małe kształtne piersi i twarz bez skazy, z którejkolwiek strony by spojrzeć. „Najgorszy koszmar kobiety” – powiedziałam przyjaciółkom. Amy proponowała, żebym na jakiś czas zatrzymała się u niej. Pamela zaoferowała, że przyjedzie z Wirginii, a Marissa aż z Vermontu. Wszystkie trzy orzekły, że jestem dla niego za dobra, „światowej klasy biegacz czy nie, to jednak dziwne sypiać z facetem, który ma mniejszy tyłek niż ty”.

– Spóźniła się pani – zwróciłam uwagę Brendzie.

Był poniedziałek, środek marca, chłodno i słonecznie, na drzewach pojawiły się już delikatne pąki kwiatów. Nienawidziłam tej pogody. Wolałabym coś bardziej

pasującego do mojego nastroju – szare, burzowe niebo przecinane błyskawicami. Przez ostatni miesiąc praktycznie nie spałam i mało co jadłam. W głowie bez przerwy odgrywałam ostatnią rozmowę z Andym, ilustrowaną obrazami Maisie, co mnie wykańczało, więc nie miałam dla Brendy zbyt wiele cierpliwości.

– No tak, zepsuł mi się samochód, więc, tego, znajoma, eee, Lynn, mnie podwiozła.

– Ta Lynn wygląda dokładnie tak samo jak pani były chłopak Stephen. Nie może się pani spóźniać na spotkania. Jeśli napiszę w sprawozdaniu, że nie stosuje się pani do zasad, mogą cofnąć pomoc.

– Postaram się – powiedziała bez cienia skruchy w głosie.

Otworzyła drzwi wejściowe i wspięłyśmy się przez trzy piętra wąskich schodów do chaosu, który Brenda nieodmiennie odtwarzała w każdym z trzech kolejno zajmowanych przez nią mieszkań, które odwiedzałam. Z sypialni dolatywał świergot ptaszka. Pies nadal pierdział na podłodze. Słyszałam uderzenia skrzydeł o klatkę, czułam zapach papierosów, męskiego potu i tanich perfum. Na stoliku gazety i kolorowe magazyny, na podłodze mnóstwo butów i skarpet, w kącie zmięta kurtka, a na kanapie pilot, bez tylnej klapki zamykającej przegródkę na baterie. Brenda go podniosła i zbadła wzrokiem.

– Kabłówkę też będę musiała wyłączyć. Za droga. – Milczałam, więc kontynuowała: – No i zepsuł mi się samochód, a facet w sklepie nie da pożyczki. Odesłał mnie do wypożyczalni.

– Czy samochód jest na gwarancji?

Spojrzała, jakbym nagle przestała mówić po angielsku, a mnie ogarnął znów nieopisany smutek.

– Wie pani co? – podjęłam decyzję. – Przyjdę w przyszłym tygodniu.

– Zaraz, jak to? Już pani idzie? A co z moim samochodem?

– A co, zlikwidowali metro?

Otworzyła szeroko oczy.

– Dlaczego jest pani taka wredna? – szepnęła. – Odkąd się znamy, nigdy pani taka nie była, nigdy, ani razu.

Oparłam się o ścianę.

– Muszę panią przeprosić... – zaczęłam, lecz Brenda nie zwróciła na to uwagi.

– Wszyscy inni są. Ci w biurze stanowym i w szkole. Kasjerki w supermarkecie, gdy podaję moją kartę, i pozostali klienci w kolejce też, wszyscy patrzą na mnie, jakbym była powietrzem. Ale z panią się tak nie czuję.

– Przepraszam. Mam akurat trochę osobistych problemów.

Jej twarz się rozpuściła.

– Tak? A co się stało? – zapytała, pochylając się nade mną, gotowa na plotki. – Dlaczego właściwie pani wróciła? Nie wyszło z facetem?

– Nie, nie, nie będziemy o tym rozmawiać, naprawdę muszę iść. – I nagle coś mi się przypomniało. – Zbadala pani Dantego na ADHD?

Brenda znów się nachmurzyła.

– Tak. Co za gówno. Uwierzy pani, że tego nie ma? Za to ma talent – dodała, jasno dając do zrozumienia, że nie tego oczekiwała.

– Gratuluję.

– Akurat. Na talenty nie dostaje się kasy.

– Nieprawda – zaprzeczyłam. Włożyłam kurtkę i chciałam zapiąć torbę. – Można dostać pieniądze na rozwój... – Zamek się zaciął, więc pociągnęłam mocniej, a wtedy został mi w dłoni. Torba się otworzyła i wszystkie dokumenty spadły na podłogę. Przykucnęłam, żeby je pozbierać, ale nie mogłam się ruszyć. Kołysałam się tylko na piętach, chowając twarz w dłoniach. Po policzkach ciekły mi łzy.

– No już, już. – Brenda nieśmiało położyła mi rękę na ramieniu. – Niech pani da spokój. Żaden facet nie jest tego wart.

Milczałam, gdy prowadziła mnie na kanapę. Nie przestawałam płakać. Brenda podała mi chusteczkę (oczywiście firmową, choć sto razy rozmawialiśmy o tym, że ta bez znanego logo jest dokładnie taka sama) i potem filiżankę kawy rozpuszczalnej.

– No i proszę – skwitowała, potrząsając głową. – Dwie najsmutniejsze dziewczyny w Nowym Jorku.

Obmyłam twarz w łazience Brendy i wróciłam do biura, a potem metrem do domu. Postanowiłam zacząć znów żyć jak normalnie funkcjonujący człowiek. Nastawiałam budzik i rozkoszowałam się tymi kilkoma sekundami po obudzeniu, gdy jeszcze nie pamiętałam, co Andy mi zrobił, gdzie jestem i że nadal sama. Zmuszałam się do wstania i włożenia czegoś na grzbiet. Odwiedzałam podopiecznych, odbywałam umówione spotkania, uczestniczyłam w sesjach podsumowujących przed egzaminem zawodowym. Na wieczór kupowałam mrożoną zapiekankę z kurczakiem, wkładałam ją do piekarnika, a sama brałam prysznic. Kiedy już wylałam całą ciepłą wodę, a obiad był gotowy, zjadałam go, wypijając kieliszek wina, kładłam się do łóżka i zażywałam tabletkę nasenną, bo w końcu udało mi się je wydębic od lekarza. Spałam, jakby mnie ktoś zdzielił w łeb. Nie pozwoliłam sobie dzwonić do Andy'ego ani przeszukiwać internetu, by zobaczyć jego wyniki, jego zdjęcia, jej zdjęcia czy ich zdjęcia. Próbowalam się koncentrować tylko na tych złych rzeczach: jak to bolało, być jedyną osobą w towarzystwie Andy'ego, która nosiła na sobie widoczny tłuszcz, albo jak w siłowni patrzyły na mnie biegaczki, i na tym, że zawsze byłam u niego na ostatnim miejscu, po treningach, diecie, grafiku czy wyścigu, który miał za miesiąc, albo tym sprzed miesiąca, i kiedykolwiek zaproponowałam wyjście na kolację, do kina, do teatru czy muzeum, był albo zajęty, albo zbyt zmęczony. „Co

to za życie?” zapytywałam siebie... i wtedy coś mi się przypominało – seks pod prysznicem, jego śmiech – i już nie mogłam się dalej okłamywać. Mimo całej irytacji i rozdrażnienia, które czułam, to właśnie było życie, jakiego pragnęłam.

W czerwcu zrobiło się okropnie duszno, ale Amy nalegała, żebym poszła z nią do SoHo, a potem na drinka.

– Za miłość – wzniosła toast koktajlem z szampanem. – Zarejestrowałam cię na JDate.

– Nie. Nie, błagam, nie.

– I żadnej dyskusji, proszę – dodała stanowczo, wręczając mi swój telefon, żebym mogła zobaczyć własny profil.

Na szczęście zamieściła dobre zdjęcie, zauważyłam ponuro, z wesela Pameli Boudreaux – byłam druhną z białą kamelią za uchem, uczesaną w piękny kok chinon.

– Tylko dziesięć randek – zaproponowała Amy.

– Pięć – targowałam się.

– Osiem – nie ustępowała mi Amy. – Posłuchaj, jeśli nie wyjdiesz do ludzi, to już każdą niedzielę spędzisz przy *Bezsensowności w Seattle* albo *Kiedy Harry poznał Sally*.

– A to źle, ponieważ...

– Ponieważ gdzieś tam czeka na ciebie twój facet. Musisz się otworzyć na możliwości, jakie proponuje ci świat.

– Tak mówi twoja instruktorka jogi?

– Nie. Przeczytałam to na serwetce w nowej knajpie z sałatkami.

– No dobrze, ale co jeśli ja już spotkałam tego mojego faceta? A on mnie rzucił dla modelki od kostiumów kąpielowych?

O ile mi było wiadomo, Maisie reklamowała również inne produkty, ale wolałam ją tak nazywać, bo brzmiało o wiele gorzej niż po prostu „modelka”.

– Słoneczko, Andy to nie był twój facet.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Bo gdyby był – powiedziała – to byłby tutaj z tobą. Albo ty tam z nim. Bylibyście razem, prawdopodobnie zaręczeni.

Trudno było z tym polemizować, a łatwo się zalogować i przeglądać setki zdjęć facetów, jak pozycje w katalogu zatytułowanym *Miłość*. Wielu wyglądało naprawdę dobrze, w dodatku wydawali się zabawni i interesujący. Ale z drugiej strony nietrudno osiągnąć taki efekt w internecie. Tam każdy stanowi świetną partię.

– To loteria – pouczyła mnie Amy. Radziła, by zbyt szybko się nie przywiązywać, uzbroić w grubą skórę i umawiać z kolejnymi, nawet jeśli czekam na krok obiecującego egzemplarza. – Przygotuj się na najgorsze – ostrzegła.

A jednak „najgorsze” okazało się o wiele gorsze, niż sobie to wyobrażałam.



Pierwszy był czarus imieniem Nate, spoza internetu, kolega ze studenckiego bractwa kuzyna Pameli, Martina. Do baru na środkowym Manhattanie, w pobliżu jego biura, przyszedłem dziesięć minut wcześniej i siedziałem już z kieliszkiem chardonnay, kiedy się pojawił – w modnych okularach, z bajerancką płócienną torbą. Podbródek miał większy niż na zdjęciu, a w jego twarzy było coś zarozumiałego, jakby mówił: „Zakosztowałem w życiu wiele przyjemności i mam zamiar to kontynuować”.

– Witaj! – powiedział, wyciągając rękę. Uśmiechał się, ale tylko ustami, oczy pozostały chłodne i oceniające, lustrowały salę, pewnie w poszukiwaniu czegoś bardziej obiecującego. – Jesteś Rachel?

– Jestem Rachel.

Członkostwo w stowarzyszeniach studenckich powinno nam zapewnić konkretne dziesięć minut rozmowy, liczyłam w głowie, jego praca autora przemówień i moja w Stowarzyszeniu Pomocy Rodzinie kolejne dziesięć – do tego czasu uporamy się z drinkami i będziemy mieli jakie takie pojęcie, czy chcemy się jeszcze spotkać.

Hostessa zaprowadziła nas do stolika. Podeszedł kelner. Nate zamówił szkocką, a ja stłumiłam ziewnięcie.

– Masz ochotę coś zjeść? – zapytał.

– Jadłam dziś późny lunch – skłamałam.

W ogóle nie jadłam lunchu, pochłonęłam tylko w metrze batonik musli, żeby mi na randce nie burczało w brzuchu. Nie miałam ochoty jeść. Chciałam już być w domu, bez butów, bez biustonosza, z miską owsianki i kolejnym odcinkiem *Przyjaciół*.

– Ja bym coś zamówił, jeśli nie masz nic przeciwko.

Owszem, mam.

– Jasne.

– Jakoś zupełnie zapomniałem o lunchu.

Nie ufałam ludziom, którzy zapominają o jedzeniu. Przypomniało mi się, że Andy nie ufał niskim, twierdząc, że każdy z nich chce coś udowodnić. Wyrzuciłam Andy’ego z głowy, zastanawiając się, ile mi zajmie wyeksmitowanie na dobre jego głosu, i skupiłam się na Nacie, który nie był niski i był Żydem, w dodatku umiarkowanie przystojnym i w pełni do przyjęcia.

Zamówił hamburgera, wysmażonego, z frytkami.

– Może jednak się skusisz? – zapytał, więc wzięłam zupę.

Osiem dolarów za miskę wodnistego rosółu z mącznym makaronem. Za te pieniądze mogłabym przyrządzić cały gar dobrego jedzenia, a na pewno lepszego niż to, co mi zaserwowali. Mieszkając z Andym, często robiłam zupy – wystarczająco zdrowe dla niego i smaczne dla mnie. Nauczyłam się gotować trzy różne soczewicowe, grochówkę, minestrone, włoską zupę weselną z małymi

pulpecikami, na ostro, z czosnkiem i serem...

– No! – Nate miał coś zielonego między zębami. Ładne włosy, zauważyłam. Gęste, bez śladu łysienia czy zakoli. Skupmy się na dobrych stronach. – Opowiedz mi o sobie!

Doszłam mniej więcej do „Urodziłam się na Florydzie”, gdy mi przerwał, wspominając swoich dziadków, którzy na emeryturze osiedli w Sarasocie, po czym kontynuował, zatrzymując się dłużej na tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, kiedy to spędził ferie wiosenne w St. Pete, i konkludując ogólną uwagą, że woli jeździć na narty niż na plażę.

– Za dużo piachu, no wiesz – powiedział i zrobił przerwę na kęs burgera, który przeżuł, przełknął, i wtedy zapytał: – Jeździsz na nartach?

– Nigdy się nie nauczyłam. Jak byłam mała, chorowałam na serce, więc rodzice byli bardzo ostrożni i na wiele rzeczy mi nie pozwalali.

– O.

I wrócił do burgera. Zazwyczaj wspomnienie o chorobie serca prowokowało przynajmniej kilka pytań, krótką wymianę, co się stało i czy jest poprawa, ale Nate’a bardziej chyba interesował posiłek niż moja kondycja zdrowotna. Stłumiłam kolejne ziewnięcie i ukradkiem zerknęłam na zegarek, tani timex. Dostałam co prawda od babci zegarek Cartiera, ale powodował zbyt wiele zamieszania, kiedy zakładałam go do pracy. Brenda na przykład chciała go przymierzyć, kręciła nadgarstkiem wte i wewte. „Ja nigdy nie będę miała czegoś tak pięknego” – powiedziała ze łzami w oczach. Zegarek Andy’ego z kolei mierzył mu puls. Czasami prosiłam, żeby zakładał go, gdy się kochaliśmy, żeby sprawdzić, czy serce mu przyspiesza, jak go całuję albo robię inne rzeczy.

– Opowiedz mi o pisaniu przemówień – zaproponowałam.

Przez pięć minut Nate mówił i jadł, opisując, jak wylądował u burmistrza (ojciec był jego urologiem) i jak burmistrz nieodmiennie niszczył efekt jego pracy swoim wysokim, nosowym głosem. A potem tak jakoś naturalnie chyba wrócił do tematu nart.

– Uczyłem się jeździć w Vermont. Nie jeździłem w puchu aż do studiów, to było coś zupełnie nowego.

Moja rozpacz zaczynała chyba wytwarzać coś w rodzaju swoistej siły grawitacyjnej, bo aż dwóch kelnerów podeszło do stolika.

– Dziękujemy, proszę o rachunek – poinformował ich Nate, wkładając do buzi dwie ostatnie frytki i nawet mnie nie pytając, czy mam jeszcze na coś ochotę. Wykonałam oczekiwany gest sięgania do torebki, on obowiązkowo machnął ręką. – Nie, nie, zapraszam cię.

W niecałe dwie minuty rachunek został uiszczony, zabraliśmy swoje kurtki i torby i wyszliśmy na ulicę.

– Ja w tę stronę – powiedziałam, wskazując na stację metra i zastanawiając

się, co zrobię, jeśli będzie mnie chciał cmoknąć albo postawi w niezręcznej sytuacji i poprosi o kolejne spotkanie.

Niestety... albo może stety.

– Słuchaj, fajnie było cię poznać, ale będę szczery. Chyba nie widzę tu przyszłości.

– Mhm.

Nie byłam zainteresowana dalszymi wyjaśnieniami, podobnie jak nie byłam zainteresowana kolejną randką, ale Nate inaczej zinterpretował mój pomruk.

– Jesteś świetną laską i na pewno podobasz się wielu facetom, ale ja umawiam się tylko z ósemkami i dziewiątkami.

Zakładałam właśnie torbę na ramię. Kiedy powiedział „ósemkami i dziewiątkami”, zamarłam w pół ruchu, przekonana, że się przesłyszałam.

– Słucham?

– Z ósemkami i dziewiątkami – powtórzył więc, jakby to było zupełnie normalne i jakby w ogóle nie obrażało kobiet ocenianie ich liczbą punktów, jak monety w kolekcji albo steki u rzeźnika: pierwszy gatunek, drugi i trzeci.

– A ja jestem...

Był na tyle bezczelny, żeby poprawić okulary i lepiej się przyjrzeć.

– Myślałaś o wyprostowaniu włosów?

Spojrzałam poza niego. Chodniki były pełne ludzi, nieś-li pojemniki z jedzeniem na wynos, aktówki i torby z zakupami, szli z komórkami przy uszach, jechali na rowerach i tak dalej, jakby świat był normalnym miejscem, gdzie ludzie stosowali przyjęte ogólnie normy życia społecznego, a mężczyźni rozumieli, że nie mogą głośno opowiadać, ile której przyznali punktów, no, chyba że są akurat sami.

– Jesteś palantem – powiedziałam uprzejmie.

– Hej, spokojnie. – Uniósł ręce, jak zwykle robią mężczyźni, gdy chcą powiedzieć: „To nie ja”. – Przecież świat nie kończy się na mnie.

– I masz nieświeży oddech – dodałam równie uprzejmie. Nie wiedziałam, czy to prawda, bo na szczęście aż tak się nie zbliżyliśmy, ale na burgerze miał surową cebulę, więc istniała spora szansa. – A także małe, kobiece dłonie.

Nate spojrzał na swoje ręce. Potem na mnie.

– Dziecięce rączki – rzuciłam, po czym uniosłam wysoko głowę, z obfitymi lokami i w ogóle, i odeszłam dumnie.

Nie rozpląkałam się, dopóki nie zamknęłam drzwi na klucz, nie przebrałam w swój szenilowy szlafrok i nie związałam brzydkich włosów w kucyk.

„Jesteś piękna” – usłyszałam w głowie... głos Andy’ego. „Naprawdę piękna”.

Nate, na szczęście, okazał się tym najgorszym... ale inni wcale nie byli dużo lepsi. Copywriter z agencji reklamowej całą randkę narzekał na swoją byłą („Chyba miała chorobę dwubiegunową” – podejrzewał). Rabin, zabawny

i czarujący, pluł notorycznie drobinkami jedzenia. Bankier wychwalał niebywale wakacje, z których właśnie wrócił ze swoją mamą. Kiedy pokazał mi zdjęcie, na którym mamusia w bikini obejmuje synka w pasie, skłamałam, że spieszę się na spotkanie, i uciekłam.

Nie zawsze było okropnie. Trafiło się kilka drugich i trzecich randek, które jakoś wypaliły się bez bólu. Poznałam miłych facetów, którzy mnie nie pociągali, i kilku bardzo pociągających, jednak niezbyt miłych. Żaden mnie nie oczarował, żadnego nawet nie miałam ochoty lepiej poznać, usłyszeć o jego psie czy pierwszej miłości i o tym, czego oczekiwał od życia.

W końcu, po naleganiach Amy, zgodziłam się spotkać z jej znajomym.

– Jest trochę starszy – ostrzegła mnie.

– Czyli?

– W moim wieku.

– O rany, to staruszek!

Rzuciła we mnie paczką spinaczy.

– Polubisz go. Poświęca się dobrym uczynkom. Udzielał się w Teach for America, w AmeriCorps i w Korpusie Pokoju.

– Dużo Ameryki i dużo korpusów. A co robi teraz?

– Skończył prawo, ale pracuje jako redaktor.

– I co redaguje?

Amy milczała chwilę. Założyłam ręce na piersi.

– No, słucham.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, to był magazyn dla miejskich rolników.

– No nie. Daj spokój, czy ja wyglądam, jakbym lubiła przebywać wśród kóz?

– On raczej nie ma kóz, tylko jest redaktorem w czasopiśmie dla ludzi, którzy mają.

– A co za różnica? W salonie ma zapewne klatkę z kurami.

– Na pewno nie jest gorszy od plującego rabina.

– Jeśli użyje sformułowania „wyłącznie tradycyjnymi metodami”, to wychodzę.

– Okej.

– Oraz „kultowy”. Tego nie zdzierzę.

– Nie ma sprawy.

– Nigdy nie był żonaty? Dlaczego?

Amy wzruszyła ramionami.

– Czasami jedyne wyjaśnienie brzmi, że zwyczajnie nie spotkał właściwej dziewczyny.

– No dobra – burknęłam. – Ale swoje osiem odbyłam. I nic. Jak ta nie wypali, wisisz mi kolację w Shun Lee.

W piątek wieczorem ułożyłam włosy, wbiłam się w dyżurną sukienkę

randkową i przybyłam do swojej ulubionej knajpki, jak zwykle wcześniej, żeby mu się przyjrzeć, gdy będzie wchodził. Dawali tu grzanek trzy sery, która dla mnie była bezapelacyjnie kanapką bogów – pieczony na miejscu chleb na zakwasie z trzema różnymi serami. „Dwanaście dolarów za kanapkę?” – jęknął Andy, gdy ją pierwszy raz zamówiłam. „Nikt ci nie każe płacić” – odparłam. „A teraz spadaj”.

Drzwi się otworzyły i może dlatego, że myślałam o Andym, przez jedną rozpaczliwą chwilę miałam wrażenie, że to będzie on, Andy, który się w końcu opamiętał i uratuje mnie przed facetami plującymi jedzeniem, gładzącymi o swoich byłych i wyjeżdżającymi z mamusią na romantyczne wakacje. Ale oczywiście to nie był Andy, tylko Jay Kravitz, o lśniących, brązowych włosach, sporym nosie i miłym uśmiechu. Wyciągnął rękę.

– Rachel, prawda?

– Rachel, prawda.

Niespecjalnie przystojny, zyskiwał dużo przez uśmiech, miał przyjemny, mocny uścisk dłoni i ładnie pachniał, jakby użył wprost idealnej ilości bardzo dobrej wody po goleniu. Usiadł naprzeciwko i spojrzał na mnie uważnie, ciepło i w skupieniu. Hm, pomyślałam, coś się we mnie poruszyło. Cóż, jeśli już nic innego, to w każdym razie zwrócił moją uwagę.

– Na co masz ochotę? Coś do picia czy dasz się namówić na wspólną kanapkę?

Z chęcią pożarłabym moją serową grzanek, musiałam się powstrzymać przed sprzątnięciem jej z talerza człowiekowi przy sąsiednim stoliku, któremu właśnie ją podano. Powiedziałam jednak coś innego.

– Może się napijmy. Bo jestem jeszcze umówiona na siódmą.

Kilka lat wcześniej biblią każdej singielki stała się książka pod tytułem *Zasady*, a zasada numer jeden głosiła, że nigdy nie należy robić wrażenia zbyt dostępnej. Jeśli facet ma myśleć o mnie jak o potencjalnej żonie, nie mogę się zgadzać na randkę w ostatniej chwili. Musi na mnie czekać, ścigać mnie i myśleć, że ma rywali ustawionych w kolejce, walczących o mój czas. W sumie nie miałam planów, ale pomyślałam, że zadzwonię do Amy, która zaraz kończy pracę, i namówię ją na małe pogaduchy albo wypiję latte w Starbucksie.

– Inny facet? No taa, inny facet, prawda? – Udał nadąsanego, a kiedy nie odpowiedziałam, zaproponował: – Zróbmy tak. Ty się z nim spotkasz, a ja poczytam sobie gazetę, i jeśli ci się nie spodoba, to wrócisz na kolację ze mną.

– A jeśli się spodoba? Jeśli to ten jedyny?

– No trudno, oddam cię – odparł Jay, przyjmując wyraz szlachetnej rezygnacji i rozkładając gazetę. – Nie posunę się do tego, by pokrzyżować szyki prawdziwej miłości.

– Czy powiedziałaś „pokrzyżować szyki”?

– Owszem – potwierdził.

Uśmiechnęłam się i poprosiłam kelnerkę o kieliszek wina.

– Amy mówi, że jesteś redaktorem.

Pokręcił głową.

– Już nie.

– Porzuciłeś miejskie rolnictwo?

– No cóż, nie da się w nieskończoność pisać, jak tworzyć plany zagospodarowania przestrzennego, żeby w Red Hook nadal mogły spokojnie żyć króliki. Więc wróciłem do prawa.

Zaklaskałam z udawanym uznaniem. On się skłonił.

– Jestem adiunktem na Uniwersytecie Nowojorskim, prawo karne. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, na wypadek gdyby Amy opowiedziała ci o moim kopaniu latryn w Sierra Leone, a ty poszukujesz raczej gajowego Mellorsa.

Uśmiechnęłam się i odwróciłam wzrok, zastanawiając się, skąd wiedział, że dokładnie to przyszło mi do głowy, i skąd wiedział, że czytałam *Kochanka Lady Chatterley*, pomiędzy *Jakiego koloru jest Twój spadochron?* i żydowską książką kucharską *Nakarm mój lud*. Miło byłoby spotykać się z kimś, kto czyta. Andy miał na półce poradniki o bieganiu, biografie biegaczy, pamiętniki biegaczy i aż dwa egzemplarze *Once a Runner*.

Po dwóch kieliszkach wina i o wielu więcej odniesieniach do literatury nadszedł czas pożegnania. Jay wstał i odprowadził mnie do drzwi.

– Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy.

W kiosku kupiłam jakiś brukowiec, przy kawie przeczytałam połowę, a potem, usiłując okiełznać swoje wyolbrzymione oczekiwania i przygotować się na najgorsze, wróciłam do Jaya.

– Umieram z głodu – oznajmiłam, a on wstał, wziął mnie za rękę i cmoknął w policzek.

– W takim razie zjedzmy coś.

Przy serze z grilla dowiedziałam się, że Jay ma trzydzieści cztery lata i dwoje młodszego rodzeństwa. Mama zmarła na raka piersi pięć lat wcześniej, tata jest prawnikiem w Greenwich, fundusze powiernicze i masy spadkowe, i liczy, że Jay do niego dołączy.

– Dołączysz?

– Pewnie tak – odparł wesoło. – Nie jest to najbardziej ekscytujące zajęcie na ziemi, ale za to czas pracy całkiem do rzeczy i prawie w ogóle nie bywa się w sądzie. No i daje stabilizację. Ludzie zawsze będą pisali testamenty, a bogacze potrzebowali rady, jak ochronić swój majątek przed chciwymi potomkami.

Odpowiedziałam na pytania o moją pracę i podopiecznych, wyobrażając sobie, jak by to było: spędzać czas z mężczyzną zadowolonym i spokojnym, który nie wymaga od siebie ciągle więcej i więcej, walcząc o coś nieprawdopodobnie trudnego do osiągnięcia.

Jay doskonale odpowiadał wyobrażeniom moich rodziców o przyszłym zięciu, sami lepiej by go nie wymyślili. Studiował na Uniwersytecie George'a Washingtona, potem Columbia, między studiami uczestniczył w wolontariatach. Miał za sobą dwa poważne związki, lecz ostatni rok przeżył jako singiel. No i podobne pochodzenie – żydowska rodzina, acz nie ortodoksyjna, rodzice z bezpiecznej wyższej klasy średniej, ale nie obrzydliwie bogaci. Jego pasją, jak przyznał, jest gra w scrabble, bierze udział w turniejach.

– Tak naprawdę to nic takiego – zastrzegł od razu. – Żaden ze mnie geniusz, w angielskim wygrywa ten, kto zna więcej wyrazów dwuczłonowych.

Skromny, stwierdziłam. Sensowne hobby. Ironiczne poczucie humoru i potrafi się z siebie śmiać. Miła, budząca zaufanie twarz. Mogłabym z nią żyć.

Na drugiej randce – *Między słowami* w Lincoln Center i japoński rosół ramen – opowiadałam mu o bracie, Jonahu, który z zazdrości o to, że tyle czasu poświęcano mi w szpitalach, pewnego razu próbował symulować guza mózgu, żeby na niego też zwrócili uwagę. Jay opowiedział o siostrze i jej zaburzeniach odżywiania, i jak dziwnie się czuł u niej w szpitalu.

– Cały czas myślałam: „Matko kochana, zjedz coś, przecież to nic trudnego. Zjedz hamburgera i możesz wracać do domu!”.

Pojechał ze mną metrem, choć mieszkał zupełnie gdzie indziej, i odprowadził mnie pod drzwi.

– Uważam, że masz piękne serce – powiedział, po czym mnie pocałował.

Jego słowa nie poruszyły mnie tak bardzo, jak niegdyś słowa Andy'ego... ale nie miałam już przecież szesnastu lat, a Andy należał do przeszłości. Przez tak wiele dni uczyłam się tego od początku. Budziłam się pełna nadziei, a potem smutek spowijał mnie jak choroba, gdy tylko przypominałam sobie wydarzenie, które zdominowało moje życie: że Andy odszedł.

Na trzeciej randce poszliśmy na sushi. Ogromna sala, przyciemnione światło, na wielkich białych talerzach garnirowanych spiralkami z białego lub różowego mięszu podano nam miniaturowe porcje ryżu, wasabi oraz wiórki i skrawki jarzyn. Wspominaliśmy swoje bar i bat micwy, Jay opowiadał o pierwszym doświadczeniu seksualnym – z koleżanką z liceum wynajęli pokój w Days Inn, wypili butelkę wina, on wystrzelił na jej udo i przez pięć minut ją przeproszał, zanim się zorientował, że zupełnie odleciała, straciła przytomność. Po uiszczeniu rachunku na sto dwadzieścia dolarów oboje przyznaliśmy, że nadal jesteśmy głodni, i wyszliśmy w zimną listopadową noc, trzymając się za ręce opatulone w rękawiczki. Bardzo szybkim marszowym krokiem dotarliśmy do knajpy Burger Bar, ukrytej za ciężkimi aksamitnymi kotarami w holu hotelu Le Parker Meridien, i zamówiliśmy dwa cheeseburgery oraz frytki i ciasto czekoladowe. Jay wziął piwo, ja czekoladowego shake'a.

– Wiem, że sushi jest trendy, ale ja go po prostu nie lubię – wyznałam,

zlizując ketchup z palców.

– Skoro już zwieramy się sobie z naszych sekretów... – zaczął Jay, a ja się wyprostowałam. Jak dotąd był raczej transparentny, masz to, co widzisz, żadnych mrocznych tajemnic. A więc to tylko pozory? Obciągnął rękawy i dokończył: – Nie wiem, jak się zapatrujesz na kwestię noszenia futer, czy jesteś na przykład zdecydowaną przeciwniczką, ale tak sobie myślę, że jeśli z tego... – tu wykonał gest ręką wskazujący na piwo, burgery, stolik i na mnie – ...coś będzie, to powinnaś wiedzieć, że w rodzinie jest futro. Mama odziedziczyła je po babci, a ja po mamie, dla swojej przyszłej żony.

Zaczerwieniłam się. Miałam ochotę oswoić się z tą myślą, pobawić się możliwością poślubienia go, faktem, że ktoś lubi mnie na tyle, żeby chcieć ze mną spędzić swoje życie. Sprawdziłam, co czuję, szukając śladów niepokoju i wątpliwości, ale znalazłam jedynie spokój i zadowolenie. Cieszyłam się, że poznałam Jaya, i skakałam z radości na myśl, że skończy się to polowanie, że będę mogła się odprężyć w normalnym związku i przestać się tak bardzo starać – zawsze świeży manikiur i pasemka, woskowanie nóg, sukienki prosto z pralni, połykanie niesamowitych ilości tic-taców, żeby mieć słodki oddech, no i rezygnowanie z deserów, nawet gdy miałam na nie ochotę.

– A twoja siostra?

– Robin jest weganką. Od ósmego roku życia nie zjadła nic, co ma głowę. I nie należy do tych potulnych. Głosi wszem wobec, że „mięso to morderstwo”.

Jay odchylił się na krześle. W przeciwieństwie do Andy’ego, który wiecznie się wiercił i bębnił palcami, potrafił siedzieć, albo leżeć na mojej kanapie, nieruchomo jak wygrzewający się na słońcu jaszczur.

– Sam nie wiem – kontynuował. – Może gdyby to były norki, zabrzmiałoby inaczej... Ale bóbr strzyżony? Trochę nieprzyzwoite, co? Babcia zakładała je na wszystkie ważne święta.

– To oczywiste.

Na Florydzie rzadko widuje się futra, a jednak kilka razy, gdy temperatura spadła poniżej piętnastu stopni, nagle się pojawiły. Panie zarzuciły je na opalone (kort tenisowy) ramiona, torebki przewiesiły w zgięciu łokci umięśnionych (pole golfowe) rąk i wachlowały się broszurkami z ogłoszeniami.

– Więc tolerujesz futra? – Wyglądał tak zabawnie z tą nadzieją w oczach, że aż się roześmiałam.

– W wieku sześciu lat miałam futro z królika. Na Florydzie. I króliczą mufkę do kompletu. To też nie brzmi zbyt przyzwoicie.

– Mufkę do kompletu – powtórzył Jay.

Pod stołem jego kolano zetknęło się z moim. Odsunęło się zaraz, potem wróciło, z mocnym naciskiem, a ja poczułam, że palą mnie policzki i ogarnia dziwna słabość.



Jay pochylił się i pocałował mnie w policzek, po czym wtulił głowę w moją szyję. Zadrżałam i zamknęłam oczy.

– Jesteś śliczna – szepnął mi w ucho.

– A ty słodki – szepnęłam ja.

– Bardzo jesteś jutro zajęta?

Nawet nie próbowałam grać, wymyślać usprawiedliwień czy sprawdzać kalendarza.

– Bardzo zajęta tobą.

Wiosna i lato upłynęły nam na wspólnych wyprawach do restauracji, kin i teatrów. Popołudnia spędzaliśmy w parkach i muzeach. Przechodziliśmy spacerem most Brookliński – z Brooklynu na Manhattan, żeby nie budzić złych wspomnień tamtego straszego dnia – by zjeść falafel na pchlim targu. Nawet skoczyliśmy do Bostonu, do Jamaica Plain, bo Jay czytał, że mają tam najlepsze samosy na świecie. Próbowaliśmy też bulgogi w Queens i arepy w Bronxie, a nawet polewaliśmy tłuszczem z kurczaka ziemniaki w Sammy Roumanian na Lower East Side.

Jay był słodki i zabawny, i zawsze szarmancki, proponował, że poniesie za mnie, cokolwiek miałam ze sobą, i przytrzymał dla mnie drzwi. W restauracjach wysuwał mi krzesło i wstawał, kiedy ja wstawałam, w barach i pubach znajdował nam jakiś miły kącik. Mogłabym z tym żyć, pomyślałam znowu na ławce w Rockefeller Center, z Jayem u stóp, gdy wiązał mi sznurówki wypożyczonych łyżew. Kiedy z chichotem wjeżdżałam w bandę, trzymał mnie za łokieć. Policzki płonęły mi pod wełnianą czapką, a Jay był bardzo przystojny w niebieskim szaliku w kratkę, ilekroć zaś głos w mojej głowie szeptał, że „to nie Andy” i że choć ten facet może być idealnym partnerem na papierze, to przy nim nie czuję tego, co z Andym, kazałam mu się zamknąć. To Andy mnie zostawił, a nie na odwrót. Kochałam go, on mnie zostawił, teraz muszę żyć dalej.

W niedługim czasie Jay właściwie wprowadził się do mnie. Obawiałam się tego wszystkiego, przed czym ostrzegały mnie koleżanki i różne kobiece magazyny – skarpet na podłodze, mokrych ręczników na łóżku i naczyń w zlewozmywaku. Okazało się jednak, że Jay jest porządniejszy niż ja, choć nigdy nie narzekał, gdy zostawiałam torbę na podłodze przy drzwiach albo sweter na kanapie.

Kiedy zaczęła się olimpiada, postanowiłam nie zwracać na nią uwagi. Zmuszałam się do przechodzenia obok włączonego telewizora, a sportowe magazyny Jaya wrzucałam wprost do kosza. Wiedziałam, że Andy zdobył złoto – bardzo się starałam unikać wszelkich wiadomości, ta jednak do mnie dotarła – ale nie pozwoliłam sobie na dociekanie, gdzie mieszka, ani wysyłanie mu gratulacji. Jeśli już nie mogłam mu życzyć szczęścia, mogłam go chociaż zostawić w spokoju, tak jak on mnie zostawił w spokoju, żebym mogła znaleźć swoją drogę... tę, jak się

wydawało, bez gwiazdy sportu u boku, kogoś, kto wymagałby ode mnie doszlifowania i dopasowania się do jego życia, żywienia się ochłapami jego wolnego czasu i uwagi, czekania cierpliwie, podczas gdy on biegał, rozciągał się, biegał, podnosił ciężary, biegał i zanurzał swoją delikatną lewą łydkę w specjalnym basenie. Nigdy nie będę dziewczyną na trybunach, wiwatującą, kiedy on staje na podium, nie będę tą, której on by dziękował w wywiadach i którą by wymieniał jako źródło swojej inspiracji. Moje przyjemności będą bardziej zwyczajne, moje życie spokojniejsze, co nie znaczy mniej satysfakcjonujące. Dam sobie radę.

Pół roku po tym, jak zamieszkaliśmy razem, po powieszeniu jego garniturów i ułożeniu butów w mojej szafie, gdy jego scrabble na dobre zamieszkały na kuchennym stole i dwa razy zjadłam wspólny obiad z jego rodziną, Jay ponownie zabrał mnie na łyżwy. Jeździliśmy, trzymając się za ręce, a potem zaproponował drinka, więc poszliśmy do baru, w którym się poznaliśmy. Nie zaskoczyło mnie powleczone aksamitem pudełeczko, które wyciągnął z kieszeni, by zaprezentować idealny pierścionek – z okrągłym brylantem, sporym, ale nie ostentacyjnie wielkim, w pięknej ozdobnej oprawie. Nie ukląkł i nie zawstydził mnie przed tłumem obcych ludzi ani też nie schował pierścionka pretensjonalnie w deserze, gdzie przez przypadek mogłabym go połknąć. Jay wziął mnie za rękę i spojrzał mi w oczy.

– Zawsze będę cię kochał. A ty?

– No pewnie, że tak – odparłam, a on włożył mi pierścionek na palec i pocałował mnie.

– Pani Kravitz – dodał.

Na to czekałam, pomyślałam sobie. Po to było całe to cierpienie i ból. Myślałam, że to Andy był moim przeznaczeniem, ale może był tylko lekcją do przerobienia, przeszkodą, którą musiałam pokonać, by pokazać, że zasłużyłam na życie mi przeznaczone, na to życie, z tym człowiekiem.

Część III  
Stracony czas

Rachel  
2005

– Rachel!

Odwróciłam się, czując, jak spinam mięśnie pleców, jakby gotując się na cios, gdy zobaczyłam idące w moim kierunku Karę, Kelsey i Britt, ramię w ramię, niczym Aniołki Charliego. Wyglądały niemal tak samo jak w liceum.

Wahałam się, czy przyjechać na ten szkolny zjazd. Martwiłam się, co pomyśli Jay, bałam się spotkać ludzi, którzy prawdopodobnie pamiętają mnie jako rozpieszczoną, zmanierowaną i wymuskaną dziewczynę, którą bardziej interesują ciuchy i fryzura niż cała reszta świata. Pytałam swoją ginekolog, czy latanie w ósmym miesiącu ciąży nie jest czasem niewskazane, mając nadzieję na wymówkę, by jednak zostać w domu, a kiedy mi pozwoliła, nienawidziłam się za próżność, gdy w pięciu różnych sklepach szukałam sukienki ciążowej, w której nie wyglądałabym jak sterowiec odziany w wiskozę.

Przed imprezą siedziałam na łóżku w moim dawnym pokoju, a Marissa poprawiała przed lustrem swoją tanią podróbkę sukienki od Herve Leger. Podjęłam kolejną próbę, by nie iść.

– Właściwie niezbyt dobrze się czuję.

Marissa nawet na mnie nie spojrziała.

– Rachel, wygrałaś. Masz męża, piękny pierścionek, piękny dom, jesteś w ciąży...

– Po pierwsze, to jest życie. Tu się nie wygrywa. A Kara, Kelsey i Britt i tak wiedzą o Andym, więc jeśli pójdę, będę musiała o nim gadać, a nie chcę.

– Boże kochany. To twoja szkolna miłość. O co ci chodzi?

– Zdobył złoty medal. Na olimpiadzie. O to chodzi. Wszyscy będą chcieli wiedzieć, co u niego i czy nadal mamy kontakt.

Poprawiłam biustonosz, zmieniając pozycję na wygodniejszą, choć wygodnie nie czułam się już od kilku tygodni. Jak idiotka wyobrażałam sobie, że ciążę przejdę śpiewająco, ze ślicznym małym brzuszkiem, zaróżowiona i szczęśliwa. Niestety, los zafundował mi trądzik, nabrzmiałe piersi i ogromny tyłek oraz wiele innych dolegliwości, takich jak ból głowy i pulsowanie w piersiach. Nawet pochwa mnie bolała. Kiedy narzekałam, lekarka tylko się uśmiechała i odpowiadała nieodmiennie: „Jest pani w ciąży”. Dzięki bardzo.

Non stop byłam zmęczona: noszeniem dodatkowych kilogramów, całonocnym kopaniem i przewracaniem się mojego lokatora, samym myśleniem, że moje zrekonstruowane serce musi pompować teraz za dwoje. Męczyła mnie również wciąż powtarzająca się rozmowa z Jayem, która jeszcze nie była kłótnią, ale zmierzała w tym kierunku. Chciał, żebym po urodzeniu dziecka została w domu. Ja na to, że widziałam wystarczająco dużo noworodków, które robią kupy

i płaczą, by wiedzieć, że są tak samo interesujące jak kwiatki doniczkowe, i że jeśli będę musiała siedzieć z takim dzień i noc, to zwariuję. Jay twierdził, że z własnym dzieckiem będzie zupełnie inaczej, więc ostatecznie zgodziliśmy się odłożyć tę sprawę do porodu, lecz miałam wrażenie, jakby ktoś zostawił otwarte okno w pokoju, które jest naszym małżeństwem, i teraz czułam zimny przeciąg. Mój miły, kochany mąż nagle zaczął mnie przerażać. Gdy coś szło nie po jego myśli, zaciskał usta i powiększały mu się dziurki w nosie. I ten jego zadufany ton ojca, który wszystko wie lepiej – miałam ochotę mu przywalić. Uznałam, że dostaję przedsmak tego, co czeka mnie za jakieś czterdzieści lat, i ta perspektywa mnie nie zachwyciła.

Przynajmniej tego wieczoru dobrze wyglądał, ubrany w świeżutką koszulę i spodnie. Pewnym krokiem wszedł na salę, z naturalnym uśmiechem przedstawiając się moim szkolnym koleżankom i ich partnerom.

– Jay Kravitz – mówił, podając dłoń, a potem kciukiem wskazywał na mnie i dodawał: – Jestem z Rachel.

Jay pracował teraz wspólnie z ojcem w jego kancelarii. Z pomocą jego rodziców i nieco większą pomocą moich kupiliśmy dom na Brooklynie, z kominkami i małym ogródkiem oraz wystarczającą liczbą pokoi dla trojga, a nawet czworga dzieci, jeśli będziemy chcieli. W Country Clubie moich rodziców i tym podobnych miejscach czułem się jak u siebie, i ja, gdybym została na Florydzie, zapewne też tak bym się czuła.

– Raaa-chel!

Włosy Britt były jaśniejsze niż w liceum i albo je zapuściła, albo przedłużyła na tę okazję. Krótka czerwona sukienka z frędzelkami, niesamowicie wysokie obcasy i makijaż taki sam jak w liceum – dużo czarnego eyelinera, wydłużona i podkreślona kreska. – Słonko! – zapiszczała, obejmując mnie opalonymi ramionami. – A gdzie twój facet?

– Jay, mój mąż, jest... o tam.

Britt odwróciła głowę, podobnie jak Kara i Kelsey.

– Ooo, niezły! – pochwaliła, jakby Jay był nowo zakupioną torebką z wyprzedaży.

– No dobra. – Kelsey złapała mnie za rękę. – W zeszłym roku oglądałam olimpiadę i jak zobaczyłam jego nazwisko, matko, ale wrzasnęłam... – I tu wrzasnęła pogładowo, aż wszyscy odwrócili się w naszą stronę. – Kurczę, mówię, znam tego faceta! Bo to był on, prawda? Ten sam Andy Landis?

– Ten sam – potwierdziłam, opierając rękę na brzuchu i zerkając na Marisę.

Ostatecznie zdecydowałam się na czarną tunikę z podwyższonym stanem, czarne legginsy i botki na wysokich obcasach, czego już żałowałam, oraz naszyjnik, który specjalnie na tę okazję pożyczyłam od babci: trzy nitki bursztynowych sznurów modlitewnych – od najmniejszych koralików wielkości

groszku do największych w rozmiarze gum do żucia.

– Ale powiedzcie w końcu, co u was.

Britt uczyła w piątej klasie w szkole w Clearview (ciekawe, jak chłopcy reagowali na jej długie blond włosy i jeszcze dłuższe opalone nogi), Kelsey planowała ślub z menadżerem hotelu o imieniu Rick, a Kara zrobiła studia pielęgniarские i pracowała na oddziale ginekologiczno-położniczym.

– Ach tam my, opowiadaj o sobie. – Britt przyciągnęła mnie do siebie na tyle blisko, że poczułam w jej oddechu białe wino, którym się raczyła. – Masz kontakt z Andym?

– Nie – powiedziałam. – Po college’u wszystko się skończyło.

Co tam moje lata w Portland, co tam, że mieszkał ze mną, gdy poznał Maisie. Wiedziałam, że nadal są razem. Staralam się nie wiedzieć i nie wyszukiwać go w internecie, ale przez te wszystkie lata zdarzyło mi się kilka chwil słabości. Zdecydowałam się na kwestię Marissy.

– Ostatecznie ile osób poślubia swoje szkolne miłości?

Britt z uśmiechem wskazała Patti Cohen, teraz Patti Cohen-Mendelsohn, która faktycznie poślubiła Larry’ego. No cóż, mam nadzieję, że teraz lepiej całuje.

– Nie każdej parze się to udaje – dodała. – Ale gdybym miała na kogoś stawiać, stawiałabym na was dwoje. Byliście tacy...

W tym momencie dostrzegła przy bufecie Pete’a Driscolla. Naszemu byłemu rozgrywającemu przybrało się kilka kilogramów i w ogóle nie miał włosów.

– Pete, Boże, ty PALANCIE! – zapiszczała natychmiast. – Nic nie powiedziałeś, że będziesz!

Ściskając mnie na odchodnym, odeszła kołyszącym krokiem, a Kara i Kelsey w ślad za nią, zostawiając mnie przywiedłą, zmęczoną i marzącą, by jak najszybciej znaleźć się w domu.

Poszukałam wzrokiem Jaya, a kiedy nie znalazłam ani jego, ani Marissy, wzięłam sobie szklankę wody, usiadłam przy dziesięcioosobowym stoliku, który opustoszał, gdy tylko zaczęli grać, i pod osłoną obrusa zdjęłam buty. Pocierałam prawą stopę i rozciągałam lewą, kiedy ktoś do mnie podszedł.

– Cześć, Rachel.

Przez chwilę przyglądałam się jej uważnie, ale w końcu ją rozpoznałam. Musiałam się sprężyć, by nie okazać zdziwienia. Bethie Botts w granatowej dzianinowej sukience z krótkim rękawkiem, która otulała jej ciało, odsłaniała ramiona i kremową skórę. Włosy, bez odrobiny tłuszczu, uczesane zostały w kok. Włożyła też długie kolczyki, we włosy wpięła wysadzany koralikami grzebień... a na lewej dłoni błyszczał drobniutki brylant.

– Bethie?

– Elizabeth – poprawiła mnie.

Zobaczyłam jej drobne ząbki, które pamiętałam ze szkoły, jak ziarenka

kukurydzy. Ale cała reszta została odmieniona. Musiała zamienić okulary na soczewki albo poddać się operacyjnej korekcji wzroku. Zielonkawoniebieskie oczy błyszczały i miała naprawdę przyjemny wyraz twarzy.

– Pięknie wyglądasz – wyrwało mi się bez namysłu.

– Dzięki – odparła i spojrzała na moje bose stopy. – Puchną? Moje były jak banie, nie mogłam nawet zawiązać sznurówek. – Dotknęła brzucha swoją kształtną dłonią.

– Masz dziecko?

– Synka. Gabriela, ma teraz sześć miesięcy. Zostaje dziś na noc z babcią, tak że przysiliśmy z mężem.

Ze sposobu, w jaki wypowiedziała, jakby nieśmiało, słowo „mąż”, domyśliłam się, że podobnie jak ja wciąż przyzwyczajają się do nowej sytuacji. Gapiłam się na nią, próbując dopasować tę najzupełniej normalnie wyglądającą kobietę do wiecznie zasmarkanej i zapłakanej kreatury, jaką pamiętałam ze szkoły. Korciło mnie, żeby zapytać, jak to się stało, jak doszło do takiej zmiany, ale jakoś nie mogłam się na to zdobyć i tylko bredziłam coś o innych.

– Czy to nie dziwne? Najpierw myślałam, że wszyscy wyglądają dokładnie tak jak w szkole, ale potem widzę Pete’a Driscolla, i to tysego...

Bethie się uśmiechnęła – prawdziwym uśmiechem, a nie udawanym, irytującym grymasem, który nosiła dawniej na twarzy. Jakbym zobaczyła zupełnie nową osobę, Bethie, ale nie Bethie. Właśnie, Elizabeth.

– No i ty! – zauważyłam. – Wyglądasz fantastycznie!

– Dzięki. Ale bądźmy szczerze, w szkole wyglądałam tak okropnie, że wystarczyłoby przeczesać włosy i już byłoby sto razy lepiej.

Spojrzałam na nią uważnie.

– Chcesz wiedzieć, co się stało, tak?

Kiwnęłam głową.

– Pamiętasz, że wtedy w Atlancie mama Melissy Nasser była jedną z naszych opiekunek?

– No pewnie.

– Pani Nasser... pani Diane... jest terapeutką. Po powrocie dzwoniła do mnie albo łapała mnie w szkole lub w synagodze, przyjeżdżała nawet do mojego domu zastępczego i namawiała na rozmowę. Chyba minął rok, zanim pierwszy raz się do niej odezwałam, i to tylko po to, żeby jej powiedzieć coś w rodzaju „odwal się”. Ale w końcu zgodziłam się pogadać, żeby przestała mnie nagabywać. – Obróciła pierścionek na palcu. – Nie sądziłam, że to coś pomoże, no bo niby jak gadanie o tym, co się stało, mogłoby mi pomóc się z tym uporać? Ale ona знаła różne sztuczki i nauczyła mnie ich. Na przykład, jak zmienić tor myślenia, spojrzeć od innej strony albo przełamać schemat w momencie, kiedy zaczynałam wspominać złe czasy. Więc to nie było tylko gadanie.

Pomyślałam o Dantem, synku Brendy, o tym, że pomimo całego gadania Amy o profesjonalizmie, granicach i nieprzywiązywaniu się myślałam o nim więcej niż o całej reszcie podopiecznych razem wziętych. Bethie była pewnie dla pani Nasser takim moim Dantem.

„Ale co się stało?” – miałam na końcu języka. Co to za „złe czasy”?

Nie zapytałam jednak, bo znałam już odpowiedź... a przynajmniej jakąś jej wersję. Bethie zapewne przydarzyło się to samo co wielu kobietom, z którymi pracowałam – różne szczegóły i identyczna historia. Gdybym chciała poświęcić temu wtedy więcej uwagi, sama bym się mogła domyślić.

– Kiedy skończyłam osiemnaście lat, odeszłam z ostatniej rodziny zastępczej i przez rok mieszkałam z Nasserami. Znalazłam pracę u psiego fryzjera i zaczęłam się uczyć w St. Petersburg College, no i... no wiesz, zresztą... – Uniosła brwi. – Pozbierałam się jakoś, teraz chodzę do szkoły rabinackiej, uwierzyłabyś w to? Żeby też coś zrobić dla innych.

– Będiesz świetna – zapewniłam ją, a ona znów się uśmiechnęła.

– A co u ciebie oprócz tego małego człowieczka w brzuchu?

Opowiedziałam jej więc, że jestem pracownikiem socjalnym, i chwilę rozmawiałyśmy o pracy, o ostatnich cięciach budżetowych rządu i co one oznaczają dla szkół i instytucji działających na rzecz kobiet i dzieci, i o tym, czy inicjatywy Busha oparte na wierze zdołają tu coś zmienić.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęłam w pewnym momencie. Właściwie głównie z tego powodu dałam się Marissie namówić na przyjsście tutaj. Miałam nadzieję spotkać Bethie. Ona jednak od razu pokręciła głową.

– W porządku.

– Czuję się okropnie. – W oczach stanęły mi łzy. – Z powodu mojego zachowania.

Bethie spuściła wzrok, wodząc palcem po wzorze obrusa.

– Ty przynajmniej specjalnie się nie starałaś, jak wielu innych. Jakbym była punktem do odhaczenia na ich codziennej liście: schować książki, wpisać się na zajęcia i pośmiać się z Bethie.

Odwróciłam głowę, by otrzeć łzy. Kolejny wielki „plus” bycia w ciąży, nie dość, że boli, to jeszcze człowiek wiecznie się rozkleja – oglądając wiadomości, czytając o dzieciach w niebezpieczeństwie, a nawet podczas reklamy karmy dla psich seniorów. Teraz, przed trzydziestką, wyglądało na to, że spełnią się ostrzeżenia i w końcu zamienię się we własną matkę.

– Może i nie – przyznałam, pamiętając jednak to, co mówiłam i robiłam, jak przewracałam oczami za plecami Bethie. Czasem – częściej, niżbym chciała – przychodziła mi do głowy scena z Atlanty, gdy Marissa wywaliła jej rzeczy z reklamówki, potrząsała nią i wyzywała, i to, jak oderwałam oczko tego słonika. Pamiętałam każdy szczegół: koszulkę z jednorożcem, wyraz jej twarzy, dźwięk



spadającego na podłogę szkiełka. – Ale też nie zrobiłam nic, by to zmienić. Mówi się przecież, że aby zło się pleniło, wystarczy bezczynność dobrych ludzi, prawda?

– To było w końcu liceum. Zło jest z nim nierozzerwalnie związane. – Poklepała mnie po ręce. – A twój walkman dostarczył mi wielu miłych chwil.

Odetchnęłam i uśmiechnęłam się do niej. Miałam wrażenie, że otrzymałam przebaczenie, na które nie zasłużyłam.

– Masz jakiś kontakt z Andym? Bo Dale, mój mąż, no wiesz, oglądaliśmy olimpiadę i kiedy go zobaczyłam, wykrzyknęłam oczywiście: „Ja go przecież znałam!”.

– Ja też go znałam.

– Jak to? Co się stało? – zapytała w końcu. – Widziałas ten artykuł w „Sports Illustrated”? O ojcu, który był w więzieniu, podczas gdy Andy myślał, że nie żyje? To musiało być straszne.

– Rzeczywiście – przyznałam.

Jeśli nękanie Bethie było największym wyrzutem sumienia mojego dzieciństwa, to fakt, że nie byłam z Andym, kiedy dowiedział się o ojcu, było największym wyrzutem mojego dorosłego życia.

Może i nie mogłam być wtedy jego dziewczyną, ale przecież mogłam być przyjacielem. Kimś, kogo znał całe życie, kto wiedział, kim jest naprawdę i dlaczego jest taki, jaki jest.

W dniu publikacji artykułu rozpakowywałam się w naszym nowym domu. Transakcję przeprowadziliśmy tydzień wcześniej. Babcia zmywała naczynia, które wcześniej umyłam już w zmywarce, mama natomiast przechodziła załamanie nerwowe, bo kobieta z butik, w którym kupiłam suknię ślubną, poinformowała nas, że mogą nie zdążyć z poprawkami. I w środku tego wszystkiego telefon z redakcji „Timesa”, bo chcieli potwierdzić szczegóły naszego zawiadomienia o ślubie – szkoły, rodzeństwo i tym podobne.

Z telefonem przytrzymanym ramieniem potwierdzałam, że owszem, Beaumont, z wyróżnieniem, i biegłam do skrzynki, by zobaczyć, czy są jeszcze jakieś spóźnione odpowiedzi na zaproszenia, woląc nie myśleć, co zrobi mama, jeśli się dowie, że znów trzeba zmieniać plany usadzenia gości. Listonosz zostawił trzy rachunki i prenumerowany przez Jaya „Sports Illustrated” z Andym na okładce. Nie było to zdjęcie w biegu ani z olimpiady, lecz portret – pełne wyrazu brązowe oczy, ciemne, gęste brwi, piękne usta, które całowałam tysiące razy, zaledwie koniuszki zębów widoczne w leciuteńkim uśmiechu. Był ostrożny i pełen rezerwy, ale wrażliwy pod spodem – tak samo wyglądał wtedy, gdy rozmawialiśmy w łóżku, a on w końcu się rozluźniał na tyle, by wykonać gest ręką albo się roześmiać, kiedy doszedł do zabawnych momentów. Ciekawe, kto zrobił to zdjęcie i co powiedział Andy’emu, żeby uzyskać ten efekt.

– Proszę pani? – usłyszałam w słuchawce ponagląjący głos, który żądał, bym

przeliterowała drugie imię.

– Przepraszam – zreflektowałam się i natychmiast przeliterowałam „Nicole” oraz podałam numer Amy, by mogli potwierdzić jej rolę w naszym poznaniu się. Tego dnia byłam jeszcze umówiona z florystką, miałam zapytać w firmie cateringowej, czy będzie wegański posiłek dla mojej przyszłej szwagierki Robin, i odebrać pigułki antykoncepcyjne, ale uznałam, że to wszystko może poczekać. Poszłam do pobliskiego parku, usiadłam na ławce i zaczęłam czytać.

*Bieg po marzenie*, głosił nagłówek, a na pierwszej stronie artykułu zamieszczono zdjęcie Andy’ego w chwili, gdy przebiegał olimpijską metę – zamknięte oczy, wzniesione pięści i otwarte usta. *Jak Andy Landis pokonał trudności i zdobył olimpijskie złoto*. Było tam wszystko, co wiedziałam o Andym. Jego życie z Lori, bójkę, rada mamy, by swój gniew wyładował w bieganii. Czytałam o roznoszeniu gazet, przyjacielu panu Sillsie, karierze sportowej w liceum i rekordach, które pobił. Przeskakiwałam tekst, aż doszłam do informacji mi nieznanych.

*Andrew Landis Senior był również sportowcem. Wybijający się koszykarz, przystojny, zwinny i szybki, z niesamowitym rzutem za trzy punkty, Andrew Senior nie był jednak wystarczająco utalentowany, by zwrócić uwagę trenerów uczelnianych, ani wystarczająco silny, by oprzeć się pokusom ulicy. Po raz pierwszy aresztowany w wieku lat siedemnastu za handel marihuaną, potem próbował wszystkiego, od drobnych kradzieży po wszczynanie burd i kradzież samochodów. Kiedy sędzia postawił go przed wyborem: więzienie albo armia, zaciągnął się i został wysłany do Niemiec. Wrócił jednak na przepustkę i kłopoty znów go znalazły. Został aresztowany pod zarzutem współudziału w morderstwie po tym, jak jego przyjaciel, DeVaughn Sills, zastrzelił swojego szkolnego kolegę, prawdopodobnie konkurencyjnego dealera narkotyków. Andrew Senior został złapany w samochodzie, gdy próbował pozbyć się broni.*

DeVaughn Sills. Syn pana Sillsa? Na pewno. Jak Andy się z tym czuł? Przeczytałam resztę, krzywiąc się z bólu i wzdychając ze współczuciem. Reporter odnalazł w Filadelfii ojca Andy’ego – wynajmował pokój ze wspólną łazienką i kuchnią.

*Landis Senior śledził sukcesy syna z oddali, jego olimpijski finisz oglądał na dwunastocalowym telewizorze w swoim pokoju. Ściany praktycznie wytapetował zdjęciami i wycinkami z gazet, nie próbował jednak nawiązać z synem kontaktu. „Nie chcę, by Andy myślał, że chodzi mi o jego pieniądze albo że przypisuję sobie jakiś udział w jego sukcesie”. Zapytany, co chciałby powiedzieć swojemu synowi, mistrzowi olimpijskiemu, Landis Senior odparł bez zastanowienia: „Wiem, że nie byłem dla niego ojcem, ale powiedziałbym mu, że jestem z niego dumny”.*

*W rozmowie telefonicznej z mieszkania na Manhattanie, które Andy dzieli ze swoją dziewczyną, modelką Maisie Guthrie, Landis Junior odmówił komentarza.*

Andy. Och, Andy. Kołysałam się niespokojnie na ławce, obejmując się ramionami, złączona z nim w bólu. Bolało nawet, gdy czytałam potem resztę: o kontraktach reklamowych, znajomościach z gwiazdami Hollywood i NBA oraz o „nieziemsko pięknej Maisie Guthrie, która reklamuje na wybiegu bieliznę Victoria’s Secret, a na potrzeby tego artykułu pozuje w bardzo skąpych kostiumach bikini”.

Ciekawe, jak nieziemsko piękna Guthrie przyjęła tę wiadomość. Czy Andy pojechał do Filadelfii odnaleźć ojca? Zadzwoił mój telefon.

– Kochanie! – wołała mama, jak zwykle na granicy łez. – Mówią, że suknia będzie tu jutro rano, ale czy ty wtedy nie masz manikiuru?

Faktycznie, pomyślałam, wstając. Przecież w sobotę wychodzę za mąż. Właśnie. Prześlę mu miłość, pomyślałam. Moja instruktorka jogi twierdziła, że zawsze tak robi, na przykład gdy ktoś wpycha się przed nią do metra albo zabiera jej sprzed nosa ostatni karton soku w sklepie. Przesyła mu miłość. On miał Maisie, a ja miałam Jaya. Równowaga. I musiało wystarczyć.

– Więc chyba wszystko się poukładało? – zapytała teraz Bethie.

– Uwielbiam Nowy Jork. A Jay jest super.

Miałam nadzieję, że nie słyszy tego, co ja słyszałam, a co brzmiało jak głos kobiety, która za dużo wydała na sukienkę, a ta nie za dobrze leży, i która próbuje sobie wmówić, że wygląda świetnie. Jay był super. Spokojny, dobry, cierpliwy, troskliwy, oddany... a nawet jeśli nieco apodyktyczny i leciusieńko protekcyjny w sprawie pozostania w domu z dzieckiem, to właściwie było zupełnie zrozumiałe, prawda? To przecież oznaczało, że będzie wspaniałym ojcem, że troszczy się i mu zależy.

– Jay jest super – powtórzyłam, gdy właśnie się pojawił z dwoma szklankami ponczu.

– Pomyślałem, że z chęcią napijecie się czegoś dobrego – oznajmił i uśmiechnął się, a ja doszłam do wniosku, że nie mogłam wybrać lepszego męża ani kochać go bardziej.

– Jay, to jest Beth... to znaczy Elizabeth Botts... Czy zmieniłaś też nazwisko?

– Daj spokój, a ty byś tego nie zrobiła? – spytała Bethie. Usłyszałam tym razem delikatną nutkę ostrej złośliwości, którą niegdyś zaprawiała wszystkie swoje uwagi. A, mam cię, Bethie. – Nazywam się Chamberlain. Elizabeth Chamberlain.

– Miło mi cię poznać, Elizabeth. – Jay uściśnął jej rękę, a potem zwrócił się do mnie: – Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Nie za ciepło? Pamiętasz, żeby się nawadniać?

Przewróciłam oczami.

– Jay uważa, że powinnam zgłosić się do szpitala zaraz po zrobieniu testu

ciążowego.

Bethie wyciągnęła wizytówkę ze swojej koralikowej torebki. „Elizabeth Chamberlain, studentka, szkoła rabinacka”.

– Daj znać, kiedy urodzisz. Przyślę ci coś.

– Och, nie trzeba, naprawdę.

– Ale bardzo bym chciała – mówiła, gdy chowałam jej wizytówkę, a Jay wziął mnie za rękę.

Znów pomyślałam, że mam szczęście: wylądowałam w życiu, na które po prostu nie zasłużyłam.

Andy  
2009

Lori otworzyła drzwi domu swoich marzeń, czyli średniej wielkości świeżo wyremontowanego budyneczku w Bryn Mawr, który Andy kupił za honorarium z pierwszego kontraktu reklamowego. „Wymarzony dom dla mamy” – mawiał jego kolega Laurent Dillard, zawodnik pierwszego składu Sixersów. „Trzeba to załatwić”.

Stała boso na wykafelkowanej podłodze.

– Andy, witaj w domu.

– To takie miejsce, gdzie muszą cię wpuścić, tak?

Lori chciała się uśmiechnąć, ale w jej oczach i wokół ust widział tylko niepokój.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam za wszystko.

– Kochanie – szepnęła Lori... i po raz pierwszy od olimpiady mocno go objęła.

Dobrze pamiętał ten wieczór z dwa tysiące szóstego, kiedy przyszedł do niego Mitch. Mieszkali już z Maisie w nowym apartamentowcu w Carnegie Hill. Czasami w windzie wydawało mu się, a może i nie, że biali faceci w garniturach wlepiają w niego gały. Tłumaczył sobie, że to z powodu jego znanej twarzy, a nie dlatego, że jest jedynym w całym budynku niezupełnie białym facetem, który nie dostarcza akurat pizzy.

Połowę roku razem z Mitchem spędzali na treningach w nowym centrum sportowym w Westchester, z kilkoma nowymi koleśkami, w większości tuż po studiach – byli szybcy i silni i w zastraszającym tempie stawali się szybsi i silniejsi. Andy, sfrustrowany i wystraszony, skonstatował, że jego wyniki się nie poprawiają. Wmawiał sobie, że jeśli będzie pracował ciężiej i mądrzej, trenował bardziej efektywnie, zdobędzie się na wysiłek większy niż kiedykolwiek wcześniej... ale nawet gdy to wszystko robił, o żadnej znacznej poprawie nie było mowy. Właściwie wyniki miał raczej gorsze. Szczeniaki nie tylko go doganiały, po prostu go wyprzedzały i biegły dalej.

– Przecież wiesz, co oni robią, tak? – spytał Mitch.

Miał na sobie normalne ciuchy, džinsy i granatowy sweter, oraz przewieszony przez ramię plecak. W okolicach oczu malowało się znużenie. I był wyraźnie zły. Normalnie niski i szczupły, ale umięśniony, teraz wyglądał na wymizerowanego. Andy wiedział, że stosuje jakąś niskowęglowodanową dietę, żeby zrzucić jeden czy dwa kilogramy i poprawić wyniki.

– No, są młodszy – odparł posępnie Andy.

Już dawno zdecydował, że majowe Penn Relays będą dla niego testem. Jeśli do tego czasu nic się nie zmieni – jeśli znów pobiją go tak, jak można się

spodziewać po aktualnie osiągniętych czasach – to nie ma szans na następną olimpiadę i trzeba będzie myśleć o emeryturze. Trzydzieści dwa lata to sporo jak na biegacza, i żaden wstyd się wycofać, nadal w dobrej formie, a i złoty medal wskazuje, że odchodzi, będąc na szczycie. Tak naprawdę jednak liczył na jeszcze jeden sezon, jeszcze jedną szansę... bo to uwielbiał, a także dlatego, że ilekroć zastanawiał się, co zrobi potem, w mózgu miał wielką, pustą białą tablicę, którą jakiś nadgorliwy dzieciak wytarł do czysta. A co, jeśli znów odezwałby się tamten głos? Że w ogóle nie zasługuje na to, co ma, jeśli nie potrafi dzięki temu zdobyć kolejnych trofeów i raz jeszcze udowodnić swojej wartości, potwierdzić swojego prawa do istnienia?

Z Rachel rozmawiali czasem o tym, co będzie robił po zakończeniu kariery – może mógłby zostać trenerem albo nauczycielem, pomagać chłopcom, którzy potrzebowali kogoś takiego, podobnie jak pan Sills pomógł jemu. „Wyobraź sobie gniazdko miłości” – i Andy wyobrażał sobie przytulny domek, ogródek, który by kosił, i basen z jacuzzi, gdzie mógłby się moczyć do woli. Maisie bezustannie gadała o własnych planach po zakończeniu kariery modelki, ale o jego przyszłości nie rozmawiali nigdy – bo i ją, zdawał sobie z tego sprawę, ten temat przerażał. Pewną rolę odegrał tu również czynnik przesądu. Samo gadanie o tym, co ma nastąpić, to sygnalizowanie Bogu, uniwersum czy innym siłom, które rządzą światem, że człowiek dobrze wie, iż nic nie jest wieczne... co z kolei może sprowokować te siły, by zadziałać i odebrać człowiekowi to, co ma.

– Zwyczajnie się starzejemy – powiedział do Mitcha. – I cały trening świata nie zrobi z nas na powrót dwudziestolatków.

– Nie o to chodzi. A Matt Parker?

Andy westchnął. Parker był rok starszy od Andy’ego, biegał na tysiąc sześćset i w przeciwieństwie do Andy’ego w zeszłym roku poprawiał wyniki, i to w rekordowo krótkim czasie.

Mitch sięgnął do plecaka i wyciągnął aluminiową tubkę, jak te od pasty do zębów i kremów do rąk... tylko że bez naklejki, bez jednego napisu. Zupełnie czystą.

– Co to jest?

– A jak sądzisz?

Patrzyli na siebie w milczeniu. Na twarzy Mitcha malowała się desperacja, Andy nie miał pojęcia, co można było wyczytać z jego własnej. Był wstrząśnięty, ale zaraz potem zrobiło mu się głupio. Przecież wiedział o dopingu. Zawsze chodziły pogłoski o takiej a takiej drużynie czy tym i tym konkretnym nazwisku. Nawet w jego własnej ekipie rozmowa nieraz się urywała, gdy wchodził do umywalni albo do pokoju trenerów. Dochodziły go też słuchy o niektórych trenerach i lekarzach, którzy nie odmówią niczego. Wcześniej nie zwracał na to uwagi, bo nigdy niczego nie potrzebował. Ale teraz...

– Wszyscy to robią – powiedział Mitch. Andy od razu rozpoznał ten argument: tak samo mówili chłopcy w szkole, gdy chcieli go namówić na kradzież piwa albo papierosy. – Francuzi, Finowie, Kenijczycy. Nie mówiąc już o naszych kolegach z drużyny. Jak do nich nie dołączymy, to zostaniemy na mecie z ołowianymi nogami.

No i proszę. Miał to. W jego mieszkaniu. W dłoni jego przyjaciela.

– Skąd to wzięłeś? – zapytał dość ochryplym głosem. – Kto tym handluje?

– Na przykład John Mahoney. Albo Les Carter.

Andy wstał i zaczął przemierzać pokój. John Mahoney to menadżer drużyny, którego znał od studiów. Les był jednym z trenerów, zawsze uśmiechniętym, z dowcipem w stylu „przychodzi baba do lekarza” na ustach. Towarzyszył zawodnikom podczas zabiegów regeneracyjnych, wypytyując o zdrowie żony i dzieci.

– Są też inni, ale tylko z Johnem rozmawia się o wszystkim innym.

– Więc jest tego więcej?

– No pewnie – oznajmił Mitch. – Kremy, tabletki, zastrzyki, transfuzje własnej krwi. Wszyscy to robią – powtórzył i poszedł do domu, zostawiając tubkę.

Andy zabrał ją do łazienki i spojrzał w lustro. Rozumiał, że jeśli pójdzie ścieżką, którą wybrał Mitch oraz rzekomo większość biegaczy w ogóle, tym samym wyraźną linią podzieli swoje życie na przed i po. Na wyścigi, które wygrał, i rekordy, które ustanowił uczciwie, i na te zdobyte dzięki temu świństwu. Owszem, to oszustwo... ale czy stać go było na inny wybór, jeśli chciał mieć realne szanse? I czy rzeczywiście można mówić, że to nie fair, skoro służy tylko faktycznemu wyrównaniu szans? W przeciwnym wypadku na samym starcie jest już pół okrążenia do tyłu.

Opuścił spodnie i stanął w slipach. Odczuwał brak godności i próbował oswoić to uczucie. Bo nie było w tym nic pięknego, nic honorowego ani godnego podziwu. Zdjął nakrętkę, wycisnął trochę przezroczystej maści i na początek wtarł ją w lewy czworogłowy, potem w prawy, jakby to był żel z arniki zalecany przez niektórych trenerów. Uda zaboląły. Wszystko go bolało. Kiedyś ból odczuwał jedynie w czasie biegu i tuż po nim, gdy kwas mlekowy zalewał mięśnie i zaczynało piec. Teraz bolało właściwie non stop. Rano był cały zeszywniały, jakby miał kości ze szkła, dochodził do siebie dopiero po dziesięciu minutach rozciągania i ćwiczeń z wałkiem piankowym. Ale biorąc pod uwagę, jak obciążał kończyny i stawy, nie powinno go to dziwić.

Nowy etap kariery rozpoczynał z nadzieją, że dzięki tym wszystkim zastrzykom, kremom i transfuzjom poczuje się lepiej, będzie silniejszy, i przez chwilę miał wrażenie, że tak faktycznie jest. W Penn Relays powtórzył swój osobisty rekord, potem wziął udział w biegu na pięć kilometrów w Central Parku, tak dla rozrywki, i wygrał, wyprzedzając następnego zawodnika o minutę.

W Middle Distance Classic w Pasadenie przybiegł cztery dziesiąte sekundy po zwycięzcy, a potem w Oregonie w Nike Prefontaine Classic uhonorował swojego bohatera, wygrywając nie tylko bieg na pięć kilometrów, ale również na dziesięć, i prowokując ESPN do nakręcenia filmu o starszych biegaczach, którzy niespodziewanie po raz drugi złapali wiatr w żagle.

Widział wyraźnie, jak zmienia się jego ciało, uda stawały się większe, ramiona szersze, głos głębszy, a na plecach kwitł trądzik.

– Jest okej – mówiła Maisie, wyciągając z szafy kolejne marynarki i oddając je do przeróbki. – Wyglądasz, jakbyś pakował na siłowni.

Wiedziała, co Andy robi. Niektóre specyfiki trzeba było trzymać pod ręką, w niskiej temperaturze. W ich nowojorskim mieszkaniu, gdzie w lodówce często nie było nic poza szampanem i bajerancką musztardą, trzymali je w szufladzie na jarzyny. Po jakimś czasie Maisie zaczęła je nazywać sałatą. „Chyba kończy się nam sałata” – mówiła na przykład.

Czasami spotykała się z praktykantem czy stażystą, którego akurat John Mahoney wysłał w roli dostarczyciela, a nawet umawiała Andy’ego na wizyty w Miami, bo to tamtejszy lekarz wypisywał jemu i Mitchowi recepty. Lecieli zazwyczaj razem, grali trochę w golfa, wypożyczali samochód i jechali do gabinetu usytuowanego w ponurym centrum handlowym. Siedzieli na porysowanych plastikowych krzesłach, aż recepcjonistka ich wywołała – ale tylko imiona, jak zauważył Andy. Na drzwiach gabinetu wisiało lustro. Zastanawiało go to. Czyżby lekarz chciał, żeby pacjenci mogli się w nim przeglądać, żeby widzieć, co wyrabiają ze swoim ciałem? Czy może mieli spoglądać z uznaniem i wdzięcznością? Wtedy zresztą Andy potrafił już nieźle unikać patrzenia w lustro. Wcześniej był przyzwyczajony do dokładnych oględzin skóry, szukał urazów i w ogóle jakichkolwiek zauważalnych zmian, ale od tego wieczoru, kiedy Mitch zostawił u niego tubkę, okazało się, że nie potrafi znieść widoku własnego odbicia, po prostu nie umie spojrzeć sobie w oczy.

W czerwcu planował udział w Adidas Grand Prix w Nowym Jorku, zarówno na pięć, jak i na dziesięć kilometrów. W przeddzień spokojnie przebiegł pięć kilometrów w Central Parku i skierował się do domu. Kiedy przed drzwiami zobaczył reporterów oraz wóz transmisyjny *Wiadomości* z okrągłą anteną na dachu, od razu wiedział, co się stało. Było tak, jak dawno temu przepowiadały mu siostry zakonne: „Wiedz, że twoje grzechy cię znajdą”.

Idąc przez tłum, spuścił głowę i ignorował pytania.

- Jak długo stosuje pan doping?
- Czy dostał pan już wezwanie?
- Będzie pan musiał oddać medal?

Słyszał pstryknięcia aparatów, po drugiej stronie ulicy zauważył elegancką reporterkę, która w żółtej sukience i na wysokich obcasach stała przed kamerą



z uniesionym mikrofonem. Dochodził już do drzwi, kiedy spostrzegł Boba Riepera, Smutnego Boba ze „Sports Illustrated” – dzięki niemu dowiedział się o ojcu.

– Cześć, stary – powiedział Bob.

Położył mu rękę na ramieniu i w tym momencie Andy zrozumiał, że zaczęło się właśnie jego drugie życie, czy tego chciał, czy nie.

W mieszkaniu odszukał komórkę i zadzwonił do Johna Mahoneya. Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Cześć, Andy – usłyszał znajomy, chrapliwy głos. – Słyszałeś już?

– Nic nie słyszałem, ale pod moim domem stoi tłum reporterów.

Zamiast spodziewanej paniki odczuwał dziwny spokój – musiał być w szoku. Puls miał jakiś niemrawy, jakby zwolniło mu serce.

– Nic nie mów – instruował go Mahoney. – Jeśli zadzwonią, rozłącz się, a jak cię gdzieś zahaczą, odpowiadaj: „Bez komentarza”.

– Bez komentarza – ćwiczył Andy, przemierzając salon i wchodząc do sypialni sprawdzić, czy jest Maisie. Usłyszał szum wody w łazience, telewizor przełączyła na ESPN – biegacze na bieżni, za nimi wielki napis „Afera dopingowa” oraz poważny biały facet z nieprawdopodobnie pomarańczową twarzą, który coś mówił, ale nic nie było słychać, bo Maisie wyciszyła głos. Jej walizka leżała już otwarta na łóżku. Zastanawiał się wcześniej, jaką wymówkę wymyśli, żeby się stąd wyrwać i znaleźć z dala od niego, może niespodziewane wezwanie na zdjęcia albo jakiś problem rodzinny.

Bardzo szybko się dowiedział. Maisie wyszła z łazienki owinięta ręcznikiem, z drugim na głowie. Spojrzała na niego jak na włamywacza, który przedarł się na trzydzieste drugie piętro.

– Hej – odezwał się pierwszy Andy.

Jej twarz wyrażała coś w rodzaju smutku zmieszanego z zakłopotaniem, ale pod spodem, jak podkład pod makijażem, Andy dostrzegł znajomą chłodną kalkulację. Tak właśnie zachowywała się Maisie, gdy poznawała kogoś nowego – na przykład żonę kolegi z drużyny albo nową asystentkę fotografa – próbowała ustalić, kim ten człowiek jest, co sobą reprezentuje i w jaki sposób może być użyteczny dla niej, dla Andy’ego albo dla nich obojga. Stworzyła z nich parę pięknych, sławnych ludzi, ukazujących się we wszystkich magazynach, zapraszanych na salony. A teraz, Andy wyraźnie to widział, myślała już nad tym, jak wcielić się w kolejną rolę, rolę kobiety zdradzonej przez partnera, który okazał się oszustem i przestępcą.

– Dzwonił do ciebie Mitch. I Alex.

Czyli Alejandro Pérez-Peña, nowy trener.

– Co mówili?

– Zadzwon do Alexa. Na trzecią zwołują konferencję prasową. Wynajęli firmę od zarządzania kryzysowego. I prawników.

– Prawników?

Andy poczuł, że jego nogi, te bijące rekordy prędkości, zdobywające medale nogi, zaczynają drżeć. Czy może pójść za to do więzienia? Czy to w ogóle możliwe? I to ma być sprawiedliwość? Przecież nie skrzywdził nikogo oprócz siebie?

„No i jeszcze swoich fanów” – odezwał się od razu usłużny głos w głowie. Tych wszystkich ludzi, którzy w ciebie wierzyli i myśleli, że grasz uczciwie. Nie mówiąc już o firmach, które płaciły za wystąpienia, o producentach wykładających kasę za reklamę produktów i wydawcy, z którym podpisał kontrakt na swoją biografię. „*Andy Landis*” – ogłosiła jego agentka, bardzo szykowna w obcisłym kostiumie ze złotymi guzikami, na spotkaniu z nową ekipą od reklamy. „*Amerykańska historia*”.

Niezła historia, pomyślał, gdy Maisie spojrzała na niego, unosząc brwi w udawanym zdziwieniu.

– Owszem, prawnicy, będziesz ich potrzebował. To wszystko, co robiłeś, jest nielegalne. – I otrząsnęła się teatralnie. Te otrząśnięcia, zauważył Andy zamknięty teraz w bańce obojętności, z każdym rokiem wychodzą jej lepiej. Widać, że lekcje aktorstwa na coś się przydały. – Niektóre z tych rzeczy dopuszczone są tylko do stosowania na zwierzętach.

– Skąd to wszystko wiesz?

Zamiast odpowiedzi Maisie otworzyła leżący na łóżku laptop. „Dziwięciu olimpijczyków oskarżonych o doping. Zagrożone rekordy i medale. Przedstawiciele reprezentacji milczą”. No i zdjęcia. Jego zdjęcia. Te ze „*Sports Illustrated*”, z Aten, gdzie z niewielką przewagą pokonuje Marokańczyka, triumfalnie wznosząc ręce. Maisie zjechała niżej, by mógł przeczytać cytat, rozpoznając swoje własne słowa: „Nigdy nie idę na skróty, nie robię nic nielegalnego. Wszystko, co zdobyłem, zdobyłem ciężką pracą”.

– O nie – jęknął i zamknął oczy. Czuł się odrętwiały i pusty, jak wtedy, gdy złapał go tamten policjant po rozbiciu szyby – jakby stracił wszystko i już nigdy więcej nie mógł czuć nic dobrego: ani zadowolenia, ani dumy, ani szczęścia.

Maisie milczała... ale czy istniały słowa, które mog-łyby mu jakoś pomóc? Patrzył, jak wyciąga z szafy ubrania i wkłada je do walizki.

– Dokąd się wybierasz?

– Na Teneryfę. Nie pamiętasz?

– To miało być chyba w przyszłym tygodniu.

Nie odwracając się do niego, odparła:

– Zatrzymam się dziś u Bethany. Rano pojedziemy na lotnisko. Wiem, że będziesz teraz miał sporo spraw na głowie, nie chciałabym ci przeszkadzać.

– Ale właśnie teraz cię potrzebuję.

– Och, Andy – westchnęła. Z poczuciem déjà vu patrzył, jak unosi swój

idealny podbródek, jakby na polecenie fotografa („Kotku, ciutenieczek profilu, dobra? O, super, o to mi chodziło. Idealnie”). – Przecież wiedziałeś, co ryzykujesz. Wiedziałeś, że to się może tak skończyć.

– Nie miałem wyboru! – krzyknął.

Maisie tylko na niego spojrzała.

– No co? – bronił się. – Niby co mogłem zrobić? Nic innego nie potrafię, w niczym innym nie jestem dobry. Jeśli chciałem startować, musiałem to brać. Więc nie miałem wyboru.

Nie odezwała się. Zamknęła walizkę.

A więc to tak, pomyślał Andy.

– A gdyby powiedzieli ci, że jeśli chcesz dalej być modelką, musisz sobie zrobić biust, to nie zrobiłabyś?

– To nie jest nielegalne – odparła, zakładając na ramię torebkę.

Andy stał ze spuszczoneymi rękami, w nogach czuł słabość. Widział błyskające czerwienią podeszwy jej butów, gdy wychodziła z pokoju, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach.

Roztrzęsiony i przerażony chwilę trwał w bezruchu. Mdlilo go. Miał nadzieję, że Maisie wróci, bardzo tego chciał, choćby tylko po to, by mu powiedzieć, że go kocha. Ale wiedział, że tak się nie stanie. Maisie troszczyła się jedynie o Maisie. W nocy leżał czasami, próbując wyobrazić sobie, że zostaje z nim nawet wtedy, gdy wszystko stracą, że zaczynają od nowa w jakimś anonimowym amerykańskim miasteczku. I nie potrafił. Maisie została stworzona do życia w wielkich miastach, do życia nocnego, do eleganckich klubów, szampana i sushi, a nie do małych miasteczek, paluszków rybnych i byle jakiego piwa imbirowego. W żadnym razie nie poświęciłaby też kariery modelki. Był przekonany, że to dlatego nie zgodziła się na małżeństwo ani dziecko. Powiedziała wszystko, co wypadało powiedzieć w takiej sytuacji, a mianowicie, że przecież są szczęśliwi, więc po co kusić los, i że mają jeszcze mnóstwo czasu. Kiedy naciskał, argumentowała, że nie może wziąć rocznego urlopu, i wyliczała, jakie byłyby konsekwencje, gdyby nie odzyskała figury. Opowiedziała historię olśniewającej dziewczyny z Islandii, która po urodzeniu bliźniaków nie mogła zrzucić ostatnich pięciu kilogramów. Biedna Karine poddała się liposukcji, i oczywiście istniały filtry, które wymazywały jej rozstępy. Niemniej jednak, zakończyła Maisie z oczami rozszerzonymi przerażeniem, biedna Karine nigdy już... nie pracowała.

– W każdym razie nie na Manhattanie – dodała, otrząsając się z lekka. – Słyszałam, że pozowała potem do katalogu Dillarda.

– To gorsze niż śmierć – skomentował jak najpoważniej Andy, a Maisie, nie wyczuwając sarkazmu, tak energicznie przytaknęła, że niemal odkleiły się jej przedłużki.

– No właśnie! – zawołała. I natychmiast go pocałowała. – Mamy czas –

mruczała mu do ucha. – A na razie cieszymy się wolnością.

Ustał, choć przez cały czas nie mógł pozbyć się myśli, że wcale nie chodzi o pracę, wolność, rozstępy ani o to, że tak dobrze im jest razem, ale o to, że dziecko by ich połączyło, nierozzerwalnie i na zawsze, tworząc więź trudniejszą do zerwania niż małżeństwo.

Wiedział, że Maisie prędzej by umarła, niż straciła swoje miejsce na drabinie. Jeśli jej partner stanie się ciężarem, zrobi dokładnie to, co właśnie zrobiła – w dziesięć minut się spakuje, zadzwoni do agenta, zmieni rezerwację i ruszy dalej.

Przez kilka następnych tygodni Andy siedział w domu. Zastanawiał się, czy można umrzeć ze wstydu. Kiedy już postanawiał wyjść, po uprzednim kilkugodzinnym przemierzaniu pokoju, rozpaczliwie pragnąc świeżego powietrza i otwartej przestrzeni, przypominał sobie własne słowa: „Wszystko, co zdobyłem, zdobyłem ciężką pracą”, i uznawał, że nie warto. Valerie, jego osobista asystentka już od pięciu lat, złożyła wypowiedzenie, tłumacząc, że bardzo lubiła tę pracę, ale nie radzi sobie z tą ilością telefonów i maili, nie wspominając o pytaniach znajomych i rodziny, czy o wszystkim wiedziała. Telefon do agenta kończył się nieodmiennie zgłoszeniem poczty głosowej, spec od reklamy oddał go innej firmie, która zajmowała się głównie koncernami naftowymi wylewającymi tysiące litrów ropy do oceanu oraz pravicowymi senatorami płacącymi za seks z nieletnimi chłopcami.

Jeśli mógł się pochwalić, że sam zapracował na swoje poprzednie życie – kontrakty reklamowe, dodatkowe przywileje, słynni znajomi – to trzeba przyznać, że na to też sam zapracował. W tym i na to, że chłopak w Starbucksie odmówił obsłużenia go, a kelnerka w innej knajpie odwróciła się ostentacyjnie na pięcie, kiedy usiedli przy stoliku z dawnym kolegą, Milesem Strattonem, chcąc zjeść lunch i obgadać jego sytuację finansową po tych „ostatnich wydarzeniach”, jak ujął to Miles. Zasłużył i na to, by dziesięcioletnia dziewczynka wysłała mu jego olimpijski plakat z podpisem: „Byłeś moim bohaterem, ale już nie jesteś”.

Nadal w szoku, uczestniczył w przesłuchaniach, spotkaniach, konferencjach ze specami od wizerunku i tych z prawnikami. Siadał przy długich stołach na wysokich piętrach biurowców z niesamowitym widokiem na Central Park i usiłował się skupiać, gdy adwokaci reprezentujący Federację Lekkoatletyczną oraz biegaczy nazywanych teraz Ateńską Dziewiątką próbowali wypracować jakąś ugodę. Ostatecznie zdecydowano, że jeśli zeznają, skąd mieli środki i kto jeszcze je stosował, będą mogli zatrzymać medale i nagrody zdobyte do dwa tysiące szóstego... ale żaden z nich nie ma już prawa startować.

Producent obuwia sportowego, który wspierał go finansowo od czasu studiów, wysłał list polecony z wyjaśnieniem, że ze względu na zaistniałe okoliczności nie mogą kontynuować współpracy. Życzyli mu wszystkiego dobrego.

Podobnie jak firma od zegarków, które reklamował, oraz producent napojów izotonicznych. Zabrał swoje rzeczy z mieszkania w Oregonie i zamienił apartament w Carnegie Hill na kawalerkę w niezbyt eleganckiej części Brooklynu. Te ruchy oraz oszczędności dały sumkę na czarną godzinę, która na jakiś czas zapewniała mu utrzymanie. W końcu będzie musiał się czymś zająć, ale na razie miał wódkę i porządną kablówkę z wiecznymi powtórkami. Nauczył się unikać programów na żywo po tym, jak trafił kiedyś wieczorem na dowcip wzywający publiczność do oddania krwi. „Nasi olimpijczycy mogą potrzebować dodatkowej” – nawoływali z ekranu.

Jadał dostarczaną pizzę albo chińszczyznę, na śniadanie bułkę, a pomiędzy posiłkami tony precli, nie martwiąc się w końcu o kalorie, węglowodany, sód, składniki odżywcze i tak dalej. Popijał wszystko izotonikiem, który wieczorem dodatkowo zaprawiał wódką. Miał tego całe transportery, w końcu był przecież twarzą PowerUp, a w umowie zapisano, że do końca życia będzie dostawał napoje za darmo. Tyle że teraz, jak zauważył, przysyłali te wycofane ze sprzedaży, na przykład red rage'a smakującego jak syrop na kaszel albo blue crusha, który zostawiał na języku posmak kredy.

Pierwszy raz od bardzo dawna Andy miał całe dni dla siebie, całe puste godziny, żadnych spotkań, żadnych obowiązków. W jednym z kartonów zabranych z poprzedniego mieszkania był egzemplarz „Sports Illustrated” z nim na okładce, spakowany razem z zeznaniami podatkowymi i podpisanymi wcześniej kontraktami. Nigdy jakoś nie potrafił się zabrać do przeczytania artykułu, który Bob Rieper o nim napisał. Teraz, gdy natknął się na magazyn, zaczął przeglądać tekst w poszukiwaniu informacji o ojcu.

*Pięćdziesięciojednoletni Andrew Landis w niczym nie przypomina swojego syna ani też nastoletniej gwiazdy koszykówki, którą kiedyś był. W młodości wysoki i dość chudy, teraz jest zdecydowanie szerszy, szczególnie w środkowych partiach ciała, chodzi lekko przygarbiony, a i włosów zostało mu już niewiele. Głowę nosi spuszczoną, powłóczy nogami. Jedyne podobieństwo do syna, którego Andy Senior i jego żona Lori nazwali tak po ojcu, to stopy, rozmiar czterdzieści siedem, ogromne jak płetwy w jego ciężkich, brązowych butach roboczych. „Zawsze byłem szybki” – mówi Landis Senior.*

*Po wyjściu z więzienia wynajął pokój ze wspólną łazienką i kuchnią. Klitka bez okien w zapomnianej filadelfijskiej dzielnicy wygląda trochę jak cela – schludnie pościelone łóżko, książki i magazyny ułożone w równe stosy, na ścianie z pustaków plakaty i zdjęcia. Każde co do jednego dotyczy syna, podobnie jak czasopisma, każde zawiera artykuły o Andym Landisie. W albumie z wycinkami znajdziemy historię Andy'ego biegacza, która zaczyna się od szkoły średniej. „Przez te wszystkie lata – mówi Landis Senior – przysyłali mu je do więzienia znajomi”. Jest dumny z syna, ale nie ma, jak twierdzi, pragnienia, by się z nim*

spotkać. „Kiedy dzieci osiągają sukces, nagle znikąd pojawia się rodzina” – zauważył, wspominając ojca Shaquille’a O’Neala, który porzucił sześciomiesięcznego synka, uzależniony wylądował w więzieniu, by nagle po latach zjawić się z metryką urodzenia w dłoni i zamieszkać na koszt swojego sławnego dziecka.

„Nie chcę, by Andy myślał, że chodzi mi o jego pieniądze albo że przypisuję sobie jakiś udział w jego sukcesie. Wszystko, co zrobił, zrobił sam”. Zapytany, co chciałby powiedzieć swojemu synowi, mistrzowi olimpijskiemu, Landis Senior odparł bez zastanowienia: „Wiem, że nie byłem dla niego ojcem, ale powiedziałbym mu, że jestem z niego dumny”.

Andy wpatrywał się w te słowa. Ciekawe, którzy to znajomi wysyłali wycinki. I zaraz stanął mu przed oczami pan Sills, starannie wycinający każdy artykuł. Może dodawał kilka słów. Czy czuł wyrzuty sumienia? Że to z winy jego syna, a może i trochę jego własnej, ojciec Andy’ego siedział w więzieniu?

W magazynie znajdowała się koperta od Smutnego Boba. „Oto adres i telefon Twojego ojca. Prosił, by Ci je przekazać”. Andy przyglądał się tym dwóm zdaniom, wyobrażając sobie spotkanie z ojcem, były skazaniec i jego napiętnowany syn. Spojrzał na telefon, ale zamiast niego wziął do ręki wódkę i dolał jeszcze do red rage’a. Tego wieczoru, po raz pierwszy w życiu, pił do nieprzytomności.

Mógłby zostać w tym pokoju na zawsze, jeść, pić, spać, i znów od początku. Ale pewnego dnia zadzwonił telefon. Zobaczył numer kierunkowy dwieście piętnaście, Filadelfia, i postanowił odebrać. A czemu nie?

– Bez komentarza – powiedział zamiast tradycyjnego „halo”. Zabrzmiało to nieco bełkotliwie. No cóż. I wywołało salwę rżęącego śmiechu po drugiej stronie.

– Andy – odezwał się znajomy głos, który z biegiem lat stawał się coraz słabszy. – Czy jest jakaś szansa, że jednak przywitasz się ze starym przyjacielem?

Andy, który leżał na kanapie z zaprawionym wódką blue crushem, poderwał się jak oparzony, oblewając całą koszulę.

– Pan Sills?

Znów rżęący śmiech.

– Teraz możesz mi już mówić Clement, nie pamiętasz? To dotyczy wszystkich moich przyjaciół medalistów.

Poczuł, jak narasta w nim znajomy, palący wstyd. Parzyła go twarz i cały aż się w środku zwijał, rozpaczliwie pragnąc uciec od czegoś, od czego uciec się nie dało. Hańba stała się jego cieniem, nie sposób było się od niej uwolnić.

– Przyjaciół oszust.

Pan Sills westchnął.

– Nie mówię, że nie postąpiłeś źle. Ale wymień choć jedną osobę, która w swoim życiu nie popełniła błędu. Znam cię – kontynuował. – Pewnie siedzisz po

ciemku, z nikim nie rozmawiasz i biczujesz się.

Rozglądając się wokół, Andy stwierdził, że faktycznie nie włączył światła. Pan Sills chyba się nie mylił.

– Nadal masz przed sobą sporo życia i możesz zrobić bardzo dużo dobrego. Wielu chłopców na tym świecie potrzebuje pomocy. Mógłbyś nawet zostać trenerem.

– A kto by mnie wynajął? – Andy był zły, że jęczy jak mięczak, w dodatku pijany. – Nikt nie chce, żeby oszust trenował jego dzieci.

Pan Sills nic sobie z tego nie robił.

– A wiesz to na pewno? Czy kogokolwiek pytałeś? Założę się o całą kolekcję moich „National Geographic”, że gdybyś poszedł do Roman Catholic, do trenera, i zaoferował pomoc, od razu by cię przyjął.

Andy, niepewny, nic na to nie powiedział.

– Ale nie po to dzwonię – przypomniał sobie pan Sills. – Prawdę mówiąc, nie najlepiej sobie ostatnio radzę. Mam chore płuca, wiesz.

Andy nie wiedział.

– Mógłbyś mnie odwiedzić – mówił dalej. – Przyjechałbyś, zjedlibyśmy śniadanie i może pojechali do kilku sklepów ze starociami.

Starocie, tak pan Sills nazywał sklepy z antykami i komisje, które odwiedzali.

– Ja już, niestety, nie prowadzę...

– Dlaczego?

– E tam, szkoda gadać, wiesz, że parkowanie równoległe nigdy nie było moją specjalnością, a potem tak jakoś wszyscy na drodze zaczęli się na mnie złościć, ciągle trąbili. Mam kilku znajomych, więc czasem gdzieś mnie zawiozą, obiady dostarczają wolontariusze.

– Przyjadę. – Andy usłyszał swój głos. W tym czasie był już w kuchni. Wyciągnął z pudełka worek na śmieci, zgarnął do niego puste kartony po pizzy i w połowie pełne opakowania z chińszczyzną oraz mnóstwo plastikowych butelek po red rage'ach. Niezdolna była myśl o panu Sillsie uwięzionym w domu, samotnie, z dowożonymi posiłkami, podczas gdy on siedział jak nadąsany królewicz i miał więcej pieniędzy, niż potrzebował. – Przyjadę jutro.

– Nie musisz się spieszyć – zapewnił go pan Sills i znów się rozkaszał.

– Jutro – powtórzył Andy, wylewając do zlewu resztę wódki.

Noc spędził na sprzątaniu, praniu i pakowaniu się. Kiedy otwierali komis samochodowy, on już czekał przed drzwiami, dorwał pierwszego sprzedawcę i wskazał samochód.

– Dawaj kluczyki, a ja wypisuję czek – przerwał tamtemu na początku zdania.

W południe zjeżdżał z autostrady na Allegheny Av-enu.

Poszedł wprost do pana Sillsa. W mieszkaniu było jeszcze więcej zdjęć

i obrazów niż kiedyś, zajmowały już właściwie całe ściany. Po Atenach Andy zaproponował, że kupi panu Sillsowi dom albo mieszkanie gdzieś w centrum, żeby miał blisko do muzeów i restauracji, ale on potrząsnął wtedy głową. „Tu mieszkalem z panią Sills. To jest mój dom”.

– Synu – powitał go, z trudem wstając.

Człowiek, który kiedyś wydawał się Andy’emu gigantem, teraz był jakiś zmniejszony, niższy i chudszy, na policzku spoczywała przezroczysta rurka, która biegła do nosa. Obok sztruksowego fotela, który Andy doskonale pamiętał, stała butla z tlenem, jak mały, wierny piesek.

To mu nasunęło skojarzenie z Rachel i zaraz pomyślał o wszystkich popełnionych błędach, niewłaściwych wyborach. Miał ochotę walić głową w mur, dopóki wstyd nie przejdzie. Opanował się jednak.

– Dobrze cię widzieć – powiedział pan Sills i przytulił go.

W tej chwili nienawidził się bardziej niż kiedykolwiek, nienawidził się za wszystkich ludzi, których zawiódł, tych, których skrzywdził lub opuścił.

Przepraszam, myślał. Wiedział, że jeśli spróbuje coś powiedzieć, nie będzie w stanie wydobyć z siebie słowa... mimo to jednak pan Sills zdawał się słyszeć je wszystkie.

– No już, już – mówił, poklepując Andy’ego po plecach, podobnie jak matka, chcąc uspokoić płaczące dziecko. – No już, już dobrze.

Cały dzień jeździli po sklepach. Pan Sills pokazał Andy’emu swoje najnowsze skarby: obraz olejny przedstawiający papugę („Naprawdę rozjaśnia to wnętrze” – twierdził), serwis do herbaty Spode i srebrną tacę.

– Prawdziwy antyk – oznajmił i opowiedział Andy’emu, ile razy musiał przecierać każdy listek i każdy zawijas, żeby wreszcie zaczęła błyszczeć.

Zapytał o Maisie, więc Andy wyjaśnił krótko, że odeszła.

– Myślałeś kiedyś o tym, żeby odwiedzić tatę? – zapytał pan Sills, kiedy już zaczęło się ściemniać.

Andy zaprzeczył. Pan Sills się uśmiechnął.

– Gadatliwy jak zawsze. A w przyszłości? Jak uważasz?

Andy wzruszył ramionami.

– Może kiedyś.

– Może kiedyś – powtórzył pan Sills. Usadowił się wygodniej w fotelu, spojrzął na butlę z tlenem. – Wiem, że to sprawia ci ból, powiem więc tylko jedno: nie zwlekaj zbyt długo. – I uśmiechnął się, marszcząc policzki tak, że okulary powędrowały w górę. – Nikt z nas nie żyje wiecznie.

Andy długo ścisnął pana Sillsa na pożegnanie. Potem pojechał do mamy.

– Możesz zostać, jak długo chcesz – zapowiedziała Lori, wiodąc go po schodach do pokoju gościnnego, w którym jeszcze nigdy dotąd żaden gość się nie pojawił. Duże łóżko nakryła biało-niebieską narzutą, na komodzie ustawiła zdjęcia



Andy'ego z różnych okresów, a na łóżku leżały świeże ręczniki, w łazience natomiast czekała nowa szczoteczka. Cała Lori. Prawie nigdy go nie przytulała, nigdy nie całowała, rzadko mówiła „kocham cię”, ale kiedy zjawiał się na progu niezapowiedziany, czekało na niego łóżko, ulubiona pizza w zamrażarce i nowa tubka pasty do zębów, jakiej używał w dzieciństwie.

Andy wszedł do pokoju i położył torbę na komodzie. Lori stała w drzwiach, bawiąc się kosmykiem włosów.

– Andy.

Spojrzał na nią.

– Kiedy powiedziałaś, że przepraszasz... wiesz, ja też cię przepraszam. Jeśli kiedykolwiek dałam ci odczuć, że w ciebie nie wierzę.

– Mamo – zaczął, ale Lori mówiła dalej, z pobladłą twarzą, mocno zaciskając dłonie.

– To dlatego to zrobiłeś, prawda? Dlatego chciałeś nadal biegać. Miałeś złoty medal, pobiłeś cały świat, a wciąż nie potrafiłeś sobie odpuścić. To moja wina, powinnam ci była dać odczuć, że cię kocham, niezależnie od wszystkiego, a nie zrobiłam tego.

– Mamo – zaczął raz jeszcze, a w każdym razie próbował, bo trudno mu było wydusić z siebie coś więcej.

Lori płakała.

– Myślałam tylko o sobie, jak przeżyć kolejny dzień i jaka jestem samotna. Za bardzo cię obciążylałam, a za mało ci dawałam. Przepraszam, Andy, przepraszam cię. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo...

Andy podszedł do niej, by wziąć ją za ręce, a ona złapała jego dłonie i mocno ścisnęła.

– Nigdy się ciebie nie wstydziałam. I zawsze byłam z ciebie dumna. Jesteś moim synkiem – dodała, wciąż płacząc. – Czuję dumę, bo jestem twoją mamą.

Rachel  
2014

– Rachel?

Poczułam na ramieniu dłoń. Jęknęłam.

– Jestem zmęczona.

– Rachel, kochanie.

Ręka mną potrząsała, pozwoliłam, by ciało bezwolnie się temu poddało. Dziś był... nie weekend w każdym razie. Może środa. Czułam atmosferę środy, czułam znużenie środka tygodnia, poniedziałkowe dobre intencje już zbladły, a na weekendowe podniecenie jeszcze za wcześnie.

– Rachel.

Ręka wciąż tam była. Głos stawał się coraz bardziej natarczywy. Tym razem to nie Brenda, ale babcia, która przyleciała aż z Florydy, tak jak po porodzie obydwu moich córek.

– Daj spokój, kochanie. Dziewczynki niedługo wracają.

– To niech przyjdą do mnie – westchnęłam i zmusiłam się, by usiąść i otworzyć oczy.

Gdyby Jay mnie po prostu zdradził... Gdyby mnie zdradził i odszedł z kochanką, byłoby to upokarzające doświadczenie i smutne, ale na pewno by mnie aż tak nie powaliło. To, co się stało, było o wiele, wiele gorsze. Straciłam wszystko – pracę, męża, to, co uważałam za całe swoje życie – w jeden okropny wieczór.

Był piątkowy ranek, siedziałam w gabinecie, gdy w kalendarzu wyskoczyło okienko – StolikDlaCiebie przypominał o dokonanej rezerwacji. „Eleven Madison Park, dziś wieczorem”.

Wcześniej w domu, w codziennym porannym chaosie mycia, czesania i pakowania dziewczynek, Jay coś do mnie mówił, i chyba było to coś w rodzaju: „Nie zapomnij o dzisiejszym wieczorze”, ale nie bardzo wiedziałam, o czym mam pamiętać, bo stałam wtedy przed otwartą zamrażarką z nadzieją, że jakimś cudem jednak pojawi się w niej kawa, a jednocześnie mając w głowie podopieczną, której trzeba załatwić telefon, żeby mogła wpisać numer do CV i zacząć je rozsyłać potencjalnym pracodawcom. Minutę przed wyjściem Adele zaczęła bieganinę w poszukiwaniu swojego fletu, a Delaney wykorzystała sytuację, by przejrzeć, co dostała na lunch. „Mamo, dlaczego dajesz mi ciągle te wodorosty z wasabi? Przecież ja lubię tylko z sezamem!” Jay cmoknął mnie jak zwykle zdawkowo i wygonił dziewczynki z domu.

W drodze do metra przeglądałam kalendarz, sprawdzając, czy nie mam jakichś innych planów na dzisiejszy wieczór. Koncert Adele był dopiero w czwartek, a klasowe spotkanie u Delaney, obowiązkowe dla rodziców, to

odleg-ła przyszłość. Zaplanowałam jedynie jogę o piątej – i to wszystko.

Wpatrywałam się w ekran. Nasza rocznica wypadła dopiero za trzy miesiące. Nie były to również moje urodziny. Ani Jaya zresztą. Kilka miesięcy wcześniej, co prawda, opisywali Eleven Madison Park w „Timesie”, chwając kurczaka nadziewanego gęsiami wątróbkami. „Miałabym ochotę ładnie się ubrać i pójść do jakiegoś eleganckiego lokalu” – westchnęłam wtedy. Czyżby Jay naprawdę słuchał?

Napisałam SMS do naszej opiekunki, czy może zostać dłużej, dziękując bogom, którzy mają pod opieką pracujące matki, że Meredith zerwała ze swoją dziewczyną i wieczory miała teraz raczej wolne. W porze lunchu podjechałam taksówką do Bloomingdale, znalazłam świetną sukienkę na wyprzedaży, co usprawiedliwiło zakup szpilek od Kate Spade, chociaż nie były przecenione. Włosy wysuszyłam w klubie fitness – miałam zamiar udawać, że ćwiczyłam, ale fryzjerka była tak zagadana z kolegą przy fotelu obok, że nawet nie zapytała. Po powrocie wpadłam do gabinetu Amy zapytać, czy mogę wyjść wcześniej na romantyczną kolację, o której w ogóle nie wiedziałam albo wiedziałam, ale zapomniałam. Okazało się jednak, że Amy tego dnia również wyszła wcześniej.

W każdym razie o siódmej zamówiłam taksówkę, podałam kierowcy adres i w komórce przejrzałam menu restauracji. Kiedy stanęłam przed hostessą, wiedziałam dokładnie, którą przystawkę i które główne danie zamówię. Była siódma dwadzieścia pięć, rezerwacji dokonano na siódmą trzydzieści.

– Stolik dla dwojga? Kravitz?

Hostessa spojrzała do księgi.

– Przepraszam panią. Rezerwacja rzeczywiście była na dwie osoby, ale obydwie już są.

O.

– Pozwoli pani, że sprawdzę, o co tu chodzi. To mój mąż – powiedziałam konspiracyjnym tonem, rzucając jej porozumiewawcze spojrzenie z serii „Wiadomo, jacy są faceci”.

Uśmiechnęła się uprzejmie i zaprowadziła mnie do stolika. Rzeczywiście siedział przy nim Jay, w jednym z kilku nowiuteńkich eleganckich garniturów, które zakupił miesiąc wcześniej, i ciemnoniebieskiej prążkowanej koszuli. Nie widział mnie. Pochylał się i mówił coś z przejęciem do kobiety siedzącej naprzeciwko – filigranowej i zgrabnej, o kruczoczarnych upiętych wysoko włosach, w czarnej sukience z koronkowymi rękawami. Na ten widok poczułam wściekłość i przerażenie. Kolana się pode mną ugięły, nie byłam pewna, czy dojdę, jakoś jednak szłam. Byłam już niemal przy stoliku, gdy Jay podniósł wzrok.

– Przepraszam, jeśli przeszkadzam – zaczęłam.

I wtedy dopiero zorientowałam się, że przy stoliku siedzi z nim Amy, zupełnie odmieniona bez swojego codziennego biurowego mundurka, czyli

śnieżnobiałej koszuli i spodni.

– Dzięki ci, Boże! – Poczułam taką ulgę, że praktycznie osunęłam się na trzecie krzesło, które kelnerka przytomnie podsunęła. – Przez moment naprawdę pomyślałam, że Jay ma romans.

Jay gapił się na mnie z otwartymi ustami, lekko wytrzeszczając oczy, jak ryba. Amy pochyliła głowę, wpatrując się w talerz ze złotą obwódką. I już wiedziałam.

– O nie – jęknęłam. Czułam taką słabość, że gdybym nie siedziała, zemdlałabym na pewno. – O nie.

Powinłam była się zorientować, mówiłam do siebie w taksówce, wracając do domu. We wrześniu, gdy Delaney zaczęła zostawać w przedszkolu na cały dzień, ograniczyliśmy godziny pracy opiekunki. Mieliśmy więc trochę więcej pieniędzy i wolnego czasu. Jay, po odprowadzeniu dziewczynek, zaczął pięć razy w tygodniu chodzić na siłownię. W przynębiająco krótkim czasie zrzucił dziesięć kilogramów i absurdalny odsetek tłuszczu. Kupił bajerancki rower z tytanową ramą i zapisał się do klubu rowerowego. Trzy razy w tygodniu wracał późno, odświeżony po prysznicu, z rumieńcem na twarzy, w bardzo dobrym nastroju. Unosił Delaney wysoko ponad głowę, a ona wydawała pisk udawanego przerażenia, potem wysłuchiwał przydługawego sprawozdania Adele, co tam w szkole i kto ją zaczepiał podczas lunchu. Nie zwróciłam uwagi, gdy kupił nowe garnitury, koszule, a nawet majtki – bokserki, ale nie te szerokie bawełniane, jakie ja kupowałam mu przez lata, tylko elastyczne, od Calvina Kleina. Był szczuplejszy, więc potrzebował nowych ubrań, to oczywiste, a jeśli chciał kupować je sam, zamiast przysyłać mi SMS-y z listą zakupów, tym lepiej.

Minęły trzy miesiące, w ciągu których nic nie zauważyłam. Trzy miesiące prania, odrabiania zadań domowych, ścielenia łóżek i gotowania obiadów, trzy miesiące zmywania i zmiatania podłóg. Byłam na tyle zajęta, że jakoś mi nie przeszkadzało, iż od długiego czasu nie całowaliśmy się z Jayem, nie mówiliśmy sobie „kocham cię”, a jeśli uprawialiśmy seks, to był przewidywalny i szybki. W ciągu dnia ślaliśmy sobie SMS-y, przeważnie dotyczące dziewczynek albo tego, kto zostawi pieniądze pani do sprzątnięcia. Dodawanie „kocham cię” wydawało się bez znaczenia, po prostu strata czasu. Gdy w końcu się kładliśmy, byliśmy zbyt wykończeni, żeby się nawet dotykać. Pragnęliśmy tylko snu, delikatny i miękki dotyk puchowej kołdry w zupełności nam wystarczał.

Amy i Jay. Oczywiście spotykaliśmy się towarzysko – Amy przychodziła z mężem na urodziny dziewczynek, a my byliśmy zapraszani na uczyty Leonarda, od kiedy zaczął interesować się gotowaniem. Były też spotkania organizowane spontanicznie, letnie popołudnia w naszym małym ogródku, gdy popijaliśmy sangrię, dziewczynki biegały pod strugami ogrodowego zraszacza, a Jay rozpałał grill – ale o ile mi wiadomo, Jaya i Amy poza tym niewiele łączyło. Na studiach

chodzili ze sobą przez sześć tygodni. Kiedy pytałam, dlaczego zerwali, Jay, jak to on, odpowiadał dość pokrętnie. „Amy bywała natarczywa” – wyraził się. A Amy o Jayu powiedziała jedynie, że to superfacet.

– Nie planowaliśmy tego – wydusiła w końcu Amy.

– Klasyka – odparłam.

Jay wybąkał jakiś bezsens, że wreszcie zrozumiał, o co chodzi z tymi bratnimi duszami i gromem z jasnego nieba, *coup de foudre*, powiedział po francusku, ale z takim akcentem, że w ogóle nie rozumiałam, musiał powtórzyć. Bratnie dusze! Też coś. W życiu bym nie pomyślała, że mój jakże prawniczy mąż ze swoją teczką z monogramem i postępującymi zakolami kiedykolwiek użyje tego wyrażenia.

– Mogłabym cię przeprosić na chwilę? – zwróciłam się do Amy. – Chciałabym porozmawiać z mężem.

Miała przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby przy słowie „mąż” zrobić zbolaną minę, po czym poszła do wyjścia. Zająłam po niej puste miejsce – metafora! – i spojrzałam na swojego męża. Zmarszczone czoło, a w oczach łagodność, jakby reżyser polecił: „Graj skrucę”, więc on ze wszystkich sił próbował pokazać, że żałuje.

– Dlaczego? – zapytałam.

Kelnerzy mijali nas z apetycznie pachnącymi daniami. Gdzieś w głębi restauracji ktoś śpiewał *Sto lat*. Za oknem zaczęło padać.

Jay westchnął. To samo westchnienie słyszałam już tysiące razy, było mi znajome jak własne. Potem jego twarz się zmieniła, rozjaśniła, jakby ktoś zapalił świeczkę w wykrojonej dyni. Kiedy opisywał swoją ukochaną, oczy mu błyszczały.

– Nie mówię tego, żeby cię ranić, ale chcę być szczery. To, co czuję do Amy, to prawdziwa miłość. Właśnie taka powinna być.

– A my? Co jest między nami? Fałszywa miłość? Dziesięć lat niczego? – mówiłam ze złością, chyba trochę zbyt głośno. Byłam na niego wściekła za to, że mnie zdradza, na dodatek z takiego głupkowatego, przewidywalnego powodu.

– Już od dawna nie jestem szczęśliwy.

Cofnęłam się na swoim krześle, jakby mnie popchnął.

– Przecież mogłeś powiedzieć. Rzucić jakąś aluzję czy coś, przez te wszystkie lata cierpienia.

– Niby kiedy? Ciebie nigdy nie ma w domu! A jak już jesteś, to gadasz przez telefon z podopieczną, która zawsze ma jakiś kłopot. Ty już mnie w ogóle nie znasz.

– Ja cię kocham – szepnęłam... choć w tamtej chwili nie byłam tego całkowicie pewna.

Pokręcił głową, jak cierpliwy nauczyciel instruujący niezbyt lotnego ucznia.

– Nie, Rachel, wcale nie. Podziwiasz mnie. Potrzebujesz. Lubisz rzeczy,

które robię. Ale mnie nie kochasz. Nawet mnie nie znasz. Ty nie...

– Co nie? Nie zdradzam cię? – syknęłam. – I skoro obiecałam kochać, na dobre i na złe, w zdrowiu i chorobie, porzucając innych, to nie żartowałam? I nie pieprzę się z twoim szefem?

A to już na pewno, szczególnie że szefem Jaya był jego ojciec – dobroduszny i przemyśły człowiek w wieku lat siedemdziesięciu sześciu.

– A nawet gdybym zdradzała, to na pewno nie zachowałabym się jak ostatni palant i nie korzystałabym z konta żony, żeby zrobić rezerwację!

Jay znowu westchnął.

– Chcę być z tobą szczerzy.

– Tak? Lepiej się przygotuj na bycie bez grosza, bo zamierzam wytoczyć najcięższe działa, wynająć najdrapieżniejszych prawników i doprowadzić cię do ruiny.

Matko. Skąd ja wzięłam te wyrażenia? Pewnie z moich ulubionych reality show, które Jay nazywał „moimi programami”. „Och, nie, nie możemy iść w poniedziałek, bo mama musi zobaczyć swoje programy”. Wierzyłam, że po prostu żartuje. Ale teraz pomyślałam, że może jego obrzydzenie nie było udawane. Mnie też niektóre rzeczy w nim drażniły, lecz ja wybierałam swoje bitwy z rozważą i nie miałam zamiaru walczyć z irytującymi drobiazgami, które są nieuniknione, gdy mieszkamy z kimś pod jednym dachem. Myślałam, że jestem taka sprytna, zajmuję się swoim małżeństwem jak kolejną sprawą w pracy. I dokąd mnie to doprowadziło? Mój mąż pełen nadziei na długie i szczęśliwe życie z moją była najlepszą przyjaciółką.

– Wracasz do domu? – zapytałam. I na ostatnim słowie głos mi się załamał. Poczułam też łzy, gorący potok, czekający tylko, by splukać spowijające mnie odrętwienie. – Nie, wiesz co? Nie wracasz. Nie jesteś mile widziany. Możesz nocować gdzie indziej.

Po czym wyprostowana, z wysoko podniesioną głową i nieco dziwnym krokiem, gdyż drzenie nóg utrudniało mi panowanie nad obcasami, wymaszerowałam z restauracji i nie zatrzymując się, doszłam do centrum. Deszcz przeszedł w lekką mżawkę, a z chodnika unosił się smrodek brudu i moczu oraz ten charakterystyczny zapach wilgotnej ziemi po burzy. Już nie chciało mi się płakać, za to wróciła złość. Zaciskałam zęby, mocno stawiałam stopy na mokrym chodniku i piorunowałam wzrokiem każdego, kto blokował mi drogę lub spychał na bok parasolem. Byłam wściekła na Jaya za to, co zrobił, i na siebie, że nic nie zauważyłam, oraz na Amy, która najpierw sama mnie z nim umówiła, a potem uznała, że chce go jednak z powrotem.

Ale nie to było najgorsze. Całe lata wmawiałam sobie, że Andy był pomyłką, że i on, i wszystkie operacje, i to, co się z nimi wiązało, to tylko próby, a ich przejście doprowadziło mnie do człowieka, który był moim przeznaczeniem,

z którym miałam żyć długo i szczęśliwie. Skoro mój mąż, to obiecane złoto czekające na końcu tęczy, odchodzi, to musiałam popełnić jakiś błąd. I co teraz?

O romansie dowiedziałam się w piątkowy wieczór, czyli na początku długiego weekendu, bo w poniedziałek nauczyciele brali udział w cyklicznym szkoleniu i dziewczynki miały wolne. Z SMS-a Jaya wynikało jednak, że na sobotę i niedzielę zabiera córki do swojego ojca na Long Island. Będzie też jego brat Ben z rodziną, w tym trzyletnią córeczką, a Adele i Delaney wręcz uwielbiały spędzać czas z małą kuzynką, bo wtedy to one grały rolę tych dużych i mądrych. Miały wrócić dopiero w poniedziałek rano, od piątku więc aż do przyjscia Brendy leżałam w łóżku, wstając jedynie na siku i łyk wody z kranu. Nie mogłam przestać myśleć o tych bzdurach, jakie opowiadał Jay, o bratnich duszach i gromie z jasnego nieba i że w końcu zrozumiał, co to jest prawdziwa miłość.

Mogłeś mnie zapytać, powinnam mu była wtedy powiedzieć. Ja już ją kiedyś przeżyłam. Ale nie z tobą, tylko z Andym.

Miałam zamiar zostać w łóżku na zawsze, lecz przyjechała babcia, wprowadzając do sypialni dziewczynki. Byłam po kąpieli, przebrana i w zmienionej pościeli.

– Mamusiu! – zawołała Delaney, z rozpędem wskakując na łóżko wprost w moje ramiona. Miała na głowie francuski warkocz – zapewne dzieło cioci Katie – a na ustach truskawkowy błyszczek. Wystąpiła w swojej ulubionej długiej sukience.

– Dlaczego leżysz w łóżku? – zapytała Adele, stojąc z ciężkim, pełnym książek plecakiem na szczupłych ramionach.

– Spodobało mi się. Postanowiłam zrobić sobie dzień relaksu.

– Hurra! – zakrzyknęła Delaney i pobiegła do swojego pokoju. Delaney to mały chuligan. Starsi twierdzili, że przypomina Shirley Temple, ludzie w moim wieku porównywali ją raczej z małą Annie z filmu pod tym samym tytułem. Z pewnością była rozkosznie pulchniutka, miała brązowe loczki i zawsze uśmiech na twarzy, a przerwa w miejscu, gdzie powinny znajdować się dwa przednie zęby, tylko dodawała jej uroku.

– My też mamy się przebrać i paradować w nocnych koszulach? – pytała tymczasem Adele.

Miała taki sam kolor włosów jak siostra, ale jej były gęste i proste, obcięte, po nieustępliwych naleganiach, na staromodnego boba na wysokości uszu. Od niemowlaka była dzieckiem rozsądnym, zdystansowanym i ostrożnym. Zwykle wykręcała się od uścisków i pieszczot na rzecz obserwowania pyłków kurzu wirujących w świetle promieni słonecznych lub owada usiłującego sforsować szybę albo też własnych paluszków wijących się w powietrzu. Czasami wydawało mi się, że zostanie naukowcem, ponieważ przed podjęciem decyzji zawsze skrupulatnie oceniała każdą sytuację, rozważając wszystkie możliwe scenariusze, czy to chodzi

o skok do basenu, czy zdmuchnięcie świeczek na urodzinowym torcie.

Bywało też, że zastanawiałam się, skąd u niej taki pesymizm, to ciągle nastawienie na rozczarowania – nie ta kanapka w pojemniku z drugim śniadaniem, nieodpowiedni kolor rajstop przygotowanych na łóżku, przerażająca sześćdziesięcioletnia nauczycielka zamiast ślicznej pani Rose z małym błyszczącym kolczykiem w nosie i ptaszkiem wytatuowanym na ramieniu. Delaney uwielbiała słodkie, Adele rezygnowała z deserów, bo są „zbyt ciężkie”. Delaney zostawiała po sobie górę zabawek, butów i ubrań, pokój Adele robił wrażenie sterylne. Oznajmiła mi kiedyś, że nie musielibyśmy zatrudniać pani do sprzątnięcia, gdyby tylko każdy sprzątał po sobie. Na wakacjach Delaney uwielbiała zamawiać posiłki do pokoju i z zainteresowaniem obserwowała kelnera, gdy wjeżdżał z nakrytym obrusem wózkami, a potem go rozkładał, zamieniając w stół, podczas gdy Adele skrupulatnie sprawdzała rachunek, wydymając usta przy pozycji opłaty za dostawę do pokoju – osiemnaście procent – i oznajmiała siostrze, że o wiele taniej byłoby po prostu zjeść w restauracji. „Albo przywieźć jedzenie z domu!” – dodawała.

Pewnego razu, po przyjęciu urodzinowym pięcioletniej koleżanki z przedszkola, na którym Adele odmówiła wejścia do basenu z piłeczkami, „ponieważ są tam zarazki”, wyjaśniła mi z powagą: „oraz dlatego, że ktoś mógł zrobić tam siusiu”. Zmartwiło mnie to na tyle, że zabrałam ją do terapeuty, który uspokoił mnie, że dzieci są bardzo różne oraz że w zasadzie charakter raczej się nie zmienia, więc należy kochać Adele taką, jaka jest, i jednocześnie starać się jej pokazać, że świat nie jest strasznym miejscem pełnym zasadzek. Zastanawiałam się, jak mam teraz sprawić, żeby w to uwierzyła.

– Po co nam piżamy? – zapytała.

– Idziemy do łóżka – powtórzyłam. – To znaczy do mojego łóżka.

– Mam zadanie – protestowała Adele.

– Kłamiesz. Wiem na pewno, że nic wam na weekend nie zadali.

Adele zmarszczyła brwi i poruszyła się niespokojnie.

– Chcę poczytać z wyprzedzeniem.

– Mogę pooglądać *Victoria znaczy zwycięstwo*? – wołała tymczasem Delaney, wpadając do pokoju w swojej flanelowej nocnej koszuli z iPadem w dłoni. Zamknęłam oczy. Nie pamiętałam, czy pozwoliliśmy jej to oglądać, czy też uznaliśmy za nieodpowiednie w jej wieku, ale wiedziałam, że rozmawialiśmy o tym z Jayem, i to zapewne w tym właśnie łóżku. Chyba nie uważałam. Najprawdopodobniej wisiałam na telefonie, rozwiązując problemy jakiejś innej matki.

– Ty jesteś odpowiedzialna za rozrywkę – powiedziałam do Delaney, ignorując okrzyk zdumienia starszej siostry. – A ty – zwróciłam się do Adele – odpowiadasz za obiad. Wybierzesz, co dzisiaj zjemy, pieniądze są w puszcze po



herbatnikach.

„Naprawdę?” – zdziwiła się kiedyś Amy, gdy zdradziłam jej, gdzie trzymam kasę. „Tak robiło się w latach pięćdziesiątych”.

Kiedy Delaney w pełnym skupieniu oglądała swój program, a Adele z włosami spadającymi na twarz wczytywała się w propozycje kulinarne, wystawiając przy tym koniuszek języka, poszłam poszukać babci. Siedziała w salonie, ubrana w jeden ze swoich, jak je nazywałam, „nowojorskich zestawów” – dopasowane tweedowe spodnie, botki na niskim obcasie i kremowy pulower – które kupowała u Saksa na Piątej Alei (oczywiście Saks miał także filię na Florydzie, lecz babcia uważała, że oferta nowojorska jest nieporównanie lepsza). Spojrzałam na siebie – porozciągnana dziesięcioletnia koszula nocna oraz co prawda umyte i rozczesane, ale wciąż mokre i nieulożone włosy.

– Mam propozycję – usłyszałam. – Kiedy kończy się rok szkolny?

– Pierwszy czwartek czerwca.

Data ta – śmiesznie wczesna według mnie – wryła mi się w pamięć, bo próbowałam znaleźć półkolonie, które nie zaczynałyby się dopiero w lipcu.

– Może weźmiesz sobie wolne i przyjedziesz na Florydę – zaproponowała babcia. – W tej sytuacji szefowa chyba nie będzie miała nic przeciwko temu.

– W tej sytuacji – powtórzyłam za nią, z trudnością przepychając te słowa przez swój mózg. Przypominało to przeciskanie modeliny przez plastikową wyciskarkę Delaney, z nadzieją, że nabierze jakiegoś kształtu.

– Pomogę się spakować Delaney – zapowiedziała Adele, która weszła właśnie z notesem i długopisem, by zebrać zamówienia. Surowo oceniła siostrę: – Ostatnio zabrała tylko pluszaki i klej z brokatem oraz trzy kostiumy księżniczki.

– Pamiętam.

Ostatnio, czyli w listopadzie, kiedy pielgrzymowaliśmy do Disney Worldu z okazji jej piątych urodzin. Jay próbował namówić Adele na przejażdżkę rollercoasterem, podczas gdy ja udałam się z Delaney po odbiór jej głównego prezentu, czyli na sesję ze stylistą w butikiu Bibbidi Bobbidi. Jej „matka chrzestna wróżka jeszcze w trakcie praktyki”, czyli postawna nastolatka w niebieskiej sukni z białym fartuchem, zapytała:

– Księżniczko, czy napisałaś już list do Świętego Mikołaja?

Delaney zmarszczyła mały nosek i zastanowiła się głęboko.

– Nie napisałam listu do Mikołaja, ponieważ jestem żydowską księżniczką – odparła po chwili swoim śpiewnym głosem.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu do tego stopnia, że wciągnęłam do nosa colę, więc Delaney spojrzała na mnie zła i poirytowana, pytając, co w tym takiego śmiesznego. Wieczorem w naszym apartamencie w Polynesian Village, gdy na niebie wybuchały fajerwerki, a dziewczynki spały już w naszym łóżku, Delaney w stroju Kopciuszka z brokatem we włosach, a Adele mocno ściskając swoje uszy

Myszki Miki, Jay mnie objął.

– Było cudownie – powiedział.

Czy już wtedy był z Amy? I co z moją pracą? W firmie jest miejsce tylko dla jednej z nas i miałam nadzieję, że to będę ja. Kochałam swoją pracę. Może zresztą w tym tkwił problem. Wbrew życzeniu Jaya wróciłam do pracy po sześciu tygodniach z dzieckiem, jednym i drugim, zostawiając je z jak najbardziej kompetentną nianią na osiem godzin, i w przeciwieństwie do mojego męża nigdy nie nauczyłam się zostawiać pracy przed drzwiami domu. Jay stawiał teczkę w przedpokoju i nie wypowiadał ani słowa o swoich klientach, jak również, o ile wiem, nie poświęcał nawet jednej myśli im samym czy ich sprawom ani też ocenie własnej wydajności, podczas gdy ja znosiłam do salonu stosy teczek i miałam zawsze włączoną komórkę, na wypadek gdyby ktoś mnie potrzebował. Uważałam, że nonszalancja Jaya wynika z faktu, że pracuje w firmie ojca. Nawet jeśli nie wypracowałby wymaganej liczby godzin czy spektakularnie dał ciała i oskarżono by go o zaniedbanie czy nadużycie, jak jego współpracownika, i tak nie straciłby posady. Właściwie to nie uważałam też, że ja mogę stracić moją, ale wiedziałam, że moi podopieczni potrzebują mnie w różnych momentach i powinnam być w dobrej formie. Czyjś syn mógł zostać aresztowany, czyjś gaz odcięty albo kobieta po dwunastogodzinnym dniu pracy mogła potrzebować pomocy w odrobieniu zadania na wieczorne zajęcia. Dzielna niewiasta, myślałam czasem... a kiedy Jay beształ mnie za to, że do nocy siedzę nad papierami albo esemesuję z podopiecznymi zamiast spędzać z nim czas przed telewizorem, mawiałam, że ważne jest, by dziewczynki widziały, że wykonuję swoją pracę, żeby wiedziały, co robię, z kim pracuję i że nie wszyscy są tacy uprzywilejowani jak one.

– A co potem? – zapytałam babcie, która uspokajająco głaskała moją dłoń.

– Poradzisz sobie – odparła, pomijając resztę tej jakże znanej mi kwestii: „bo jesteś teraz matką, a matki nie mają wyboru”.

Andy  
2014

Nowy Jork

– Proszę pana?

Ostatni nabytek Andy’ego, dzieciak zwany Paul Martindale, stał przed nim jeszcze bardziej zdenerwowany niż zwykle. Miał dziewiętnaście lat, studiował w City College Uniwersytetu Nowojorskiego, był wysoki, pryszczaty i przerażony. Kiedy kobieta pytała go, gdzie znaleźć żarówki czy próbki kolorów farb albo mulcz, patrzył na nią, jakby groziła mu nożem, a jeśli zwrócił się do niego facet, zaczynał się jąkać.

– Zaraz zawołam kierownika – mówił i uciekał.

– Słucham, Paul – powiedział cierpliwie Andy, zastanawiając się po raz kolejny, czy przeniesienie go z nocnej zmiany na dzienną nie było błędem.

– Telefon do pana.

– Już idę.

I skierował się do biura na końcu sklepu.

W Wallen Home Goods zatrudnił się pięć lat temu, nie mając zbyt wielkich oczekiwań, tłumacząc sobie, że od czegoś trzeba zacząć. Dawno temu sieć ogłosiła nową strategię polegającą na zatrudnianiu przyszłych olimpijczyków, którym ułatwi treningi poprzez odpowiednie dostosowanie godzin pracy. Nie miał pojęcia, jak się ustosunkują do okrytego hańbą byłego olimpijczyka, ale uznał, że to niezłe miejsce, by spróbować.

Rozmowę wyznaczono na ósmą rano. O siódmej był już na parkingu, zlany potem za kierownicą swojego sedana, którego kupił, bo samochód miał spory bagażnik i wygodnie się do niego wsiadało. W weekendy jeździł do Filadelfii i zabierał pana Sillsa w różne miejsca, które ten miał ochotę odwiedzić – do sklepów z rupieciami, do księgarni, kościoła, do rodziny i znajomych. I to właśnie pan Sills zachęcał go, by znalazł sobie pracę, ponieważ, jak twierdził, Andy potrzebuje jakiegoś celu w życiu, pewnej struktury dnia codziennego. Codziennej rutyny i przyzwoitości, które stanowiłyby pierwszy krok na drodze do tego, by przestał tak bardzo się nienawidzić. Pierwszą myślą Andy’ego było trenowanie, ale kiedy napisał do Roman Catholic i otrzymał formalną odmowę, uznał, że skoro nie chce go jego Alma Mater, to nie ma co próbować gdzie indziej.

„Zawsze byłeś zręczny” – mówił pan Sills. Andy zastanawiał się więc nad zatrudnieniem w jakimś apartamentowcu albo nawet nad założeniem firmy naprawczej, ale potem zrozumiał, że wielki, anonimowy supermarket budowlany z tłumem klientów odpowiada mu dużo bardziej niż garstka tych samych twarzy widywana codziennie i zadająca zbyt wiele pytań. Postanowił spróbować.

Oferowali jakieś dodatkowe korzyści, nie pamiętał dokładnie, o co chodziło, i prowadzili szkolenia – hydraulika, malowanie, podstawowe naprawy. Może kiedyś i on będzie nauczał.

Pamiętał upał tamtego ranka, powietrze niemal jak woda, gęsta zupa, przez którą trzeba się było przedzierać. Kiedy siedział za kierownicą, mięśnie zacisnęły się w znajomy węzeł, jakby czekał na pistolet startowy, który nigdy nie miał wypalić. Prawa noga drżała i podrygiwała, palce stóp podkulone w skurczu, dłoń bębniła w deskę rozdzielczą. Pomimo włączonej klimatyzacji i sporej ilości dezodorantu przepocił już podkoszulek.

To była jedna ze zmian po skandalu – nowa garderoba. Dzinsy i inne zwyczajne spodnie, niesportowe buty, koszulki z długimi rękawami niewykonane z materiałów termoaktywnych. W dniu rozmowy kwalifikacyjnej miał na sobie spodnie, białą koszulę i ciężki, czerwono-złoty, jedwabny krawat firmy Hermès, jedyny, który zatrzymał. Maisie dała mu go kiedyś na urodziny. Od ostatniego zdjęcia w prasie – czyli w „Newsweeku”, który sześć tygodni po olimpijskich rewelacjach umieścił biegaczy na okładce z podpisem hańba – Andy przytył siedem kilogramów i nie miał już gibkości lekkoatlety. Wyglądał jak przeciętny miłośnik kanapy i telewizji, jak facet, który może trzy razy w tygodniu bez przekonania ćwiczy na siłowni i dostaje zadyszki po jednym okrążeniu stadionu.

Jak zachowuje się człowiek, który stracił wszystko? Zadawał sobie to pytanie, idąc w stronę wejścia. Zatrzymał swój medal, ale resztę diabli wzięli – reklamy, drogie restauracje, dobre wina i sławnych znajomych, aktorów i polityków lubiących kolekcjonować sportowców, podobnie jak stare samochody i dzieła impresjonistów. No i Maisie, oczywiście. Zawsze śmiała się i przewracała oczami, słysząc wyrażenie „kobieta trofeum”. „Więc jestem tylko jednym z twoich trofeów” – droczyła się z nim, zazwyczaj naga, leżąc w łóżku, z długimi nogami wyciągniętymi na kołdrze i uniesionym leciutko biodrem. Udawała urażoną, ale Andy sądził, że podoba się jej bycie kobiecym odpowiednikiem złotego medalu.

Ciekawe, co by powiedziała na jego brooklyńskie mieszkanie, które w całości zmieściłoby się w ich nowojorskim salonie, co by rzekła na jego nową garderobę, nie wspominając już o nowym ciele. Myślał również o Rachel – czy wyszła za męża, czy nadal jest pracownikiem socjalnym, czy ma dzieci. Ciekawiło go, czy zadzwoni po tym skandalu – żeby wyrazić współczucie albo wręcz przeciwnie – ale nie zadzwoniła, a i on nigdy nie próbował jej odnaleźć, nie szukał jej na Facebooku ani nawet w Google. Wyobrażał sobie jej męża, zapewne faceta z odpowiednim pochodzeniem – wyższa klasa średnia, Żyd, co to spodoba się rodzicom. Na pewno ma dzieci i jest dobrą mamą, z jej pracą, intuicją i wielkim sercem. Normalne, szczęśliwe życie. Zasługiwała na nie i miał nadzieję, że tak właśnie jest.

Wszedł do biura kierownika, trzymając w ręce życiorys, w sumie dość

smutny, i próbując nie zostawić potu na papierze. W jakiś perwersyjny sposób był z tego dumny. To pierwszy w jego życiu triumf kreatywności, pierwszy kawałek fikcji jego autorstwa. Opisując lata roznoszenia gazet, w swoim życiorysie awansował na „pracownika działu dystrybucji jednej z największych instytucji prasowych w kraju”. Napisał również, że przez ostatnie dziesięć lat „prowadził firmę jednoosobową i wykonywał zlecenia w różnych częściach świata”. Nie dodał, że był biegaczem, a jeśli kierownik zapytałby, co robił pomiędzy tamtą pracą a dziś, odparłby, że pracował jako konsultant, a potem zamknąłby buzię z nadzieją, że facet nie zapyta, co konsultował. Musiał też mieć nadzieję, że nie zostanie z miejsca rozpoznany.

„Krótkie odpowiedzi”, powtarzał sobie, wchodząc do klimatyzowanego pomieszczenia i przechodząc alejką z kosiarkami i nożycami do żywopłotów. Gdyby go zatrudniono, pracowałby od północy do ósmej. Nocny magazynier. Ta myśl wywoływała uśmiech i skojarzenie, podobnie jak niektóre żarty, z Rachel. Ona na pewno by się śmiała.

Odnalazł drzwi z napisem wyłącznie dla personelu, pchnął je i trafił na kolejne. Jack Kincaid, menadżer. Zapukał.

– Proszę! – dobiegło ze środka.

Andy wszedł i zobaczył człowieka, który próbuje podnieść się z ergonomicznego fotela. Jack Kincaid nosił okulary w metalowych oprawkach, granatową koszulę, spodnie z zakładkami i buty robocze. Do kieszeni miał przyzrepczoną saszetkę z długopisami, a na pasie zawieszony telefon. W nogawkach płątały się patykowate nogi, z krótkich rękawów wystawały pałkowate ręce. Pomiędzy nimi natomiast znajdowało się coś na podobieństwo dmuchanej kuli, idealnie okrągłej i twardej jak piłka do kosza, rozchylającej koszulę między guzikami (ostatnie dwa zresztą, jak zauważył Andy, były rozpięte, ukazując biały podkoszulek).

W końcu udało mu się wstać.

– Andrew Landis?

Andy podał mu rękę. Jack Kincaid uściśnął ją mocno, uważniej mu się przyglądając. Andy napiął mięśnie i przygotował się na nieuniknione.

– Ale chyba nie TEN Andy Landis? Andy Landis biegacz?

– Tak jest – odparł Andy. Nienawidził tej służalczości w swoim głosie, świeżego potu pod pachami i poczucia skrępowania, braku swobody ruchu. – Andy Landis – powtórzył. – To ja.

– Hm – powiedział Jack Kincaid. – No, no, no.

Odchylił się na piętach i Andy miał wrażenie, że z powodu brzucha upadnie na plecy, ale pan Kincaid, jak wańka-wstańka, kołysał się, lecz nie przewracał. Usiadł, splótł ręce na swoim niesamowitym brzuchu, zlustrował Andy’ego z góry na dół, aż do samych stóp, odzianych w czyściutkie brązowe mokasyny zakupione

w Hecht's w Cherry Hill, gdzie zabrał pana Silsa na zakupy dla najmłodszego wnuka jego siostry.

Andrew czekał na coś rodzaju: „No cóż, gwiazdy spadają”, na „Zbrodnia nie popłaca” czy „Wszystko ma swoje konsekwencje” albo „Należało ci się”. Cekał, aż facet każe mu się wynosić i nigdy więcej nie zbliżyć do drzwi Wallen Home Goods.

– Potrzebuje pan roboty? – zapytał jednak Jack Kincaid.

Andy kiwnął głową i jeszcze bardziej się spocił.

– Nie zaoszczędziło się nic z PowerUp?

– Spłaciłem sponsorów, na ile się dało.

Jack Kincaid zamilkł. Na bardzo długo. Pomieszczenie było małe i duszne, betonowa klatka oświetlona lampami fluorescencyjnymi, z metalowym biurkiem, ścianami z pustaków i kalendarzem biurowym przypiętym do tablicy ściiennej. Na biurku Andy dostrzegł zdjęcia, Jack z rodziną, dorosłe już dzieci Jacka, jak przypuszczał, i małe dzieci, zapewne wnuki.

– Ma pan piękną rodzinę – skomentował.

– A pan? Dorobił się pan dzieci?

Andy pokręcił głową.

– Rozeszliście się z żoną?

Pokiwał. Nie było sensu prostować, że Maisie to nie żona. Wiadomość o ich zerwaniu ukazała się w „People”, Maisie pozowała bosą, w białej koronkowej sukience na ramiączkach. *Bieg do wolności* – głosił nagłówek. Artykuł dotyczył żon i rodzin niesławnej Ateńskiej Dziewiątki. Słowa Maisie, wydrukowane wielkimi literami, brzmiały: „Andy Landis okazał się inny, niż sądziłam”.

Kincaid wziął życiorys Andy'ego i kilka razy machnął nim w powietrzu.

– Ma pan za wysokie kwalifikacje – zaśmiał się krótko, posapując przy tym. – Zresztą nawet małpa miałaby za wysokie kwalifikacje. Robota od północy do ósmej rano, obsługa ładowarki i wózka widłowego. Rozładunek kartonów, wymiana towaru na bocznych regałach promocyjnych, przygotowanie zamówień. Odkurzanie górnych półek, przecieranie podłóg, segregacja kartonów, sprzątanie toalet, na rano wszystko ma być cacy. Brak kontaktu z klientami. – Zamyślił się na moment, klepiąc się z czułością po brzuchu. – Pewnie to i lepiej. Stawka minimalna i nie mogę dać więcej, nie ma nawet co próbować. Jakies schorzenia? Kręgosłup?

Andy pokręcił głową.

– Żadnych.

Kręgosłup był okej. Przebył trzy operacje na prawym kolanie, ale i ono było w porządku. Na taką robotę na pewno.

– Przeprowadzamy badania na obecność różnych substancji. Przypuszczam, że nie na to, co pan brał... niewielu pracowników bierze sterydy... ale na wszystko

inne. W tym alkohol. Niech pan nawet nie próbuje przychodzić na bombie.

– Nie piję.

To kolejna część mitu kultywowanego przez prasę. Andy Landis jako schludny, typowo amerykański chłopak o kwadratowej szczęce, który świętuje zwycięstwo co najwyżej piwem. I to oczywiście tylko pogarszało sprawę, gdy doping wyszedł na światło dzienne. Kincaid rzucił mu dziwaczne spojrzenie, złożył jego CV na pół, potem jeszcze raz, i położył je na samym środku pustej podkładki.

– Wierzę w drugą szansę – dodał. – Niech pan przychodzi na czas, robi swoje i nie sprawia kłopotów.

– Tyle potrafię – zapewnił Andy i wycofał się z pokoju, zanim Jack Kincaid mógłby zmienić zdanie.

Pierwszej nocy poznał swoich dwóch współpracowników: Martina – czarnego chudego dwudziestoparolatka, który non stop trajkotał, i Artura – Meksykanina w średnim wieku, który praktycznie się nie odzywał. Martin nosił wypielęgnowane afro i dżinsy opadające akurat tyle, żeby ukazać piętnaście centymetrów śnieżnobiałych elastycznych bokserek. Arturo również nosił dżinsy, ale jego były sztywne i wyglądały na nowe, z pas-kiem i ogromną klamrą, którą wygrał, ujeżdżając byki.

– Hej, chłopie, witaj – powiedział Martin.

Arturo uniósł rękę i szepnął:

– Cześć.

Andy się przedstawił i od razu zabrali się do roboty na stanowisku ogrodniczym – dwie godziny przenoszenia dwudziestopięciokilogramowych worków z mulczem i torfem. Martin włożył do uszu słuchawki, kołysał głową w rytm muzyki i podśpiewywał rapowe kawałki, Arturo też miał iPod, ale nie puszczał muzyki zbyt głośno, więc Andy nie miał pojęcia, czego słucha. Do trzeciej nad ranem rozmawiali niewiele, ograniczając się do ustaleń, kiedy należy przewieźć kolejną paletę z workami. O trzeciej zrobili przerwę, by coś zjeść.

Na tyłach ogromnego marketu znajdowało się, jak poinformował go pan Kincaid, pomieszczenie socjalne, z kuchenką mikrofalową oraz automatem z napojami i przekąskami. Stały tam cztery okrągłe stoły, składane krzesła i lodówka, gdzie mogli wkładać swoje wiktuały. Martin wyciągał z niej właśnie torbę z 7-Eleven z sześcioma kabanosami Slim Jim, opakowaniem herbatników Nutter Butter, litrową pepsi i paczką krążków cebulowych Funyuns, których Andy nie widział od lat osiemdziesiątych. Nie miał pojęcia, że ludzie to wciąż jedzą. Arturo natomiast wyszedł na zewnątrz i wrócił z termosem gorącej kawy i dwoma kartonowym tackami pełnymi jedzenia – mógłby tym nakarmić sześciu głodomorów.

– Proszę – powiedział, zwracając się do Andy'ego. Na tackach leżały stosiki opakowanych w folię tortilli, a w pojemniczkach fasola, ryż, wieprzowina

z czosnkiem i kurczak w aromatycznym brązowym sosie, dalej guacamole oraz salsa z kawałkami ananasa i kolendrą. Aromat był niesamowity. Andy z domu wziął tylko dwie byle jakie kanapki z masłem orzechowo-bananowym, kilka minimarchewek, jabłko i dwie butelki powerupa.

– Dzięki – odmówił, z żalem myśląc o swoim prowiancie.

Wtedy Arturo podsunął tacę Martinowi.

– Wiesz, że po tym żarcu będę biegał do toalety – pokręcił głową Martin, po czym wziął tortillę, naładował ją fasolą z serem i wieprzowiną na ostro.

Arturo chyba nie słuchał, a w każdym razie nic nie odpowiedział. Usiadł wygodnie. Martin zjadł burrito, którego rzekomo nie chciał, wręcz z pietyzmem, na koniec zbierając kawałkiem tortilli resztki sosu. Potem wsunął do automatu kilka pomiętych banknotów i wrócił z kolejną pepsi. Wziął długi łyk, beknął i zakręcił butelkę.

– Zauważyliście, że biali nigdy nie piją pepsi? Zawsze tylko colę.

Andy, który niczego takiego nie zauważył, pokręcił głową. Kiedy Arturo ponownie go poczęstował, wybrał ryż z kurczakiem, fasolkę i tortillę.

– Żona Artura prowadzi food truck – wyjaśnił Martin.

Andy skosztował fasolkę – była ostra i idealnie doprawiona.

– Pycha. Dzięki.

– No dobra, to mów – zarządził Martin. – Skądżeś jest? I jak tu wylądowałeś?

– Pochodzę z Filadelfii, ale przez jakiś czas mieszkałem w Nowym Jorku.

– A co robiłeś wcześniej?

– Pracowałem jako konsultant, na zlecenie.

Całymi latami Andy kolekcjonował niewiele mówiące nazwy zawodów. Na przykład na jednej z imprez, na które zabierała go Maisie, pewna kobieta oznajmiła: „Obracam się w świecie sztuki”. („Pewnie uczy plastyki w siódmej klasie” – skomentowała złośliwie Maisie). Albo ten facet w trakcie sesji zdjęciowej, który nazwał się stylistą, a kiedy Andy zapytał, czy chodzi o włosy, spojrzał na niego, jakby właśnie nasrał na podłogę. „Mogę zrobić stylizację wszystkiego” – odparł i dołączył do reszty swojej szepczącej, odzianej na czarno ekipy. Najgorszy był kolega Maisie ze studiów, Andy poznał go na florydzkim polu golfowym. Oznajmił, że jest konsultantem i pracuje na zlecenie. I tyle. To właśnie wtedy Andy postanowił, że tak właśnie odpowie, jeśli nie będzie miał ochoty wdawać się w szczegóły swojego zawodu i zatrudnienia... a jeśli będą nalegać, dorzuci słowo „finanse”.

– Więc od konsultacji – Martin wykonał gest imitujący cudzysłów – przeszedłeś wprost na nocną zmianę do Wallena?

– Muszę sobie trochę poukładać pewne sprawy – wyjaśnił Andy. – Miałem małe załamanie.



– Aha – zareagował Martin. – W końcu do czegoś dochodzimy. – Pochylił się do Andy’ego, jak ci reporterzy, którzy lubią doprowadzać swoich rozmówców do płaczu. – Coś zaszło między tobą i twoją panią, tak? Zdradzała cię? Czy to ty zdradzałeś? Macie dzieci?

– Zostaw go – wtrącił się Arturo, ale Martin go zignorował.

– Sprawy potoczyły się własnym torem – odpowiedział Andy.

Kolejna kwestia, którą sobie przygotował, przesiadując godzinami na kanapie. Wstał, wrzucił papierowy talerz do kosza i wyciągnął jabłko na deser.

– O, co to, to nie, człowieku. Nie uda ci się. Jak mamy spędzać razem czterdzieści godzin tygodniowo, muszę mieć jakieś aktualne informacje. „Własnym torem” – powtórzył, wymawiając słowa nosowo, jak białas z wadą zgryzu. – Też mi coś. Co to niby ma znaczyć? Wielkie nic. No już, zeznawaj.

Andy wzruszył ramionami, mając nadzieję na zmianę tematu, jednak to nie nastąpiło.

– To pokaż zdjęcie – zażądał Martin.

– Nie mam.

– Akurat. Wyglądasz, jakbyś jej jeszcze nie przeboleał. Tęskni się, co? – zgadywał. – A od czego telefon?

Nagle Andy’ego zaintrygowało, jak Martin zareaguje na zdjęcie Maisie. Pewnie uzna, że żartuje... a może to zakończy sprawę? W duchu trzymając kciuki, wyjął z kieszeni telefon, wstukał jej nazwisko i kliknął na zdjęcie Maisie w majtkach od bikini: prawą dłonią zasłaniała piersi, a górę od kostiumu kokieteryjnie trzymała w drugiej ręce, stanik zwisał z koniuszków palców.

– Proszę.

Martin spojrział, potem się uśmiechnął i pokręcił głową.

– Jasne, facet. Ha, ha, ha. Kto to? Ulubiona cizia w twojej kolekcji porno?

– Każdy ma prawo pomarzyć – odparł Andy, wyciągając rękę po telefon.

Ale Martin mu go nie oddał, zaczął natomiast uważniej przyglądać się zdjęciu. Potem spojrział na Andy’ego. I znów na zdjęcie.

– Czekaj, czekaj – mówił, unosząc dłoń.

Andy’emu przewracało się już w żołądku.

– Nie powinniśmy wracać do pracy?

– Jeszcze całe piętnaście minut – poinformował Arturo. Twarz miał bez wyrazu, lecz Andy czuł niejasno, że sytuacja sprawia mu pewną przyjemność.

– O cholera! – zawołał Martin i aż podskoczył z satysfakcją. – To ty! Jesteś, no... – Pstryknął palcami i wskazał Andy’ego palcem. – Tym biegaczem! Maratończykiem! Z dopingiem! A to twoja żona!

– Dziewczyna. Była. – Andy spojrział na zegarek. Pozostał anonimowy przez całe trzy godziny. – I to nie był maraton, tylko...

– Wiem, Andy Landis! – wrzasnął Martin. – Tak się nazywasz! Cholera

jasna! To dlatego tu jesteś? Bo Wallen zatrudnia sportowców? Nadal biegasz? Trenujesz do czegoś?

– Jestem na emeryturze – wyjaśnił. Wyrzucił ogryzek i spojrzał na Artura. – Co dalej?

– Bez pośpiechu, jeszcze dziesięć minut.

Żadnych pytań z jego strony, ale przedstawienie mu się podobało.

– Mam jeszcze sporo pytań! – powiedział natomiast Martin.

– Bez komentarza – oznajmił Andy.

Wstał i poszedł na tyły sklepu w poszukiwaniu czegoś do przeniesienia, ułożenia, a może nawet do uderzenia. Martin szedł za nim, nie przestając gadać.

– Człowieku, jasny gwint, jak już brać dragi, to czemu nie te, co dają odlot? To twoje gówno nie daje nawet żadnej przyjemności. No i kurczą się od tego jaja. – Sprawdził od razu swoje, macając przez dzinsy tak szerokie, że pomieściłyby jeszcze jedną osobę. Potem spojrzał na Andy'ego z ukosa. – Skurczyły ci się jaja?

Andy pokręcił głową, raz. Głośny rechot Martina odbijał się echem od ścian supermarketu.

– Jasne. Przecież i tak byś nie powiedział prawdy.

Andy się schylił i chwycił trzy worki mulczu z nadzieją, że praca zakończy dyskusję. Niestety. Martin złapał dwa i dalej gadał, o Maisie, o bieganiu, o swoich własnych zdolnościach na boisku do koszykówki, że on też mógł mieć szansę na olimpiadę.

Andy rozpaczliwie próbował zmienić temat.

– Lubisz te robotę?

Martin wydał z siebie coś pomiędzy chrząknięciem a śmiechem.

– Nie jest źle. Kincaid wporzo. O ile robota zrobiona, można słuchać muzyki, gadać przez telefon czy co tam.

Włożył do uszu słuchawki, ale nie puścił muzyki.

– Zostawiła cię?

Andy kiwnął głową.

Twarz Martina zrobiła się komicznie wręcz posępna.

– Rzuciła cię z powodu dopingu?

– Tak.

Nie miał ochoty wchodzić w szczegóły. Jedną rundkę na stanowisko ogrodnicze wykonali w milczeniu. Martin rzucał Andy'emu ukradkowe spojrzenia.

– Musi być ci ciężko – zauważył, kiedy ułożyli worki na miejscu.

Andy nic więcej na ten temat nie powiedział. Arturo, który układał na półkach pożywki dla roślin, też milczał, ale następnej nocy przyniósł trzy tace z jedzeniem, a Martin na koniec zmiany wspomniawszy o meczu koszykówki rozgrywanym w sobotę na boiskach liceum, może przyjąć każdy, włącznie z byłymi maratończykami i złotymi medalistami o skurczonych jądrach. To wtedy

Andy poczuł, tak mu się wydawało, że coś zaczyna się zmieniać. Poczuł, że być może jeszcze kiedyś będzie szczęśliwy, oczywiście w granicach rozsądku.

W sobotni rano znajomi Martina, w wieku od osiemnastu do czterdziestu lat, dali Andy'emu nieźle popalić. Okazało się, że jest w żenująco, przerażająco wręcz słabej formie, w ogóle nie potrafi rzucać ani bronić, kiedy pod koszem atakują go więksi, muskularni kolesie. W niedzielę, posiniaczony i obolały, ruszył do Filadelfii... lecz zamiast zjechać z autostrady jak zwykle i udać się do domu mamy, pojechał dalej, do Walt Whitman Bridge i na autostradę Atlantic City, kierując się znakami plaże. Znalazł parking. Minęła siódma rano, niebo miało kolor pomarańczowego sorbetu i kąpało się w wodzie, połyskując w każdej fali. Ratownicy, z nosami wysmarowanymi maścią cynkową, wspinali się na swoje stanowiska. Fale delikatnie obmywały brzeg, pozostawiając po sobie koronkę piany na piasku, biegacze i chodziarze posuwali się swoimi torami wzdłuż oceanu.

Kiedy już tamto się stało, Andy przyrzekł sobie, że nigdy więcej nie będzie biegać, nawet do odjeżdżającego autobusu. Ale to było lata temu. Kto o tym wie? A co ważniejsze, dlaczego miałby odmawiać sobie przyjemności robienia czegoś, co niegdyś kochał? Wtedy bieganie doprowadziło go do miejsca poza myśleniem, do miejsca, gdzie nie było pytań, rozmów, dywagowania o tym, co jest dobre, a co złe, o losie czy przeznaczeniu. Czy teraz też by zadziało?

Rozwiązał sznurowadła i zdjął skarpety. Stopy miały niezdrowy, blady kolor grzybów wyrastających w czasie burzy, poza tym na lewej pięcie widniał pęcherz – skutek wczorajszego meczu. Po jakimś czasie dzinsy zaczęły go ocierać, no i nie zabrał kremu z filtrem. Podwinął nogawki i podszedł do wody, piasek był chłodny i twardy. Najpierw szedł, wymachując rękami i wyczuwając podłoże, po chwili zaczął lekki trucht. Przez kilkaset metrów miał wrażenie, że uczy się od nowa czegoś bardzo podstawowego, jakby jakimś cudem zapomniał, jak oddychać, i musiał to sobie raz jeszcze przyswoić. Nogi były dziwnie niezgrabne, ramiona sztywne jak z drewna, oddech palił w gardle. Podbiegł bliżej wody i potknął się na usuwającym mu się spod stóp piasku, niemal wpadając na parę wesołych surferów pogrążonych w rozmowie. Zapinali właśnie swoje pianki. A potem wszystko zaczęło wracać, rytm i lekkość. Krok się wyrównał, podobnie ruchy rąk, serce i płuca podjęły swoje zadania. Kiedy przyspieszał, czuł mrowienie skóry. Słońce paliło mu głowę i ramiona, na twarzy i plecach pojawił się pot, dobry, oczyszczający, nie kwaśne wydzieliny człowieka schwytanego w pułapkę. W powietrzu wyczuwał posmak soli, na niebie nagle zaroiło się od ptaków, kołowały i skrzeczały mu nad głową. Już nie czuł się jak w pułapce. Po raz pierwszy od długiego czasu, gdy biegł, coraz szybciej i szybciej, wzdłuż wielkiej wody, Andy Landis poczuł, że jest tam, gdzie być powinien, i robi to, do czego został stworzony, poczuł, że krytyk siedzący mu w głowie nareszcie umilkł. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu czuł się wolny.

To było pięć lat temu. W pracy otrzymywał podwyżki i awansował, został kierownikiem działu, zaczął też uczyć, jak planował. Instruował zestresowanych tatusiów i nowożeńców, jak pomalować pokój, jak kłaść kafelki i płyty gipsowo-kartonowe, jak przemaalować taras czy zbudować grill. Po przejściu Kincaida na emeryturę dyrektor regionalny zaproponował Andy'emu jego stanowisko, a Andy, który dawniej nie potrafił sobie wyobrazić życia po zakończeniu kariery i z pewnością nie widział siebie zarządzającego ogromnym supermarketem budowlanym, zgodził się.

Wszedł teraz do biura, które wcześniej należało do Jacka Kincaida, podniósł słuchawkę i przygotował się na wiadomość, której oczekiwał i której bał się już od pół roku, kiedy to panu Sillsowi zaczęło się pogarszać.

– Halo?

– Andrew Landis? – Głos był męski, nieznany mu, ochryply i cichy. – Mówi DeVaughn Sills, syn Clementa.

– Dzień dobry – odparł Andy, opierając się ręką o biurko, zaskoczony, a jednocześnie niezaskoczony, że słyszy syna, którego jego przyjaciel tak rzadko przy nim wspominał, którego nigdy nie poznał, nawet gdy pan Sills podupadał na zdrowiu.

– Tata zmarł tej nocy.

– O nie.

Rozmawiali o tym z panem Sillsem – o śmierci, i co będzie dalej – kiedy odwiedził go w zeszłym tygodniu. Pan Sills, do którego Andy nie potrafił się zwracać po imieniu, leżał w swojej sypialni, z której wyniesiono wszystkie książki, czasopisma, zbiór imbryczków, ceramicznych kogutów i album o Andym. Pozostało jedynie szpitalne łóżko i dwa plastikowe krzesła dla odwiedzających.

– Pożyłem sobie całkiem długo – powiedział mu pan Sills.

– Ma pan tylu przyjaciół – mówił Andy.

I to była prawda. Wszyscy ci chłopcy, z którymi pan Sills się przyjaźnił i którym pomagał przez długie lata. Wielu z nich siadało na tych plastikowych krzesłach w ciągu kilku ostatnich tygodni. Zostawili coś po sobie – zdjęcia z panem Sillsem, zdjęcia z meczów koszykówki czy dnia ukończenia szkoły, ślubów i chrztów, pierwszych komunii i rozdania dyplomów. Główne miejsce zajmowało oprawione w ramkę zdjęcie z Aten – rozpromieniony pan Sills obejmuje Andy'ego. Obydwaj stoją okryci amerykańską flagą: Andy z wieńcem laurowym na głowie, a pan Sills z jego złotym medalem na szyi.

– Jestem gotów – wyrzucił pan Sills. Po policzku spłynęła mu łza. – Nie boję się.

Ale gdy Andy wziął go za rękę, drżała.

– Będę tęsknił za tym światem – wyznał pan Sills.

Z trudem wciągnął powietrze, zrobił przerwę i dopiero po chwili je wypuścił.

– Andy... – powiedział znów, sięgając po jego dłoń.

Andy się pochylił. Pan Sills zamknął oczy, głos miał bardzo słaby, lecz każde słowo było wyraźne i celowe.

– Teraz możesz już przestać biec.

Andy siedział z nim jeszcze, czekając na więcej, ale pan Sills nie otworzył już oczu i nie obudził się przez resztę popołudnia.

– Pożegnać można się w środę i czwartek, a pogrzeb w piątek o dwunastej, Mother Bethel, skrzyżowanie Szóstej i South – mówił tymczasem DeVaughn Sills.

Andy znał ten kościół. Pan Sills zabierał go tam często przed Bożym Narodzeniem, słuchali *Mesjasza* Haendla w wykonaniu chóru. Raz nawet poszedł na pasterkę.

– Będę – obiecał Andy.

– A więc do zobaczenia.

Tego piątkowego ranka kościół był pełen ludzi, panowały cisza i półmrok, słońce przedostawało się do wnętrza przez kolorowe witraże. Pachniało zakurzonym dywanem, starym papierem i liliami dekorującymi piękną trumnę wykończoną mosiądzem. Była zamknięta, zgodnie z życzeniem pana Sillsa. „Niech mnie pamiętają żywego” – powiedział Andy’emu. To on właśnie przyniósł do domu pogrzebowego wybrane przez pana Sillsa ubranie i poprosił o nienakładanie makijażu.

Od razu zauważył DeVaughna, stał z tyłu i był tak podobny do ojca, że Andy na chwilę zamarł. Tego dnia włożył czarny garnitur, białą koszulę i ciemnoszary krawat, dłonie miał wolne, ale kiedy szedł, Andy spostrzegł kajdanki na kostkach oraz pracownika służby więziennej stojącego przy drzwiach. Poczul pod powiekami łzy, zastanawiał się, czy DeVaughn dostał w ogóle szansę, żeby pożegnać się z ojcem.

W pierwszym rzędzie siedzieli chłopcy i młodzi mężczyźni, jedni w garniturach, inni w niebieskich koszulach i spodniach. Kilku płakało. Lori zostawiła go przy drzwiach i usiadła obok wysokiego mężczyzny w ciemnym garniturze. Andy spojrzał na niego i zaraz odwrócił wzrok.

Po ulubionym hymnie pana Sillsa *What a Friend We Have in Jesus* na mównicę wszedł kaznodzieja. Skłonił głowę, a potem przemówił.

– Odszedł nasz przyjaciel.

– Tak, Panie – odezwała się jedna z kobiet, Andy znał ją z domu pana Sillsa, starsza pani w różowym kostiumie i kapeluszu.

– Czy jest tu dziś ktoś, kogo życia nie dotknął nasz przyjaciel Clement Sills?

– Właśnie! – zawołała inna kobieta.

– Przyjaciel nasz był człowiekiem skromnym. Człowiekiem, który wiedział, jak naprawić to, co zepsute. Przychodził do naszych domów ze skrzynką pełną narzędzi i z młodym człowiekiem, którego brał pod swoje skrzydła, i naprawiał.

Pęknięte szyby, ciekące krany, piece, które nie chciały grzać, i klimatyzatory, które nie chciały chłodzić. Ale co ważniejsze, naprawiał także tych młodych ludzi. Widział, co w nich było nie tak, i reperował to.

– Chwalmy Pana!

– Był dobrym człowiekiem.

– O tak!

– Stanowił wzorzec ojca dla tych chłopców, których ojcowie nie chcieli lub nie mogli z nimi być. Swoim przykładem nasz przyjaciel Clement pokazywał im, co to znaczy być mężczyzną.

Kaznodzieja pochylił głowę, jakby zagłębiony w myślach. Po chwili wyprostował się i spojrzął na zebranych.

– Jest dziś tu z nami pewien młody człowiek, prawnik. Dwaj inni to stypendyści Temple University. Z przodu siedzi Terrance Parker, wiceprezes Comcastu. Macie kłopot z rachunkiem za kablówkę, pogadajcie z nim.

Kościół wypełnił śmiech zebranych.

– A z tyłu widzę chyba młodego przyjaciela Clementa, który został biegaczem olimpijskim.

Przerażony Andy znieruchomiał, gdy poczuł zwrócone na siebie oczy zebranych. Zwiesił głowę.

– Wszyscy oni uczyli się, jak żyć, jak dokonywać wyborów, ale przede wszystkim, przede wszystkim uczyli się, jak kochać.

Kościół wybuchł okrzykami wychwalającymi Boga i Jezusa oraz wołaniami:

– Tak, tak!

– Dalej!

– Mów dalej!

– Uczyli się, jak kochać! – zawołał kaznodzieja.

Wzniósł ręce i zebrani natychmiast ucichli.

– I to, bracia i siostry, jest prawdziwą miarą człowieka. Nie pieniądze.

– Nie!

– Nie sukces.

– Właśnie!

– Nie stanowisko. Nie dyplomy. I nawet nie złote medale. – Duchowny zniżył głos do szeptu. – Miarą człowieka jest to, czy wie, jak kochać. Clement Sills wiedział, jak kochać. I to robił. I tego uczył każdego z nas, którzy mieliśmy szczęście go znać.

Z tyłu kościoła DeV Vaughn płakał. Andy widział, że strażnik podał mu chusteczkę, gdy kaznodzieja zapraszał do przodu wszystkich, którzy chcieli coś powiedzieć.

Wspomniany wcześniej prawnik dziękował panu Sillsowi za wskazanie innej ścieżki, „ponieważ tak łatwo mogłem zejść na złą drogę”. Prezes Comcastu mówił

o chorobliwej nieśmiałości, która paraliżowała go do tego stopnia, że nauczyciele widzieli w nim dziecko opóźnione w rozwoju. Wszystko się zmieniło, gdy pan Sills zaczął go zabierać do swoich ukochanych sklepów i restauracji, nakłaniając do rozmów z ekspedientkami i kelnerkami, aż się nauczył.

– Gdy w domu robiło się głośno, pan Sills pozwalał mi odrabiać lekcje u siebie, o ile znalazłem trochę miejsca na książki – wspominał jeden ze stypendystów Temple, a wszyscy zebrani uśmiechnęli się na wspomnienie zagraconego domu pana Sillsa.

Samotna matka opowiadała, jak jej córeczka złamała nogę i pan Sills codziennie, rano i wieczorem, znosił i wnosił ją po schodach.

Wtedy duchowny przywołał Andy’ego.

– Andy Landis, zdobywca olimpijskiego złota – przedstawił go zebrany i zapytał, czy chce zabrać głos.

Andy mocno ścisnął krawędzie pulpitu. Pomyślał, ile to czasu minęło, odkąd ludzie patrzyli na niego wyłącznie z pogardą. Minęło go wystarczająco dużo, aby, przynajmniej w niektórych miejscach, mógł być tym, kim się stał – menadżerem marketu budowlanego, średnim koszykarzem, synem, kolegą z pracy, przyjacielem.

– Wychowywałem się bez ojca – zaczął Andy – i nie byłem wymarzoną dzieckiem. W szkole wdawałem się w bójkę, rzuciłem raz cegłą w samochód, niewiele brakowało, a wysłaliby mnie za to do poprawczaka – ciągnął, a kilku chłopców w pierwszej ławce kiwało głowami. – Pan Sills mnie uratował. Dzięki niemu poczułem, że jestem coś warty. Nic, co zrobiłem, nic, co zdobyłem... – Głos mu się załamał, ale wziął się w garść. – Nic, co osiągnąłem, nie byłoby możliwe bez niego.

Po nabożeństwie podeszło do niego kilka osób, żeby się przedstawić. Mówili, że pan Sills zawsze opowiadał im o Andym, o tym, jak roznosił gazety, jakim był małomównym chłopcem, i o opłaconym locie do Aten, pierwszą klasą, żeby mógł być na miejscu, gdy Andy zdobywał złoty medal.

– Myślę, że to był jeden z najważniejszych momentów w jego życiu – powiedział młody prawnik, a Terrance Parker kiwnął głową.

– Mnie też o tym opowiadał.

W końcu podszedł również znajomy Lori, wysoki, zgarbiony mężczyzna, łysy i w okularach. Stał nieśmiało jakieś półtora metra od Andy’ego, podobnie jak niegdyś łowcy autografów, gdy czekali na sygnał lub pozwolenie zbliżenia się.

Andy wiedział, kim jest ten człowiek, czuł to w kościach i domyślił się ze sposobu, w jaki tamten na niego patrzył, a także z kształtu jego twarzy i dłoni.

– Dzień dobry – pozdrowił go Andy.

Wyciągnął rękę do człowieka, którego znał tylko z fotografii, a ojciec ujął ją delikatnie.

W drodze powrotnej matka milczała. Dopiero przed domem, w którym

mieszkała razem z mężem, emerytowanym policjantem Tonym Lucrezim, w końcu się odezwała.

– Chciałby cię bliżej poznać. Przeprasza za wszystko.

– Za jakie wszystko? – wściekł się Andy, z radością witając uczucie, które na bok spychało smutek. Miło było się wściekać na kogoś innego, zamiast na siebie. – Czego się wstydzi? Narkotyków, współudziału w morderstwie czy tego, że okłamywał mnie całe życie?

Lori spuściła głowę.

– Nie twierdę, że postąpił właściwie, ale intencje mieliśmy dobre.

Andy patrzył na nią, nie próbując nawet ukryć sceptycyzmu ani obrzydzenia. Lori jednak nie wściekła się tak jak on, tylko mówiła dalej, z niejaką trudnością, nie podnosząc głowy.

– Twój ojciec i DeVaughn byli przyjaciółmi. Razem dorastali, razem trenowali, byli szkolnymi gwiazdami koszykówki, liczyli się.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

– Więc jak trafili stamtąd do pierdła?

Mama zamknęła oczy.

– Szkoła się skończyła, ja zaszłam w ciążę, było mnóstwo pokus. Wiele sposobów na szybkie, łatwe pieniądze. Tata chciał, żebyśmy mieli dom. Myślał, że jeśli zrobi jakiś jeden wielki interes, tylko raz, przeprowadzimy się gdzieś niedaleko moich rodziców, a on nauczy się zawodu. W wojsku nieźle mu szło. Uczył się na mechanika. Miał zamiar zostać w armii kilka lat, nauczyć się porządnie fachu, a potem poszukać pracy. Ale przyjechał na przepustkę, a DeVaughn miał ten swój pomysł, świetny pomysł na zdobycie dla każdego po dziesięć tysięcy...

– Pomysł, żeby okraść kolegę – dodał Andy.

Lori potrząsnęła głową.

– To było głupie. Uważali, że są jak Robin Hood, okradali bogatych, żeby oddać biednym, czyli sobie, no i mnie.

Spojrzała na Andy'ego ogromnymi oczami. Widział w nich błaganie, które słyszał również w jej głosie.

– Nie chcieli skrzywdzić Davida, nie byli tacy. Myśleli, że podjadą, wyciągną broń, on odda kasę i po sprawie.

– Chyba żartujesz.

– Andy, oni mieli wciąż tylko naście lat. Nie byli geniuszami zbrodni.

Pokręcił głową. Próbował to zrozumieć, poskładać jakoś w całość, ojca i DeVaughna, który prowadził i użył broni.

– Pan Sills mnie okłamał – powiedział powoli. – Mówił, że nie znał zbyt dobrze mojego ojca. I nigdy nie wyjawiał, że on żyje.

– Bo rzeczywiście wcale tak dobrze go nie znał. Twój ojciec był po prostu



kolegą jego syna. I chciał ci powiedzieć. Uważał, że nawet ojciec w więzieniu jest lepszy niż żaden. Ale milczał, bo Andy i ja – to znaczy twój ojciec i ja – poprosiliśmy go o to. Pan Sills zawsze się nami zajmował. Czuł się odpowiedzialny. Uważał, że gdyby był dla DeV Vaughna lepszym ojcem, nic by się nie zdarzyło. To było głupie. – Głos Lori się załamał. – Głupie i okropne, tyle zmarnowanego życia, ale, Andy, to się już skończyło. Należy do przeszłości. To wszystko było dawno temu, a teraz masz szansę poznać swojego ojca.

Dotknęła jego ręki. Mówiła łagodnym głosem. Może to nowe małżeństwo tak ją zmieniło. A może zwyczajnie czas.

– Jeśli potrafisz to znaleźć w swoim sercu. Ale on zrozumie też, jeśli nie.

– Przemyślę to – powiedział wtedy... i rzeczywiście myślał, całymimi miesiącami, rozważając każdy szczegół historii, nowe fakty, próbując zrozumieć, dlaczego to zrobili i jak ich wybory wpłynęły na jego życie. W dzieciństwie był taki samotny. Żadnych przyjaciół, bo matka chciała, żeby najsilniej był związany z nią, właściwie chciała, żeby był związany tylko i wyłącznie z nią. W chwilach wyrozumiałości usprawiedliwiał ją, że kłamała, ponieważ próbowała mu zapewnić bezpieczeństwo i starała się chronić go przed złymi wpływami i ludźmi podobnymi do tych, którzy sprowadzili jego ojca na drogę przestępstwa. Kiedy był zły, myślał z kolei, że po prostu trzymała go na dystans, bo przecież sąsiedzi musieli znać prawdę... a ona nie zauważała albo miała to gdzieś, że zawsze stał na uboczu i nigdy nie miał kolegów.

Wiele razy siadał za kierownicą albo szedł na pociąg z biletem w dłoni. Nigdy jednak nie przekręcił kluczyka, nigdy nie wsiadł do wagonu. Żałował, że nie zrobił wszystkiego inaczej. Może wtedy nie zdecydowałby się na doping. Może nie poznałby Maisie. I miałby swoje życie z Rachel, jak to sobie zawsze wyobrażał. Spokojny, szczęśliwy Akt Drugi, ze złotym medalem nad kominkiem w jakimś przytulnym małym domku, z dziećmi w ogródku, wizytami Lori, a może i ojca. Rachel wiedziałaby, jak się zachować w takiej sytuacji, wszystko by zorganizowała, żartowałyby i pomogła zrozumieć, jak rozmawiać z duchem, który okazał się człowiekiem z krwi i kości. Teraz będzie musiał poradzić sobie sam.

Rachel  
2015

Jay zadzwonił gdzieś w końcu marca, to było czwartkowe popołudnie, prawie rok po tym, jak dowiedziałam się o Amy. W czwartki dziewczynki miały lekcje tańca. Delaney z entuzjazmem ćwiczyła balet – głównie ze względu na różowy trykot i białe rajstopy, poza tym wiedziała, że jeśli dotrwa do występu, dostanie różową spódniczkę z tiulu – natomiast Adele została najmniej energiczną tancerką hip-hopową w historii hip-hopu.

– Tak się zastanawiałem, czy mógłbym przyjść na seder.

Stłumiłam pierwszy odruch, by zapytać, jak to się stało, że nie zaproszono ich nigdzie z Amy. Przeprowadził się do niej na Brooklyn Heights, kilka stacji metra od nas. Widziałam ich dom z zewnątrz, ale nigdy nie byłam w środku. Od tamtego pamiętnego wieczoru nie spotkałam się z Amy ani razu. Odeszła z pracy i nie miałam pojęcia, gdzie się zahaczyła. Dziewczynki czasem coś wspominały: „Byłyśmy z Amy na *Dziadku do orzechów*”. „Amy kupiła nam brokatowe buty”. Powstrzymywałam jednak ciekawość i nigdy nie pozwalałam sobie na pytania.

Co do naszej umowy rozwodowej, Jay dostał dziewczynki na dwie noce w tygodniu i dwadzieścia cztery godziny od piątkowego do sobotniego wieczoru. Nawet po swoim odejściu Amy chyba mnie zarekomendowała, bo zgodzili się na krótsze godziny pracy – od dziewiątej do trzeciej plus sobota co drugi tydzień. Tak więc co dnia biegłam o trzeciej do metra, by czekać już na dziewczynki, gdy wybrzmi ostatni dzwonek. Razem szłyśmy do parku, na zakupy, odebrać rzeczy z pralni, do obuwniczego, do księgarni, na lekcje tańca, odprowadzałyśmy Adele na jej zajęcia z gry na oboju albo Delaney do koleżanki. Przygotowywałam obiad, a we wtorki i środy o siódmej przyjeżdżał Jay. Dziewczynki wychodziły z plecakami i z lunchem na następny dzień.

Uważałam, że wszystko działa tak dobrze, jak to tylko możliwe w takich wypadkach. Co drugi raz Delaney płakała, zmierzając do samochodu ojca, i zawodziła głośno: „Będę tęsknić za swoim pokojem!”. Albo nawet gorzej: „Będę tęsknić za mamusią!”. Tymczasem moja superzorganizowana córka Adele zaczęła zapominać swoich rzeczy w domu ojca – a to zeszytu do matematyki, a to nut – zapewne, jak podejrzewałam, by doprowadzać do częstych spotkań rodziców. Trzymałam się jakoś aż do wyjścia córek, ale dopiero po kilku miesiącach nie rozpadałam się na kawałki, gdy znikwały za drzwiami. Teraz natomiast targają mną wyrzuty sumienia, że tak lubię moje godziny bez dzieci. Mogłam oglądać, co chciałam, czytać do woli, a nawet wyjść na jogę o dwudziestej albo posiedzieć w kawiarni, jeśli akurat miałam ochotę.

Chciałam, żeby dla dziewczynek było to bezboles-ne, przekonywałam je, że mimo iż mieszkamy osobno, zawsze będziemy ich rodzicami... ale ilekroć Jay je

zabierał, czułam, jakby ktoś zrywał mi bandaż z niezagojonej rany, która natychmiast zaczynała krwawić. Bolało, momentami wręcz nieznośnie. Winiłam Jaya. Winiłam Amy. Czasami winiłam siebie za to, że nie poświęcałam mu więcej uwagi, że za dużo pracowałam, że za rzadko się kochaliśmy. „To miał być Andy” – szeptał w takich chwilach głos w mojej głowie. „Nie powinnaś zadowalać się Jayem” – choć, wychodząc za męża, tak o tym nie myślałam. „Powinnaś poczekać na Andy’ego”.

– Tylko ty? – zapytałam eksmęża.

– Tak – odparł. – Mówiłem już dziewczynkom, że cię o to zapytam. Żebyś się nie zdziwiła.

Co oznaczało w praktyce fakt dokonany. Delaney pędem wybiegła ze szkoły, loczki podskakiwały jej w rytm kroków, podobnie jak plecak. Siostra szła spokojnie za nią, pogrążona w lekturze.

– Mamo, mamo! – wołała Delaney. – Tata chce wiedzieć, czy może przyjść na święta. Może? Proszę! Chciałabym, żeby posłuchał moich Czterech Pytań.

– Przecież miałyśmy je mówić razem – wtrąciła Adele, zamykając książkę. Odkryła *Małe kobiety*, jedną z moich faworytek w jej wieku, i czytała po raz trzeci czy czwarty.

– A co wy myślicie? – zapytałam.

– Byłoby super! – stwierdziła Delaney.

– Mówisz tak tylko dlatego, że za odnalezienie afikomanu tata daje dziesięć, a mama tylko pięć dolarów – powiedziała Adele.

– Dziesięć?

Usłyszałam o tym wtedy po raz pierwszy.

– Wcale nie! – zaperzyła się Delaney. – Nie mówię tak z chciwości! Chcę, żeby tatuś był z nami!

Przeleciałam w myślach listę gości. Moi rodzice i babcia, jak co drugi rok, bo spędzaliśmy święta raz w Nowym Jorku, raz w Los Angeles, gdzie mieszkał Jonah, który zadziwił wszystkich wynikami na prawie, przy pierwszym podejściu zdał egzamin i został wziętym adwokatem przemysłu rozrywkowego oraz poślubił koleżankę ze studiów, śliczną i bardzo rzeczową kobietę o imieniu Suzanne. Dalej Brenda, już stały gość sederowy, razem z Dantem, jednym z moich zawodowych triumfów – niedługo ukończy Cornell.

– Mamo, przecież ty zawsze wszystkich zapraszasz – argumentowała Adele. – Pamiętasz, jak raz zostawiliśmy otwarte drzwi i przypałał się pan Hammerschmidt z naprzeciwka?

– „Przypałał” brzmi nie najlepiej, może po prostu zaszedł?

Od śmierci żony pan Hammerschmidt miał kłopoty z pamięcią, między innymi myliły mu się domy.

– A ten dziwny dzieciak sprzed dwóch lat? Jak mu było? Jason?

– Jared.

Jared był pięcioletnim synkiem takiej rzadkości w moim zawodzie jak ojciec samotnie wychowujący dziecko. Kiedy już wyjaśniliśmy, o co chodzi z afikomanem – że dorosły go chowa, a dziecko, które pierwsze go znajdzie, dostaje nagrodę – Jared zaczął chodzić za Jayem krok w krok, odmawiając powrotu do stołu, mimo naszych tłumaczeń, że nie można patrzeć, gdzie chowa się afikoman, bo wtedy wszystko traci sens.

– I wcale nie jest dziwaczny. No, może tylko troszeczkę.

Moja pierworodna poczęstowała mnie bardzo dorosłym spojrzeniem zawierającym nieco niedowierzania i nutkę pogardy. Podejrzewałam, że to spojrzenie może jej wejść w nawyk, gdy zostanie nastolatką.

– Skoro więc zapraszasz ich wszystkich, to dlaczego właściwie tata nie mógłby przyjść?

– Tak, tak, pozwól mu! Pozwól przyjść tatusiowi! – wołała Delaney.

– Poza tym Hagada mówi, że mamy przyjmować wędrowców – dodała Adele. – Kto głodny, niech przyjdzie z nami jeść.

– Dobrze, dobrze, dajcie mi trochę czasu na zastanowienie.

Po powrocie do domu zaszyłam się w małym pokoju obok sypialni. Kiedyś służył jako pokój niemowlaka, ale odkąd Delaney wyrosła z pieluch, przeniosłam ją do większego, a ten zamieniłam na mały gabinet z zabytkowym biurkiem i zielono-różowym dywanikiem. Na ścianach powiesiłam zdjęcia trzyletniej Adele trzymającej w ramionach małą Delaney zrobione przez znajomą fotografkę.

Radziłam się Marissy, obecnie właścicielki piekarni w Burlington. A potem Sharon, koleżanki z pracy, z którą razem chodziłyśmy na jogę i która po odejściu Amy stała się moją najlepszą przyjaciółką. Werdykt: nie zaszkodzi. „Powinnaś przynajmniej wy badać, o co mu chodzi” – twierdziła Marissa. „Dobrze, żeby dziewczynki widziały w was zespół” – radziła Sharon.

Tak więc, dość niechętnie, czując sprzeciw mniej więcej proporcjonalny do zachwyty Delaney i Adele, położyłam na wynajętych stołach białe koronkowe obrusy, które otrzymałam od babci z okazji ślubu, i zastawiłam je porcelaną – również naszym prezentem ślubnym, który Jay wspaniałomyślnie pozwolił mi zatrzymać. Dziewczynki pomagały przygotować półmisek sederowy: gorzkie ziele przedstawiające smutek, słona woda oznaczająca łzy, mieszanina jabłek, orzechów, miodu i wina upamiętniająca zaprawę murarską stosowaną przy budowie piramid dla faraona, maca symbolizująca chleb, który nie miał czasu wyrosnąć. Kiedy goście zaczęli się schodzić, babcia była w kuchni, doprawiając mięso, mama mieszała rosół z kurczaka, który ugotowałam i zamroziłam tydzień wcześniej, tata natomiast rozkładał serwetki i sztucce, ukradkiem zerkając do iPhone’a na wynik meczu koszykówki. Brenda i Dante, który teraz przewyższał ją wzrostem, przyszli pierwsi, potem Jared z ojcem, Ronem, i Taneisha z córką Sondrą, wytworną

i elegancką dwunastolatką w białej sukience z paskiem i odpowiednio dobranych sandałkach. Oczy Delaney zajaśniały, gdy zobaczyła dużą dziewczynkę.

– Chodź, oprowadzę cię – powiedziała, łapiąc Sondrę za rękę i wiodąc ją, jak podejrzewałam, do swojego pokoju, by przedstawić jej wszystkie pluszaki z imienia.

Kiedy szukałam sztućców, babcia zdjęła fartuch.

– Ślicznie wyglądasz – zauważyła.

Podziękowałam jej z nadzieją, że to prawda. Nie przechodziłam mąk piekielnych, mimo wszystko jednak poświęciłam trochę czasu kwestii, co na siebie włożyć. Nie chciałam wystąpić w czymś bardziej eleganckim niż zwykle tylko z powodu obecności Jaya, ale jednocześnie byłam zdecydowana wyglądać naprawdę dobrze i pokazać mu, co stracił. Dziesięć minut przed pierwszym dzwonkiem do drzwi postanowiłam włożyć sukienkę kupioną na wyprzedaży u Saksa, prosta tunika z koralowego dżerseju, i piaskowe sandały na niewysokim obcasie. Sukienka miała rękawki trzy czwarte, nie miała za to dekoltu, ale była bardziej dopasowana niż moje codzienne kreacje, wystarczająco, by podkreślić figurę. Po odejściu Jaya w końcu zrzuciłam ostatnie kilogramy nadwagi po ciąży, po raz pierwszy też stałam się kobietą, która zapomina o jedzeniu.

– Dzień dobry paniom!

Wejście eksmeża. Mama ucałowała go w policzek, tata spojrzął znad iPhone'a, rzucając mu złowrogie, choć krótkie spojrzenie. Dziewczynki natychmiast go obstały. Delaney zbiegła ze schodów, by rzucić mu się w ramiona, Adele pozwoliła się objąć i pocałować. Potem Jay podszedł do mnie, z kwiatami w jednej dłoni i słodyczami w drugiej.

– Pięknie wyglądasz – powiedział.

– Ty również – odwdzięczyłam mu się.

I faktycznie. Miał na sobie dobrze skrojony jednorzędowy garnitur z wytwornej szarej wełny, krawat w ciemnopomarańczowo-żółte paski oraz broggy wypolerowane na wysoki połysk. W trakcie tego roku stracił sporo włosów, co odsłoniło kwadratową czaszkę i nadało mu nieco frankensteinowski wygląd. Przybrał też na wadze, około czterech kilogramów, akurat tyle, ile ja zrzuciłam. Kiedy się poznaliśmy, uderzył mnie jego uśmiech, jego pełne wyrazu usta i sposób gestykulacji – gdy coś opowiadał, nie mogłam się doczekać, by poczuć te dłonie na sobie. Może to miłość uczyniła go bardziej atrakcyjnym, niż był w rzeczywistości. Facet stojący przede mną wydawał się już tylko kolejnym świetnie ubranym mężczyzną z dobrym gustem, ale nie kimś, na kogo zwróciłabym uwagę w metrze czy w kolejce po kawę – w żadnym z sześciu punktów ze zdrową żywnością, które otworzyli niedawno w okolicy. Jay przypominał teraz swojego ojca – miły, acz flegmatyczny, bez poczucia humoru. Kogoś takiego chce się mieć, by uwierzytelnić testament, ale niekoniecznie przy stoliku w pubie. I na pewno nie

w łóżku.

– Dla ciebie.

Piwonie, moje ulubione, oraz skórka pomarańczowa w gorzkiej czekoladzie.

– Dlaczego kupiłeś akurat to? Tylko mama je lubi – wystąpiła z pretensją Delaney.

– Może mama zasłużyła na przyjemność, przygotowując taką ucztę – odparł Jay.

Patrzył na mnie tak samo jak zawsze od naszego rozstania – spolegliwie i przepraszająco – choć tym razem wydawało mi się, że zauważyłam coś jeszcze... Nadzieja? Desperacja? Autentyczny smutek?

Uśmiechnęłam się niezobowiązująco i podziękowałam, po czym poinstruowałam dziewczynki, by zaniósły płaszcze do mojej sypialni. Jay wyraźnie zeszywniał na słowo „moja”, co sprawiło mi pewną przyjemność. Delaney, która uwielbiała się stroić, miała na sobie szykowną różową sukienkę z krynoliną pod spódnicą, białe rajstopki i różowe lakierki z klamerką. Uzupełnienie całości stanowiła różowa kokarda we włosach. Adele z kolei nie cierpiała dopasowanych sukienek i kołnierzyków, unikała też spodni z zamkiem, odkąd w wieku lat pięciu przeżyła pewien nieprzyjemny incydent, gdy nie mogła wydostać się z kombinezonu narciarskiego na czas. Udało mi się ją namówić na czarne legginsy i długą, jedwabną białą tunikę. Zgodziła się nawet na połyskującą opaskę na włosach. Delaney oczywiście domagała się wytwornej fryzury, więc naoglądałam się YouTube’a, żeby zapleść jej wymarzony francuski warkocz.

Z tak wieloma dziećmi przy stole oraz, jak zwykle, przynajmniej kilkorgiem dorosłych, którzy nie znają naszych paschalnych zwyczajów, skróciłam Hagadę do dwudziestominutowego niezbędnego minimum. Sączono wino (lub w przypadku dzieci sok grejpfrutowy), zadano Cztery Pytania, wyjaśniono znaczenie Talerza Sederowego i odczytano fragment Księgi Wyjścia – puszczając ją wkoło stołu, by każdy znający litery miał możliwość głośnego odczytania kilku zdań. Tego roku zakończenie trafiło na Dantego.

– Kiedyś byliśmy niewolnikami, teraz jesteśmy wolni.

Spojrzał przy tym znacząco na matkę, która uśmiechnęła się z dumą, czyli, pomyślałam, uwolniła się od jeszcze jednego przegranego faceta.

– Tego roku jesteśmy tutaj, następnego w Jeruzalem.

Odśpiewaliśmy *Dajenu*, co przypomniało mi, jaki melodyjny głos ma Jay i jaka irytująco przydługawa jest ta pieśń.

Kiedy wybrzmiał ostatni wers *Chad Gadya*, babcia, mama i ja udałyśmy się do kuchni, by podać karpia na słodko i siekaną wątróbkę. Delaney zbierała zamówienia i razem z Adele roznosiły talerze.

– Pychota! – zawołał Jay, choć nigdy nie był amatorem tego dania. – Są tak znakomite, jak pamiętam – pochwalił pulpeciki z macy przyrządzone przez

babcię. – Bernie, mogę ci pomóc? – zwrócił się do ojca, przejmując od niego obowiązek krojenia indyka.

Kiedy ogłosiłam, że udaję się ukryć afikoman, Jay uniósł brwi, patrząc na mnie znacząco. Robił tak zawsze, odkąd powiedziałam mu, że to eufemizm seksu. Po kolacji pomagał wkładać resztki do pojemników, którymi mieli zostać obdarowani goście. Pozostał w domu, aż ostatni widelec i łyżka znalazły się w zmywarce, a Talerz Sederowy, wykonany przez Adele w szkółce hebrajskiej, został wymyty i ustawiony na swoim miejscu w szafce. Gdy rodzice z babcią udali się do swojego hotelu na Manhattanie, a Brenda, ostatni gość, wyściskała mnie na do widzenia, Jay wciąż jeszcze był.

– Pozwól mi położyć dziewczynki.

Adele zakończyła już mycie i nitkowanie zębów, odwiesiła swoją kreację i włożyła piżamkę. Leżała w łóżku, wczytując się w *The Popularity Papers*, jakby książka rzeczywiście mogła zapewnić jej popularność. Delaney natomiast zasnęła na kanapie, zrzucając buciki i ukazując nieco zabrudzone stópki białych rajstopek.

– Chodź, księżniczko – szepnął Jay, biorąc ją na rękę.

Nie otwierając oczu, Delaney ułożyła główkę na ramieniu ojca, a ja poczułam znajomy ból, jakby mnie rozdierali. Czułam go zawsze, gdy dziewczynki z nonszalancją mówiły „dom tatusia”, i zawsze, gdy wychodziły do niego na noc. Nie chciałam dla nich takiego podwójnego życia. Być może mogłabym wybaczyć Jayowi zdradę, nawet romans z moją najlepszą przyjaciółką, ale nie wybaczę mu, że w taki sposób skrzywdził swoje córki.

– Twój płaszcz.

– Komu w drogę, temu czas, co? To tak wyrzucają niechcianych gości?

Przełożył płaszcz przez ramię i stał przy schodach, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Dobrze było znów tutaj być.

– Święta zawsze są miłe.

Mój rzeczowy i uprzejmy ton musiał ranić go bardziej niż krzyki i wyzwiska.

– Twoja babcia dobrze wygląda.

– Życie w pojedynkę zawsze jej służyło. Kiedyś mi powiedziała, że dopóki była mężatką, nie mogła podróżować. Dopiero gdy została sama, zaczęła wieść życie, jakiego pragnęła.

– Zrozumiałem aluzję – odparł Jay i poszedł za mną do jadalni.

Zaczęłam pakować porcelanę, aż do następnej większej okazji. Jay wziął jeden z talerzy i włożył go do powłoczki, jakby nigdy nic.

– Jak się czujesz? – zapytał. – W zeszłym miesiącu miałaś wizytę, prawda?

O, to było poniżej pasa, wspomnianie mojej corocznej wizyty u kardiologa, jakby go to obchodziło. Kiedy byłam w ciąży, zawsze towarzyszył mi u lekarza, nawet na samym początku, gdy tylko mnie ważyli i mierzyli ciśnienie. Oprawił

zdjęcia USG, a po porodzie tulił dziewczynki w ramionach i śpiewał: „Jesteś moim słoneczkiem”.

– Co ty tu właściwie robisz? – zapytałam, pozwalając sobie w końcu na irytację. – Czego chcesz?

Westchnął po swoim – głośne wciągnięcie powietrza, znacząca pauza i jeszcze głośniejszy wydech sygnalizujący poziom frustracji lub bólu.

– Przypuszczam, że dziewczynki powiedziały ci o Amy?

– Dziewczynki nic mi nie powiedziały.

Jego oczy rozszerzyło zdumienie.

– O nic nie pytam, twoje życie to twoja sprawa.

– Nic ci nie opowiadają? – nie dowierzał.

– Owszem, mówią, kiedy idziecie do parku rozrywki albo do zoo. Czy na kolację... głównie Delaney. Ale co do twojego życia osobistego...

Wzruszyłam ramionami i spojrzałam w stronę drzwi, wyobrażając sobie, co zrobię po jego wyjściu, a mianowicie rozbioreę się i założę swoją najbardziej znoszoną i najwygodniejszą białą bawełnianą piżamę, i wskoczę do łóżka, które kiedyś dzieliliśmy, a które teraz jest wyłącznie moje.

Jay przybrał ponury wyraz twarzy.

– Amy wróciła do Leonarda.

– Przykro mi – powiedziałam, wcale tego nie czując. Nie czując właściwie nic. Naprawdę. Czy to możliwe, że w końcu faktycznie przestało mi zależeć?

Jay chciał mnie wziąć za rękę, więc czym prędzej wypełniłam je kolejnymi talerzami. Niezrażony, wykonał jeszcze jedno westchnienie na trzy.

– Popełniłem błąd – przyznał cicho.

Tak długo czekałam na ten moment. Przeciągałam procedury rozwodowe, jak tylko się dało, mając nadzieję, że zmieni zdanie. Uznałam, że z czasem za nami zatęskni i przekona się, co odrzucił. Leżąc w łóżku obok obcej kobiety (która chrapie, mam nadzieję), przypomniał sobie wysoki głosik Delaney, która w niedzielne poranki wślizgiwała się do naszego łóżka, i nie będzie pamiętał oczywiście o jej wybuchach złości i o tym, jak ten zwyczaj ograniczył nasze życie seksualne. Pomyśli o dobrych stopniach Adele, za to nie będzie myślał o zebraniach w szkole, na których dyskutowano, dlaczego nasza pierworodna nie potrafi nawiązać przyjaźni, ani o kosztach terapeuty, do którego aktualnie uczęszcza. Mnie widziałby tak, jak wyglądam teraz, z piękną fryzurą, dopasowaną do sukienki szminką, czystym domem i pysznym obiadem na stole, zapomnieliby natomiast o tym wszystkim, co uznał we mnie za nużące i nieciekawe, a co pchnęło go w ramiona mojej byłej najlepszej przyjaciółki. Miał tęsknić za nami i chcieć wrócić, a ja, to jasne, chciałabym tego samego.

A teraz? Spojrzałam na niego: wydęte usta, spuszczone głowa, ręce w kieszeniach – ucieleśnienie skruchy. Powinnam być poruszona. Nie byłam.



Jakbym zamarzła, zamieniła się w bryłę lodu, a on przyszedł nie z pochodnią, ani nawet ze świeczką, ale z wykałaczką, i kłuł nią gładką niedostępność mojego ciała... Nie czułam nic.

Kulturalny jak zawsze, nie kazał mi tego powiedzieć.

– Do zobaczenia – pożegnał się cicho i odwrócił w kierunku drzwi.

– Czekaj.

Obrócił się z powrotem. Nadzieja w jego oczach była tak widoczna, że aż mnie zabolalo, że musiałam go jej pozbawić.

– Ktoś kiedyś powiedział, że ludzie, którzy byli małżeństwem, nigdy nie przestają nim być. Jeśli mają dzieci, takiego węzła nie da się zwyczajnie rozwiązać. Jesteśmy rodziną i nią pozostaniemy.

Pokręcił głową.

– Nie o to mi chodzi.

– Zawsze będziesz dla mnie ważny – dodałam, wiedząc, jak słabiutko to zabrzmiało, zupełnie przeciwnie do tego, co chciał usłyszeć. Wolałby już gniew, wściekłość, bo to jednak emocje. A ja nawet nie byłam na niego zła. – Znajdziesz kogoś. – Zrobiłam minę. – Tak jak znalazłeś mnie.

W milczeniu potrząsnął głową i wyszedł. Przypomniałam sobie, jak pakował się w tydzień po zejściu w restauracji, i ten dźwięk walizki podskakującej na każdym stopniu schodów. Byłam wtedy jak zmrożona, jakby to wszystko działo się w kinie, jakby ból dotyczył kogoś innego.

W sypialni zmyłam makijaż i nałożyłam na twarz drogi krem, który podobno ma ograniczyć efekty starzenia. Piżama okazała się dokładnie taka wygodna, jak oczekiwałam, a rozpuszczone włosy opadły na ramiona burzą loków, nadal ciemnobrązowych i lśniących. Stojąc przed lustrem, rozpięłam dwa guziki piżamy. Blizna z czasem wyblakła, ostry róż zmatowiał, a wybrzuszenie szwów było tak znajome, że niemal go nie zauważałam.

Teraz dotknęłam jej lekko. „Powinnaś mieć tutaj coś ładnego” – powiedział kiedyś Andy. Czy jakaś miłość może być tak słodka jak ta pierwsza? Czy wszyscy byliśmy tylko uszkodzonymi towarami, jak obtłuczone puszki w koszu przy kasie albo przeceniony chleb z poprzedniego dnia, i mamy nadzieję, że ktoś pominie nasze oczywiste skazy i pokocha na tyle, by wziąć ze sobą do domu?

„Mogłabyś go odnaleźć” – coś szepnęło mi w głowie. Laptop czekał w gabinecie, wystarczyło wpisać nazwisko i przejrzeć setki artykułów o dopingu i hańbie. Może znajdę coś w stylu „Gdzie są teraz?” i dowiem się, gdzie mieszka i co robi. Ciekawe, czy w ogóle jeszcze myśli czasem o mnie.

Pewnie nie, uznałam. Na pewno ma ważniejsze sprawy na głowie.

– Hej, młodzi kochankowie – zaśpiewałam, stawiając szklankę wody na szafce przy łóżku. Usunęłam też kilka zwiędłych kwiatków z bukietu na półce i położyłam się.

„Wszystkie wspomnienia są dziś dobre. Mam swoją własną miłość” –  
przypomniały mi się słowa piosenki Franka Sinatry.

Andy  
2015

Ponieważ nikt inny się do tego nie kwapił, Andy postanowił uporządkować mieszkanie pana Sillsa. Wziął w tym celu tygodniowy urlop na początku maja i pojechał do Filadelfii. Posegregował wszystko na kupki, a potem rozdzielił odpowiednio: do kosza, do odpadów segregowanych, do oddania, a reszta może się komuś przyda. Stare gazety i czasopisma poszły do antykwariatu, przedtem jednak upewnił się, że Free Library nie potrzebuje numerów „National Geographic” z lat siedemdziesiątych. Imbryczki, porcelanowe talerze, ręcznie malowane filiżanki ze złocnymi brzegami i tym podobne rzeczy spakował i zawiózł z powrotem do sklepów, z których przynajmniej część z nich pochodziła. Lustra oddał biednym i potrzebującym, wraz z obrazami, choć ten z żółtą papugą zatrzymał dla siebie. „Naprawdę rozjaśnia to wnętrze” – powiedział, wieszając obraz nad telewizorem. Znalazł organizację charytatywną, która przysłała furgonetkę i trzech smętnych panów, by zabrali meble (dowiedział się potem, że wykonywali prace społeczne w ramach kary za prowadzenie pod wpływem).

W cztery dni mieszkanie było niemal puste, został jedynie ulubiony, obity sztruksem fotel pana Sillsa, a także albumy ze zdjęciami i wycinkami oraz kilka pudeł do przejrzenia. Andy zasiadł więc z ogromnym koszem na śmieci u boku i rozpoczął ostatni etap. Niektóre albumy były naprawdę stare. Rozpoznał pana Sillsa w małym chłopcu w okularach. Uśmiechnięty dzieciak w staromodnych spodniach do kolan, a potem do kostek, zmienił się w umundurowanego młodzieńca, w poważnego pana młodego w ciemnym garniturze i wreszcie w świeżo upieczonego ojca, otaczającego troskliwie ramieniem śliczną, szczupłą kobietę, która tuliła w ramionach małe zawiniątko.

Przejrzał mnóstwo zdjęć tej trzyosobowej rodziny zrobionych przy wszelkich możliwych okazjach, takich jak kościelne pikniki, imprezy różnej maści i wycieczki nad morze. Zastanawiał się, czy starali się o kolejne dziecko, ale na zdjęciach nie zauważył pani Sills w ciąży, więc albo się nie udało, albo uznali, że to jedno im wystarczy. Wśród setek fotografii dokumentujących przyjemności szczęśliwego miejskiego życia – spotkania z sąsiadami, pokazy fajerwerków, chłopcy w opadających kąpielówkach szalejący w brodziku, a potem w głębokiej części basenu i wreszcie skaczący z trampoliny – jedno zdjęcie się powtarzało. Co roku czternastego kwietnia pan Sills i jego żona pozowali z DeVaugnem w dzień jego urodzin.

Andy prześledził, jak DeVaughn wyrastał z niemowlęcia trzymanego przez matkę w ramionach na dzieciaka, który stoi jeszcze niepewnie, ściskając ją za rękę i patrząc z uwielbieniem, a potem na chłopczyka z małym kijem baseballowym, i w końcu na dużego chłopca z rowerem. Zdjęcia zmieniały się z czarno-białych

w polaroidowe i normalne kolorowe. Pan Sills zapuścił afro i wielokrotnie zmieniał oprawki okularów, każde kolejne większe od poprzednich, natomiast żona zastąpiła odprasowane sukienki dzwonami i golfami. Wszystkie te zdjęcia były podobnie podpisane: „DeVaughn Anthony Sills, 14 kwietnia, nasza duma i radość”. I tak do siedemdziesiątego ósmego, kiedy nastąpiła zmiana. DeVaughn uśmiechał się z kwietniowego zdjęcia, jedną wielką łapę trzymając na ramieniu ojca, a drugą obejmując matkę. Następne zrobiono już kilka miesięcy później, w tym samym miejscu przed domem, w tym samym ustawieniu – syn pomiędzy rodzicami – ale tym razem DeVaughn miał na sobie biret i togę. Biret wydawał się unosić na bujnej czuprynie, a toga była ciemnofioletowa ze złotymi dodatkami – kolory Roman Catholic. Pan Sills uśmiechał się tak szeroko, że okulary uniosły się do wysokości brwi. Miał na sobie wzorzystą koszulę w stylu afrykańskim, nazywa się chyba dashiki, w rękę trzymał chusteczkę. „Dzień ukończenia szkoły, 1978” – napisał pan Sills.

Potem nie było już zdjęć, tylko pusta strona i samotny wycinek z „Examinera” – *Dziewiętnastolatek z zarzutem morderstwa po strzelaninie w Kensington.*

*W poniedziałek policja dokonała aresztowania DeVaughna Anthony’ego Sillsa, podejrzanego w związku z październikowym zabójstwem Davida Cassady’ego, który śmiertelnie ranny został zabrany z East Indiana Street o czwartej dwadzieścia dziewięć. Cassady, lat 19, z raną postrzałową brzucha, zmarł nad ranem w szpitalu uniwersyteckim Temple. Świadkowie twierdzą, że widzieli na miejscu ciemnego sedana, którego kierowca opuścił szybę i strzelił do ofiary. Policja poszukuje drugiej osoby widzianej w samochodzie oraz broni, z której oddano strzał.*

Mojego ojca, pomyślał Andy. Kolano podskakiwało mu coraz szybciej, a album obijał się o drugą nogę.

Odwrócił kartkę. Dwudziestego szóstego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku Sąd Powszechny skazał DeVaughna Anthony’ego Sillsa i Andrew Raymonda Landisa za morderstwo popełnione w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku na mieszkańcu Kensington Davidzie Cassadym.

Andy uspokoił nogę i palce dłoni. Wstał, poszedł do kuchni, znalazł szklanke i wypił trochę wody. „Zmień miejsce, zmienisz nastrój” – mówiła mu terapeutka. Chodził do niej przez rok. Kiedy wpadał w spiralę wstydu nie do pokonania – miał wyjść na zewnątrz, jeśli znajdował się w budynku, albo wejść do środka, gdy akurat był na dworze, przerwać to spądanie czymś tak prostym jak zaparzenie herbaty albo rozwiązanie kilku haseł w krzyżówce. Ściągnął sobie aplikacje Sudoku i Whirly Word oraz zakupił z dziesięć rodzajów herbat ziołowych.

Wrócił do salonu i usiadł. Na parapetach stały kwiaty, sześć storczyków o białych, różowych i fioletowych kwiatkach, sukulenty, aloesy i kaktusy. Miał

nadzieję, że przekona sąsiadów, by je zabrali. Wyobrażał sobie, jak pan Sills wycina te notatki z gazet, układa na środku kartki i podpisuje. Pod artykułem wykaligrafował tylko „DeVaughn”. Jak musiał się czuć, pisząc imię syna w tym miejscu, tak jak wcześniej pod fotkami urodzinowymi, zdjęciami DeVaughna na rowerku, na meczach T-ballu i softballu, fotografiami z niezliczonych urodzin i kolejnych świąt Bożego Narodzenia? Ile kosztowało go skreślenie tych liter na papierze, pod tymi strasznymi rzeczami, których dokonała jego „duma i radość”?

Po skazaniu DeVaughna przez długie lata nie było żadnych zdjęć. Pan Sills zostawił kilka pustych stron, jakby on, żona i uwięziony syn znikli gdzieś, wpadli w kanał smutku i zamknęli za sobą klapę. Ciekawe, czy odwiedzał syna i jak to wyglądało. Pewnie nikomu nie przyszło do głowy zabierać ze sobą aparat.

Kiedy kartki albumu znów zaczęły się zapierać, włosy pani Sills obcięte były krótko i zaczynały już siwieć. Pan Sills przytył jakieś dziesięć kilogramów i zgoilił ekstrawaganckiego węża z czasów szkolnych DeVaughna. Andy zauważył, że kąciki ust pani Sills zawsze teraz leciutko opadały, podczas gdy wcześniej pozowała z promiennym uśmiechem, oczy pana Sillsa natomiast patrzyły zza okularów jakby znużone, kiedy ustawiali się do zdjęcia, ramię w ramię, na piknikach i ślubach oraz spotkaniach rodzinnych w Fairmount Park, na rocznicach, przyjęciach z okazji odejścia na emeryturę czy chrzcinach. W połowie osiemdziesiątego drugiego pan Sills wkleił zdjęcie z szesnastych urodzin siostrzenicy. I znów pusta strona.

Odwracając kolejną, Andy zaczął bębnić palcami. Tym razem pod plastikową folią nie zobaczył zwykłego zdjęcia, tylko elegancką kartę obrzeżoną na czarno. „Lavonia Rita Sills. 1942–1983”. Była i fotografia, czarno-białe ujęcie z profilu. I słowa: „Niewiastę dzielną któż znajdzie? Jej wartość przewyższa perły. Strojem jej siła i godność, do dnia przyszłego się śmieje”.

Czterdzieści jeden lat, zauważył Andy, odwracając kolejną pustą kartkę. Na następnym zdjęciu był już on sam. Sądząc po kurtce i czapce, zrobiono je zimą. Chudy, dwunastoletni Andy. Miał dwie płócienne torby przewieszane na skos i skrzyżowane na piersi. Śmiał się do aparatu.

Nie pamiętał, żeby pan Sills zrobił mu kiedyś zdjęcie, ale proszę, oto dowód. Odwracał kartki i obserwował teraz swoje własne dorastanie. Szkolny bieg przełajowy, potem pierwszy wygrany w życiu wyścig i pierwszy raz, gdy zakwalifikował się do reprezentacji kraju, i cały osobny album poświęcony olimpiadzie, w którym wycinki prasowe widniały obok profesjonalnych zdjęć i wykonanych samodzielnie przez pana Sillsa ujęć Akropolu, Partenonu i Łuku Hadriana.

Wrócił do pierwszego zdjęcia, do tego szerokiego, pełnego nadziei uśmiechu. Jaki był wtedy chudziutki, a jakie wielkie te torby z gazetami. Czuł się taki samotny. Ani biały, ani czarny, nie wolno mu było mieć przyjaciół. Nie miał

ojca, i tak jakby nie miał matki. Jednych dziadków wyeksmitowano z jego życia, drugich nigdy nie poznał. Jak by się to wszystko potoczyło, gdyby ojciec z nimi był? Czy wycisnęłyby z siebie wtedy tak dużo? I zdobył to, co osiągnął? Może i nie. A może właśnie zostałby mistrzem? Ale na tyle rozsądnym, by po Atenach się wycofać. Wiedział, że nieobecnego ojca nie może winić za własne chybione wybory – sterydy, rezygnacja z Rachel. Co by było, gdyby do niej wtedy pojechał, tego strasznego dnia, gdy dowiedział się, że ojciec żyje? Gdyby pojechał i poprosił, by odwołała ślub? Gdyby powiedział, że są sobie przeznaczeni?

Zorientował się, że przemierza, zapewne już od jakiegoś czasu, pusty salon pana Sillsa, tam i z powrotem, wyobrażając sobie różne scenariusze. Miał przecież własne życie, inne od poprzedniego, takie, w którym dbał o to, by górne półki zostały dokładnie odkurzone, a toalety posprzątane, i żeby Paul nie zapomniał odbić karty, a Martin, który prowadził dział farb i lakierów, nie przeklinał przy klientach. W tym życiu był dobrym przyjacielem i dobrym pracownikiem, a teraz dodatkowo dobrym szefem. Może to niewiele, ale też więcej niż nic... i znów mógł patrzeć na siebie w lustrze.

Jeszcze raz przekartkował albumy, sprawdzając, czy czegoś nie pominął... i faktycznie, po oddzieleniu sklejonnych kartek znalazł to. Jedno zdjęcie i dwa słowa. Jego ojciec stał obok DeVoughna, obaj wpatrzeni w zawiniątko na rękach Andy'ego Seniora. Widział wręcz czubek łysinki własnej niemowlęcej główki i małą piąstkę wyciągniętą jakby w geście solidarności czarnoskórych. Ojciec miał otwarte usta, chyba mówił coś do przyjaciela. Pan Sills stał z nimi, jedną rękę trzymał na ramieniu syna, a drugą na plecach Andy'ego Seniora.

„Moi chłopcy” – napisał pod spodem.

Kluczyki leżały na niewielkim czarnym stoliku w holu; jeszcze go nie wyniesiono. Andy je zabrał, zaniósł kartony do samochodu i pojechał tak, jakby znał trasę na pamięć. Z autostrady na Vine Street i dalej na Spring Garden. Piętnaście minut zajęło pokonanie granic dzielących bogacące się dzielnice od krawędzi centrum miasta. Zaparkował i rozejrzał się wokół. O tej części miasta wyrażano się łagodnie, że jest „w trakcie transformacji”. Były tu ośrodki terapeutyczne dla pijaków i narkomanów, a także knajpa ze świetną recenzją w „Examinerze”, w której gościł niezły DJ, a w weekend można było potańczyć. Zauważył też punkty szybkiej wymiany oleju, małą kolumbijską restaurację z wielkim czerwono-pomarańczowym plakatem polecającym wyśmienitą gorącą czekoladę, a dalej Spaghetti Warehouse i podniszczony kościół, przed którym ustawiała się kolejka po darmowy lunch.

Może nie będzie go w domu, pomyślał Andy. Była majowa niedziela, kilka puszystych chmurków wędrowało po jasnoniebieskim niebie, ludzie pedałowali ścieżkami rowerowymi, ciepło, ale nie wilgotno – idealny dzień na mecz albo spacer nad rzeką.

Ze ściśniętym gardłem i walącym sercem sprawdził listę lokatorów, wszedł na pierwsze piętro i ruszył korytarzem wyłożonym zdartą beżową wykładziną i równie nieciekawą beżową tapetą. Wyczuł zapach zupy z puszki i maści przeciwbólowej, usłyszał też wydobywające się spod drzwi dźwięki. Głos filadelfijskiego prezentera sportowego, a potem Marviną Gaye'a. *Musimy znaleźć sposób, by było więcej miłości.* „Twój tata zawsze lubił tę piosenkę” – powiedziała kiedyś mama. „Opowiedz mi o tym” – prosił Andy. „Co jeszcze lubił, kogo kochał, opowiedz mi o nim”. Ale jej twarz nieruchomiała, Lori odwracała się i nic nie mówiła. Ani wtedy, ani nigdy.

Wstrzymał oddech i zapukał. Na pewno go nie ma. Na pewno. I wtedy drzwi się otworzyły. I stanął w nich jego ojciec.

Miał na sobie kraciatą koszulę, luźne spodnie i śnieżnobiałe sportowe skarpety. I to one właśnie dokonały tego cudu, rozwiązały węzeł, który dotąd krępował mu serce. Wyobraził sobie ojca, który nie posiadał zbyt wiele, to jasne, jak wchodzi do któregoś sklepu na Chestnut Street, albo i do paru, dokładnie ogląda towar, zanosz wybrane artykuły do kasy i skrupulatnie odlicza kwotę, kładąc przez kasjerkę monety i banknoty jednodolarowe.

„Teraz możesz już przestać biec” – wydawało mu się, że słyszy głos pana Sillsa.

– Andy – powiedział ojciec i wyciągnął rękę.

Rachel i Andy  
2015

Dźwięk telefonu wyrwał mnie ze snu. Byłam znów studentką i zapisałam się na zajęcia, których nie cierpiałam, ale zapomniałam pójść do dziekanatu, żeby się wypisać. Nastął dzień egzaminu końcowego, a ja nie zdążyłam nawet kupić książek. Delaney leżała obok mnie, bo przysnęło się jej w „dużym łóżku”. Miała na sobie jedynie majteczki z Hello Kitty i diadem z kryształami górskimi, a w zagłębieniu jej ręki spała smacznie Moochie, mała terierka, którą Delaney dostała na urodziny.

– Halo?

– Rachel?

Usiadłam. Resztki snu natychmiast wyparowały.

– Brenda? Co się stało?

– Nic – odparła z oburzeniem. – Matko kochana, gdybym nie znała cię tak długo, chybabym się obraziła.

– No przecież... – Spojrzałam na zegarek, gotowa zbesztać ją, że dzwoni tak wcześnie, ale dochodziła dziewiąta, co wcale nie było zabawne. – Sobota! Dziś sobota – przypomniałam sobie.

– Wiem, ale właśnie rozmawiałam z Dantem. Chce, żebym do niego przyjechała, bo to weekend odwiedzin dla rodziców, a przecież obiecałam już Laurel, że posiedzę z dzieckiem, no a poza tym... – Jej głos przybrał znany mi dobrotliwy i pochlebny ton. – Autobusem to strasznie długa droga.

– Fakt.

Wstałam z łóżka, cały czas ze słuchawką przy uchu. Moochie otworzyła jedno oko, zorientowała się w sytuacji, zwinęła w drugą stronę i ponownie zasnęła. Zeszłam do kuchni, nadal w bawełnianej koszuli – sięgała kostek i miała kieszenie. Byłam teraz oficjalnie samotna, bez faceta, mogłam spać, w czym tylko mi się podobało, i zakrywać wszystko, czego nie chciało mi się woskować i golić.

– Ale droga jest bardzo widokowa, szczególnie jesienią – dodałam.

– Nie chrzań o widokach. Nie ma jakiegoś funduszu dla biednych samotnych matek, których dzieci dostają się na najlepsze uniwersytety, a one chciałyby je odwiedzić, ale nie chcą tłuc się autobusem?

– Taki fundusz to chyba tylko „moja karta kredytowa”.

Przytrzymując słuchawkę ramieniem, nastawiłam kawę i włożyłam do tosterka cztery kromki. Po raz kolejny przyszło mi do głowy, czy nie czas przemalować parteru. Przez lato odświeżyłam sypialnię, zmieniając wybrany przez Jaya jasnoniebieski kolor na kremowy odcień kości słoniowej, do tego nowe zasłonki i narzuta. I nowa pościel oraz poduszki, na których on nie spał. Kawalek po kawałku odzyskiwałam dom dla siebie i dziewczynek, robiło się z niego



przytulne niewieście gniazdko.

Brenda tymczasem narzekwała na niefrasobliwy stosunek Laurel do dzieci.

– Pozwala im pić energetyzujące trucizny, a tam jak byk napisane, żeby nie podawać dzieciom!

Opróżniłam zmywarkę i zerknęłam na kalendarz. Po południu Delaney jest zaproszona na urodziny, Adele ma zaległą lekcję oboju, a potem, jak ostatnio nazbyt często – pustka. Może zabiorę Adele na chińskie pierożki i do biblioteki, później odbierzemy z imprezy Delaney i zrobimy zakupy na kolację.

– No więc posłuchaj. – Brenda przerwała litanie zażaleń. – Co by było, gdyby... – I na tym urwała.

Po ponad dziesięciu latach praktyki wiedziałam, co powiedzieć.

– Gdyby co?

– Co gdyby, na przykład, gdybyś wiedziała, że jakaś mama z małymi dziećmi robi coś złego, ale nie chcesz, no wiesz, nie chcesz nikomu donieść, żeby jej nie założyli kartoteki i żeby nie straciła dzieci.

– Pytasz, co ja bym zrobiła? A co to znaczy „coś złego”? Czy to zagraża dzieciom?

Domyślałam się, że mówi o swojej córce Laurel, która i tak miała już założoną kartotekę, bo pediatra zgłosił, że podała tylenol swojej trzyletniej córeczce Olivii, by ta przestała wstawać w środku nocy.

Brenda westchnęła.

– Chodzi o moją córkę – przyznała. – Moje dziecko, rozumiesz? Nie chcę, żeby wpadła w kłopoty. Kocham ją i wiem też, że jest, jak jest, bo ja nie byłam dla niej dobrą matką, więc to moja wina.

– Wiem, jak bardzo ją kochasz, ale wiem też, że kochasz Oliwię i Tylera.

Brenda znów westchnęła.

– Byłam u niej wczoraj i widziałam w łazience różne rzeczy.

– To znaczy?

– Igły.

Cholera. Cholera, nie. Nie, nie, nie. Laurel już trzykrotnie przechodziła odwyk i była czysta od sześciu miesięcy.

– To ten jej facet – kontynuowała Brenda. – Jason. Może to jego. Ma na nią zły wpływ, mówiłam jej. Może to jego igły.

– Myślisz, że Laurel bierze?

Cisza.

– Czy uważasz, że dzieci są bezpieczne?

Cisza. I kolejne westchnienie.

– Mogłabym je zabrać na jakiś czas do siebie, mam wolny pokój Dantego. Może to tylko chwilowe, zadzwonię do terapeutki i do jej koleżanek. Niech się weźmie w garść, a ja przypilnuję dzieci.

W trakcie gdy ustalałyśmy, co robić z Laurel, Moo-chie zwlokła się po schodach, a za nią Delaney, obydwie zwabione pewnie zapachem grzanek. Z góry dochodził odgłos prysznic. Od swoich dziesiątych urodzin Adele, która zawsze miała bzika na punkcie czystości, stała się jeszcze bardziej neurotyczna. Żeby zapobiec ewentualnemu nieprzyjemnemu zapachowi, brała prysznic dwa razy dziennie.

– Mogę bekon? – Delaney włożyła białą koszulkę z długim rękawem i różową gwiazdą oraz legginsy w kropeczki sięgające do połowy łydki. Kreacja zostanie zapewne uzupełniona wsuwanymi tenisówkami, takimi bez sznurówek, z kolorowymi cekinami. „Dyskretny” nie jest zapewne słowem, którym można by określić styl mojej młodszej córki.

Wskazałam na lodówkę, potem na szafkę. Delaney wyciągnęła bekon i zaczęła szukać patelni. Kiedy wskazałam na stół, ona zmarszczyła czoło i palcem pokazała na piętro, przypominając mi, że dziś kolej Adele i to starsza siostra powinna nakryć do śniadania. Ja raz jeszcze wskazałam na stół, więc westchnęła bardzo podobnie do Jaya, ale zaczęła wyciągać podkładki i serwetki. Właśnie odłożyłam telefon i nastawiałam wodę na jajka, gdy zeszła Adele – w szlafroku, zła jak osa, z włosami pełnymi mydlin.

– Zepsuła się słuchawka od prysznic – oznajmiła, wyciągając ją z kieszeni.

– Cholera.

– Język! – zawołała Delaney z buzią pełną grzanki.

– No dobrze, idź się splukać u mnie. Po śniadaniu muszę zadzwonić, więc wy wyprowadzicie psa. Macie być gotowe na dziesiątą. W szafce jest prezent dla Marii Cristiny, musisz go tylko zapakować. Adele, pomóż siostrze, dobrze?

– Przecież zawsze jej pomagam – burknęła Adele, która opuszczała już powoli uroczą ścieżkę dzieciństwa i wjeżdżała na drogę szybkiego ruchu, jaką jest dorastanie. Rzuciła mi miazdzące spojrzenie, zostawiła słuchawkę na szafce i wróciła na górę.

No cóż, pomyślałam, szukając w komórce numeru terapeutki Laurel. Zawiozę Adele na lekcję, pobiegnę do marketu, kupię nową słuchawkę, może nawet ktoś mi wyjaśni, jak ją zainstalować, a potem odbiorę Adele i zawieziemy Delaney na urodziny. Jeśli się nie uda, zadzwonię po hydraulika.

– Trzydzieści minut! – zawołałam.

Woda się zagotowała, kawa powoli skapywała, bekon skwierczał na patelni, dom był ciepły, pełen zapachów i wygodnych kanap, muzyki i dwóch względnie szczęśliwych dziewcząt. „Wszystko będzie dobrze” – powiedziałam do siebie, i pobiegłam na górę też wziąć prysznic.

Dwie godziny później, po odwiezieniu Adele na lekcję, uspokojeniu Delaney paczką żelków i dwukrotnym zgubieniu drogi, znalazłam parking przy Wallenie i zabrałam ze sobą urwaną słuchawkę natryskową. Mrużąc oczy, żeby odczytać

tablice informacyjne, doszłam do wniosku, że chyba czas udać się do okulisty. Ruszyliśmy przez dział z farbami w kierunku artykułów łazienkowych.

– Ooo! – Delaney zauważyła próbki kolorów farb na obracających się wałkach. – Mogę zabrać kilka? – spytała, zatrzymując kręcący się walec na różach i fioletach.

– Ale tylko kilka, spieszmy się.

Patrzyłam, jak z uwagą ogląda każdy paseczek, odczytując głośno nazwy odcieni.

– Chodź już, kochanie – ponagliłam, więc złapała, ile się dało, i poszła za mną.

W dziale z artykułami łazienkowymi dorwałam wysokiego pryszczatego dzieciaka w koszuli z napisem wallen.

– Przepraszam – zagaiłam, wyciągając z torebki słuchawkę. – Odleciała. Czy muszę kupować nową, czy jest jakiś sposób, żeby to z powrotem zamocować?

– Zaraz znajdę kogoś, kto się na tym zna – wydukał pryszczaty i natychmiast puścił się alejką, jakby uciekał.

Delaney westchnęła.

– Nudzi mi się – oświadczyła, gapiąc się na ścianę z bateriami.

– Kiedyś opowiem ci, jak budowałam pewien dom.

Spojrzała na mnie sceptycznie, ale jednocześnie z szacunkiem.

– Ty budowałaś dom?

Podszedł specjalista, omówiliśmy sprawę i stanęło na nowej słuchawce oraz narzędziach potrzebnych do jej zamontowania. Dostałam również numer rzetelnego hydraulika. Przeczynałam, że wkrótce do niego zadzwonię.

– Delaney! – Odwróciłam się, ale mojej córki nie było tam, gdzie stała poprzednio. Cholera. Wybrałam numer nauczycielki Adele, biegnąc jednocześnie do działu z farbami. – Cześć, Marcia, trochę się spóźnię... Ma książkę, prawda? Powiedz, że jestem już w drodze.

Marcia zapewniła, że Adele ma się dobrze i może jeszcze trochę poćwiczyć. Delaney nie było przy farbach.

– Przepraszam! – zawołałam głośno, by ludzie usłyszeli mnie w tej wielkiej hali. – Czy ktoś nie widział małej dziewczynki z kręconymi włosami? W biało-różowej koszulce i błyszczących tenisówkach?

Ludzie kręcili głowami, gdy nagle zatrzeszczał głośnik i popłynął z niego głos.

– Pani Rachel Pearl Kravitz proszona jest do działu obsługi klienta.

Z uśmiechem pobiegłam we wskazanym kierunku. Środkowe imię Delaney brzmiało Pearl, więc oczywiście uznała, że moje również. Siedziała na biurku, trzymając w dłoni kolorowy wachlarz próbek, pogrążona w rozmowie z mężczyzną o krótko obciętych, ciemnych, kręconych włosach.

– Mama! – zapiszczała na mój widok. Zauważyłam, że jakimś cudem zwinęła jeszcze balon i czekoladowy batonik. – Zgubiłam się!

– Przepraszam, kochanie. Odwracam się, a ty gdzieś znikłaś. Tak się martwiłam!

Wręczyła mi stosik próbek i zwinnie zeskoczyła z biurka.

– Jedna pani zapytała, czy się zgubiłam, i przyprowadziła mnie tutaj, a ten pan mówi, że mogę sobie wziąć próbkę z każdego koloru! Mogę wziąć ją do domu i pomalować sobie ścianę, a jak mi się nie spodoba, to mogę wrócić po inną, też za darmo! I zobacz, co mi zrobił!

Otworzyła dłoń, na której leżała literka „D” wykonana ze spinacza.

– „D” jak Delaney! Mogę ją zatrzymać! Kupisz mi batonik?

– Żadnych więcej słodyczy, i nie mamy teraz czasu, ale...

Głos uwiązał mi w gardle, gdy ciemnowłosa mężczyzna się odwrócił i zobaczyłam jego twarz. Menadżer. Człowiek wykonujący literki ze spinaczy.

– Andy.

– Rachel. Nie znałem twojego nazwiska po mężu.

– Mama nie ma już męża – poinformowała mądrała Delaney. – Jesteśmy rozwiedzione. To znaczy mama i tata nie mieszkają już razem, tylko trzy stacje metra od siebie, a w domu taty muszę dzielić pokój z moją starszą siostrą.

Nie spuszczał ze mnie wzroku. Te oczy, ten uśmiech, takie znajome i bliskie.

– Andy – powtórzyłam tak cicho, że ledwie sama się słyszałam.

Delaney zmarszczyła brwi.

– Ma na imię An-DREW.

– Andy to ksywka – wyjaśnił jej.

Patrzył na mnie, a ja miałam wrażenie, że zaraz zemdleję. Serce tak mi waliło, że cała drżałam.

– Kotku, możesz poczekać chwilę na tamtej ławce?

– A kupisz mi batonik?

– Kupię.

Delaney odbiegła w podskokach, zanim zdążyłam zmienić zdanie. Andy wyszedł zza biurka i stanął bardzo blisko. Kiedy z nim byłam, zawsze był w ruchu, ale teraz stał spokojnie, nieruchomo, czekał.

– Powinienem się domyślić. Przecież wygląda tak jak ty.

Oparłam ręce o biurko i się odwróciłam. Nie mogłam na niego patrzeć. Taka byłam smutna, taka zła na niego, czułam, jak serce podchodzi mi do gardła. I tyle miałam pytań. Dlaczego po mnie nie przyjechałeś? Jak przeżyłeś tamto? Kim jesteś? Kim teraz jesteś?

Jednak wyciągnęłam tylko z torebki oderwaną słuchawkę.

– Popsuło się – powiedziałam i się rozplakałam.

– W takim razie pozwól mi to naprawić.

– Tak za tobą tęskniłam. Myślałam, że po mnie przyjedziesz.

– Powiniennem być – odparł. – I chciałem, wiele razy, ale myślałem, że mnie już nie chcesz, a potem wszystko zepsułem, no wiesz.

– Więc teraz jesteś tutaj?

Zmusiłam się do spojrzenia na niego. Był większy niż wtedy, gdy biegał – nic nie zostało z tej okropnej charciej sylwetki. Teraz wyglądał jak mężczyzna, solidny, z szerokimi ramionami i identyfikatorem „Menadżer” oraz okularami w złotych oprawkach.

– Tak, jestem tutaj – potwierdził.

Zerknęłam na jego dłonie. Nie nosił obrączki. Stał blisko, czułam ciepło jego ciała, znajomy zapach, i nagle zdałam sobie sprawę, że nigdy nie straciłam nadziei, przez te wszystkie lata.

Dźwięk przychodzącego SMS-a. „GDZIE JESTEŚ?” – pytała Adele. Jeśli natychmiast nie wyjdziemy, Delaney spóźni się na urodziny.

– Muszę iść – oznajmiłam, lekko dysząc. – Już jestem spóźniona... muszę...

Słuchawka i próbki farby poleciały na podłogę. Schyliłam się, by je podnieść. Nadal płakałam, nie wiedziałam, co robię. Nie miałam pojęcia, co dalej.

Andy podniósł mnie delikatnie.

– Pamiętasz, o co cię zapytałem, wtedy gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy?

Kiwnęłam głową, przypominając sobie, po co w ogóle zeszłam tamtej nocy na izbę przyjęć. Chciałam mieć jakąś ciekawą historię dla Alice, żeby jej się spodobała i żeby powiedziała mi to, co chciałam wiedzieć: Czy to będzie bolało?

– Zapytałeś mnie: „Czy to boli?”. – Rozpłakałam się jeszcze bardziej.

Żyłam już wystarczająco długo, by znać odpowiedź. „Boli bardziej, niż można znieść” – powiedziałabym tej małej dziewczynce i chłopcu zagubionym w dwóch różnych ciemnych lasach, i „nikt nie może przed tym uciec... ale potem jest lepiej niż w najśmielszych snach”.

– Kocham cię – powiedziałam. To nic, że mam mokrą od łez twarz i nie mogę przestać płakać ani że mówię to pierwsza. – Zawsze miałeś moje serce.

– Rachel – mówił Andy. – Będę cię kochał do końca świata.

Objął mnie. Wtuliłam twarz w to miękkie miejsce tuż pod jego ramieniem, a po chwili poczułam na podbródku jego dłoń. Uniósł delikatnie moją głowę i pocałował mnie.

## Podziękowania

Dwie osoby, którym chcę podziękować w pierwszej kolejności, to Joanna Pulcini, moja agentka, oraz Greer Hendricks, mój redaktor. Pracujemy razem od lat, stworzyliśmy wiele książek i tak jak na poprzednich, również na tej widoczne są ich odciski palców. Obydwoje poświęcili mnóstwo godzin na czytanie wciąż nowych wersji tekstu, zamieniając go w historię, która ich zdaniem spodoba się czytelnikom (żywię nadzieję, że tak się stanie!).

Moja niezrównana, zabawna i nieskończenie cierpliwa asystentka Meghan Burnett pracowała po godzinach, by zapewnić Rachel i Andy'emu pełnię życia w ich światach równoległych. Dziękuję, Meghan, za to, że bez zmrżenia oka znajdowałaś najdziwaczniejsze informacje, o jakie prosiłam, i bez słowa skargi wykonywałaś niemożliwe wręcz zadania. Jesteś najlepsza.

Dziękuję Katherine Compitus, która zapoznała mnie z programem studiów na kierunku resocjalizacja na Uniwersytecie Nowojorskim, Chrisowi Chmielewskiemu i Patrickowi Donnelly'emu, dzięki którym zyskałam wgląd w życie biegacza, oraz Laurze Hoagland za opowieść o swoim życiu z atreją zastawki trójdzielnej. Przepraszam, że pozwoliłam sobie na fałszowanie historii w przypadku olimpiady w 2004 roku i zdegradowałam Hichama El Guerrouja, faktycznego złotego medalistę, przyznając mu tylko miejsce drugie.

W Atrii Sarah Cantin, choć weszła do gry w dziewiątej rundzie, od razu posłała piłkę poza boisko. Pomoc i wsparcie okazali mi również: Haley Weaver, Kitt Re-ckord-Mabicka, Suzanne Donahue, Lisa Sciambra, Lisa Keim, Hillary Tisman, Elisa Shokoff, Kathleen Rizzo i Lisa Silverman. Dziękuję. Jin Yu, specjalista od marketingu internetowego, jest być może jedyną osobą na świecie, która kocha Twitter tak samo jak ja. Judith Curr, wydawca w Atria Books, i Carolyn Reidy, dyrektor Simon & Schuster, to osoby o niespożytej energii i moje ideały. Gdy dorosnę, chciałabym być do nich podobna. Dziękuję również za wszystko Haley Heidemann, asystentce Joanny. I w końcu wielkie dzięki dla cudownej adiustatorki Nancy Inglis, która pojawiła się nagle i uratowała mnie od samej siebie kolejne paręnaście razy, oraz dla mojej koleżanki Carol Williams za jej przemyślane rady.

W brytyjskim oddziale Simon & Schuster podziękowania niech przyjmą Suzanne Baboneau, Ian Chapman i Jo Dickinson. Marcy Engelman to cudotwórczyni w zakresie PR i jedyna osoba, przy której nie czułam się winna z powodu swojej obsesji na punkcie *Kawalera*. Dziękuję również Simone Swink i Patty Neger z *Good Morning America* za to, że pozwoliły mi rozprawić się z tym programem, oraz Trish Hall i Jessica Lustig z „New York Timesa” za możliwość powrotu do korzeni i napisania o tradycjach paschalnych, właściwym dbaniu

o siebie i nieznośnych babach z domów opieki.

Emily Gambir z Engelman & Co. mówi światu o moich książkach, Jessica Fee z Greater Talent Net-work pozwala mi podróżować i opowiadać swoje historie, Tamara Staples jest autorką zdjęcia z okładki, a Albert Tang i Chin-Yee Lai sprawili, że książka ta, jak zresztą wszystkie pozostałe, wygląda tak kusząco.

Na froncie domowym, jak zawsze, jestem wdzięczna Terri Gottlieb za poświęcanie czasu moim dziewczynkom i ogrodowi. Dziękuję mamie, Frances Frumin Weiner, jej partnerce Clair Kaplan, Davidowi, synowi Clair, mojemu rodzeństwu, Jake'owi, Molly i Joemu Weinerom oraz Davidowi Reekowi. Miłość i wsparcie Adama Bonina przekraczają wszelkie granice. Jest wspaniałym ojcem i cudownym przyjacielem. Moją najlepszą przyjaciółką na zawsze pozostanie Susan Abrams. Lucy Jane i Phoebe Pearl są światłem mojego życia. Każdego dnia niezmiennie rozpiera mnie duma, że jestem ich mamą.

Szczególnie głośne podziękowania kieruję do mojego klubu śniadaniowego z Berkshires, który stanowią Tom O'Reilly, Tim Swain, Charles Cohen, Pat Donnelly, Emma Hart, Elizabeth Ekeblad, Lesley Carter i Franklin Mattei.

Dziękuję Billowi Sykenowi, którego ojciec, widząc mnie kiedyś niespodziewanie w swoim domu bardzo wcześnie rano, zawołał: „Znowu ty?!”. Dziękuję, że jesteś ze mną na dobre i na złe, że zawsze potrafisz mnie rozśmieszyć, za to, że dzięki swojej cierpliwości i dobroci pokazałeś mi, jak wygląda miłość. Tak, to ja, znowu ja, na zawsze.

I dziękuję oczywiście czytelnikom za to, że towarzyszą mi aż dotąd.

## Prawa autorskie

Fragment utworu *Isis* Boba Dylana. Copyright © 1975 by Ram's Horn Music; 2003 by Ram's Horn Music. Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk za zgodą właściciela praw.

Fragment powieści *Co się wydarzyło w Madison County* Roberta Jamesa Wallera. Copyright © 1992 by Robert James Waller. Wykorzystano za zgodą Grand Central Publishing. Wszelkie prawa zastrzeżone. Tłumaczenie Jacek Manicki, Władysław Masiulanis, Albatros, Warszawa 2003.

Fragment utworu *Please Come to Boston*. Słowa i muzyka: Dave Loggins. Copyright © 1973, 1974 Universal Music Corp. oraz Universal – Polygram International Publishing, Inc. Zarządca praw autorskich: Universal Music Corp. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wykorzystano za zgodą właściciela praw. Przedruk za zgodą Hal Leonard Corporation.

Fragment utworu *Please Come to Boston*. Muzyka i słowa: Dave Loggins. Copyright © 1974 PolyGram International Publishing Incorporated/Universal Music Corporation. Universal/MCA Music Limited. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wykorzystano za zgodą Music Sales Limited.

Fragment utworu *Hello, Young Lovers*. Copyright © 1951 by Richard Rodgers and Oscar Hammer-stein II. Odnowione prawa autorskie Williamson Music (ASCAP), an ImaGem Company, właściciel prawa do publikacji i praw pokrewnych na całym świecie. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wykorzystano za zgodą właściciela praw.



<sup>1</sup> Fragmenty powieści R.J. Wallera *Co się wydarzyło w Madison County* w tłumaczeniu J. Manickiego i W. Masiulanisa (przyp. tłum.).

